



SARAH
McCOY

CÓRKA
PIEKARZA

Świat Książki

„Powieść wzruszająca, piękna niczym klejnot.
Pochłania się ją jednym tchem”.

— TATIANA DE ROSNAY

SARAH MCCOY

CÓRKA
PIEKARZA

Z angielskiego przełożyła

ELŻBIETA KOWALEWSKA


Świat Książki

Brianowi

Zahlen bitte, mein Schatz. Ich liebe Dich.



„Każdy człowiek jest jak księżyc.

Ma swoją drugą stronę, której nie pokazuje nikomu”.

Mark Twain, *Following the Equator*
(przekład: Elżbieta Kowalewska)

„Światło w niebie jest jedną bielą,

Na barwy się tam nie rozpada;

Błaskiem poranka wieczność ścieląc,

Na łąk pagórkach promień składa.

Lekko stąpają tam anieli,

Co gospodarzą w krąg wesoło,

A śnieżny pył spienionej fali

Dal horyzontu spina wkoło.

Z góry już trąbią dusz zwołanie

Do ponownego narodzenia,

Aby na «próbę przez istnienie»

Zejść do ziemskiego zaciemnienia.

Gorliwe duchy tłumnie stają,

Zewsząd bezładnie nadlatują,

Słodkim wezwaniom posłuch dając.

Jakież to sny im proponują?”.

Robert Frost, *Próba przez istnienie*
(przekład: Elżbieta Kowalewska)

Prolog

Garmisch, Niemcy
lipiec 1945 r.

Piec na dole dawno już ostygł, a piętro rozgrzało się od ciepła ciał śpiących w kokonach bawełnianej pościeli, gdy wysunęła stopy spod cienkiego przykrycia i po cichutku przeszła przez ciemny pokój. Nie włożyła kapci w obawie, że ich klapanie mogłoby zbudzić męża. Na chwilę zatrzymała się przed pokojem córki, położyła rękę na klamce i przystawiła ucho do drzwi. Przez drewno dosłyszała ciche pochrapywanie, do którego dostroiła własny oddech. Gdyby tylko udało się zatrzymać czas, zapomnieć o przeszłości i teraźniejszości, nacisnąć klamkę i położyć się obok niej, jak w dawnych czasach. Ale nie mogła zapomnieć. Skrywana przez nią tajemnica kazała jej odsunąć się od drzwi i zejść na dół wąskimi schodkami, które skrzypiały pod jej ciężarem. Dlatego szła na palcach, jedną ręką opierając się o ścianę.

W kuchni widok ułożonych rzędem na blacie piekarniczym pulchnych i okrągłych jak niemowlęta bryłek ciasta, a także ich mleczno-miodowa woń wypełniająca całe pomieszczenie dawały obietnicę sytego jutra. Zapaliła zapałkę. Jej czarna główka rozbłysła płomieniem, który polizał knot świecy, zanim sam wypalił się i znikł. Wołała zapalić świecę niż żarówkę u sufitu, tak jasną, że aż budziła grozę. Na ulicy przed domem spacerowali uzbrojeni żołnierze; nie mogła ryzykować, że wzbudzi ich ciekawość ani że obudzi swoją rodzinę.

Uklękła pod blatem z rosnącymi bochnami chleba, odsunęła na bok pokryty sadzą garnek i pomacała w ciemności, chcąc znaleźć pęknięcie w desce podłogowej, gdzie ukryła nowy list. Zgrubiałymi od wałkowania ciasta dłońmi przesuwała po deskach, nie zwracając uwagi na wbijające się w skórę drzazgi. W głowie jej pulsowało, gorąco przeszywało całe ręce aż po czubki palców, zanim wyczuła i dosłyszała szelest papieru wsuniętego wcześniej w szczelinę.

List przyszedł z codzienną pocztą; leżał między rachunkiem od młynarza a bardzo starym numerem „Signal Magazine” z wydartą okładką i stronami zalanymi tak, że stały się zupełnie nieczytelne, z wyjątkiem dobrze widocznej reklamy BMW, dumnie demonstrującej aluminiowy rower „nowoczesnego” cyklisty. Subtelny charakter pisma i staroświecka pieczęć wyróżniały się na tle reszty wyblakłych przesyłek. Rozpoznała list natychmiast i szybko wsunęła go do kieszeni swojej tradycyjnej bawarskiej sukienki, swojej dirndl, zanim mogłoby go dojrzeć czyjeś podejrzliwe oko.

W domu mąż zawołał:

– Co nowego przyszło?

– Nic. Tylko do kupienia i do płacenia. – Podała mu czasopismo i rachunek. – Kupuj, kupuj i kupuj, ten świat się nigdy nie zatrzymuje. – Włożyła ręce do kieszeni, sprawdzając, czy list nadal tam jest.

Mąż tylko mruknął i cisnął sfatygowane czasopismo do śmieci, po czym rozciął czubkiem noża kopertę z przesyłką od młynarza. Wyjął rachunek i trzymając go blisko oczu, zsumował wszystko w pamięci i pokiwał głową na potwierdzenie.

– Dopóki on się kręci, człowiek budzi się co rano głodny. I dzięki Bogu za to. Inaczej bylibyśmy bez pracy, *ja*?

– *Ja* – powtórzyła. – Gdzie dzieci?

– Wyszły do swoich zajęć – odparł.

Kiwnęła głową i wycofała się do pustej kuchni, żeby bezpiecznie schować list.

I teraz, gdy na niebie wisiał już sierp księżycy, chudy jak rybia ość, przykucnęła nisko

i postawiła świecę na podłodze. Wosk pieczęci ułamał się już wcześniej pod dotykiem, a jego okruszki spadły na kafelki. Ostrożnie zgarnęła je na podstawkę płonącej świecy. Rozwinęła kartkę i czytała dobrze znane pismo. W miarę jak przygniatające słowa układały się w zdania, jej ręce coraz bardziej się trzęsły, oddech przyspieszał, aż musiała zakryć usta dłonią, żeby nie było słychać.

Płomień świecy zadrżał i wygiął się. W jego centrum pulsowała błękitna żyłka. Coś poruszyło powietrze. Zastygła w bezruchu na ziemi, nasłuchując cichego szmeru po drugiej stronie kuchni. Mysz, modliła się w duchu. Albo wałęsający się pies węszy pod drzwiami kuchennymi. Powiew alpejskiego wiatru albo przelatujący duch. Wszystko, tylko nie człowiek. Nie mogła zostać przyłapaną z tym listem w ręku.

Wsunęła się głębiej pod blat stołu, zgniatając kartkę na podolku i obejmując żelazny garnek, wciąż zalatujący duszoną w nim wczoraj cebulą. Czekala, aż płomień wyprostuje się i ustabilizuje. Wpatrywała się tak mocno, że aż zapiekły ją oczy. Zamknęła je, by dać im wytchnienie, i ujrzała sceny jak na starych fotografiach: dziewczynki z dopasowanymi kokardami na końcach warkoczy siedzące pod drzewkiem owocowym; chłopiec o kończynach tak chudych, że przypominały zgięte wiatrem trzciny na brzegu rzeki; mężczyzna ze szpetną twarzą jedzący czekoladę, która sączyła mu się z otworu na piersiach; kobieta tańcząca na ognisku i niezajmująca się ogniem; tłumy dzieci zjadających góry pieczywa.

Gdy otworzyła oczy, płomień już się nie palił. Czerń nocy przechodziła w błękit pruski. Zasnęła w swojej kryjówce. Ale nadchodził poranek i już tu nie była bezpieczna. Wyczołgała się, czując strzykanie i ból w kościach.

List wzięła ze sobą, ukryty w fałdach cienkiej koszuli nocnej. Po raz drugi na palcach pokonała schody, minęła pokój córki, weszła do sypialni i wśliznęła się do łóżka. Mąż spał jak zabity. Powoli i bardzo ostrożnie sięgnęła do boku łóżka i schowała list pod materac, po czym położyła dłoń na piersiach.

W sercu poczuła obcość, jakby tam w środku pompatycznie uderzało cudze serce, podczas gdy reszta ciała spoczywała zimna i drętwa. Zegar na stoliku przy łóżku tykał „tik-tik-tik”, bez odgłosu „tak” poruszającego się wahadła. Równowagi tego swoistego pulsu dopełniało bicie jej serca. Jak w rytm metronomu, odtwarzała w myślach słowa listu. I wtedy nagle zegar eksplodował kanonadą dźwięków młoteczka uderzającego w dzwonek budzika.

Nawet nie drgnęła.

Mąż przekręcił się na drugi bok, ściągając z niej koc. Leżała nadal, nieruchoma jak trup. On wyłączył budzik, odwrócił się i pocałował ją w policzek, po czym wstał. Udawała głęboki sen. Taki, który gdy przychodzi naprawdę, otwiera nam oczy na to, czym jest wieczność.

Niedługo włączy się wraz z mężem w codzienność, milcząc o tym, czego się dowiedziała, i tak niewinnie, jak tylko potrafi, powita rozżarzone do białości słońce. Zajmie się dziećmi, pozmywa naczynia, nakręci zegary z kukułką i pozamiata podłogi. Upiecze chleb i posmaruje bułki lukrem z roztopionego cukru.

Rozdział 1

Franklin Ridge Drive 3168
El Paso, stan Teksas
listopad 2007 r.

Reba dzwoniła do niemieckiej piekarni U Elsie codziennie przez ponad tydzień, bezskutecznie. Za każdym razem na sekretarce odzywał się nosowy głos mówiący akcentem z zachodniego Teksasu. Wypiła łyk soku pomarańczowego, żeby rozjaśnić i złagodzić ton swego głosu, po czym usłyszała sygnał, by się nagrać.

– Halo, tu Reba Adams z czasopisma „Sun City”. Dzwoniłam już, żeby się skontaktować z Elsie Meriwether. W ostatnich dwóch wiadomościach zostawiłam swój numer, żebyście państwo mogli do mnie oddzwonić... Byłabym wdzięczna. Dziękuję. – Rozłączyła się i odłożyła bezprzewodową słuchawkę na kanapę.

P.S. Wyjmijcie głowy z pieca i odbierzcie ten przeklęty telefon!

– Dłaczego tam po prostu nie pójdziesz? – wtrącił Riki, wkładając kurtkę.

– Chyba nie mam wyboru. Za dwa tygodnie upływa termin – powiedziała z rozgoryczeniem. – Myślałam, że ten temat będzie fajny i łatwy do napisania. Godzinka przez telefon, wysłać fotografa, żeby zrobił parę zdjęć, i gotowe. To tylko świąteczny felieton. – Zajrzała do lodówki i zlustrowała wzrokiem sernik karmelowy, który Riki trzymał na wieczór. – Coś ogólnie o Bożym Narodzeniu, z lokalną nutką.

– Uhm. – Riki zadzwonił kluczykami do samochodu. – To nie powinno być zbyt trudne, mamy tu Teksas i Meksyk... Co jeszcze potrzeba? – Uśmiechnął się znacząco.

Reba wyróciła oczami, pragnąc, żeby już sobie poszedł. Ta radość z wyczekiwania na jego wyjście nieco ją zasmuciła. Kiedyś jego obecność przyprawiała ją o fale ekscytacji, zupełnie jak po wypiciu zbyt wielu kieliszków wina. Lubiła jego przemądrzałe kowbojskie powiedzonka. Ciemna karnacja i hiszpański akcent czarowały ją i podniecały; był tak egzotyczny, że nie potrafiła mu się oprzeć.

Gdy pisała artykuł o imigrantach, oprowadzał ją po całym posterunku Straży Granicznej. Robiąc notatki, z trudem utrzymywała w rękę długopis, bo wibracje jego głosu jak dźwięk kamertonu przeszywały ją na wskroś i przenikały aż do palców.

Wycieczka po posterunku i wywiad zakończyły się tam, gdzie się rozpoczęły: przy wejściu.

– Jesteśmy tylko zwyczajnymi facetami wykonującymi swoją pracę – podsumował, otwierając jej drzwi wyjściowe.

Skinęła głową i przez krępująco długą chwilę stała tak, nie będąc w stanie przekonać swoich stóp, by wyszły poza zasięg jego magnetycznego, ciemnego spojrzenia.

– Gdybym potrzebowała jeszcze trochę informacji, czy można będzie się później skontaktować? – zapytała, a on natychmiast podyktował jej swój numer.

Kilka tygodni później leżała obok niego, naga, zastanawiając się, kim jest kobieta, która zawładnęła jej ciałem. Bo nie Rebą Adams. A przynajmniej nie Rebą Adams z Richmond w Wirginii. Ta dziewczyna nigdy nie przespałaby się z mężczyzną, znając go tak krótko. To skandaliczne! Lecz dziewczyna czuła się jak nowo narodzona i było to dokładnie to, czego chciała. Owinęła się więc wokół jego ciała i przyłożyła policzek do opalonej klatki piersiowej, mając pełną świadomość, że kiedy tylko zechce, może wstać i wyjść. Czuła wewnętrzną siłę,

lekkość i satysfakcję. Ale nie chciała jeszcze wychodzić ani żeby on wyszedł. Nawet modliła się, by został. I zrobił to, a teraz ona czuła się jak wędrowny ptak przywiązany do skały na pustyni. Poruszyła nerwowo stopami, zaburczało jej w brzuchu.

– Do zobaczenia. – Riki pocałował ją w tył głowy.

Reba nie odwróciła się.

Drzwi otworzyły się i zamknęły; na gołych kostkach nóg poczuła chłodny powiew listopadowego wiatru. Gdy jego biało-zielona półcieżarówka Straży Celnej i Granicznej Stanów Zjednoczonych przejechała pod frontowym oknem, wyciągnęła z lodówki ciasto. Żeby nic nie było widać, odkroiła po cienkim plasterku z każdego z trzech pozostałych kawałków, po czym oblizwała użyty w tym celu nóż do smarowania.

*

Po południu Reba zaparkowała przed niemiecką piekarnią U Elsie przy Trawood Drive. Sklep był mniejszy, niż sobie wyobrażała. Nad wejściem wisiał wyrzeźbiony w drewnie napis: *Bäckerei*. W powietrzu unosił się zapach drożdżowych chlebów i lukru miodowego, i to pomimo wiejącego od Gór Franklina porywistego wiatru. Reba postawiła kołnierz kurtki. Jak na El Paso dzień był chłodny, tylko siedemnaście stopni.

Dzwonek nad drzwiami piekarni zadzwieczał i ze sklepu wyszła ciemnowłosa kobieta z małym synkiem. Chłopiec trzymał solonego precelka i próbował go jeść.

– Kiedy dostanę piernika? – pytał.

– Po obiedzie. – Matka wzięła go za drugą rękę.

– A co jest na obiad? – Chłopiec ugryzł zakrecony środek precla.

– Zupa, *menudo*. – Potrząsnęła głową. – Jeść, jeść, jeść. Tylko o tym myślisz.

Przeszła z chłopcem obok Reby. Doleciał od nich słodki zapach cynamonu i ziela angielskiego.

Reba weszła do środka z postanowieniem zdobycia wreszcie potrzebnych informacji. Wewnątrz gdzieś z góry płynęła jazzująca muzyka bigbandowa. W rogu nad filiżanką kawy i kawałkiem strucli siedział jakiś mężczyzna i czytał gazetę. Za szklaną ladą uwijała się szczupła, lecz mocnej budowy kobieta o srebrzystych blond włosach, zrzucając z tacy do koszyka świeże, chrupiące bułki.

– Jane! Dodałaś nasion słonecznika, a mówiłam, że ma być kminek! – krzyczał ktoś zza zasłony w drzwiach oddzielających kawiarnię od kuchni.

– Mamo, mam klientkę – odpowiedziała Jane, odgarniając za ucho siwiejące pasemko.

Reba poznała teksański nosowy głos z automatycznej sekretarki.

– Co podać? Tu jest ostatnia partia dzisiejszych *Brötchen*. Świeżutkie – podkreśliła, wskazując na koszyk.

– Dziękuję, ale... ja... nazywam się Reba Adams. – Przerwała, lecz Jane w najmniejszym stopniu nie okazała, że wie, o co chodzi. – Zostawiłam kilka wiadomości na waszej sekretarce.

– Zamówienie na ciasto?

– Nie. Piszę dla czasopisma „Sun City”. Chciałam przeprowadzić wywiad z Elsie Meriwether.

– Ach, przepraszam. Zwykle sprawdzam wiadomości w niedziele, ale w ten weekend nie miałam możliwości. – Odwróciła się w stronę kuchni. – Mamo, ktoś do ciebie. – Postukała w klawisze kasy w rytm jazzu na trąbkach i zawołała ponownie: – Mamo!

Zadzwończyły rondle.

– Wyrabiam ciasto!

Jane uniosła ramiona przepaszającą.

– Zaraz wrócę. – Rozchyliła zasłonę, ukazując stalowe wyposażenie kuchni i szeroki,

dębowy stół piekarski.

Reba zlustrowała wzrokiem złociste bochenki leżące w koszykach na sklepowym regale: *Roggenbrot* (lekki żytni), *Bauernbrot* (farmerski), *Doppelback* (pszenno-żytni), *Simonsbrot* (pełnoziarnisty), szwarcwaldzki, żytni z cebulą, precle, bułki z makiem, no i *Brötchen* (bułki pszenne). Za szkłem lady sklepowej zobaczyła równe rzędy podpisanych słodkości: placek marcepanowy, makaroniki, trzy różne rodzaje ciasta: orzechowe, sernik z wiśniami i maślane z cynamonem, batony migdałowo-miodowe, strudel, strucla, ciasto pigwowe, duńskie z serem śmietanowym i *Lebkuchen* (pierniczki). Do kasy przymocowana była kartka z napisem: „Ciasta świąteczne na zamówienie”.

Rebie zaburzało w brzuchu. Odwróciła się od lady i skupiła uwagę na stojącej obok kasy doniczce z wysmukłym krzaczkiem kopru. Nie wolno, nie wolno – powtarzała sobie w duchu, a potem wygrzebała z torebki rulonik owocowych pastylek Tums i wzięła jedną do ust. Smakowała jak cukierek i dawała podobne zadowolenie.

Znów zadźwięczał jakiś rondel i podniesiony głos rzucił coś po niemiecku. Jane wróciła ubrudzona mąką na fartuchu i przedramionach.

– Właśnie kończy robić placki. Proszę poczekać. Może napije się pani kawy?

Reba pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Usiądę tylko.

Jane wskazała na stoliki, zauważyła mąkę na rękach i strzepnęła ją. Reba usiadła, wyjęła notes i dyktafon. Chciała mieć pewność, że teraz już zdobędzie wypowiedzi nadające się do artykułu i uniknie kolejnego przyjazdu. Jane przetarła szybę lady czymś o zapachu lawendy, a potem zabrała się do stolików kawiarnianych.

Na ścianie obok Reby wisiała czarno-biała fotografia w ramce. W pierwszej chwili pomyślała, że to Jane stojąca obok starszej kobiety, może Elsie. Lecz ubranie całkiem się nie zgadzało. Młoda kobieta miała na sobie długą pelerynę narzuconą na białą sukienkę i włosy upięte w kok. Starsza była ubrana w tradycyjną dirndl, wyszywaną w kwiaty przypominające stokrotki. Złączone dłonie trzymała przed sobą i patrzyła nieśmiało, podczas gdy młodsza wyprostowała się dumnie do obiektywu i uśmiechnęła szeroko, jednak jakby trochę zirytowana na robiącego zdjęcie.

– To moja *oma* i mama, Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku – objaśniła Jane.

Reba pokazała głową w stronę fotografii.

– Widzę rodzinne podobieństwo.

– To w Garmisch przed zakończeniem wojny. Mama nigdy dużo nie mówiła o swoim dzieciństwie. Kilka lat później wyszła za tatę, jak tylko uchylono przepis zabraniający fraternizacji żołnierzy. Ojciec stacjonował tam przez osiemnaście miesięcy z wojskowym korpusem medycznym.

– Brzmi jak piękna historia – zauważyła Reba. – Dwoje ludzi z zupełnie różnych światów spotyka się w takich okolicznościach.

Jane machnęła w powietrzu szmatką.

– Czy nie jest tak zawsze?

– Z czym?

– Z miłością. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu w nas uderza: BUM! – Spryskała stolik lawendą i wytarła do czysta.

Miłość była ostatnią rzeczą, o której Reba chciała rozmawiać, zwłaszcza z nieznajomą.

– A więc pani tata jest Amerykaninem, a mama Niemką? – Nagryzmoliła w notesie spiralną, mając nadzieję, że Jane będzie tylko odpowiadała na jej pytania, a nie zadawała je sama.

– Tak. Tata urodził się i wychował w Teksasie. – Gdy Jane wspomniała o ojcu, jej oczy pojaśniały. – Po wojnie złożył podanie o ulokowanie go w Fort Sam w Houston, lecz armia przydzieliła go do Fort Bliss. – Zaśmiała się. – Ale tata zawsze mówił: „Lepiej gdziekolwiek w Teksasie niż w Luizjanie, na Florydzie czy na przeklętej północy, na litość boską”. – Pokręciła głową i podniosła wzrok. – Ale pani nie ma rodziny w Nowym Jorku, Massachusetts czy coś w tym guście, prawda? Dziś nie sposób poznać po akcencie. Proszę mi wybaczyć. Miałam ostre starcie z pewnym producentem pizzy Jersey. Pozostało mi złe wspomnienie.

– Nie ma sprawy – rzekła Reba.

Miała dalekiego kuzyna, który poszedł na Uniwersytet Syracuse i skończyło się na tym, że na zawsze został w stanie Nowy Jork. Jej rodzina nie wyobrażała sobie, jak można znieść takie srogie zimy, i uważała, że tamtejsze chłody udzielają się również ludziom. Reba była na północnym wschodzie tylko kilka razy i to zawsze w lecie. Miała słabość do ciepłych regionów, gdzie ludzie byli zawsze opaleni, uśmiechnięci i szczęśliwi.

– Pochodzę z południa, z Wirginii. Z okolic Richmond – dodała.

– I co tutaj robi dziewczyna z Wirginii?

– Urok Dzikiego Zachodu. – Wzruszyła ramionami. – Przyjechałam pisać do czasopisma „Sun City”.

– O kurczę. Ściągają z tak daleka? – Jane trzepnęła ścierką o własny bark.

– Niezupełnie. Pomyślałam, że zacznę tutaj, a ostatecznie pojedę do Kalifornii. Do L.A., Santa Barbara, San Francisco. – Z tym marzeniem Reba wciąż wiązała swe największe nadzieje. Poprawiła się na krześle. – Minęły dwa lata, a ja ciągle jestem tutaj. – Odchrząknęła. Cały czas mówi sama, a potrzebuje, żeby to Jane mówiła.

– Rozumiem, kochana. – Jane usiadła przy stoliku, stawiając lawendowy sprej na podłodze. – To graniczne miasto, z pewnością dobre miejsce przejściowe, ale niektórzy nigdy nie idą dalej. Zatrzymują się między tym, gdzie byli, a tym, gdzie zmierzali. A kiedy minie kilka lat, nikt już i tak nie pamięta, dokąd początkowo zdążył. No i zostają tutaj.

– Ciekawie ujęte. – Reba postukała długopisem. – A pani mieszka tu już przez jakiś czas, prawda?

– Przez całe życie. Urodziłam się w szpitalu Beaumont w Fort Bliss.

– Więc dokąd pani zmierza, skoro już jest pani w domu?

Jane uśmiechnęła się.

– To, że się w jakimś miejscu urodziło, nie czyni z niego domu. Czasami patrzę na przejeżdżające pociągi i też chciałabym wskoczyć. Widzę samoloty przecinające błękit nieba i chciałabym być tam w środku. Mama zawsze mówiła, że śnię na jawie, gapię się w gwiazdy i marzę o włóczędze. Cokolwiek to jest, dałby Bóg, żeby tego nie było. Marzenie nie przynosi mi nic dobrego.

Rozdział 2

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
20 grudnia 1944 r.

Droga Elsie.

Dowiedziawszy się, że Estonia jest w rękach Armii Czerwonej, piszę ten list z rosnącym niepokojem o nasze dobre wojsko niemieckie oraz z ciężkim sercem z powodu utraty naszych. Cały tutejszy kompleks w Steinhöring i sąsiednie domy mają okna zasłonięte na czarno. Kilka dziewcząt straciło członków rodziny – ojców i braci. Ponadto zginęło paru członków Lebensborn, wśród nich ojciec moich bliźniąt. Biedny Cristof. Widziałam się z nim tylko tamten jeden raz, ubiegłej wiosny. Nie miał jeszcze skończonych dwudziestu dwóch lat, a skórę delikatną jak nektarynka. O wiele za młody, by umierać. Budzi we mnie wściekłość to ciągle marnowanie życia, ta wojna. Wiem, że nie ma lepszej śmierci niż śmierć za naszą Ojczyznę, ale przeklinam te cudzoziemskie diabły, co rozlewają aryjską krew. Nie damy się podeptać. To jedynie rozpali ogień pochodni naszej wspólnoty i Niemcy odniosą zwycięstwo! Jak powiedział Führer: „Ufność narodu niemieckiego będzie zawsze towarzyszyła jego żołnierzom”. I nasza ufność pozostanie niezłomna.

Zamiast pograżać się w rozpacz, nasz Ośrodek zamierza uczynić nadchodzące Święta spektakularnymi jak nigdy dotąd. Pomagam w organizowaniu dekoracji na obchody *Julfest*¹¹. Niektórzy rekomendowani oficerowie przyjęli już zaproszenie Ośrodka. Nasi żołnierze bardziej niż kiedykolwiek potrzebują obecnie towarzystwa i wsparcia. Robimy przeszukania wśród miejscowej społeczności, żeby pozyskać mięso i warzywa, a ja postanowiłam dostarczyć dobrej jakości pieczywo i ciasta, takie jak w kuchni u Papy. Muszę jeszcze znaleźć piekarza, który dorówna swymi przepisami rodzinie Schmidtów, bo po jedzeniu tych wypieków ze Steinhöring czuję się, jakbym połknęła wyschniętą glinę.

Po urodzeniu bliźniąt nie mogę spędzać zbyt wiele czasu z Juliusem. Mam nadzieję, że będę mogła teraz, gdy niemowlęta są już w żłobku Lebensborn. Wyznam to tylko Tobie, siostrze, ale martwię się o nie. Oba są mniejsze niż Julius, gdy się urodził. Mam nadzieję, że to po prostu skutek dzielenia wspólnego łona i że wkrótce będą okrągłutkie i zdrowe jak każde aryjskie dziecko. Nie mogę zostać uznana za rodzącą gorsze potomstwo. Już i tak zbyt wiele lat trwało, nim znów poczęłam. Pozwolono mi tutaj zostać wyłącznie dlatego, że sprawdziłam się jako wierna córka Rzeszy.

Oficerowie lubią moje towarzystwo, jednak nawet Tobie nie chcę i nie mogę powiedzieć, jakie rzeczy musiałam robić, żeby Julius pozostał przy mnie w Ośrodku. Niektórzy z tych mężczyzn, choć na zewnątrz wyglądają dostojnie, w sypialni mają wyuzdane oczekiwania. Ty, Elsie, jesteś dziewczicą i nic nie wiesz, ale ja modlę się co wieczór, aby jakiś miłosierny Niemiec uczynił Cię najpierw żoną, a potem kochanką. Taką nadzieję mieliśmy z Peterem. Wspominam nasze ostatnie wspólne Boże Narodzenie, kiedy poprosił mnie o rękę i podarował nam kuchenny zegar z kukułką, a na głowie drewnianej figurki umieścił niczym koronę złotą obrączkę. Jakże to były wspaniałe święta! Kukulka wybijała godziny, a wraz z nią wyskakiwała obrączka. Mutti i Papa byli tacy dumni. Jakże proste i szczęśliwe było wtedy życie.

Jak tam świąteczne przygotowania? Czy pomimo braku przydziałów piekarnia ma daleko klientów? Jedna z tutejszych dziewcząt ma rodzinę w Berlinie i powiedziała, że tam trudno zdobyć nawet przypalony okruszek. Berlińczycy wymieniają złoto i drogie kamienie na praśny

chleb i suszoną świńską skórę. Podejrzewam, że te plotki to kłamstwa rozpowszechniane przez szpiegów, by straszyć lojalnych obywateli. Tutaj wszystkiego brakuje, ale wciąż w dowolnym dniu można kupić słodkie ciasto i kufel ciemnego piwa. Jak to wygląda w Garmisch? Jak się miewają Mutti i Papa? Muszę do nich niedługo napisać. Przekaż im serdeczności, co i Tobie ślę.

Heil Hitler,
Hazel

*

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
21 grudnia 1944 r.

Droga Hazel.

Miłego Dnia Świętego Tomasza! W piekarni o tej porze roku mamy mnóstwo pracy, bo jest nas tylko troje do wyrabiania ciasta, palenia w piecu, wykładania na półki i obsługiwania kasy. Nie mam ani chwili, żeby cieszyć się Bożym Narodzeniem. No i są też tacy klienci jak Frau Rattelmüller, wyjątkowo uciążliwa. Nie do zniesienia! Ciągłe narzeka i robi niegrzeczne uwagi na temat tego, że mam włosy w nieładzie albo że jestem leniwa, albo że hoduje za paznokciami wczorajszy brud (to nieprawda, co wieczór je szoruję!). Robi takie sceny przy Mutti i Papie, traktując mnie wciąż jak dziecko. Przyganiał kocioł garnkowi. Dziwnie się ostatnio zachowuje.

Kiedyś przychodziła o normalnej porze, jak wszyscy inni, ale teraz nie. O wpół do szóstej rano już stoi pod drzwiami kuchennymi, zagląda do okien i stuka bambusową laską, chociaż dobrze wie, że zawsze otwieramy o szóstej. Myślę, że to demencja starcza. Nie mówiąc już o tym, że tuzin bułek to jakieś obżarstwo. Czyżby nie wiedziała, że brakuje mąki i mleka? Gdybyś zobaczyła te przydziały SS, na których bazuje Papa. Mleko w proszku i mąka po upieczeniu twarde jak kamień. Klienci skarżą się, że znajdują w bułkach kamyki i omal nie łamią sobie zębów. Teraz więc dodałam sobie zajęcie przesiewania wszystkiego, co dostajemy. Frau Rattelmüller grozi, że jeśli skaleczy sobie dźwiałą i umrze na infekcję, będziemy mieli jej krew na swoich rękach. Ale mały kamyczek nie załatwi tej starej wiedźmy. Podejrzewam, że będzie przychodziła przez cały następny wiek, wyjadając nasze pieczywo i waląc tą swoją śmieszoną laską, stuk-stuk-stuk. Nigdy się od niej nie uwolnimy.

Miałam już tak dość, że dziś rano obudziłam się wcześniej razem z Papą i zmusiłam się do wyjścia z łóżka pomimo chłodu. (Ta zima jest chłodniejsza niż poprzednia. Jest tak zimno, że nawet śnieg na okapie nie topi się w sople. Pamiętasz tamten grudzień, gdy jadłyśmy sople posypane cukrem? Mówiłaś, że chochliki śnieżne żywią się nimi co noc, a ja Ci wierzyłam, bo chciałam wierzyć... choć wiedziałam, że nie ma takich rzeczy). Zeszłam na dół z tacą gorących *Brötchen*, gdy ulicą, kuśtykając, nadeszła Frau w swoim długim palcie i czapce.

Nim zdążyła zastukać laską, otworzyłam przed nią drzwi. „Dzień dobry, pani Rattelmüller – powitałam ją uśmiechem szerokim jak Eibsee. – Bułeczki czekają na panią. O rety, ależ zimno. Chyba miała pani we śnie odwiedzin gnomów, że tak późno pani wstała. – Dla podkreślenia spojrzałam w tył na kukułkę. – No, już prawie minuta spóźnienia”.

To wywołało u Papy konwulsje. Śmiał się tak głośno, że drżały wszystkie szyby w oknach kuchni, a Frau była wściekła jak osa. Zamiast tego co zawsze, kupiła dwa bochenki chleba cebulowego. Mutti i Papa zmarnowali całą partię pierników, kropiąc ją słonymi łzami. Ale warto było. Szkoda, że tego nie widziałaś! Popłakałabyś się ze śmiechu, tak jak zawsze, gdy na karnawał Papa wkładał czapkę błazna. Mutti jednak nie była zachwycona. Powiedziała, że bym nie drażniła się ze staruszką. Jej życie wisi na włosku, tak powiedziała. Ale ja odparłam mamie,

że Frau już o wiele za długo drażni się ze mną. Poza tym mamy wojnę. Czyje życie nie wisi na włosku.

Mutti, jak to Mutti, w tej samej minucie wyjęła suszone porzeczki i upiekła bułeczki *Thomasplitzchen*, żeby je zanieść do Frau jako gest pokoju. Właśnie tam poszła, gdy to piszę.

Ciekawa jestem, co Ty porabiasz w Steinhöring. Strasznie za Tobą tęsknię. Czy uwierzysz, że nie ma Cię już sześć kolejnych świąt? Dla mnie ciągnie się to niby wieczność, a ta wojna jeszcze dłużej. U nas nic nowego. Na Zugspitze nudy. Nikt w tym roku nie jeździ na nartach. Chciałabym, żebyśmy mogły znów pojechać nad morze. Pamiętasz ten letni wyjazd na wybrzeże Jugosławii, gdy byliśmy małe? Chodzenie po kamienistej plaży i jedzenie zimnych ogórków w słońcu? Byliśmy wtedy takie szczęśliwe... Czuję się, jakby to było sto lat temu. Ale teraz nie możemy pojechać. Wojna, wojna, wojna. Wszędzie wojna, mam już jej szczerze dość.

Ale o czymś weselszym: czy słyszałaś nowiny? Nasz przyjaciel Josef Hub otrzymał awans na podpułkownika i został przeniesiony do SS w Garmisch. Podobno dostarcza meldunki z oddziałów górskich do Reichsführera Himmlera. Wyobrażasz sobie!? Ale on jest inny niż wszyscy. Ta ranga ani trochę go nie zmieniła. Nadal przychodzi do piekarni i w każdą sobotę razem z Papą je ciastka z rodzynkami. Mutti przysięga, że on ma najbardziej niebieskie oczy w całym kraju, ale ja ją zapewniłam, że wszędzie wokół jest mnóstwo idealnie niebieskich oczu. Ona ma słabość do Josefa za wszystko, co dla nas zrobił.

Jak tam Julius? Pisałaś, że przyjęli go do specjalnego przedszkola dla przyszłych oficerów. Papa mało nie pękł z dumy, gdy czytałam mu ten fragment. Wszyscy jesteśmy z Ciebie dumni.

Nie martw się o nas i o piekarnię. Przydziały z SS są małe i marnej jakości, ale mamy więcej niż inni piekarze w mieście. Josef ma z Papą układ. W niedzielę po południu gestapo przywozi pod kuchenne drzwi mąkę, cukier, masło i sól z SS, a Papa w każdy poniedziałek zawozi wózek pieczywa do ich kwatery. Biznes ma się bardzo dobrze. Wiem, że nie powinnam narzekać na długi czas pracy, kiedy tak wielu naszych rodaków ma dużo cięższe życie niż my.

Czy Mutti Ci powiedziała? Idę na partyjne przyjęcie bożonarodzeniowe. Josef stwierdził, że już czas, bym wzięła w nim udział. Podarował mi prześliczną kremową suknię. Wprawdzie metka jest wycięta, ale powiedział, że była kupiona w Paryżu. Najpierw pomyślałam, że nie powinnam jej przyjąć, ale on podarował też mamie puderniczkę z opalizującej muszli, a tacie fajkę z palisandru. Domyślałam się więc, że to prezenty dla nas pod choinkę. Dość ekstrawaganckie! Nie mając swojej rodziny, Josef uwielbia Mutti i Papę jak własnych rodziców, wieczny odpoczynek racz im dać Panie. Dla nas jest on darem niebios i mam nadzieję, że oznacza to jeszcze więcej worków cukru i prezentów! Suknia świadczy o jego dobrym guście.

Poproszę Papę, żeby mi zrobił fotografię, zanim pójdę na przyjęcie. Chcę, żebyś zobaczyła sukienkę. Napiszę znowu w święta. Mam nadzieję, że szybko dostaniesz ten list. Poczta działa teraz wolniej.

Heil Hitler.

Twoja kochająca siostra

Elsie

Ebook zakupiony w koobe.pl, nr transakcji #42967

Rozdział 3

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
24 grudnia 1944 r.

– Elsie, pospiesz się! Nie chcesz chyba, żeby Herr Hub na ciebie czekał! – zawołała Mutti z dołu.

Elsie bawiła się guzikami swych dziecięcych rękawiczek. Nosila je tylko raz, wiele lat temu, na swojej pierwszej komunii. Sprawiały, że wszystko było w dotyku jak świeżo wyrośnięte ciasto. Miała je na sobie podczas komunii, gdy pastor luterański podał jej kielich mszalny. Gładkość naczynia trzymanego przez rękawiczki zdawała się prawdziwie niebiańska; łyk czerwonego wina już nie tak bardzo. Po spróbowaniu cierpkiego najświętszego sakramentu instynktownie dotknęła ręką ust i ubrudziła palce prawej rękawiczki. Mutti uznała to za świętokradztwo i moczyła rękawiczki w wodzie z octem prawie cały dzień. Mimo to na palcu wskazującym pozostało nieco czerwieni.

Elsie położyła jeszcze odrobinę różu na dolnej wardze i dokładnie rozsmarowała, sprawdziła, czy wszystkie spinki we włosach są niewidoczne, i pomruwała mocno, żeby nadać oczom blasku. Była gotowa. To jej pierwsze wyjście na oficjalną imprezę, pierwszy publiczny występ, i lepiej nie mogła wyglądać. Suknia z jedwabnego szyfonu barwy kości słoniowej, wyszywana kryształami, leżała na niej idealnie, podkreślając mocniej biust i biodra, tak że wydawały się bardziej okrągłe, niż były w rzeczywistości. Ściągnęła usta przed lustrem i pomyślała, że wygląda dokładnie jak ta amerykańska aktorka, Jean Harlow, w *Romantycznej pułapce*.

Obie ze starszą siostrą Hazel spędziły kiedyś całe wakacje, wkradając się na dzienne seanse pirackich kopii filmów z Hollywood. *Romantyczna pułapka* była ulubionym filmem właściciela kina i zarazem operatora. Puszczal ją dwa razy w tygodniu. Elsie właśnie ukończyła w *Grundschule* skrócony kurs angielskiego, toteż z entuzjazmem wyłapywała znajome słówka i zwroty z wypowiedzi aktorów. Zanim rozpoczął się nowy rok szkolny, recytowała dla Hazel całe sceny w ich pokoju sypialnym, który dekorowały maminymi kapeluszami z piór i imitacją naszyjnika z pereł. Tak precyzyjnie naśladowała to opadającą, to wznoszącą się śpiewnie angielską intonację, że zdaniem Hazel mogła z powodzeniem uchodzić za sobowtór amerykańskiej blond seksbomby. Było to jeszcze, zanim Jean Harlow zmarła, a strażnicy Rzeszy zamknęli kino za wyświetlanie amerykańskich filmów. Właściciel, jak wielu innych, zniknął bez wieści.

Wkrótce potem zaczęła obowiązywać przynależność do Bund Deutscher Mädel, żeńskiej sekcji Hitlerjugend. Elsie i Hazel brały udział w zamienianiu wszystkich tych ślicznych plakatów z Jean Harlow i Williamem Powellem na portrety nieugiętego Führera. Była to akcja ich miejscowego BDM – Elsie nienawidziła tego robić. Właściwie nienawidziła prawie wszystkiego w BDM. W organizowanych treningach na „zonę–matkę–gospodynię” była bardzo kiepska; wyjątek stanowiły wypieki. Nie cierpiała spędzania sobót na grupowej gimnastyce. Podczas gdy Hazel rozkwitała i cieszyła się coraz większą sympatią, Elsie czuła się stłamszona surowym regulaminem związku i dusiła się w mundurku. Dlatego też w wieku zaledwie jedenastu lat ubłagała Mutti, by mogła pracować w piekarni. Podśluchiwała rozmowę Papy na temat nowego sprzedawcy do przyjmowania zamówień i pomagania klientom w sklepie. Z pasją walczyła o tę

posadę. Zwolniłoby ją to od BDM, a rodzina nie musiałaby nikomu wypłacać pensji. Choć Papa wyraził zgodę, jako zwolennik polityki narodowej zobowiązał Elsie do nauczania się od starszej siostry doktryny młodych kobiet z Hitlerjugend. Zrobiła to, ale tylko po części, bo Hazel się zaręczyła, a BDM wykluczał ze swych szeregów dziewczęta zamężne. Gdy wyszło na jaw, że jest w ciąży, wyjechała do Steinhöring. Związek wykluczał także matki. Tak więc, gdy Elsie osiągnęła wiek odpowiedni do praktykowania tych zasad, nie miał jej kto ich nauczyć, a wojna sprawiła, że jej praca w piekarni zyskała znaczenie nadrzędne. Nie widziała wielkiej wartości w zalecanym przez BDM „harmonijnym rozwijaniu umysłu, ciała i ducha”, kiedy jej rodzina walczyła, żeby związać koniec z końcem.

Teraz, na kilka godzin przed oficjalnym przyjęciem partii nazistowskiej, żałowała, że nie przyłożyła się bardziej do nauk BDM z dzieciństwa. Czuła się, jakby próbowała wyobrazić sobie smak owoców widzianych na obrazach, lecz nigdy nieskosztowanych. Gdyby Hazel mogła jej teraz służyć radą. Jedyną wiedzą Elsie na temat sztuki podkreślania urody pochodziła z tamtych dawnych wspomnień o gwiazdce paradyżującej z gracją po srebrnym ekranie. Dziś po raz pierwszy w życiu wychodziła w towarzystwie mężczyzny i nie mogła sobie pozwolić na popełnianie błędów.

– Bosko tańczysz – wyszeptała po angielsku do lustra, wyobrażając sobie Williama tańczącego z Jean, niczym połyskujący srebrzyście obraz.

– Elsie! – zawołał Papa.

Elsie szybko okryła ramiona bordową peleryną i rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Podobała jej się wytworna kobieta, którą w nim zobaczyła. Potem zeszła na dół.

U podnóża schodów Mutti w swojej najlepszej dirndl, wyszywanej w szarotki, zmierzwioną szczotką z włosia zamiatała z okruszków wypolerowaną do połysku podłogę.

– Wątpię, czy Josef zwróci uwagę na okruszki chleba. Zostaw je myszom w prezencie pod choinkę.

Na jej widok Mutti przestała zamiatać i podparła się pięścią o biodro.

– *Ach ja*, będziesz się dobrze prezentowała dziś wieczór wśród tych wszystkich pięknych dziewczyn.

– *Freilich!* No ba! – Z kuchni nadszedł Papa. – Josef będzie z ciebie dumny. – Objął Mutti ramieniem, a ona przysunęła się do niego.

– Obiecałam Hazel, że jej wyślę fotografię – oznajmiła Elsie.

Papa wyszedł poszukać aparatu fotograficznego marki Bosley.

Mutti wygładziła fałdy jej peleryny z kapturem.

– Pamiętaj, żeby się śmiać z jego dowcipów – powiedziała. – Wszyscy mężczyźni to lubią. I staraj się być powściągliwa. Führer ceni to u kobiet.

Elsie jęknęła.

– Wiem, wiem. Ale przestań już mnie pouczać, mamó.

– Proszę cię, kochanie, spróbuj.

Elsie odwróciła się gwałtownie.

– Papo, znalazłeś? – zawołała.

Mutti ciągnęła:

– Nie zachowuj się jak Cyganka czy Żydówka, one są nieprzewidywalne. Pamiętaj, że twoja siostra jest w Ośrodku. Pamiętaj o piekarni. Herr Hub jest bardzo wielkoduszny. – Odchrząknęła. – Gdyby nie jego dobroć, byłibyśmy tak biedni jak inni. Spójrz na Herr Kaufmanna. Gestapo przyszło w biały dzień i zgarnęło go do jednego z tych obozów. A on jedynie odmówił posłania swego syna do Deutsches Jungvolk dla najmłodszych chłopców. Tu może zaważyć jedno niewłaściwe słowo, Elsie.

Papa wrócił z aparatem.

– Nie jestem pewien, czy film jest dobry. – Otworzył obiektyw i naciągnął kliszę.

– *Kein Thema*, nieważne – westchnęła Elsie.

Mutti za bardzo się martwiła. Jak większość kobiet w Niemczech, chciała, żeby jej dzieci były dobrze wychowane, małżeństwo wspaniałe, a dom świecił przykładem. Elsie natomiast, choć bardzo się starała, nigdy nie radziła sobie z przestrzeganiem ustalonych reguł.

– On może przyjść w każdej chwili. Pospiesz się, tato. – Elsie ustawiła się obok Mutti, modląc się w duchu, by tego wieczoru nie zawieść rodziców. Chciała, żeby byli z niej dumni.

– A oto – zauważył Papa – dwie z trzech najpiękniejszych kobiet w Niemczech. Będziesz dobrą żoną, Elsie. Jak mówi Führer – przerwał i podniósł do góry wyciągniętą dłoń – „Twój świat to twój mąż, rodzina, dzieci, dom”. Mutti i Hazel są doskonałymi przykładami.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Papa nieustannie nazywał ją materiałem na żonę i za każdym razem cytował Führera. To działało Elsie na nerwy. Nigdy nie rozumiała, po co ludzie cytują innych. Sama starała się nikogo nie cytować. Miała własne zdanie.

– *Gut*. Rozumiem. Postaram się jak najlepiej zachowywać. A teraz zrób zdjęcie.

Papa popatrzył przez obiektyw.

– Luano, przysuń się bliżej do swojej córki.

Mutti przysunęła się. Pachniała koprem i gotowanym ziarnem żyta. Elsie wyprostowała rękę tak, żeby do niej nie dotykać, bo bała się, że zapach przejdzie na nią.

– Gotowe? – Papa uniósł palec nad przyciskiem.

Elsie uśmiechnęła się do aparatu, a w duchu chciała, żeby Josef już przyszedł. Nie mogła się doczekać swojego pierwszego kieliszka szampana. Obiecał jej to.

*

– Jak tu pięknie! – powiedziała Elsie, gdy kierowca zatrzymał się przed salą bankietową przy Gernackerstrasse.

Drewniana willa zdobiona była balkonami rzeźbionymi w serca i kolorowymi malowidłami przedstawiającymi pasterzy w skórzanych spodniach, baronowe obwieszone klejnotami oraz anioły z rozpostartymi skrzydłami. W powiewach alpejskiego wiatru we wszystkich oknach zgodnym rytmem łopotały czerwono-czarne flagi ze swastyką. Ponad ośnieżonym dachem kunsztownie rozpięto kaskady lampek, które lśniły w lodowych soplach, tworząc nad budynkiem zachwycającą aureolę światła. Pokryte lodem okapy wyglądały jak *Lebkuchen* w polewie cukrowej. Bajkowy domek z piernika. Prosto z kart księżek braci Grimm.

– Ty jesteś piękna. – Josef położył dłoń na kolanie Elsie. Jej ciepło przenikało przez wełnę peleryny i szyfon sukni.

Kierowca otworzył drzwiczki. Na śniegu rozłożono czerwony dywan, aby goście mogli przejść, nie ślizgając się i nie brudząc wypucowanych butów. Josef wziął Elsie za rękę i pomógł jej wysiąść z taksówki. Szybko stanęła, żeby wyszywane paciorkami kremowe zawoje skryły jej stopy. Josef kupił jej suknię, nie miała jednak pasujących do niej butów. Choć niechętnie, musiała pożyczyć najładniejszą parę maminych czarnych pantofli, które po godzinnym polerowaniu nadal wyglądały na zniszczone.

Josef ujął jej okrytą rękawiczką dłoń i położył ją na zgięciu swego ramienia.

– Nie masz powodu do zdenerwowania – zapewnił. – Nie z taką piękną germańską twarzą. Pokochają cię, gdy tylko cię zobaczą. – Palcem w skórzanej rękawiczce dotknął jej policzka. Poczowała ucisk w żołądku, tak samo gwałtowny jak wtedy, kiedy prele o mały włos nie spaliły się na cegłę. Wówczas wiedziała dobrze, co zrobić: biegiem wyjąć je z pieca i ostudzić przy oknie. Ale tutaj, w ubraniu filmowej gwiazdy, nie miała pojęcia. Wzięła więc głęboki wdech. Zapach palonej sosny podrażnił jej nozdrza. Oczy zaszyły łzami. Światelka zlały się

w jedno i kurczowo chwyciła ramię Josefa, żeby nie upaść.

– Już dobrze. – Poklepał ją po ręce. – Uśmiechnij się.

Zrobiła, jak prosił.

Drzwi do budynku stały otworem, a w powietrzu rozbrzmiewały dźwięki skrzypiec.

W środku odzwierny wziął od niej pelerynę. W świetle lampy kryształowe paciorki błyskały tęczę kolorów na tle munduru Josefa.

– *Heil Hitler*, Josefie! – pozdrowił go przysadzisty mężczyzna ze sterzącym wąsikiem pod nosem, umazanym resztkami jedzenia.

Elsie wyobraziła sobie, co jeszcze może tam się znajdować, i próbowała ukryć odrazę.

– Któż to? – zapytał mężczyzna.

– Pragnę ci przedstawić Fräulein Elsie Schmidt. – Josef stuknął obcasami. – A to major Günther Kremer z Sipo.

Elsie kiwnęła głową.

– Miło mi.

– Uroczą – rzekł Kremer do Josefa i mrugnął do niego.

– Z Güntherem znamy się od wielu lat. Był jednym z moich ludzi w Monachium. Czy Frau Kremer jest dziś z nami?

– *Ja, ja*. Gdzieś jest. – Machnął ręką. – Pewnie rozmawia o swoich cynowych łyżkach albo innych głupstwach. Napijemy się?

Szli wzdłuż korytarza udekorowanego flagami ze swastyką i jodełkami obwieszonymi kandyzowanymi owocami. Kremer perorował o winie, jedzeniu i przybyłych celebrytach. Elsie nie słuchała go, zafascynowana oglądanym przepychem. Było to wszystko, o czym marzyła, identycznie jak w okazałych salach balowych i na wystawnych przyjęciach znanych jej z hollywoodzkich filmów oglądanych w młodszych latach. Poczula, jak przyspiesza jej puls. Och, jakże pragnęła tego świata. Świata Josefa: władzy, prestiżu i nieskończonej euforii. Wszyscy i wszystko wokół było tym nasączone jak ciasto ponczowe rumem. W tej chwili zapyłona mąką stolnica piekarska i czarny popiół z pieca chlebowego poszły w niepamięć, a usmarowane, zapracowane ciężko monety i zaplamione kartki żywnościowe wydały się czyste jak lza. Przy boku Josefa mogła udawać, że jest kimś z tego świata, królową Trzeciej Rzeszy. Mogła nie myśleć o tym, że świat na zewnątrz jest pełen głodu i strachu.

Korytarz doprowadził ich do wielkiej sali bankietowej. Zastawiona była rzędami białych stołów, a przy co czwartym krześle stał kandelabr. Na podeście siedział kwartet smyczkowy; smyczki muzyków poruszały się w idealnej zgodzie tam i z powrotem. Na parkiecie pary wirowały małymi kółeczkami jak miniaturowe figurki w zegarze. Mężczyźni mieli na sobie mundury SS: głównie galowe, z czerwoną opaską na ramieniu. Kobiety ożywiały scenę intensywnymi barwami swych sukien: morelowy, śliwkowy, pomarańczowy i trawiasty – pełna gama kolorów oraz galeria starych i młodych pań.

Korpulentna brunetka w szkarłatnej sukni z jedwabnej lamy zmierzyła Elsie wzrokiem od góry do dołu, zatrzymując go na stopach. Elsie również tam spojrzała i zobaczyła czubek pantofla Mutti. Szybko schowała go pod skraj sukni. Podszedł kelner z tacą wysmukłych kieliszków jasnego płynu z bąbelkami. Josef podał jeden Elsie.

– Proszę. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Ale pij ostrożnie. Nigdy nie wiadomo, jaki efekt wywoła szampan, póki się go nie spróbuje.

Szampan. Elsie poczuła w ustach napływ śliny. Do tej pory widziała tylko, jak gwiazdy ekranu sączyły ten trunek, wpadając w coraz bardziej upojny nastrój. Miała nadzieję, że i teraz będzie miał to samo magiczne działanie. Zaintrygowana wzięła kieliszek. Nie знаła dotąd koloru szampana: był jasnozłoty jak kłosa pszeniczne tuż przed skoszeniem. Oczekiwała, że będzie

słodki jak miód i pożywny jak chleb. Oblizwała wargi i napiła się.

Wytrawny, *brut*. Cierpkie bąbelki mocno szczypały. Smakował jak łyk drożdży fermentujących w wodzie. Przelknęła jednym haustem, żeby pohamować chęć wyplucia z powrotem do kieliszka, ale nie zdążyła ukryć wyrazu swej twarzy.

– Przyzwyczajasz się – zaśmiał się Josef.

– Spróbuj następny łyk, i jeszcze jeden. Jeśli przy trzecim nie polubisz, wypiję za ciebie resztę. – Kremer krztusił się ze śmiechu. Guziki jego munduru ledwo się dopinały na grubym brzuchu.

Wbrew temu, co czuła, Elsie przypomniała sobie przestrogi Mutti i zmusiła się do słodkiego uśmiechu. W końcu to był kolega Josefa. Chciała, żeby ją polubił. Zrobiła więc, jak jej radził, i napiła się ponownie, starając się wypić do końca i mieć to za sobą.

– *Prosit!* Na zdrowie! Wygląda na to, że masz mocną *Fräulein* – skomentował Kremer. – Może zatańczymy, zanim Josef przyniesie ci drugi kieliszek?

Elsie poszukała wzroku Josefa.

– Nie tańczę za dobrze – powiedziała.

– Nie szkodzi. – Kremer ujął Elsie za łokieć i poprowadził na parkiet. – Obiecuję, że będę tańczył powoli. – Przyciągnął ją do siebie blisko i jedną rękę położył jej na karku, drugą chwytając za palce okryte rękawiczką. Sztywny materiał jego munduru wrzynał jej w ciało szkiełka sukienki, jakby się w nią naraz wbijały tysiące paznokci.

Spojrzała za siebie na Josefa. Uśmiechnął się i uniósł opróżniony przez nią kieliszek. Potem odwrócił się, by zawołać kelnera, a wtedy Kremer zsunął rękę w dół po jej plecach.

Elsie odsunęła się. Policzki jej płonęły.

– Herr Kremer!

Złapał ją za rękę i siłą przyciągnął do siebie.

– Cicho. To jest party. Nie rób scen, *Fräulein*. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu i powirował z nią głębiej w roztańczony tłum. – Chciałem z tobą porozmawiać na osobności. Widzisz, są tacy, co uważają to za dziwne, że ktoś o pozycji Josefa zadaje się z niewykształconą córką zwykłego piekarza, mając dużo ciekawsze obiekty, choćby nawet twoją siostrę.

Skrzywiła się, gdy wspomniał o jej braku wykształcenia. Podczas gdy Hazel skończyła gimnazjum jako najlepsza w klasie, Elsie przerwała swoją edukację w *Hauptschule* i pracowała cały dzień w piekarni. Chociaż majora Kremera widziała pierwszy raz w życiu, on najwyraźniej miał dużą wiedzę o niej i jej rodzinie.

– Teraz jest tak dużo szpiegów, że każda nowa, piękna twarz jest podejrzana. – Pochylił się nieprzyjemnie blisko, oglądając jej twarz badawczo. Jego oddech parzył i cuchnął zgniłymi jajami.

Elsie szybko odwróciła policzek.

– Moja rodzina zna Josefa od lat.

– *Ja*, i kto wie, ile tajemnic już zebrałaś i przekazałaś wrogom.

– Nie jestem szpiegiem! – syknęła. – Mój tata piecze chleb dla kwatery Rzeszy w Garmisch. Moja siostra jest w Ośrodku Lebensborn.

– Oni mnie nie interesują. Interesujesz mnie ty. – Cmoknął obleśnie.

Tańczyli w kółko po parkiecie. Jakaś kobieta z pawimi piórami w siwych włosach skrzywiła twarz, gdy trąciły się łokciami. Elsie opanowała odruch niechęci. W głowie jej huczało. Była lojalną Niemką, ale jak mogła udowodnić swoją wierność? Mogła tylko o niej zapewnić.

Mundur Kremera zalatywał potem i papierosami. Bąbelki szampana podchodziły jej aż pod gardło. Miała ochotę go spoliczkować, zawołać Josefa, lecz symbol błyskawic na mundurze

esesmana przypominał o możliwych konsekwencjach nie tylko dla niej samej, ale też dla całej rodziny. Przełknęła więc gorycz.

Piosenka się skończyła. Kwartet odjął smyczki od strun, wstał i uklonił się.

– Proszę, kochanie.

Przestraszona Elsie podskoczyła, wytrącając kieliszek z ręki Josefa. Musujące wino chlusnęło na nich oboje.

– Przepraszam.

Starła krople z klap jego munduru. Nakrochmalone, nie pozwalały im wsiąkać. Jej suknia miała mniej szczęścia. Smugi szampana pokryły brzeg spódnicy.

– Nic się nie stało. – Josef ujął jej rękę. – Znam praczkę, która umie sprać wszystko za pomocą mydła ługowego i szczotki z sierści dzika. – Ucałował jej dłoń.

– Dziękuję za taniec. Był dla mnie wielką przyjemnością. – Kremer stuknął obcasami i z uśmiechem na ustach oddalił się.

Lider kwartetu wyszedł na podium.

– Panie i panowie, bardzo proszę zająć miejsca. Zaczynamy nasz koncert bożonarodzeniowy.

Josef zaprowadził ją do środkowej części stołu bankietowego. Na jego końcu siedział Kremer obok swej Frau, kobiety chudej jak patyk, o białych policzkach i spiczastym nosie. Zauważywszy spojrzenie Elsie, zwięzła oczy. Żeby na nią nie patrzeć, Elsie zwróciła krzesło w stronę Josefa.

– Josefie – zaczęła. Głos jej się trząśł, więc odchrząknęła, by oczyścić gardło. – Muszę z tobą pomówić o...

– Zobacz, zobacz! – przerwał jej, pokazując na scenę. – Mamy niespodziankę. Lubisz muzykę? Wagnera, Hottera, Clemensa Kraussa?

Elsie poczuła drętwienie w palcach. Rozpięta guziki długich rękawiczek i pociągnęła za ubrudzone szampanem palce.

– Ja, ale nigdy nie byłam w operze.

Zmarszczył brwi i syknął:

– To przyślę ci trochę nagrań.

Elsie nie miała gramofonu, ale nie wiedziała, jak mu to teraz oznajmić. Zdjęła rękawiczki i od razu poczuła się jak naga. Powietrze natrętnie dotykało jej rąk. Splotła palce, by choć tak dodać sobie siły.

– Josefie... – spróbowała ponownie.

– A teraz – zaanonsował lider zespołu – krótki występ muzyczny dla uprzyjemnienia kolacji. – Obniżył mikrofon, postawił przed nim mały stołeczek i usiadł ze skrzypcami na swoim miejscu.

Josef przyłożył palec wskazujący do warg.

– Potem – szepnął.

Przez tłum przeszedł szmer zaciekawienia, a następnie zapadła cisza. Tęga kobieta z żeńskiego SS-Gefolge, o gęstej siwej czuprynie, wprowadziła po schodkach na podest chłopca, najwyżej sześć-, siedmioletniego. Ubrany był w prostą koszulę z białego lnu i dopasowane do niej rękawiczki, czarne spodnie i muszkę. Wyglądałby jak każdy inny chłopiec ubrany odświętnie na Wigilię, gdyby nie to, że był ogolony na łyso. Cere miał tak ziemistą, że wyglądał prawie jak zjawa. Kobieta poleciła mu wejść na stołek, co zrobił z pochyloną głową. Potem ją podniósł i pokazał oczy, wielkie i lśniące.

Lider zaintonował na skrzypcach długą, wysoką nutę. Chłopiec przycisnął pięści do boków i wziął głęboki wdech, otworzył usta i zaśpiewał. Jego kontratenor popłynął przez

korytarze. Wszyscy przestali rozmawiać i odwrócili się. Głos był czysty i gładki jak świeże masło, Elsie aż wstrzymała oddech. Tej bożonarodzeniowej kolędy słuchała przez całe życie, sama ją śpiewała, lecz nigdy dotąd *Cicha noc* nie brzmiała jak teraz.

– „Spokój, jasność ludziom wszem”...

Skrzypce zamilkły, ale jego głos ciągnął dalej:

– „Tylko Kanclerz pełen mocy strzeże Niemiec w dzień i w nocy”...

Zanim chłopiec skończył śpiewać, zaczęto serwować kolację. Szczękały talerze roznoszone przez kelnerów na lakierowanych tacach; mieniące się jak klejnot wino lało się do czekających kieliszków. Jakaś kobieta śmiała się zbyt głośno.

– „Zawsze chroni nas. Zawsze chroni nas”.

Elsie przymknęła oczy.

– Wina? – zapytał kelner zza jej pleców.

– „Cicha noc! Święta noc!”...

Głos chłopca ani razu się nie załamał, nie zgubił swego doskonałego tonu.

Elsie czuła, jak w gardle rośnie jej gula z nagromadzonych i dotąd tłumionych emocji.

– Ma wspaniały głos – powiedział Josef.

Kiwnęła głową i zamrugła wilgotnymi oczami.

– Skąd on jest?

– Śpiewał dla więźniów przywiezionych do obozu w Dachau – wyjaśnił Josef. – Usłyszał go Sturmscharführer Wicker i kazał mu śpiewać podczas kilku swoich przyjęć. Wszystkim się podobało. Ma niezwykle głos, potrafi zahipnotyzować, jeśli się niebacznie zapomni, skąd pochodzi.

– Tak, wyjątkowy. – Elsie przywołała się do porządku.

– „Łaskę, zdrowie niesie nam, Niemcom wielką moc, Niemcom wielką moc” – zakończył chłopiec.

Skrzypek podszedł do mikrofonu.

– Zacytuję naszego Führera: „Cała praca przyrody to gigantyczna walka siły ze słabością, odwieczne zwycięstwo silnego nad słabym”. – Stuknął obcasami i unióś smyczek w powszechnym geście. – *Guten Appetit*.

W tłumie zebranych zapanowała teraz kakofonia dźwięków: szczęk srebrnej zastawy mieszał się z rozmowami. Skrzypek zagrał nowy utwór, a chłopiec zaczął śpiewać, lecz Elsie nie mogła nic dosłyszeć z powodu panującego w jadalni hałasu.

– Czy on jest Żydem? – zapytała Josefa.

– Jego matka była żydowską śpiewaczką, a ojciec polskim kompozytorem. Ma muzykę we krwi. – Josef przełamał wzdłuż bułkę i obie połówki posmarował masłem.

– Mój siostrzeniec Julius też śpiewa. Hazel mówi, że jest niezły.

– Musimy go kiedyś poprosić, żeby nam zaśpiewał. – Położył jedną połówkę na talerzu Elsie. – Dziś jest ostatni występ tego chłopca. Jutro wraca do obozu. Przy tym wszystkim, co się dzieje w Ardenach... – Przerwał i ułamał kawałek pieczywa. – Przepraszam. To nie jest temat na Boże Narodzenie.

O obozach usłyszała pierwszy raz wiele lat temu, gdy państwo Grün, rodzina kupców sprzedająca najlepsze mydła i szampony w okolicy, zniknęli w środku nocy. Elsie bywała w ich sklepie co najmniej raz w miesiącu. Ich syn, Isaac, dwa lata starszy od niej, był najprzystojniejszym chłopakiem w mieście. Raz mrugnął do niej, gdy kupowała mleczno-miodowe mydło. Potajemnie wyobrażała go sobie, leżąc w ciepłej wannie, w wonnych oparach spowijających ją niczym welon. Teraz wstydziła się tego wspomnienia. Choć Grünowie byli Żydami, cieszyli się w sąsiedztwie wielką sympatią. A potem, pewnego dnia, ich sklep został

zabity deskami i oznaczony *Juden*, a oni zniknęli.

Tydzień później, czekając w kolejce w sklepie mięsnym, podsłuchiwała, jak żona szewca szepce do rzeźnika, że Grünowie zostali wysłani do obozu w Dachau, gdzie ich zmyto rozcieńczonym ługiem jak bydło, a szamponu nie potrzebowali, bo głowy im ogolono. Elsie nie wytrzymała i uciekła ze sklepu. Gdy Mutti zapytała o jagnięcinę, powiedziała, że rzeźnik nie miał, choć oczywiście miał w zagrodzie kilka sztuk. Nigdy nie powiedziała rodzicom ani nikomu innemu o tym, co usłyszała, ani też nie pytała ich o Grünów. Nikt o nich nie mówił. I choć żona szewca nie była taką plotkarką jak inne kobiety w mieście, Elsie wołała jej nie wierzyć. Teraz jednak nie mogła już zaprzeczać: mały chłopiec miał ogoloną głowę.

Josef powąchał wino i upił łyk.

– Chciałbym porozmawiać o czymś innym. – Sięgnął do marynarki munduru i wyjął małe pudełeczko. – Kiedy to zobaczyłem, poczułem, że to znak. – Otworzył wieczko, ukazując złoty pierścionek zaręczynowy wysadzany rubinami i diamentami. – Myślę, że będziemy razem bardzo szczęśliwi. – Nie czekając na odpowiedź, wsunął go jej na palec.

Przeszkodzili im kelnerzy, ustawiając między kandelabrami wielkie półmiski. Naprzeciwko Elsie znalazł się pysk pieczonego prosięcia; upieczone gałki oczne patrzyły mętnie, a przypieczone uszy zdawały się nasłuchiwać. Po bokach świni ustawiono miski piure ziemniaczanego, a z tyłu białą kielbasę, niczym jakiś demoniczny ogon. Choć takie ilości jedzenia Elsie widziała po raz pierwszy w życiu, z odrazy aż zaciskał jej się żołądek.

– Zostaniesz moją żoną?

Elsie poczuła dzwonięcie w uszach. Josef był niemal dwa razy starszy od niej. Był znajomym jej ojca, uwielbiała go jak dobrego wujka czy może starszego brata, ale nie jako kandydata na męża. Spojrzenia rzucane ukosem przez innych gości, oficerów SS, zdawały się naciskać ją niczym drewniane zęby dziadka do orzechów. Josef czekał, z typową dla siebie pewnością swego. Czy zawsze widział ją w ten sposób? Czy była tak naiwna, że niczego nie zauważyła?

Szlachetne kamienie błyskały czerwienią w świetle świec.

Elsie opuściła dłonie na kolana.

– To zbyt wiele – powiedziała.

Josef wbił widelec w brzuch prosięcia i nałożył na swój talerz kawał żylastego mięsa. Wziął talerz Elsie i zrobił to samo.

– Wiem, nie powinienem pytać cię dzisiaj, kiedy tyle się dzieje, ale nie mogłem się powstrzymać. – Roześmiał się i pocałował ją w policzek. – Wspaniała ucztą świąteczna!

Elsie skupiła uwagę na stojącym przed nią jedzeniu, zamiast na pierścionku na ręce. Jednak wieprzowina była tak tłusta, że nie musiała jej wcale żuć; galaretowata skóra spływała w dół przełyku. Szare w kolorze ziemniaki miały konsystencję papki. Kielbasa była mączysta i niedogotowana. Przeplukała to czerwonym winem, które smakowało jak wino mszalne podczas pierwszej komunii. Kwas szczypał ją w gardło. Chleb. Ugryzła kawałek posmarowanej masłem bułki; ten smak i zapach były znajome i kojące.

Przez cały posiłek się nie odzywała. Pod koniec dania głównego skończył się również występ chłopca. Orkiestra, po krótkiej przerwie, wróciła na scenę i szykowała się do grania podczas deseru oraz tańców. Poprzez tłum siedzących Elsie dojrzała, jak esesmanka wyprowadza swego śpiewającego ptaszka w klatce z powrotem na korytarz i przez drzwi służbowe.

– Czy ten chłopiec – zwróciła się do Josefa – musi tam wracać?

Srebrne kandelabry odbijały puste wnętrza prosięcia i mundury esesmanów na co drugim krześle.

Josef zatrzymał w powietrzu ostatnią łyżkę szpecli.

– To Żyd – odparł i wrzucił podłużne kluseczki do ust, zanim kelner zabrał jego pusty talerz.

Elsie usiłowała zabrzmieć zdawkowo.

– On jest tylko pół-Żydem... no i ten głos. – Lekko poruszyła ramionami. – Odróżnia się od pozostałych.

– Żyd to Żyd. – Josef ujął jej dłoń i dotknął palcem pierścionka. – Masz za miękkie serce. Zapomnij o tym. Dzisiaj świętujemy.

Nad świecami unosiły się falujące refleksy gorąca. Skronie Elsie pulsowały. W głowie narastał wibrujący świst.

– Josefie, przepraszam cię na chwilę. – Odsunęła krzesło i wstała.

– Czy wszystko w porządku?

– Nie chciałabym przeszkadzać, ale muszę...

– Ach. – Josef pokiwał głową. – Toaleta jest na końcu korytarza po prawej. Nie zgub się, bo będziemy musieli wysłać po ciebie gestapo. – Roześmiał się.

Elsie przełknęła ślinę i zmusiła się do wątłego uśmiechu. Powoli przeszła przez lśniąca salę bankietową, lecz gdy tylko znalazła się sama w półmroku korytarza, przyspieszyła. Minęła napis „toaleta” i doszła do podwójnych drzwi prowadzących na tył budynku.

Rozdział 4

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
5 listopada 2007 r.

Telefon Reby zabuczał.

– Przepraszam.

Przeczytała wiadomość: ZALATWIAM FURGONETKE NIELEGALNYCH. BEDE W DOMU POZNO. Westchnęła i wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

– Problem? – spytała Jane.

– Nie, tylko jedzenie na wynos z Rudy's Bar-B-Q. Zamawiam tam regularnie.

– Jasne, złotko. – Jane zabębniła palcami o stół. – Chłopak?

– Nie do końca. – Reba poprawiła zawartość torebki, żeby zasunąć zamek błyskawiczny.

– Och, śmiało, tak tylko między nami kobietami. – Jane zrobiła ruch, jakby zamykała usta na klucz.

Reba zamilkła. Jane znowu przekraczała, i to nachalnie, linię oddzielającą osobę dziennikarza od tematu. Rozmawianie o swoich związkach było nieprofesjonalne. Jej zadaniem było skłonić rozmówców do mówienia o ich życiu. Później to opisywała, a czasopismo drukowało w tysiącu egzemplarzy do publicznej konsumpcji. Słyszeła z artykułów okolicznościowych. Potrafiła wyciągać najintymniejsze historie od każdego, kogo jej wskazał wydawca. Ale swoje prywatne życie chroniła i zamierzała się tego trzymać. Tę kobietę, Jane, dopiero poznała. Była jej całkowicie obca. Nie, to by było nie na miejscu.

Jednak było w niej coś, jakaś siła spokoju dająca poczucie – prawdziwe czy złudne – że można jej ufać. Tak naprawdę Reba nie miała w El Paso zbyt wielu znajomych. Większości tutejszych ludzi nie ufała. Była już zmęczona nagminnym mówieniem przez nich jednego, a robieniem czego innego. Czyli w sumie kłamanem. Nie żeby kogoś obwiniała. Ona też codziennie miała na sumieniu jakieś kłamstwa – większe lub mniejsze – nawet wobec siebie samej. Wmawiała sobie, że nie potrzebuje znajomych. Jest niezależna, samowystarczalna i wolna. Riki był jedyną osobą, której odważyła się tu zaufać, i to w ograniczonym zakresie. Jednak ostatnio nawet z nim coś się psuło. Czuła pączkującą w niej samotność, a wraz z tym uczuciem ogarniała ją znajoma pustka, która już raz chciała ją całkiem połknąć. Tęskniła za starszą siostrą Didi i za mamą. Rodzina. Osoby, które zostawiła, wyjeżdżając tysiące kilometrów od domu.

W ciche wieczory w El Paso, gdy Riki pracował do późna, czasem zżerała ją samotność, podobnie jak w dzieciństwie. Nalewała wtedy kieliszek wina i otwierała okno w kuchni, a wiatr od pustyni poruszał lniane zasłonki. Wracła wówczas myślą do swej ostatniej sierpniowej niedzieli w Richmond. Didi przysłała z dwiema butelkami chateau morrisette. Piły je, siedząc boso na świeżo skoszonym trawniku; resztki ściętej trawy oklejały im palce stóp. Drugi korek wyskakujący z butelki tego wieczoru uwolnił nie tylko wino. Upojone złudnymi marzeniami, zapomniały o dziewczęcych smutkach i szybowały w romantycznych wizjach przyszłości tak długo, że nawet świetliki pogasiły już swoje światła. Po raz pierwszy zrozumiały, dlaczego ich tata pił burbona jak lemoniadę. Miło było udawać, że świat jest wspaniały, zapijać lęki, tłumić wspomnienia, usnąć wewnętrzną czujność i po prostu się cieszyć, choćby tylko przez kilka godzin.

Czując lekkie drżenie, Reba potarła czoło.

– To mój narzeczony – przyznała.

– Naprawdę? – Jane odchyliła się na krześle. – A gdzie pierścionek?

Reba sięgnęła po wiszący na szyi łańcuszek i wyciągnęła spod koszuli zawieszony na nim pierścionek z pojedynczym kamieniem.

– Ale błyskotka – stwierdziła Jane. – Dlaczego nie na palcu?

– Przeszkadza mi w pisaniu. Chyba jest za ciasny.

– Można go powiększyć, wie pani?

Reba podniosła dyktafon i gładka przyciski.

– Kiedy wesele? – ciągnęła Jane.

– Jeszcze nie ustaliliśmy daty. Oboje jesteśmy bardzo zajęci.

– A kiedy się zaręczycie?

– Mmm... – Reba przejrzała w myślach kalendarz. – W sierpniu.

Jane pokiwała głową.

– Lepiej zaczniecie planować. Teraz to trochę trwa, dużo zachodu ze wszystkim. Pokażę zaraz nasz katalog tortów weselnych, żeby dać pojęcie, jak to wygląda.

Reba żałowała, że cokolwiek powiedziała, i natychmiast wróciła do wypróbowanej taktyki dziennikarskiej – przekierowania.

– A pani jest mężatką?

Jane ściągnęła przewieszoną przez ramię szmatkę i zakręciła nią wokół jak gimnastyczka.

– Ha. Jestem już starszą panią. Najlepszy czas minął. – Pochyliła się i oparła łokcie na stole. – Nic to, że w oczach mamy nikt nie byłby dostatecznie dobry, o ile nie miałyby lamówek na pagonach. Oczywiście, nigdy nic w tym guście nie powiedziała, ale zawsze czułam, że chciałaby mnie wydać za wojskowego jak mój tata, z armii Stanów Zjednoczonych, niemieckiej Luftwaffe lub czegoś takiego. Ale ja nie jestem dziewczyną dla żołnierza. Całe to wariactwo z krochmalonymi wstążeczkami... Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja szanuję ich pracę. Doceniam ich służbę i poświęcenie dla naszego kraju. To zawód przynoszący zaszczyt i za każdym razem, gdy żołnierze wracają do domu do Fort Bliss, zanoszę tam całe nasze pieczywo i ciasta, i to bezpłatnie. Ale nie chcę takiego w swoim łóżku ani nie chcę za takiego wychodzić. – Srebrne pasmo włosów opadło jej na oczy; założyła je starannie za ucho. – Nigdy nawet nie przyprowadziłam chłopaka do domu. Nie widziałam w tym sensu. – Wyprostowała się na krześle i uniosła głowę, patrząc na Rebę z powagą. – Ale mam kogoś. Jesteśmy razem od bardzo dawna. Kiedy byłam jeszcze chuda i piegowata. Nigdy nie poprosił mnie o rękę. To akurat może nie brzmi dobrze, ale proszę mi uwierzyć, sama by się pani przekonała, że trudno jest dochować wierności, nie mając żadnego papierka, nie mogąc powiedzieć, że druga osoba jest „moja”. To okropnie trudne.

Jane skupiła wzrok na pierścionku wiszącym na piersiach Reby. Reba poprawiła się na krześle, jakby chciała strząsnąć z siebie jej wzrok. Odchrząknęła.

– Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku. Mnie też się nie spieszy do ołtarza.

– Ładny ten pierścionek – orzekła Jane.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał i wszedł mężczyzna w szarej wojskowej bluzie.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała Jane.

Wstała, zabrała lawendowy sprej i wróciła za kasę.

– Tak. – Mężczyzna gorączkowo lustrował produkty za szybą lady sklepowej. – Żona prosiła, żebym zamówił tort. Na urodziny syna. Próbowała upiec sama, ale ciasto opadło. Za kilka godzin jest przyjęcie, więc przyszedłem tutaj. – Pocierał knykami dłonie złożone w pięści.

Na jego prawym nadgarstku wytatuowany był pazur amerykańskiego orła. – Proszę zrobić, co pani może. Ona, moja żona, pochodzi z Niemiec. Przenieśliśmy się do Bliss w zeszłym miesiącu i ona tu nikogo nie zna. Znajomi i rodzina zostali w Stuttgarcie. Mówiła, że nie może znaleźć wszystkich potrzebnych składników w Albertsons, a zwykły lukrowany placek, który kupiłem dziś rano, wyrzuciła. Chce, żeby to było ciasto jak domowe. – Podniósł na Jane niebieskie, proszące oczy. – A ja chcę, żeby była zadowolona. Jeśli macie w kuchni na zbyciu jakieś niemieckie ciasto...

Jane kiwnęła głową.

– Porozmawiam z mamą. Ona potrafi zrobić coś z niczego. – Przez zasłonę w drzwiach wyszła na tył sklepu.

Reba spodziewała się jakiegoś łomotu czy okrzyku, ale nic takiego nie nastąpiło. Już po chwili Jane była z powrotem.

– Da nam pan dwie godziny?

Zwolnił oddech i rozluźnił pięści.

– Przyjęcie jest o trzeciej.

– Będzie gotowe.

– Dziękuję bardzo. Naprawdę doceniam – powiedział mężczyzna i odwrócił się, by wyjść.

Jane jednak go zatrzymała.

– Jak ma na imię syn?

– Gabriel, Gabe.

– Napiszemy to na torcie.

– To się żonie spodoba. Jemu też. Jeszcze raz dziękuję. Nie ma pani pojęcia, ile to dla nas znaczy. – Wyszedł, a wiatr zatrzasnął za nim drzwi.

– Oto jest miłość. – Jane roześmiała się. – Mężczyzna z całego serca chce pomóc swojej pani urządzić przyjemne party dla ich dzieciaka. – Zapisała imię na kartce papieru. – Nigdy mnie nie zwiódły wielkie romantyczne gesty. Miłość polega na małych rzeczach, codziennej trosce, czułości i wybaczeniu.

Reba zawsze wyobrażała sobie miłość jako dziką i niepowstrzymaną. Prawdziwa miłość to ogień namiętności, płonący jasno, dopóki się go nie ugasi. Nie żaden ćmiący się płomycek, stłumiony banalną codziennością. Pomyślała o tym, jak zachowywali się w ostatnim czasie oboje z Rikim: każde słowo starannie dobrane, tak deprymująco grzeczne, jakby to aktorzy odtwarzali scenariusz. Schowała łańcuszek z pierścionkiem z powrotem pod bluzkę.

– No ale, skoro mamy to zamówienie, nie jestem pewna, czy mama będzie mogła dziś rozmawiać. Będzie pani mogła przyjść jeszcze raz?

Przekraczając próg piekarni, Reba zamierzała uzyskać wszystko, czego potrzebowała, podczas jednej wizyty, ale teraz, po spędzonej tu zaledwie godzinie, nie miała nic przeciwko złożeniu jej ponownie. A nawet pomyślała, że będzie jej miło.

– Tak, oczywiście. Następnym razem wezmę aparat. Czasopismo przyśle tu fotografa, ale chciałabym sama zrobić trochę zdjęć, jeśli pozwolicie.

Dekoracyjne stosy różnokolorowych słodczy w szklanej gablocie ładnie wyjdą na zdjęciu. Na ich widok aż jej ślinka ciekła.

– Pozwolimy! Proszę. – Jane otworzyła tył gabloty. – Tak długo pani czekała. Proszę coś wziąć. Mama zawsze mawia, że ze strudłem nigdy nie jest się samotnym. – Wyjęła kawałek obłany śmietankowym serkiem.

– Nie, nie mogę – odparła Reba uprzejmie. – Nie jem nabiału.

Jane zatrzymała rękę.

– Och, biedactwo. Czy nie ma na to jakiegoś lekarstwa? – Położyła kawałek z powrotem

w rzędku.

Reba pokręciła głową.

– Nie mam nietolerancji laktozy. Wolno mi jeść nabiał. Ale nie jem. Na uczelni działałam w PETA. Na rzecz praw dla zwierząt, przeciwko picciu mleka i takie tam.

Jane uniosła wysoko brwi.

– Mleka?

– Była taka kampania PETA – wyjaśniła Reba.

– O! – Jane zrobiła zdziwioną minę. – No to może pierniczków? To specjalność mamy. Używa do nich oleju migdałowego. Bez masła. To rodzinna tajemnica. Proszę obiecać, że pani nikomu nie powie.

Z całą pewnością Jane nie wypuściłaby jej z pustymi rękami, więc Reba się zgodziła.

– Dobrze, obiecuję.

*

Tego wieczoru Reba siedziała sama przy stole w kuchni, nadgryzając brzeg pierniczka. Kwadratowe ciastka, udekorowane płatkami migdałów w kształty kwiatów, wydawały jej się za ładne, żeby je zjeść. Lecz po długim dniu nie miała siły, by się powstrzymać. Gęsta melasa i cynamonowy proszek stały jej w gardle, więc nalała sobie szklaneczkę odtłuszczonego mleka. Mleko spieniło się lekko i zabarwiło szklankę na perłową biel.

Zaraz po powrocie do domu położyła pudełko z niemieckiej piekarni na blacie w kuchni, postanawiając nic nie ruszać, ale wyrzucić ciastek nie była w stanie. Kuchnia, salonik i cały apartament, aż po ich pokój, gdzie siedziała na łóżku, przepisując notatki, wypełniły się słodkim zapachem. W końcu, gdy słońce już wtopiło się w pustynię i pojawił się jesienny księżyc, pomarańczowy jak biskopt, samotność ją zmogła i zeszła na dół znaleźć pocieszenie w słodkiej przekąsce.

Zastanawiała się, czy powinna zostawić jedno ciastko dla Rikiego, ale wtedy on zapytałby, jak minął dzień, a ona nie miała siły mu tłumaczyć, dlaczego po ponadgodzinnej rozmowie z Jane nie ma nagranego ani słowa. Na pewno chciałby wiedzieć, o czym rozmawiały, a nie zamierzała otwierać puszek Pandory. Jednak jakoś nie mogła ani odsunąć swych myśli od Jane i piekarni, ani ciastek od ust.

Umoczyła ostatni kwadracik w mleku, włożyła do ust i pogryzła. Co z oczu, to z głowy – czy nie tak mówi porzekadło? Popiła mlekiem i wyplukała szklankę, nie zostawiając śladów.

Wszystko zaczęło się od takiego małego kłamstwa: udawania, że nie jada nabiału. Teraz, gdy robiła to już od tak dawna, nie wiedziała, jak to przerwać.

Zaczęło się w college'u. Koleżanka Reby z pokoju, Sasha Rose, córka ekspatriantów z Singapuru, była drobną dziewczyną o dwóch wielkich pasjach: weganizmie i sztuce włoskiej. Nie uczestniczyła w nocnych imprezach przy pizzy pepperoni ani nie chodziła do barów na skrzydełka kurczaka. Zamiast tego pochłaniała miseczki groszku sojowego i rubinowych organicznie uprawianych fig, jednocześnie studiując Botticellego i Tycjana.

W dzień odwiedzin na pierwszym roku rodzice Sashy przylecieli zza oceanu. Jej matka, mówiąca z wyraźnym brytyjskim akcentem, mimo przetykanych siwizną włosów wyglądała jak siostra-bliźniaczka.

– Kochanie, jak ja za tobą tęskniłam – mówiła czule, przytulając Sashę tak autentycznie szczerze, że Reba musiała odwrócić wzrok, bo aż ją zakłuło w piersi.

Ojciec Sashy, pochodzący z Tallahassee, był wysoki i opalony, miał zaraźliwy uśmiech i radosną powierzchowność. Charyzma promieniowała od niego jak słońce Florydy. Z ramion matki Sasha powędrowała w jego ramiona. Reba czekała na jakiegokolwiek objawy zazdrości, obawy czy niechęci u pani Rose, lecz widok Sashy w objęciach ojca sprawiał tylko, że cała

promieniała.

– Reba, idziesz z nami na kolację! – nalegał pan Rose, jednak gdy delikatnie dotknął jej pleców, wzdrygnęła się tak mocno, że dodał: – Oczywiście, jeśli masz inne plany, zrozumieemy.

Nie miała, ale w tym momencie czuła taki dyskomfort, że obawiała się, by nie towarzyszył jej przez cały posiłek.

– W poniedziałek mam test – skłamała, a z jego lekko skrzywionego uśmiechu widać było, że to czuje.

Mama i siostra Reby w tamten weekend nie przyjechały, miały inne sprawy. Mama miała raut w Junior League, a Didi – kursy podyplomowe. Z początku Reba była im za to wdzięczna, ale widząc Saszę z jej doskonałymi rodzicami, poczuła dojmującą tęsknotę za kimś bliskim: mamą, Didi, nawet tatą. Było to beznadziejne uczucie.

– Przyjemnej nauki – powiedział pan Rose z paniami rozlokowanymi u obu jego boków. I cała trójka wymaszerowała.

Zamykając za nimi drzwi, Reba zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Stanowiło tak jaskrawy kontrast ze ślicznym państwem Rose, że natychmiast włożyła bluzę z kapturem i zaszła się w kocach swego łóżka jak nornik.

Zawsze była melancholiczką, niezadowoloną u siebie prawie ze wszystkiego. Gruba tam, gdzie powinna być chuda, płaskie piersi i za duży wzrost, przez co nigdy nie pasowała do szkolnych cheerlidak ani chórzystek – małych sióstr przyjaciółek własnej siostry. W wieku lat szesnastu, gdy zmarł tata, całkowicie zamknęła się w sobie. Wszystkie przerwy na lunch i czas po szkole spędzała w czytelni czasopism nad rozkładówkami gazet i milczącymi fotografiami.

W czasie pierwszego semestru Reby w college’u Didi poradziła jej, żeby poszła na jakieś zajęcia samodoskonalenia, np. jogę, taniec, pływanie, sztukę. „Zacznij wszystko na nowo”, powiedziała. A Reba zamiast tego zapisała się do uniwersyteckiego klubu bokserskiego. Wkładała sznurowane rękawice i robiła sparing z trenerem. Wszyscy na kampusie znali ją ze zdjęć w „Daily Cavalier”: wargi rozdymane ochraniaczem na zęby, ciemne, kędzierzawe włosy wymykające się spod kasku, rękawice uniesione, gotowe do walki. W rodzinie Adamsów uważali ją za anomalie. Była córką szanowanego weterana z Wietnamu i prawnuczką jednego z największych właścicieli hut żelaza w Richmond. Didi debiutowała wspaniale. Zawsze uśmiechnięta, z kolorami na policzkach, już studiowała prawo. Natomiast Reba... Reba wciąż zapisywała coś w notesie i bawiła się w przebieranki z chłopakami. Czuła, że mama i siostra załamują nad nią ręce.

Toteż w nagłym porywie rozsądku postanowiła naśladować Saszę, uczyć się od niej i skierować swój rozwój na właściwe tory. Pierwszy krok: weganizm. Zrobiła szybki rekonesans w czytelni na temat tej diety i stylu życia. Podstawowe wymogi były trudne do przełknięcia. Żadnych produktów zwierzęcych. Kropka. Reba zdecydowała, że warto byłoby mieć na względzie jakiś cel, bronić jakiejś sprawy, ale całe królestwo zwierząt wydawało się istotne. Wybrała więc krowy. Zero jogurtu i sera, masła i wołowiny. Z każdą niezjedzoną porcją lodów uratuje jakąś krowę. Udało jej się przez prawie trzy tygodnie.

Potem nadeszły walentynki i Sasha przypomniała jej, że do produkcji czekolady używa się mleka odciągniętego krowom-matkom karmiącym cielaki. Sasha i jej chłopak poszli na imprezę PETA „Wegewiagra”, a Reba została w domu.

Tego wieczoru smutek ogarnął ją silniej niż kiedykolwiek, aż ją ścisnęło w dołku. Tata mówił na to „głodny wilk”. Gdy Reba i Didi były małymi dziewczynkami, opowiadał im, w stanie upojenia, jak zakrada się do niego spomiędzy cieni za dnia, a nocą szatkuje na drobne kawałeczki. Po czym nalewał sobie następny kieliszek bursztynowego płynu, popijał, uśmiechał się i wesoło prosił, żeby nic o tym nie wspominały mamie. Obiecywały, choć za plecami

krzyżowały palce. Zresztą cokolwiek by zrobiły, nie miało znaczenia. Mama i tak to zbywała.

– Strachy na lachy. Za dobrze go znacie, żeby brać poważnie cokolwiek z tego, co mówi, gdy jest w takim stanie. Idźcie już spać i kolorowych snów, kochane.

Po śmierci taty, pomagając porządkować jego biuro, Reba znalazła jego historię choroby. Miał za sobą lata leczenia elektrowstrząsami na ostrą depresję i do samej śmierci co czwartek odwiedzał psychiatrę klinicznego w Medical College w Wirginii. Doktor Henry Friedel odnotował, że przed wysłaniem na front jej ojciec cierpiał na chroniczne przygnębienie, lęk i poczucie beznadziei; niezdolność do podejmowania decyzji; poczucie winy; ekstremalne huśtawki nastrojów oraz zmienione poczucie rzeczywistości. Czytając tę listę symptomów, ściągnęła usta z obawą – takie same można by stwierdzić u niej. Doktor Friedel pisał dalej, że wszystkie te wcześniej istniejące objawy były u rekrutów powstrzymywane, ale nasilały się w warunkach wojennych.

Do dokumentu dołączony był plik odręcznych notatek z sesji terapeutycznych taty. Gdy je podniosła, żeby włożyć do kartonu, z metalowego uchwytu wyleciała pojedyncza kartka i spadła na podłogę. Choć były to sprawy osobiste, ciekawość w niej zwyciężyła i zaczęła czytać:

28 lutego 1985 r.

Oprócz poprzednio zgłoszonych dolegliwości i wymienionego uprzednio leczenia klinicznego p. Adams nadal cierpi na bezsenność z powodu nocnych ataków przerażenia i napadów wspomnień na jawie, powiązanych z jego aktywną służbą wojskową podczas wojny w Wietnamie. W trakcie rozmowy ciągle skupia uwagę na kobiecie z dystryktu So'n Tinh i jej nastoletniej córce, które, jak twierdzi, zgwałcił, będąc pod wpływem środków psychotropowych, uzyskanych nielegalnie od miejscowego Wietnamczyka. P. Adams mówi, że później widział, jak czarny wilk pożera zmasakrowane ciała tych kobiet. (Nadal nie stwierdziłem, czy ten wilk był autentycznym zdarzeniem, czy, co bardziej prawdopodobne, jest po prostu manifestacją jego podświadomego poczucia winy). Szczególną uwagę pacjent kieruje na insygnia kompanii wycięte na nagich klatkach piersiowych ofiar. P. Adams nie może sobie przypomnieć, czy ten akt okaleczenia został popełniony przez niego, czy przez jego kolegów żołnierzy, ani nie jest pewny, czy przyczyniło się to do ich śmierci. Jednak nasze rozmowy ogniskują się głównie na rozważaniu tej kwestii, co wzmaga jego niepokój, poczucie winy, drastyczne wahania nastroju i w rezultacie autofobię. Oscyluje on między racjonalizacją a samooskarżaniem.

Dziś p. Adams znów opisał w najdokładniejszych szczegółach otrzymany drogą służbową rozkaz zaatakowania i zabicia wszystkich z Wietkongu w pewnej małej wiosce. Zapytany, co czuł, napadając na cywilnych mężczyzn, kobiety, dzieci i starców, p. Adams powiedział: „Kazali nam wymazać ich na zawsze z powierzchni ziemi. Wypełnialiśmy rozkazy. Starłem się być dobrym żołnierzem. Nie chciałem tam być. Chciałem być w domu z rodziną”. Zapytany, czy gwałt został również polecony przez dowództwo, p. Adams wpadł w skrajne emocje i stał się nieobliczalny, co wymagało zastosowania dawki domięśniowej środka uspokajającego. Sesja skończyła się wcześniej. Przepisałem mu lorazepam i wyznaczyłem dodatkową konsultację we wtorek 5 marca.

Reba włożyła kartkę z powrotem do pliku i natychmiast zapragnęła cofnąć czas i podnieść ją z podłogi z zamkniętymi oczami. Nie chciała znać tajemnic swego taty. Wystarczająco mroczne były jej własne wspomnienia. Zapakowała teczki z dokumentami do kartonu, który okleiła podwójnie szeroką taśmą klejącą, z nadzieją, że zamyka w przeszłości i grzebie na zawsze „wilka” swego taty.

Lecz w tamte walentynki, siedząc sama w pokoju akademickim, słyszała, jak on wyje z osamotnienia, tak przenikająco, że czuła to nawet skórą. Poszła więc do oświetlonego neonami kampusowego sklepiku i kupiła kartonik mleka oraz największe pudełko czekoladek wiśniowych,

jakie było na półce.

– Ten chłopak to ma szczęście – zauważyła kasjerka-studentka.

Reba skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Tak, ma.

Wróciła do domu i sama zjadła całe pudełko, pocieszając się kolejnymi rządками czekoladek wiśniowych i podbudowując wyobrażeniem kasjerki, że ona ma kogoś wspianego, z kim je razem zje. Mleko wypiała prosto z kartonika. Jako owoc zakazany jeszcze bardziej smakowało.

Jakiś czas później, gdy kartonik w koszu na śmieci zaczął wydawać przykry zapach, Sasha zapytała ją, co to było.

– Mleko sojowe – odparła Reba. – Chyba z jakiejś zepsutej partii.

Sasha popatrzyła na nią przez chwilę i wzruszyła ramionami.

– Mnie też się to raz zdarzyło. Następnym razem kup organiczne. Zawsze jest dobre.

I tak właśnie to się zaczęło. Z początku taka błahostka. Ale z górą dziesięć lat później Reba nadal kłamała. Problem polegał na tym, że jej kłamstwa dotyczyły już nie tylko błahostek. Rozprzestrzeniły się jak pleśń w różnych dziedzinach jej życia, psując efekty jej wysiłków.

Zmyślanie było najłatwiejszą drogą do stworzenia siebie na nowo. Mogła zapomnieć o swojej rodzinie i dzieciństwie: o atakach rozkojarzenia i hysterii u taty, po których znów ogarniało go przygnębienie; o jego oddechu zalatującym whisky podczas wieczornej modlitwy; o chowaniu się w szafie, gdzie łaskotały ją w nos koronki odświętnych sukienek. O tacie leżącym bezwładnie na podłodze, z czerwonymi pręgami od liny na szyi, o wyciu karetek i mamie we łzach; o gniewie i winie, jaką czuła, stojąc nad jego grobem, bo wybrał najłatwiejszą drogę, bo zostawił je całkiem same.

Nie musiała być tamtą Rebą. Wystarczyło ułożyć historię, a jej rodzina stawała się tak doskonała, jak to udawała mama. Tata był bohaterem z Wietnamu, a nie mężczyzną prześladowanym przez upiory przeszłości, który ubierał się w uśmiech jak w kolorowy krawat, dopóki węzeł nie zaczął się zaciskać.

Nigdy nie zrozumiała, dlaczego mama tak często go usprawiedliwiała. Gdyby otwarcie powiedziała córkom, że jest chory, może byłyby w stanie mu pomóc, nie dopuścić do samobójstwa. Może razem we trzy dałyby mu wystarczająco dużo miłości, by poczuł się dobrze. Ilekroć jednak Reba usiłowała znaleźć winowajcę, przypominały jej się dochodzące przez ścianę krzyki taty, cichy płacz mamy, brzęk tłuczonego szkła, a rano zapach placków pekanowych. Po każdym trudnym wieczorze taty mama rano robiła placki pekanowe. Zabijały unoszący się z desek podłogi zapach burbona. Były mdląco słodkie, ale zjadały ich z Didi całe sterty, jakby to był ich ostatni w życiu posiłek – żeby tylko zrobić jej przyjemność. Mama udawała z tych samych powodów co Reba: przyjemnie było wierzyć w kłamstwa. Jedyna rzecz, jaką Reba wiedziała na pewno, to to, że mama tatę kochała, a miłość potrafi sprawić, że przymyka się oczy na wszystko.

Ta własna ułomność przerażała Rebę. W miarę dorastania jej pragnienie ucieczki od rzeczywistości rosło. Czasami, będąc na lotnisku, dworcu kolejowym czy w innym tymczasowym miejscu pobytu, wśród ludzi, których nigdy więcej miała nie zobaczyć, Reba udawała kogoś zupełnie innego. A najbardziej przerażało ją, że w takich chwilach wierzyła we własne oszustwa.

Kiedyś, w pociągu z Richmond do Waszyngtonu, nawiązała rozmowę z siedzącym obok biznesmenem, przedstawiając się jako olimpijka panczenistka jadąca do stolicy spotkać się z resztą zespołu. Biznesmen zafundował jej lunch, wniebowzięty, że może jeść posiłek ze sportsmenką tego kalibru. Gdy się pożegnali, nagły przyptyk wyrzutów sumienia przyprawił

Rebę o mdłości. Zwróciła w toalecie nowojorski stek, modląc się do Boga, żeby nie kwalifikowała się jako osobowość wieloraka, psychicznie chora czy maniaczka, jak jej tata.

Rozwiązanie widziała w przeprowadzce na Zachód, by zacząć wszystko od nowa. Mogła być każdym, kim chciała. Mogła być sobą. Choć nie do końca była pewna, kim jest. Gdy po raz pierwszy spotkała Rikiego, nie była sobą. Po raz kolejny próbowała udawać, grając rolę zblazowanej reporterki, która po kilku randkach wskoczyła do łóżka, mówiąc, że wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia. Tak naprawdę to tylko chciała w nią wierzyć. Miała nadzieję, że głośne wyznanie miłości będzie wszechstronnym lekarstwem dla jej serca. Nie było, zaczęła się więc zastanawiać, czy miłość wystarcza.

Dlatego właśnie nie nosiła zaręczynowego pierścionka. Gdyby wyszła za Rikiego, miałyby dwie możliwości: kłamać do końca życia albo odkryć swoje prawdziwe ja, ryzykując, że go straci. Chciała, żeby ją znał taką, jaka jest, bez potrzeby wyjaśniania mu swojej przeszłości. Zanim będzie w stanie za kogoś wyjść, musi rozszyfrować, gdzie kończy się jej prawda, a gdzie zaczynają kłamstwa.

Kuchnię rozświetliły reflektory auta, a po chwili otworzyły się drzwi frontowe.

– Reba? – zawołał Riki.

– Tu jestem.

Wszedł i zapalił światło.

– Dlaczego siedzisz po ciemku?

Nagła jasność poraziła jej oczy.

– Nie po ciemku. Pali się światło w kuchence.

– Praktycznie po ciemku. – Opróżnił kieszenie z drobnych monet i opakowań gumy do żucia, wrzucił wszystko do pustej miski na owoce stojącej na stole. – Tylko nie okaz się wampirem. – Pocałował ją w czubek głowy, zdjął kurtkę z emblematem Straży Granicznej i usiadł.

– Trudny dzień?

Znała odpowiedź, patrząc na jego podkrążone oczy.

– Złapaliśmy rodzinę mieszkającą w swoim czterodrzwiowym sedanie na parkingu przy Walmarcie. Bardzo smutne. Jutro odsyłamy ich do Meksyku. Najmłodsze to jeszcze niemowlę. Pieluch nie miał zmienianych Bóg wie jak długo. – Riki podrapał się w policzek. – Coś takiego uwiera jak drzazga. Ojciec zwyczajnie próbuje dać swojej rodzinie lepsze miejsce, lepsze życie.

Codziennie porcje opowieści o nielegalnych imigrantach już dawno pozbawiły Rebę współczucia. Riki, dotychczas trzymający stronę amerykańskiego prawa, ostatnio wydawał się coraz bardziej bronić obywateli meksykańskich. Nie mogła nadążyć, komu chciałby, żeby współczuła, więc darowała sobie zbyt górnolotne rady.

– Staraj się być przyzwoitym człowiekiem – powiedziała. – Tak jak zawsze mówisz, istnieją przepisy, których musimy przestrzegać. Inaczej ponosimy konsekwencje. – Połknęła nasączony mlekiem okruszek, który odkleił się od zęba trzonowego. – Chcesz jeść? – zapytała, żeby zmienić temat. – Ja po wywiadzie wstąpiłam do Rudy's, jeszcze trochę zostało, jeśli jesteś głodny.

– Jak ci poszło?

– W Rudy's? – Nie chciała rozmawiać o wywiadzie. – Wiesz, że uwielbiam ich wędzonego indyka.

Wstała i podeszła do lodówki.

– Nie, z wywiadem do twojego artykułu, miss „Sun City”.

– Dobrze. Ale muszę pojechać tam jeszcze raz. Na pewno nic nie chcesz? – Zdjęła z półki papierową torbę z jedzeniem na wynos.

– Jadłem. Znów musisz jechać? Dlaczego? Osobiście też cię spławiła?

Reba wzruszyła ramionami.

– Zdobędę wszystko, co chcę, do tego artykułu. Ale teraz naprawdę chcę... – ujęła jego rękę i oplótła się nią w talię – ...już nic nie mówić. Cały dzień gadałam i gadałam. – Potrafiła zmieniać temat na dobre.

Riki wstał i przyciągnął ją do siebie.

– Co rozkażesz, szefowo.

Odetchnęła i poprowadziła go na górę. To była jedyna rzecz zawsze realna i modliła się, by Riki poczuł całą tkwiącą w tym prawdę.

Rozdział 5

Przyjęcie bożonarodzeniowe partii nazistowskiej
Gernackerstrasse 19
Garmisch, Niemcy
24 grudnia 1944 r.

Zaczął prószyć śnieg. Tysiące mieniących się połyskliwie płatków powoli, na oślepie sunęło ku ziemi. Elsie odchyliła się w tył, pozwalając miękkiemu puchowi gromadzić się na twarzy. Chłód ją otrzeźwił, lecz mimo że trzęsła się z zimna, stała dalej w ciszy bocznej alejki i patrzyła, jak świat przebiera się w bajkową szatę. Śnieg wybielił brudną ulicę; ciemne gałęzie drzew obramował kryształem. Kochała świeży śnieg. On wszystko zmieniał.

Wiatr podwiewał jej sukienkę, nogi drętwiały z zimna, na plecach dostała gęziej skórki. Skuliła ramiona na piersiach. Pierścionek od Josefa na jej palcu zrobił się lodowaty. Ściągnęła go i rozgrzała metal, rozcierając w dłoniach. Był to piękny pierścionek od dobrego mężczyzny, a ona czuła się taka malutka wobec tak wielkiej chwili. Obracała go w ręku: rubiny i diamenty, czerwone i białe. Dlaczego nie miałby to być jeszcze jeden prezent pod choinkę? Jak sukienka i szampan...

Zaczęła go wkładać z powrotem na palec, gdy coś na nim zauważyła. Zadrapanie? Nie, zbyt równo i dokładnie. Odwróciła pierścionek do światła w oknie. Prawie wytarty napis: *Ani ledodi ve Dodi Li*. Po hebrajsku.

Poczuła w całym ciele nagłą falę gorąca, aż pot oblał jej klatkę piersiową, po chwili zamarzając w lodowaty pancerz. Wiedziała, że gestapo konfiskuje wszystkie żydowskie kosztowności, ale nigdy nie zastanawiała się, co z nimi robi. Tak jak ich właściciele, po prostu znikali.

Śnieg padał coraz bardziej. Jego płatki nie były już lekkie, lecz kłuły jak lodowe szpileczki. Oczy łzawiły od wiatru. Zamrugowała, żeby łzy spłynęły i pozwoliły jej wyraźnie widzieć pierścionek. To była czyjaś obrączka ślubna i Elsie przyszło do głowy pytanie, czy tej nieznannej dłoni brakuje teraz jej ciężaru na palcu.

Oparła się o zasłoniętą kocem skrzynię pod balkonem i mocno wdychała mroźne powietrze, aby serce przestało tak walić.

– A co ty tutaj robisz? – Z drzwi budynku wytoczył się Kremer.

Elsie wsunęła pierścionek na palec.

– Tak gorąco w środku... I chyba szampan niezbyt mi posłużył. Ale już dobrze. – Sięgnęła ręką do klamki u drzwi, lecz Kremer ją powstrzymał.

– Ależ... ty się cała trzęsiesz. Jak długo tutaj stoisz? – Chropowatymi palcami pomasaował jej ramię.

– Powinnam wracać – odparła Elsie.

– Ktoś musi cię rozgrzać. – Zanim zdążyła się odsunąć, Kremer wciągnął ją pod swój płaszcz. Jego oddech zalatywał czerwonym winem i kiełbasą.

– Majorze Kremer, proszę... – Elsie próbowała uwolnić ręce, ale były sztywne i zimne.

– Pachniesz jak córka piekarza. – Nachylił się bliżej. – Czy także smakujesz jak córka piekarza? – Pocałował ją w szyję.

– Puść! Przestań! – krzyknęła.

Kremer zasłonił jej usta dłonią.

– Cicho! – nakazał. – Jeśli będziesz hałasowała... – warknął jej prosto w ucho, po czym

odpiął kaburę pistoletu. – Oficerowie mają rozkaz rozstrzeliwania kobiet szpiegów, gdy te ich uwodzą. – Trzymając ją mocno jedną ręką, drugą szybko zadarł jej spódnicę i przesunął w górę po udzie.

– Wstrętna świni! Jak śmiesz! – Kopnęła go mocno i próbowała się wyrwać. – Ja nie jestem szpiegiem! – Plunęła mu w twarz.

Uderzył ją, aż się obróciła.

– Taka ładna panienka, a taka bojowa. – Popchnął ją na skrzynię i przytrzymał obie ręce uniesione do góry. – Nie chcę ci zrobić krzywdy – mówił, gmerając przy sprzączce od paska.

– Ty bydlaku! – krzyknęła Elsie. – Powiem Josefowi!

Kremer uśmiechnął się.

– Myślisz, że on jeszcze będzie cię chciał, po tym jak się dowie, że mnie uwiodłaś? – Podciągnął szyfon jej sukni i rozpiął spodnie. – I to w taki święty wieczór jak dziś?

– Proszę. – Elsie była przerażona. – Ja nigdy...

Jego uda były szorstkie i gorące; sztywny mundur tarł o jej skórę przez wyszywaną kamyczkami suknię, kłując ją i raniąc.

– Jak myślisz, komu uwierzą, co? Niemoralnej konkubinie czy oficerowi Trzeciej Rzeszy?

– Boże, błagam! – krzyczała.

Kremer ścisnął mocno jej ręce i zaparł się nogami.

Nagle niczym wycie syreny powietrze przeciął straszliwie głośny, jednostajny pisk. Ku zdumieniu Elsie Kremer ją puścił. Upadła na ziemię. Kryształki śniegu spadały na błotniste ślady jego butów.

Upiorny dźwięk rozbrzmiewał nadal. Kremer zapiął spodnie i wyjął pistolet. Skierował go w lewo i w prawo, zanim zlokalizował źródło: drewnianą skrzynię za nimi. Ściągnął przykrycie.

W środku siedział żydowski chłopiec, w kocu narzuconym na głowę, jak postać w szopce. Z zakapturzonej twarzy wydobywał się dźwięk.

– Cicho! – rozkazał Kremer i walnął kolbą pistoletu o drewniane listwy.

Głos chłopca nie ucichł.

– Żydowski diabeł! – Odciągnął spust pistoletu.

Elsie doczołgała się do drzwi budynku, gdzie ujrzała buty wychodzącego Josefa.

– Elsie! – Podniósł ją na nogi. – Co się stało?

Kremer stał z wyciągniętą ręką; wypolerowana lufa celowała w głowę chłopca. Elsie ukryła twarz w ramieniu Josefa.

– Günther, odłóż broń! – huknął na niego Josef.

Chłopiec zamilkł.

– To Żyd. Po co tracić czas i wieść go z powrotem do obozu? – Kremer sięgał palcem do spustu.

Josef wybił mu pistolet z ręki i pocisk ze świstem przeciął sypiące gęsto płatki śniegu.

– Nie masz prawa! – zagrzemiał.

Elsie po raz pierwszy widziała go w gniewie. Tak dzikim, że aż ona cała się trzęsła.

Josef podniósł pistolet z zasypanej śniegiem ulicy i opróżnił magazynek. Naboje bezdźwięcznie spadały na ziemię. Przytknął lufę do czoła Kremera. Nie odzywali się.

Mokry szyfon zeszywniał na mrozie, otaczając Elsie ostrym, lodowatym kokonem. Poczowała smak żelaza. Palec przytknięty do ust zrobił się czerwony. Miała od środka rozciętą wargę, więc possała ją, żeby zatrzymać krwawienie.

Koc zsunął się z głowy chłopca, ukazując białą czaszkę i zapłakane policzki. Broda mu się trzęsła, co przypomniało Elsie, jak jeden jedyny raz widziała swego siostrzeńca Juliusa.

Odwiedzili Hazel w Steinhöring zaraz po jego urodzeniu. Julius płakał w kołysce, domagając się mleka. Jego łyzy wydawały się za wielkie jak na taką małą i kruchą istotę. Podobnie wyglądał ten żydowski chłopiec. Obu miała ochotę wziąć na ręce i utulić.

– Josefie, mój przyjacielu – zaczął Kremer.

Josef przycisnął metal do jego skóry.

– „I wtedy zawoła przed swój trybunał tych wszystkich, którzy dziś posiadając władzę, deptają nogami sprawiedliwość i prawo... – Docisnął pistolet jeszcze mocniej i recytował jak w transie: – ...Którzy przywiedli nasz lud do nędzy i ruiny, a widząc nieszczęście ojczyzny, cenili swoje własne ego ponad życie społeczeństwa”. – Odsunął lufę, pozostawiając okrągłe wgłębienie na czole Kremera.

Josef opanował się.

– Dobrze ci zrobi, jeśli zrozumiesz nasz cel. – Oddał rozładowany pistolet Kremerowi, odchrząknął i pedantycznie poprawił mankiety swej wojskowej marynarki. – Podają deser. – Ujął za ramię Elsie i otworzył drzwi; radosne dźwięki skrzypiec eksplodowały aż na ulicę. – Chodź, Güntherze.

Kremer posłusznie wszedł za nimi.

Chłopiec w klatce był cicho. Elsie miała ochotę jeszcze raz się obejrzeć, lecz patrzyła przed siebie w obawie, by nie zamienić się całkowicie w słup soli.

Rozdział 6

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
10 listopada 2007 r.

Przez resztę tygodnia piekarnia zajmowała się piątkowym weselem, więc Reba przyjechała znów w sobotę, z posta-nowieniem, że zdobędzie to, czego jej trzeba, a być może jeszcze kilka pierników.

Gdy zadźwięczał dzwonek nad drzwiami, Jane odwróciła się od półki z gorącymi bochenkami i bułkami.

– No proszę. Miło panią widzieć. – Obeszła kasę i uściskała Rebę.

Początkowo zaskoczona i spięta, Reba szybko zrelaksowała się w jej objęciach. Zapach perfum Jane – kapryfolium i drzewa sandałowego – przypomniawszy jej dzieciństwo i plażę latem. Spędzały z Didi całe dni, pogryzając słodkie szypułki kwiatowe i budując na wydmach zamki z wyrzuconych przez morze kawałków drewna.

– Panią też – odrzekła, kołysząc się na obcasach do tyłu, jakby chciała z siebie strząsnąć falę nostalgii.

Od oświadczeń Rikiego nie odbierała żadnych telefonów Didi. Za każdym razem, gdy siostra dzwoniła, przekonywała siebie, że to nieodpowiedni moment, że jest zbyt zajęta na rozmowę, że oddzwoni później, i nie robiła tego. Mijał tydzień za tygodniem, a w końcu zebrało się tyle wydarzeń, że jakakolwiek rozmowa była niemożliwa – za dużo na jeden raz. Jutro napiszę e-mail do Didi, obiecała sobie.

– Była pani zapracowana? – zwróciła się do Jane.

– Tak. Jedna dziewczuszka, którą znamy, odkąd nosiła pieluchy, wychodziła za faceta w Las Cruces. Pieczemy wspaniałe weselne torty. – Jane puściła do niej oko. – Proszę podać datę, a dla pani też upieczemy.

– Zanim podejmę decyzję, tort szczerstwieje – odparła Reba.

– Damy dwa razy więcej masy cukrowej. Nie przepuszcza powietrza. A w środku tort pozostaje lekki jak piórko. Szczerze. Jedna z naszych klientek trzymała kawałek w lodówce – nawet nie w zamrażalniku – aż do trzeciej rocznicy, i mówiła, że smakował tak samo jak w dniu ślubu! Nie zmyślam.

Reba roześmiała się w głos i ten śmiech zabrzmiał miło dla jej ucha.

– Założę się, że w nocy okropnie bolały ich żołądki.

– Możliwe, ale na pewno nie poszli spać z pustymi. – Jane odwróciła się w stronę kuchni.

– Mamo! Przyszła Reba z „Sun City” na wywiad.

Przy jednym ze stolików siedział Meksykanin; miał przed sobą paluchy francuskie w czekoladzie i kawę ze śmietanką.

– To Sergio – przedstawiła go Jane. – Stały bywalec.

Sergio skinął głową.

– Nie potrzeba więcej cukru, mój miły? – zapytała.

– Słodczy mam pod dostatkiem. – Wyraźny hiszpański akcent nadawał jego wypowiedzi specyficzną melodię.

Reba poczuła w powietrzu szczególne wibracje; coś takiego czuła zimą, pocierając stopą

otuloną w skarpetkę o miękkim dywan.

– Od jak dawna tu bywa? – zapytała, siadając.

– Hmm... jak długo już jesz moje bułki, Serg?

– Odkąd zaczęłaś liczyć drobne u swojej mamy. – Zamoczył ciastko w kawie.

Jane roześmiała się.

– To był sprawdzian, ale udało mu się wymknąć z zasadzki.

W Rebie rosła ciekawość.

– Miałam wtedy dziewiętnaście lat – ciągnęła Jane. – Pamiętam, jak wszedł tu po raz pierwszy. Nie znał ani krzty angielskiego, nie mówiąc o niemieckim. Wskazał na bułkę i podał mi monety, z których połowa to były peso. – Klepnęła dłonią w udo.

– To bardzo dawno. Ja poza rodziną nikogo tak długo nie znam – wyznała Reba.

– Czas płynie nieubłaganie. Sama zobaczysz, jesteś jeszcze młoda. – Przeniosła wzrok na Sergia, potem znów na Rebę. – Mama przyjdzie za chwilę.

Idąc do kuchni, Jane zatrzymała się i podała Sergiowi serwetkę. Choć o nią nie prosił, przyjął z uśmiechem i wytarł z ust rozpuszczoną czekoladę.

Reba rozłożyła się na stoliku: notes, długopis, dyktafon. Czekając, próbowała sobie wyobrazić dziewczynę z fotografii po z górą sześćdziesięciu latach.

Po chwili zza przesłoniętych drzwi do kuchni wyszła Elsie. Śnieżnobiałe włosy miała przycięte krótko i po bokach spięte brązowymi spinkami. Była przyjemnie zaokrąglona w biodrach, a w talii szczupła. Nosila współczesne w kroju spodnie khaki i kremową bluzkę z podwiniętymi rękawami. Nawet przy swoich siedemdziesięciu dziewięciu latach miała stylowy wygląd i energiczny chód. Przyniosła talerz z dwoma kawałkami chleba z rodzynkami i cynamonem, który postawiła na środku stołu.

– Witam. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Elsie Meriwether.

Reba uścisnęła jej dłoń.

– Reba Adams.

Uścisk Elsie był mocny i ciepły.

– Miło panią poznać. Przepraszam, że nie mogłam rozmawiać ostatnim razem. – Pomimo niemieckich naleciałości mówiła wyraźnie. Usiadła i przysunęła talerz bliżej Reby.

– Jane mówi, że nie może pani jeść mleka, więc upiekłam bez. Dobrze.

Reba nie chciała źle zaczynać wywiadu, więc wzięła kawałek i zjadła.

– Tak – wycedziła. – Bardzo smaczne. – I nie skłamała.

– *Gut* – rzekła Elsie, odłamała kawałek i włożyła sobie do ust. – A więc chce pani ze mną rozmawiać o starości.

Reba przełknęła tak szybko, że lekko się zakrztusiła.

– Nie, nie. Piszę o Bożym Narodzeniu. – Zebrała myśli. – Artykuł dla działu kultury o tym, jak się je świętuje w naszym mieście.

– Niemcy świętują tak jak wszyscy. W Wigilię jemy i pijemy. W pierwszy dzień świąt znów to robimy. Zdaje mi się, że Meksykanie i Amerykanie robią tak samo, prawda? – Elsie uniosła brwi pytająco.

Reba pukała długopisem o notes. To raczej nie była wypowiedź godna przytoczenia. Przynajmniej dla wymowy jej artykułu.

– Czy mogę to włączyć? – zapytała, szukając kciukiem przycisku w dyktafonie.

Elsie wzruszyła ramionami.

– Pod warunkiem, że obieca pani nie publikować tego w Internecie. Nie jestem aż taka stara, żeby nie zauważyć łajna, jakie tam zamieszczają. Same gołe tyłki i ohydny język. Szukałam „babeczki w lukrze” i nie uwierz pani, co mi się wyświetlało.

Reba zakasłała.

– Przez całe swoje życie czegoś takiego nie widziałam.

– Mamo – odezwała się zza kasy Jane. – Reba nie chce słuchać takich rzeczy.

– Już nie powiem, co się działo, gdy próbowałam znaleźć przepis na „galaretkę w czekoladzie”.

Reba pochyliła twarz nad notesem, by ukryć, że się śmieje.

– Mamo!

– Tylko mówię pannie Adams, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Reba chrząknęła, by oczyścić gardło.

– Obiecuję. Nie będzie Internetu. I proszę do mnie mówić Reba. – Nacisnęła klawisz.

Czas nagrywać odpowiedzi. – A więc pochodzi pani z Garmisch w Niemczech, tak? Jane opowiedziała mi trochę o tamtej fotografii. – Reba wskazała na przeciwległą ścianę. – Tej z Wigilii Bożego Narodzenia.

Elsie odłamała rożek chleba, pełen rodzynek.

– To stare dzieje. Dziwię się, że jeszcze nie wyblakła od słońca. Chyba lepiej by było.

Minął szmat czasu. Zaraz potem wyjechałam z Niemiec.

– Czy nigdy pani tam nie wróciła? – pytała Reba. – Tęskniła pani za domem?

Elsie napotkała jej wzrok i długo patrzyła jej w oczy.

– Ludzie często tęsknią za rzeczami, które nie istnieją; które były, ale już ich nie ma.

Więc tam czy tu, i tak bym tęskniła za domem, bo mojego domu już nie ma.

– Uważa pani Stany Zjednoczone za swój nowy dom?

– *Doch!* Ależ skąd! Jestem tu, w Teksasie, tu jest moja córka i tu jest pochowany mój mąż, ale to nie jest dom. Ja już nie znajdę domu, nie na tej ziemi. Taka jest prawda.

Reba wzięła głęboki oddech i oblizała wargi. Trzeba podejść inaczej. Nie idzie łatwo.

– Czy może mi pani opowiedzieć o typowym Bożym Narodzeniu w Niemczech? –

Postanowiła pytać prosto i otwarcie, zdobywać informacje.

– Nie mogę. – Elsie wzięła do ust następny kawałek chleba i żuła go. – Dorastałam w czasie wojny, a wtedy nie było typowych świąt.

– No dobrze. – Reba narysowała w notesie kółko: cel, w który musi trafić. – A tamto Boże Narodzenie? – Pokazała głową na fotografię. – Może pani opowiedzieć o tamtym?

Wzrok Elsie minął Rebę i powędrował ku ścianie, na której wisiała nieco przekrzywiona fotografia.

Rozdział 7

Przyjęcie bożonarodzeniowe partii nazistowskiej
Gernackerstrasse 19
Garmisch, Niemcy
24 grudnia 1944 r.

Siedząc znów przy stole bankietowym obok Josefa, Elsie nadal cała się trzęsła.

– Proszę, zjedz coś gorącego. To ci pomoże – zaproponował.

Choć podano jej ulubiony cynamonowy pudding ryżowy, z trudem przełknęła parującą zawartość łyżki. Był bez smaku i parzył w język, a w piersiach dalej czuła lód.

Josef nie pytał, co robiła z Kremerem na dworze, i tak było lepiej. Nie mogłaby o tym mówić, chociaż bardzo by chciała wstać, pokazać go palcem i wykrzyknąć, jak ją obraził. Lecz on był cenionym oficerem gestapo, a ona – córką piekarza. W sytuacji gdy Hazel uczestniczyła w programie Lebensborn, a dochody rodziny zależały od opieki SS, odpowiedzialność, jaka na niej spoczywała, kazała Elsie zapomnieć o honorze. Milczenie stanowiło dla nich wszystkich ochronę. Przynajmniej na razie.

Kelnerzy zebrali naczynia po deserze. Muzycy zagrali jakiś jazzujący kawałek i pary poderwały się ze swych miejsc w stronę parkietu.

– Proszę, chcę już iść do domu – szepnęła Elsie.

Wzięła rękawiczki z oparcia krzesła i wsunęła je na palce, przykrywając nowo nabyty pierścienek. Wypukłość diamentu i rubinów zakłócała doskonałą dotąd symetrię.

Josef ujął ją za brodę, przyciągnął ku sobie i spojrzał jej badawczo w twarz. Odwróciła wzrok. Ujął ją za rękę i pocałował w kostki dłoni.

– Oczywiście, panno Schmidt.

Kilka minut później wyprowadzał ją z sali bankietowej srebrzystym korytarzem do oczekującego z zapalonym silnikiem i już nagrzanego czarnego samochodu. Szybko przejechali przez miasto i zaparkowali przed piekarnią. W oknie na górze migotało światło. Mutti pewnie na nią czeka.

Odkąd Elsie i Josef wstali od stołu, nie odzywali się do siebie. Elsie, wciąż zmieszana i zszokowana ohydny zachowaniem Kremera, obawiała się gniewu Josefa czy wręcz tego, że uzna ją za winną tego hańbiącego incydentu ze swym kolegą. Bawiła się guziczkami rękawiczek na nieco obluzowanych nitkach.

– Przepraszam, że przeze mnie musiałeś wcześniej wyjść. – To wszystko, co była w stanie powiedzieć bez uczucia panicznego lęku.

Musiała zachować spokój. Okazanie zbyt wielu emocji mogło w nim wzbudzić podejrzenia, że oskarżenia Kremera o szpiegostwo są słuszne.

– Ja i tak nie gustuję w późnych przyjęciach – odparł Josef, nie patrząc na nią, tylko za okno. – Przepraszam za to, co się stało. Mam nadzieję, że nic sobie nie zrobiłaś.

Elsie dotknęła palcem wargi. Przestała już krwawić, ale zaczynała puchnąć.

– Nie. – Przełknęła gorzyc.

Josef odetchnął, lecz jego uwaga nadal krążyła gdzie indziej.

– Kremer jest dobrym oficerem. Dziś wieczór za dużo wypił. Zachowanie nie do przyjęcia. – Odchrząknął. – Ożenił się z rozsądku, nie z miłości. Czasem więc szuka jej tam, gdzie nie powinien.

Elsie kiwnęła głową, ale ciało miała sztywne z napięcia jak metalowy dziadek do

orzechów. Zanim Josef odwrócił się w jej stronę, wziął głęboki wdech.

– Dotąd jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi, Elsie.

I wtedy to ona odwróciła twarz w stronę drzwi piekarni. Jakżeby chciała już być bezpiecznie w środku, tam gdzie sennie rosły drożdżowe bułki. Musiała mu powiedzieć, co czuje. Ona to nie mama. Dla niej nie wystarczyło być po prostu dobrą żoną i włos jej się jeżył na myśl o „małżeństwie z rozsądku” majora Kremera. Chciała dużo więcej. Chciała czuć takie podniecenie, jakie czuła, gdy Myrna Loy w *Romantycznej pułapce* prosiła Williama Powella, żeby się z nią ożenił. „Ruszamy na Księżyc” – powiedział Powell tuż przed pocałowaniem Loy. Tego właśnie pragnęła Elsie: Księżycy.

Odciążone ze śniegu chmury rozpościerały się nisko, przesłaniając Zugspitze i świecące gdzieś ponad górą gwiazdy, a całą dolinę otuliły kokonem niekończącej się zimy.

– Ja... – Zmusiła się, by spojrzeć Josefowi w oczy. – Ja nie mogę... – zaczęła, lecz Josef jej przerwał.

– Rozumiem. To twoje pierwsze oficjalne przyjęcie, Wigilia Bożego Narodzenia, oświadczyń i... – Potarł głowę kciukiem. – Tyle rzeczy jednego wieczoru. – Dotknął jej dłoni swoją ciepłą dłonią, a ona zapragnęła, by rozgrzał nią całe jej ciało, by je roztopił jak cukier na karmel. Josef otworzył drzwiczki i do środka auta wdarł się ziąb. – Przyjdę złożyć twojej rodzinie świąteczne życzenia.

Drżała z zimna. Miał rację: zbyt wiele tego wszystkiego jak na jeden wieczór. W Boże Narodzenie wszystkim im należało się trochę spokoju. Wy tłumaczy mu później. Skinęła głową na dobranoc i wystawiła nogę z samochodu.

Josef przyciągnął ją z powrotem.

– Elsie?

Odwróciła się powoli, w obawie, że jednak zada to pytanie. Lecz zamiast tego Josef ją pocałował. W przeciwieństwie do mokrych ust Kremera i jego ostrych zębów na swojej szyi poczuła miękkie, precyzyjne dotknięcie warg Josefa. Było niczym lukier na ciasteczkach anyżowych. Wstrzymała oddech, jakby bała się zepsuć ich piękny wzór.

– Do zobaczenia jutro.

– Jutro – wyszeptała Elsie.

Wyszła z samochodu, ślizgając się na świeżym śniegu w swoich zniszczonych pantoflach. Klamka u drzwi była przymarznięta i musiała ją mocno szarpnąć, żeby drgnęła. Za ciemnym oknem samochodu Josef obserwował i czekał, aż Elsie wejdzie do środka. Dopiero wtedy ruszył.

Zamknęła drzwi. Zamek trzasnął metalicznie i zrobiło się cicho. Żadnych skrzypiec ani żydowskich słowików, żadnych porywów wichru czy krzyków. Nic prócz miarowego tykania zegara z kukułką. Odłożyła torebkę i wysunęła nogi z maminych pantofli. Zimne kafelki podłogi były cieplejsze od jej stóp.

– Elsie? – odezwał się cichy głos mamy. – To ty?

Elsie owinęła się szczelnie peleryną i podeszła do schodów. Na górze stała Mutti w nocnej koszuli, trzymając lichtarz ze świecą, której migotliwe światło pełzało po schodach.

– Tata zasnął, ale ja nie mogłam. Jak się udał bal? – zapytała dość żwawo jak na tę późną porę.

Elsie najchętniej rzuciłaby się mamie do stóp, zanosząc się płaczem aż do spazmów, ale nie była już dzieckiem i brzemień dorosłości przykuło ją do miejsca.

– Robiłaś to, co ci mówiłam? Byłaś grzeczna i miła? Czy Josef był zadowolony?

– Z zapartym tchem czekała na odpowiedź córki.

– *Ja*. – Elsie poczuła jeszcze większą gulę w krtani. Przełknęła ślinę, lecz to nie pomogło. Mama uśmiechnęła się do niej.

– Masz szczęście, Elsie. Josef to przystojny mężczyzna.

Elsie kiwnęła głową.

– Idź już spać, proszę. Jest późno. Bo się rozchorujesz.

– *Ja*, dobranoc. Wesołych świąt, kochanie.

Światło świecy oddalało się i w końcu znikło. Elsie poszła do kuchni, rozpałała ogień w piecu i nastawiła czajnik z wodą. Na posypanym mąką drewnianym stole leżały serca z piernika, *Lebkuchen*. Lukrowane wzory z zawijasków i kropek zastygały przez noc. Papa zrobił ich pięć: dla Maxa, Luany, Hazel, Elsie i Juliusa. Tradycyjnie zawsze wstawał pierwszy i wieszał je na najgrubszych gałęziach świątecznej choinki.

Z czajnika już leciała para. Rozpięła rękawiczki i zaczęła je zdejmować. Pierścionek zaczepił o delikatny materiał. Odczepiła go, obejrzała dziurkę i wyciągniętą nitkę. Nawet Mutti tego nie naprawi. Pierścionek połyskiwał w świetle płomienia kuchenki. Zdjęła go i poszukała hebrajskich liter na spodzie. Choć nie mogła ich dojrzeć, wiedziała, że tam są. Położyła pierścionek na stole i roztarła odcisnięte na palcu wgłębienie. Pomyśli o tym jutro. Ten wieczór i tak już trwa za długo. W głowie jej szumiało, oczy piekły. Pragnęła tylko napić się czegoś gorącego i wejść pod pierzynę.

Para unosząca się z czajnika wyglądała w ciemnościach jak jakiś gniewny duch. Elsie podniosła czajnik z ognia i wzięła trochę rumianku z wiszącego zbioru ziół mamy. Nagle poczuła na nogach lodowaty powiew zimna. Drzwi kuchenne były zamknięte na łańcuch, lecz uchylone. Przy pozostawionej szparze w pojemniku z lodem leżał karp, nie większy niż rozłożona dłoń Elsie. Tradycyjnie w Wigilię Bożego Narodzenia trzymano karpie na zewnątrz. Jedni twierdzili, że miał je błogosławić sam Święty Mikołaj. Według innych chodziło o to, by ryba przesiąkła zapachem alpejskiego powietrza. W ostatnich latach ta tradycja zanikła. Ludzie byli w desperacji. Kawalek bekonu wyrzucony psu chwytały dłonie głodującego. Elsie domyślała się, że Papa musiał sprzedać bardzo dużo pieczywa na czarnym rynku, żeby kupić tę małą rybę. Wysiłki Mutti, by podtrzymać tradycję, pozostawiając niedomknięte drzwi, robiły wrażenie bezsensownego przeżytku z dawnych, szczęśliwszych czasów, jednak Elsie nie mogła wyrzucić mamie, że każdego dnia robiła pewne rzeczy po swojemu. Nocne powietrze przesycone było zapachem palonej sosny. Zaciągnęła się nim głęboko.

Metalowe oczka łańcucha u drzwi pokryły małe igielki lodu. Odłamała je i wyrzuciła na dwór. Gdy poszybowały na śnieg, coś w ciemności zaszurało. Elsie zamarła i wstrzymała oddech.

– Kto tam?

Wokół padał śnieg. Zesztywniałe pnie drzew skrzypiały na wietrze.

To śnieg płała jej figle, stwierdziła. Tego wieczoru nie jadła wiele i pierwszy raz w życiu piła szampana. Aż dziwne, że nie widziała białych myszek. Grzbietem dłoni dotknęła policzka. Nie wypiła jeszcze rumianku, a chyba już miała gorączkę. Szybko do łóżka, ot co.

– Proszę.

W dole drzwi pojawiła się jakaś wychudzona, blada twarz.

Elsie podskoczyła, strącając na podłogę koszyczki rumianku.

– Proszę – powtórzyła postać, wyciągając rękę – po-móż mi.

Elsie rzuciła się do tyłu, zgniatając suszone zioła pod stopami.

– Idź stąd – syknęła. – Ty... ty duchu. Wynoś się stąd. – Podniosła wrzący czajnik. Ręka cofnęła się.

– Szedłem za waszym samochodem.

– Co?

Serce Elsie biło coraz szybciej. Uniesiona z ciężkim czajnikiem ręka drżała.

– Oni mnie zabijają. – Pochylił się i wcisnął twarz w szczelinę uchylonych drzwi, unosząc

ku niej wzrok.

Wtedy go poznała. To był ten śpiewak, żydowski chłopiec.

– Co ty tu robisz?

– On uszkodził klatkę, otworzyła się, więc uciekłem – powiedział.

– Uciekłeś? – Odstawiła czajnik. – O Boże. – Potarła skronie, gdzie narastał ból. – Jeśli cię tu znajdują, aresztują nas wszystkich. Idź sobie! – Odpędzała go od drzwi. – Idź stąd!

– Ja ci pomogłem. Proszę, pomóż mi.

Stał przyciśnięty do framugi. Oddychał szybko i ciężko. Skórę miał siną od mrozu.

Był dopiero chłopcem, w podobnym wieku co Julius. Tak samo zły czy niebezpieczny jak każdy chłopiec, żydowski czy niemiecki. Zginie tam, czy to od sił przyrody, czy z ludzkiej ręki. Mogłaby go ocalić, gdyby tylko otworzyła łańcuch.

Wiatr smagał mu twarz, grube płatki śniegu oklejały rzęsy.

Przypomniała sobie oskarżenia Kremiera. Najpewniej już ludzie mówili o niej i jej rodzinie. Jeśli chłopiec tu zostanie i umrze na ich schodach, gestapo niewątpliwie uzna, że brała udział w jego ucieczce. Zamknęła oczy. W głowie jej pulsowało. To było jeszcze dziecko. Nic ważnego ani groźnego. Mogła go jutro wyprowadzić, pokazać mu w lesie szlak do Eckbauer i puścić go tam jak w bajce o Jasiu i Małgosi. Jakie to ma znaczenie? Jeden chłopiec. Jeden Żyd. Zapragnęła, żeby po prostu zniknął.

Na zewnątrz z ulicy dochodziły jakieś głosy, chrzęst lodu, ujadanie psów. Nadchodzili. Elsie podeszła, odblokowała łańcuch i wciągnęła zziębnięte dziecko do kuchni, a drzwi zamknęła. Był mniejszy, niż wydawał się na tamtej scenie. Nadgarstki miał cienkie jak małe ciasteczka migdałowe, a palce jak laseczki wanilii.

– Szybko – powiedziała. – Musisz się schować.

Słychać już było wyraźne krzyki i szczekanie psów.

Elsie rozejrzała się po kuchni. Nie było w niej żadnego schowka. Jedynym, jaki miała, była niska wnęka w ścianie jej sypialni na górze, ale tam nie zdążą dojść. Było tylko jedno wyjście. Elsie otworzyła piec jeszcze ciepły po całym dniu wypiekania. Podniosła chłopca, który ważył zaledwie tyle, co podwójna porcja ciasta na precle.

– Tu będziesz bezpieczny – powiedziała.

Kościstymi palcami wczepił się w jej rękę.

Przez wąskie okno kuchni przemknęło światło. Musieli się pospieszyć. Ich oczy się spotkały.

– Tak jak powiedziałeś, ty mi przedtem pomogłeś, więc teraz mi zaufaj.

Rozluźnił uścisk i wsunął się głębiej w czarny od sadzy otwór.

– Masz. – Elsie zdjęła pelerynę. – Przykryj się.

Wziął okrycie i zrobił, jak kazała.

Zamknęła piec spoconymi dłońmi. Pot spływał jej także z górnej wargi. Zegar z kukułką wybił północ i dwie drewniane figurki wynurzyły się z jego małych drzwiczek, obracając się w tańcu, znikły i znów wróciły. We frontowych oknach zajaśniało światło reflektora, po czym rozległo się walenie do drzwi. Zaczął się dzień Bożego Narodzenia.

Ebook zakupiony w koobe.pl, nr transakcji #42967

Rozdział 8

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
10 listopada 2007 r.

– Tamto Boże Narodzenie było okropne – powiedziała Elsie.
– Dlaczego? – zapytała Reba, postukując długopisem.
– Było straszliwie zimno. Rozchorowałam się. Prawdopodobnie na zapalenie płuc, ale kto to wie? Nie było normalnego dostępu do lekarza. Była wojna. Ludzie umierali... ten chleb z rodzynkami jest smaczny. – Dokończyła swoją kromkę, obsypując sobie bluzkę grudkami cynamonu. – Dodam go do naszego menu. – Odwróciła się w stronę kasy. – Jane, upiecz więcej tego chleba. Będziemy go nazywać Chlebem Reby. – Odwróciła się z powrotem. – Smakuje ci, ja?

Reba pospiesznie skinęła głową i ciągnęła dalej wywiad, chcąc utrzymać uwagę Elsie na tym wątku.

– Ale na zdjęciu jest pani odświętnie ubrana. Dokąd się pani wybierała?

Elsie usunęła spomiędzy zębów skórkę rodzyнки. Reba słuchała, jak buczy obracająca się w dyktafonie kasetą.

– Na przyjęcie partii nazistowskiej – odparła w końcu.

Dłoń Reby uniosła się nad notesem. To było ciekawsze, niż się spodziewała. Starła się mówić obojętnym tonem.

– Pani była nazistką?

– Byłam Niemką – odrzekła Elsie.

– A więc popierała pani nazistów?

– Byłam Niemką – powtórzyła Elsie. – Bycie nazistą to status polityczny, a nie etniczny. Nie jestem nazistką, dlatego że jestem Niemką.

– Ale szła pani na przyjęcie do nazistów?

– Pewien oficer zaprosił mnie na *Weihnachten*... przyjęcie bożonarodzeniowe. Więc poszłam.

Reba kiwnęła głową z zadumą w oczach. Piec zabrzęczał i Jane poszła z powrotem do kuchni.

– Było tak samo jak tutaj. Można kochać i wspierać swoich synów, braci, mężów czy ojców, naszych żołnierzy, nie popierając programu polityki wojennej. W Fort Bliss spotykamy się z tym na co dzień. – Odchyliła się w tył na krześle.

Reba odchrząknęła.

– Nie można porównywać reżimu nazistowskiego z Amerykanami w Iraku. To zupełnie co innego.

Elsie nawet nie drgnęła powieka.

– A czy my wiemy wszystko, co się tam dzieje? Nie. Tak samo było wtedy.

Wiedzieliśmy, że to nie było dobre, lecz baliśmy się zmienić nawet to, co nam było wiadome, a jeszcze bardziej baliśmy się odkryć to, o czym nie wiedzieliśmy. To był nasz dom, nasi ludzie, nasze Niemcy. Popieraliśmy naród. Oczywiście, teraz obcym jest łatwo patrzeć wstecz i oceniać.

– Uniosła rękę. – No więc tak, poszłam na przyjęcie partii nazistowskiej z nazistowskim oficerem. Nie wszyscy oni byli potworami. Nie każdy był Hitlerem czy doktorem Mengele.

Część była zwykłymi ludźmi, niektórzy nawet dobrymi ludźmi. – Westchnęła. – Próbowaliśmy normalnie żyć. A to było trudne.

– Czy była pani kiedykolwiek świadkiem przemocy wobec Żydów? – Reba opornie artykułowała słowa.

Jak się zadaje takie pytania?

Elsie zmrużyła oczy.

– I tak, i nie. Co za różnica? Nigdy nie wiadomo, gdzie leży prawda. Jeśli powiem, że nie, czy to uczyni mnie dobrą osobą? Nieświadomą wszystkiego, co pani wie na temat Holokaustu i nazistowskich Niemiec? A jeśli powiem tak? Czy to uczyni mnie złą? Czy zrujnuje całe moje życie? – Wzruszyła ramionami i strzepnęła ze stołu na podłogę jakiś okruszek. – Wszyscy mówimy o sobie drobne kłamstewka, o naszej przeszłości i czasie obecnym. Uważamy niektóre z nich za maleńkie i nieistotne, a inne za wielkie i obciążające. Ale one są takie same. Jedynie Bóg zna dość faktów, by osądzać nasze dusze. – Patrzyła przenikliwie swymi oliwkowymi oczami. – Wyznałam pani jeden ze swoich sekretów. Teraz pani kolej.

Serce Reby przyspieszyło.

– Moja kolej? – Zaśmiała się nerwowo. – Nie, nie. To ja przeprowadzam wywiad z panią.

– To niesprawiedliwe. – Elsie splotła ręce na piersiach. – Nie powiem więcej ani słowa do pani dyktafonu, jeśli pani nie odpowie na moje pytania.

Reba ważyła w myślach, co robić. Jeszcze nigdy nie przeprowadzała wywiadu z osobą, która nie rozumiała tradycyjnej procedury: dziennikarz pyta, udzielający wywiadu odpowiada. I tyle. Nie stosowało się odwracania ról. Jednak termin naglił coraz bardziej. Nie było czasu na przepychanki.

– Okej. Więc co pani chce wiedzieć? – Ustąpiła.

– Jane mówi, że jest pani zaręczona. Jak ma na imię narzeczony?

Reba westchnęła.

– Riki.

– Czy to dobry człowiek?

– Taki sam jak wszyscy.

– Czym się zajmuje, jaki ma zawód?

– Pracuje w Straży Granicznej Stanów Zjednoczonych.

– Straży granicznej! – Elsie zaśmiała się. – No to ma tutaj dużo roboty.

Sergio dopił ostatnią filiżankę kawy.

– Miłego dnia, drogie panie. – Oddał puste naczynia Jane, znów przy kasie, i zdawało się, jakby ich dłonie dotykały się dłużej niż potrzeba.

– Do zobaczenia *mañana* – powiedziała Jane.

Wychodząc, pogładził się wymownie po brzuchu.

– Te wasze pączki do grobu mnie wpędzą, pani Meriwether.

– Powtarzasz to już od lat – odparła Elsie.

– Przynajmniej zejdziesz z uśmiechem na ustach i brzuchem pełnym cukru! – Jane roześmiała się.

Skłonił się jej, salutując do wymyślanego kapelusza. Drzwi zadzwoniły, zamykając się.

– Wygląda na dobrego klienta – zauważyła Reba.

– Taki sam jak wszyscy – odparowała Elsie. – Więc proszę mi wytłumaczyć, dlaczego nie ustaliła pani z tym Rikim daty ślubu?

Reba odwróciła się do Jane z jękiem. Jane wzruszyła ramionami.

– Przepraszam, nie mówiła pani, że to tajemnica.

Reba wyprostowała się.

– Po prostu jeszcze jestem niegotowa.

– Niegotowa! Czy pani go kocha? – dopytywała się Elsie.

Jej bezpośredniość zbiła Rebę z tropu. Odruchowo bawiła się długopisem.

– Oczywiście. Nie powiedziałabym „tak”, gdybym nie kochała, prawda?

Elsie pochyliła się.

– Więc posłuchaj mojej rady: nie tak często los daje nam dobrego mężczyznę do kochania. To fakt. Wszystkie te filmy i seriale telewizyjne, gdzie ciągle powtarzają „Kocham, Kocham!”. Single i singielki wybierają sobie ludzi jak czekoladki z pudełka... fe! Bez sensu. To nie jest miłość. To tylko mieszanie potu i śliny. Dobra miłość... – pokręciła głową – ...nie przychodzi często. Wczoraj wieczorem słyszę w wiadomościach: „Pięćdziesiąt procent małżeństw kończy się rozwodem” i dziennikarz mówi: „Ach, to straszne. Czy możecie uwierzyć?”, a ja mówię: tak, mogę, bo ci ludzie oszukiwali siebie samych i partnerów. To wszystko słodka zabawa, serduszka, żarty. Tak naprawdę każdy ma swoją ciemną stronę. Jeśli ją widzisz i potrafisz zaakceptować własną, a on widzi i akceptuje swoją, to coś macie naprawdę. – Wskazała na wisiołek na piersiach Reby. – Noś ten pierścionek albo go oddaj. Taka jest moja rada.

W piekarni było pusto. Była spokojna pora między śniadaniem a lunchem, podczas którego robiło się tłoczno.

– Mogę przeszkodzić? – Do stolika podeszła Jane z miską kremu. – Mamo, spróbuj. Ten krem ma dziwny posmak.

Elsie zanurzyła w nim palec i polizała.

– Wyrzuć to – poleciła. – Zepsute białko.

– W misce wyglądało ładnie. – Jane tupnęła nogą. – Cholera, muszę dziś po południu przygotować jubileuszowy tort.

– To nie twoja wina. Czasem nie da się czegoś stwierdzić, nie próbując – powiedziała Elsie.

Rozdział 9

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
25 grudnia 1944 r.

Na górze Mutti i Papa poruszyli się. Elsie zgarnęła rozsypany rumianek pod stół, żeby nie był widoczny. Odrobinę, która jej została, włożyła do kubka i zalała gorącą wodą. Jej ręka była zaskakująco pewna. Pierścionek od Josefa leżał na ubrudzonej mąką desce.

Na zewnątrz znów ktoś walił w drzwi i głośno krzyczał.

– Co się dzieje? – zabrzmiał na schodach głos Papy, który włączył lampę elektryczną. – Już idę, już.

Elsie ukryła pierścionek w dłoni w momencie, gdy do kuchni przydreptała Mutti.

– Elsie, o co chodzi?

– Nie wiem. Właśnie piłam rumianek, a tu nagle... – Odwróciła się tyłem do matki, wrzuciła pierścionek do kubka i starała się nie patrzeć w stronę pieca.

Weszło czterech gestapowców z pistoletami. Dwóch stanęło po bokach taty.

– Szukajcie, gdzie chcecie – powiedział. – Nie mamy nic do ukrycia. Wielkie nieba, jest środek nocy, i to Wigilia.

– Przepraszam, Herr Schmidt, ale mamy taki rozkaz – oznajmił przysadzisty żołnierz z liściem dębu po obu stronach kołnierza.

– Co się stało? – zapytała Mutti. Stała boso na kafelkach i drżała z zimna.

– Żyd uciekł – odparł mężczyzna.

– Tutaj nie ma Żydów, panie Standartenführer – odparł Papa i poklepał piec piekarski. – Tylko ciasta i pieczywo.

Dreszcz przeszył Elsie, aż jej się zjeżyły włosy na rękach.

– A ty gdzie byłeś? – żołnierz zwrócił się do Elsie, stojącej w ubraniu obok rodziców w szlafmycach.

– Wróciła z waszego przyjęcia – wyjaśnił Papa. – Z podpułkownikiem Josefem Hubem.

– Miałam wspaniały wieczór, aż do teraz – stwierdziła sucho Elsie.

– Przykro mi, że go zakłócam. To nie powinno potrwać długo – zapewnił Standartenführer. – Możemy? – Wskazał gumową pałką.

– Tak, oczywiście, idźcie... Szukajcie, gdzie chcecie – odrzekł Papa.

Dwóch poszło na górę, stukając butami w starą podłogę. Pozostali dwaj zostali w kuchni. Mutti sapnęła ze złością.

– Zostawiłam na górze swój gorset – szepnęła.

Elsie podniosła wzrok do nieba. Z opisu koronkowych gorsetów przysyłanych Hazel w prezencie przez towarzyszy z SS domyślała się, że tacy mężczyźni widywali dużo bardziej lubieżne nowinki.

– Nie sądzę, żeby ich krępowała twoja stara bielizna, Mutti.

– Cicho – zgromił je Papa.

Elsie przesunęła kubek dalej od krawędzi i założyła ręce na piersi. Mutti trzymała koszulę nocną przy brodzie. Jeden z żołnierzy odchrząknął i poszedł przeszukać front domu. Drugi ich strażnik spacerował po kuchni. Zatrzymał się przy piecu i powiedział do Papy:

– Pana pierniki to moje ulubione. Upiecze pan więcej?

– W Boże Narodzenie mamy zamknięte.
Żołnierz pokiwał głową.
– Ale jest ciepły? – Dotknął ręką metalu.
Serce Elsie dudniło w piersi jak szalone, mięśnie napięły się do granic.
– *Doch*, ceglane piece nie stygną przez noc na lód. – Papa ziewnął i podrapał się w szyję.
Żołnierz zauważył ziewnięcie; zdjął czapkę i potarł brew. W świetle lampy Elsie zobaczyła, jaki był młody. Nie miał więcej niż piętnaście lat.
– Proszę. – Papa podszedł do tacy i odsłonił kupkę połamanych pierników. – Proszę wziąć, ile pan chce. Te się pokruszyły. Ale smakują tak samo.
Żołnierz wahał się tylko przez ułamek sekundy.
– Dziękuję, Herr Schmidt.
Podszedł do Papy i napakował sobie pierników do przedniej kieszeni munduru. Przestał natychmiast, gdy wrócili towarzysze.
– Czysto – orzekł Standartenführer. – Chodźmy do następnego. *Gute Nacht*.
Żołnierze wyszli, ale najmłodszy jeszcze się ociągał.
– Wesołych świąt – powiedział, a z jego oczu biła młodość i tęsknota za snem.
– Szczęśliwych świąt dla pana i pana rodziny – odwzajemnił się Papa.
Żołnierz uśmiechnął się z zażenowaniem i pobiegł za swym oddziałem. Papa zaryglował za nimi drzwi.
– Nie do wiary! – Mutti stuknęła paznokciami w drewniany blat. – Żyd uciekinier!
W wigilię narodzin naszego Zbawiciela. Niewiarygodne.
Głowa Elsie zaczęła znów pulsować. Ściany zakółsały się. Łyknęła słabej herbatki, letniej już i nieco gorzkawej. Z dna kubka załśniło złoto. Postawiła go obok miski z ciastem na *Christstollen*, które rosło pulchne pod lnianym przykryciem – Papa będzie piekł bożonarodzeniową struclę na śniadanie. Rodzice muszą już pójść na górę, a wtedy ona uwolni chłopca.
– Zostawiłam tu otwarte. – Mutti powoli przesunęła ręką po zamkniętych drzwiach kuchennych, aż do luźno wiszącego łańcucha. – Dla karpia. – Pytająco zwróciła twarz do Elsie.
– Chodźmy już spać! – zawołał Papa ze schodów.
Elsie poczuła, że drętwieją jej palce rąk i nóg.
– Było mi zimno.
Papa tymczasem człapał już na górę. Przez długą chwilę patrzyły sobie w oczy. Pot spływał Elsie rowkiem między piersiami.
– Przepraszam. – Starala się mówić beztrósco.
Mutti założyła z powrotem łańcuch i uchyliła drzwi. Potem rozejrzała się po kuchni.
– Jesteś zmęczona – powiedziała na koniec. Lodowaty podmuch podwiewał jej koszulę, otuliła się własnymi rękami. – Dokończ herbatę i idź prosto do łóżka. – Doszedłszy do schodów, jeszcze raz zatrzymała się i obejrzała wszystko wokół, po czym weszła powoli na górę.
Dopiero wtedy ręce Elsie zaczęły się trząść. Wylała zioła i wyjęła pierścionek. Nie wiedząc, gdzie ma go schować, założyła z powrotem na palec. W domu zrobiło się cicho i pragnęła, by tak pozostało; żeby w piecu nie było nic prócz węgla i popiołu. Chciała już wśliznąć się pod pierzynę i udać, że ten wieczór był koszmarnym snem.
W małym oknie kuchennym zobaczyła jakąś starą, zmęczoną kobietę w bieli. Obejrzała się przez ramię. Kobieta też. I wtedy poznała siebie, odetchnęła i przeczesła ręką włosy. Co ma zrobić? Powinna tego chłopca wypuścić na dwór, na śnieg. Wkrótce znajdzie go gestapo i wróci na swoje miejsce. Elsie skuliła się na myśl, że trafi do obozu pracy, taki chudy i słabowity. Lecz jeśli go znajdą w piekarni, jej rodzina może stracić wszystko. Zakręciło jej się w głowie i musiała

się przytrzymać rygla pieca, żeby nie upaść. Żałowała tego, co wcześniej zrobiła. Powinna zamknąć drzwi i zakończyć sprawę z Żydem. Ale nie zrobiła tego. No i co teraz?

Ostrożnie otworzyła drzwiczki pieca. Z ciemnego otworu wynurzyła się blada twarzączka, niczym księżyc zza czarnej chmury.

- Jak masz na imię? – zapytała.
- Tobias – wyszeptał.
- Chodź. – I wyciągnęła do niego rękę.

Rozdział 10

Noc kryształowa
Albertgasse 12
Monachium, Niemcy
9 listopada 1938 r.

Podporucznik Josef Hub stał u progu domu; w kaburze miał pistolet, w ręku ciężki młot. Jego trzech podkomendni czekali w gotowości, by ich poprowadził zgodnie z rozkazami gestapo. Jednak dwudziestotrzyletni oficer zatrzymał się, niepewny siebie i siły swych rąk przeciwko tym drzwiom. Żółta gwiazda nie podpowiadała mu, co robić. Użycie mosiężnej kołatki, teraz pomazanej farbą z litery „u” w napisie *Juden*, wydawało się w tej sytuacji nie na miejscu.

– Czy najpierw wybijemy szyby w oknach? – spytał Peter Abend, dziewiętnastoletni wychowanek Hitlerjugend.

Szeregi pełne były żołnierzy podobnych do Petera, chłopców, którzy dopiero co wyrosli z krótkich spodenek i przybywali do miast, by zademonstrować swe całkowite oddanie Rzeszy. Głowy mieli pełne naiwnych historii o chwale wojennej, w rękach karabiny, a ich życiu nagle zaczął przyświecać nowy cel, wykraczający poza siano w stodole czy świńską zagrodę. Żaden z nich nie studiował na uczelni. Wszyscy byli adeptami jednej szkoły myślenia i zwolennikami jednego toku działania.

– *Nein* – odparł Josef. – Walnął młotem w drzwi. – Otwierać!

I nic.

– Otwierać albo wejdziemy siłą.

Cisza.

Czas działać. Miał wyraźny rozkaz. Nosił mundur, odbył służbę w szeregach, kroczył noga w nogę w wielkiej paradzie na cześć Führera. Czas odegrać swoją rolę, wbrew wszelkim zastrzeżeniom i osobistym przekonaniom. „Jednostka powinna wreszcie uświadomić sobie, że jej własne ego jest nieważne w porównaniu z istnieniem narodu”. To były słowa Hitlera. Jedność narodu. Czyste Niemcy.

Ociągając się, dmuchnął w gwizdek, a trzech młodzi członkowie SA przypuścili szturm na znajome mu drzwi. Z początku dębowe drewno opierało się, lecz potem pękło i framuga się przełamała. W środku głośno zawodziła kobieta.

– Przyszliśmy tu z rozkazu Trzeciej Rzeszy po Herr Hochschilda – oznajmił Josef.

Rodzina skupiła się w gromadkę w ciemnym korytarzu. Frau Hochschild stała solidarnie obok męża, a za nimi czwórka dzieci. Trzy dziewczynki płakały, wołając „Papa”, a najmłodszy, czteroletni chłopiec dzielnie trzymał dłoń ojca.

Herr Hochschild wystąpił krok do przodu.

– Nie popełniłem żadnej zbrodni.

– Jest pan Żydem. Jest pan z natury agresywny – odrzekł Peter.

– Cicho – rzucił Josef.

Peter umilkł, ale głośno odbezpieczył pistolet. To samo zrobili pozostali dwaj żołnierze obok niego. Josef wysunął się do przodu.

– Herr Hochschild, proszę iść z nami, a pańskiej rodzinie nie stanie się żadna krzywda. Zaręczam słowem.

Mógł wykonać ten rozkaz bez stosowania barbarzyńskich metod. Jako oficer niemiecki czytał *Mein Kampf*. Rozumiał, że retoryką można przekonać jednostkę czy grupę prędzej niż

jakąkolwiek siłą dostępną na planecie. Chłopcy-żołnierze, którymi dowodził, nie wiedzieli nic; znali tylko dążenie do celu i techniki militarne.

– Niech pan to zrobi dla swoich dzieci i pójdzie. – Wskazał na drzwi.

Herr Hochschild podszedł bliżej, wyłaniając się z cienia.

– Josef? – zapytał. – To ty?

Josef pochylił głowę tak, żeby brzeg czapki rzucił cień na twarz.

– To ty, Josefie, znasz mnie przecież.

Ano znał. Herr Hochschild był jego profesorem literatury. Wykładał na Uniwersytecie Monachijskim, gdzie Josef studiował przez jeden semestr. Było to przed laty, zanim żydowskich profesorów wydalono, a jego powołano do SS.

W tamtym okresie przychodził do tego domu na kolację i był goszczony przez Frau Hochschild, roześmianą kobietę o migdałowych oczach, która mówiła, że zawsze nosi szmaragdy, bo pasują do jej ciemnych włosów. Teraz nie miała ich na sobie. Cała żydowska biżuteria została skonfiskowana na sfinansowanie Nowego Porządku. Choć jak wiedział, część jej wisiała w uszach żon jego dowódców.

Dziewczynki, gdy je widział ostatnio, były malutkie. Opiekowała się nimi surowa austriacka pielęgniarka, która potępiała karmienie dzieci słodyczami. Josef dowiedział się o tym szybko, gdy przyniósł w prezencie hałaśliwej gromadce torebki kolorowych żelkowych misiów, a ona natychmiast je przechwyciła. Teraz dzieci patrzyły na niego znad zapadniętych policzków, tuląc się do siebie w korytarzu.

Dom również wyglądał wtedy inaczej. Był rzęście oświetlony lampami elektrycznymi, co sprawiało, że kwiaty na tapecie zdawały się wyrastać wprost ze ścian. Przypominały mu ogródek ziołowy jego matki latem. Teraz ten „kwietnik” był podarty i nadpalony przy elektrycznych przewodach. W korytarzu czuło się zapach dymu i pleśni. A było to takie radosne miejsce. Josef nie mógł powstrzymać bolesnego grymasu na twarzy na dźwięk znajomego głosu Herr Hochschilda. Ten sam głos, który dyskutował z nim o Goethem i Brechcie, który przy kominku nad szklanką ciemnoczerwonego wina czytał Novalisa i Karola Maya. Przez chwilę pragnął móc zamknąć oczy i cofnąć świat do tamtych prostszych czasów.

– Nie mogę zostawić swojej rodziny – prosił Hochschild, wyciągając ręce do Josefa.

– Nie podchodź bliżej – ostrzegł go Peter.

– Musi pan zrobić to, co mówię – powiedział Josef.

– Proszę tego nie robić – błagała Frau Hochschild.

– Mam rozkaz.

Dwaj z mężczyzn podeszli do Hochschilda z jego boków i wymierzili broń w plecy.

– Byliśmy twoimi przyjaciółmi! – krzyknęła Frau Hochschild. – Ty... ty zdrajco! –

I podbiegła, żeby uderzyć Josefa.

Peter strzelił. Był tak blisko, że pocisk roztrzaskał mostek Frau Hochschild i odrzucił ją z powrotem, prosto w ręce dzieci. Ostatnie swe spojrzenie posłała Josefowi.

– Przeklinam cię!

Herr Hochschild wydał z siebie skowyt. Wyciągnął rękę w stronę policzka żony, ale zanim go dosięgnął, został pchnięty na ziemię. Na twarzach dzieci malował się niemy krzyk, gdy żołnierze wywlekali go z domu.

Kiedy już wyszli, Josef zwrócił się w stronę Petera, zrobił głęboki wdech i wydech, po czym rąbnął z góry młotem w jego rękę. Pistolet przejechał po drewnianej podłodze. Peter upadł na kolana, chwytając roztrzaskane kości, które wystawały mu z dłoni jak drzazgi. Josef złapał go za gardło.

– To tylko... Żydzi – rzeźił Peter.

Josef ścisnął coraz mocniej, aż skórzana rękawiczka zatrzeszczała pod naporem. Zanim dwaj członkowie SA wrócili, by go powstrzymać, Peter nie żył. Na wszystko patrzyły dzieci, umazane krwią swojej matki, nie reagując na odgłosy tłuczonego szkła, krzyki i wystrzały na ulicy.

Josef zwolnił uścisk. Jego obolałe palce trzęsły się.

– Zdrajca. – Chłopiec powtórzył cicho jedno z ostatnich słów matki.

Josef przeszedł nad ciałem Petera i wyszedł na dwór, powstrzymując odruch wymiotny. Mroźny listopadowy wieczór złagodził mdłości. W wozie policyjnym lamentował Herr Hochschild.

– Co z dziećmi? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Zostaw je – odparł Josef.

– A gdzie Peter?

– Następnym razem. Idziemy – rozkazał Josef, podając swój młot młodszemu koledze.

– Może być tylko „jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz”. Tylko jeden .

Rozdział 11

Straż Celna i Graniczna
Stanów Zjednoczonych
Montana Avenue 8935
El Paso, stan Teksas
10 listopada 2007 r.

– Usiłowałem cię wezwać przez radio – mówił agent Bert Mosley, czyszcząc zęby drewnianą wykałaczką.

Riki cisnął do kosza resztki śniadania w postaci burrito z Taco Cabana.

– Przepraszam, musiałem się rozłączyć, jadąc tutaj. Co się dzieje?

– Mieliśmy telefon od tutejszej mieszkanki. Mówi, że na ścieżce za domem widziała parę meksykańskich dzieci. Zupełnie małych. W pobliżu stoją zaparkowane dwa samochody na złom. Ona podejrzewa, że rodzice urządzili sobie w nich obozowisko. Ta dama nie mówi po hiszpańsku, więc prosi, żeby ktoś przyjechał i sprawdził. Pomyślałem, że skoro i tak już jesteś w terenie... – wyjaśniał Bert, wręczając Rikiemu adres.

– Ale teraz już nie jestem w terenie. – Riki wziął kartkę i przeczytał. – Zachodnia część? Bert skinął głową.

– Dobrze, ale zaciągasz u mnie dług. – Riki wziął swoje kluczyki do samochodu. – Przez ten czas jak mnie nie będzie, mógłbyś ogarnąć trochę pomieszczenie dla zatrzymanych. Ten koleś z Tolentino wyglądał na nieźle chorego, gdy go przekazywałem policji z Chihuahua.

– Staruszek cierpiał na jakąś meksykańską zarazę. Widziałeś strupy na jego rękach? Jest szalony, skoro myśli, że pozwolimy mu wejść do naszego kraju i zainfekować wszystkich wirusem ebola czy czymś takim.

– To był półpasiec – sprostował Riki.

– Sorry, nie wiedziałem, że rozmawiam z doktorem Chavezem – zadrwił Bert.

– Problem w tym, że on był chory. Powinniśmy wywietrzyć pomieszczenie.

– Mów mi Martha Stewart. Zapewniam, że uprasuję obrusy i ustawię tulipany.

– Nie bądź leniwym Angolem – żartował Riki, by wprowadzić lżejszy nastrój.

Po trzyletniej wspólnej pracy ich cięte riposty ograniczały się do garstki w kółko powtarzanych tych samych frazesów.

– Moja działka to tłusty ignorant. Lenistwo to absolutnie twoja. Musimy się trzymać swoich ról, bo inaczej jaki to ma sens? – Bert roześmiał się, Riki też posłał mu uśmiech.

Jadąc, usłyszał w radiu piosenkę Shakiry. To przypomniało mu Rebę. Zawsze mówił, że wygląda jak ciemnowłosa wersja piosenkarki, szczególnie rano, gdy jej jeszcze nieuczesane włosy leżały pofalowane na poduszce. Taką ją zostawiał, w nieładzie i piękną. Czasem musiał się siłą powstrzymać, żeby nie wejść i nie położyć się obok niej, nie schować twarzy w jej włosach, nie poczuć jej skóry pachnącej snem. Wiedział jednak, że gdyby to zrobił, natychmiast by się obudziła i odsunęła go. Nie mógł mieć jednocześnie tej Reby, którą on widział, i tej, która widziała jego. To były dwie różne kobiety, a jednak wolał mieć tylko jedną z nich, niż nie mieć żadnej.

Wyłączył muzykę i sprawdził adres. Jakby już znał tę okolicę. Nowe osiedle domów w barwach wielkanocnych jajek wypełniało uliczki o tak opatrnościowych nazwach jak Via Del Estrella czy Via Del Oro. Na tyłach osiedla znajdował się kanał nawadniający, a za nim płynęła rzeka o brudnej i rdzawej wodzie. Obok dziwnym szlakiem wiała się betonowa ścieżka dla

biegających, tak rozgrzana upałem, że powietrze nad nią tworzyło miraż. Tablica obwieszczała, iż jest to LUKSUSOWA NIERUCHOMOŚĆ NAD RIO GRANDE. Jeszcze parę lat temu nikt by tu nie zamieszkał, nawet gdyby mu dopłacali. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się pustynny step z koloniami świstaków. Teraz słońce odbijało swe promienie w wielkich oknach i zaglądało do wypielęgnowanych podwórek. Wyglądały nienaturalnie, lecz pięknie. Podjechał pod dom kobiety – dwupiętrowy różowy pałacyk z koronkowymi żelaznymi balkonami zdobiaczami wyższe kondygnacje. Wyglądał jak piętrowy tort urodzinowy z okazji *Quinceañera*^[21].

Zanim jeszcze Riki zdążył wyłączyć silnik, do wejścia podeszła drobnej postury kobieta w odprasowanych spodniach khaki. Wsiadł z auta.

– Są tu już ponad tydzień – zaczęła od razu. – Mąż powiedział, żeby ich zostawić w spokoju, i tak bym zrobiła... naprawdę bym tak zrobiła... ale tam są dzieci! To po prostu dla nich niezdrowe, mieszkać w samochodzie i kąpać się w tej błotnistej rzece, jak zwierzęta! Powiedziałam więc mężowi, że was wezwę dla ich własnego dobra... znaczy tych dzieci. One potrzebują właściwej opieki. Ta ich matka powinna się wstydzić. – Przeciągnęła dłonią po ostrzyżonych na boba włosach. Nad jej szyją lśniły diamentowe kolczyki w kształcie kropelek. – Ona też wychodzi. Co rano myje naczynia... naczynia! W tym błocie. Wydawać by się mogło, że skoro już przeskoczyli w ten sposób granicę, to przynajmniej mogłaby się starać nie rzucać tak w oczy. Mówię poważnie. Codziennie wyglądam, a oni tam są i zachowują się, jakby to był dziewiętnasty wiek. – Pokazała Rikiemu, by wszedł za nią do domu. – No a wczoraj ta mała dziewczynka, jeszcze niechodząca, raczkowała po ziemi bez żadnej opieki dorosłych, a ja pomyślałam sobie: a co by było, gdyby pojawił się wąż lub kojot? Nie mogłabym żyć z poczuciem, że na moim placu umarło dziecko, a ja nie zrobiłam nic, żeby temu zapobiec.

Gdy weszli, miniaturowy sznaucer rzucił się z ujadaniem do łudek Rikiego. W domu pachniało świeżą farbą i świecami waniliowymi, takimi, jakie paliła Reba, gdy brała długą kąpiel.

– Cicho, Tiny. – Kobieta odsunęła psa stopą. – Mam nadzieję, że nie boi się pan psów.

– Nie, proszę pani.

– Przy okazji, nazywam się Linda Calhoun. – Wyciągnęła rękę.

– Agent Riki Chavez.

Jej palce, delikatne i śliskie od olejków, szybko wysunęły się z jego dłoni.

– Jesteśmy z Karoliny Północnej. Mój mąż pracuje w Union Pacific... koleje.

Sprowadziliśmy się tu parę miesięcy temu. Wciąż się przyzwyczajam do... wszystkiego. – Machnęła ręką, jakby odganiała muchy, po czym zaprowadziła Rikiego do tylnych drzwi. – Tam są te samochody. – Pokazała na brzeg rzeki, ale sama została w klimatyzowanym wnętrzu.

Nad rzeką w pobliżu betonowej ścieżki stał zaparkowany zniszczony czterodrzwiowy dodge. Drugiego samochodu nie dojrzał.

– Czy teraz oni tam są?

– Chyba tak – odrzekła Linda. – Nie wiem, czy mogliby być gdzie indziej.

– Pójdę pogadać z tymi ludźmi.

Nałożył czapkę i obszedł kamienny płot odgradzający zieleń trawnika Calhounów od piaszczystej pustyni zachodniego Teksasu.

Jakieś pół kilometra dalej nowe osiedle domów mieszkalnych nagle się skończyło. Za nim ciągnęło się może ćwierćhektarowe pastwisko dla koni, które oddziało osiedle od kilku przyczep ustawionych na betonowych blokach. Dochodząc do samochodu, Riki zauważył ślad dużych kół samochodowych wiodący do przyczepy z drzwiami zamkniętymi na kłódkę i oknami zasłoniętymi płytą gipsową. Wyciągnął radiotelefon.

– El Paso, zgłoś się.

Zatrzeszczało i zapiszczało.

– 10–4.

– Bert, jestem na miejscu – powiedział Riki.

Jeszcze raz obejrzał przyczepę, po czym skręcił do stojącego naprzeciwko dodge'a. Samochód miał okna zasłonięte kocami i ciemnymi koszulami zawieszonymi na szybach. Ich końce wystawały na zewnątrz, powiewając na wietrze.

– Jakie masz 10–20? – zapytał Bert.

– Przy Doniphan, nad kanałem Rio, jakieś półtora kilometra od torów. Jest tu stadnina koni i kilka przyczep mieszkalnych. Za mną przejazd podziemny.

Riki przykucnął nad zaschniętym błotem i zmierzył palcem ślad samochodu. Był głębszy niż ten zostawiony przez czterodrzwiowego dodge'a. To musiała być ciężarówka.

– Hej, Bert, czy są tu gdzieś w krzakach geofony?

– Powinny być, a dlaczego?

Pobiegł wzrokiem po śladach kół wzdłuż brzegu, w stronę coraz szerszej i porośniętej krzakami pustyni rozciągającej się aż po horyzont.

– Chcę się tylko upewnić, że obserwujemy to miejsce. Wygląda podejrzanie. Może być kryjówka.

– Przyjąłem. Potrzebujesz wsparcia?

– 10–23. Przyczepa wygląda na pustą. Jeśli informatorka mówi, że od tygodnia widywała tam dzieciaki, to mam przecucie, że zostały porzucone. Przyślijcie tylko holownik i zróbcie 10–29. Może być powiązanie z przemytnikiem.

Radiotelefon zatrzeszczał.

– 10–4. Bądź ostrożny, Rik. Nie próbuj być bohaterem.

– Przyjąłem. Zero bohaterstwa.

Riki rozpiął kaburę pistoletu. Bert miał rację. Nie wolno mu ryzykować. W zeszłym miesiącu patrolujący funkcjonariusz doznał poparzeń trzeciego stopnia i wyładował na oddziale intensywnej terapii po tym, jak nielegalny imigrant rzucił w niego zwiniętą koszulę, nasączoną naftą i podpaloną. Obcokrajowiec zostawił go płonącego w zaroślach, a sam uciekł. Teraz pewnie był już w połowie drogi do Nowego Jorku, podczas gdy agent służby granicznej przechodził drugi etap przeszczepów skóry na rękach, klatce piersiowej i twarzy. Jego żona nadrabiała miną, widząc, jak w szpitalu ich pięcioletni synek uciekł, nie poznając ojca. Później samotnie płakała w korytarzu.

Riki zastukał w okno kierowcy, po czym odsunął się od szyby.

– Halo, jest tam kto? – Nacisnął klamkę.

Zablokowane. W pobliżu przedniego koła leżała lalka owinięta kolorową chustą *rebozo*. Na piasku widać było odcisnięte ślady małych stóp.

Linda Calhoun mówiła o matce z dziećmi. Zastukał ponownie.

– *Señora?* – Koc w oknie poruszył się. – Nie przyszedłem sprawiać wam kłopotu. Chcę pomóc. Proszę otworzyć – powiedział stanowczym głosem, a potem powtórzył po hiszpańsku.

Po dłuższej chwili zamek szczęknął i drzwiczki się otworzyły. Opalona Meksykanka wpatrywała się w niego ze łzami w oczach.

– *Por favor* – błagała. – *Mis niños*. To dla moich dzieci.

Z tylnego siedzenia wyglądały dwie małe główki.

– Macie papiery? Obywatelstwo lub wizę?

– Nie... nie ma wizy.

– Nie możecie tu zostać, jeśli nie jesteście obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki. Skąd jesteście?

– *Para mis niños* – odpowiedziała. To dla moich dzieci.

– Jesteście tu nielegalnie. Wiem, że pani to rozumie. Jesteście tu sami czy w grupie... z przewodnikiem?

Zasłoniła twarz i szlochała.

Riki westchnął. Prawdopodobnie kobieta wszystkie peso, jakie miała, oddała organizacji przemytniczej za przewiezienie ich przez granicę. Gdy już ją przekroczyli, opłacony przewodnik albo ich porzucił, albo przywiózł do tego samochodu i kazał czekać w środku. Tak czy inaczej, najprawdopodobniej w ciągu ostatnich paru tygodni przeszła przez piekło, żyjąc w pustynnym upale, głodzie i strachu. A teraz widziała, że jej marzenia o przyszłości swojej i dzieci legły w gruzach. Wolałaby pewnie zostać w tym samochodzie i nawet umrzeć na amerykańskiej ziemi, niż być wysłana z powrotem do ojczyzny. Widział to już sto razy: rozpacz zmusza do robienia rzeczy nieprawdopodobnych.

– *Señora*. – Riki starał się brzmieć optymistycznie. – To – przekonywał, wskazując na samochód – nie jest dobre miejsce dla pani dzieci. Jest inne rozwiązanie, ale nie to. – Otworzył drzwi szeroko. – Wyjdźcie.

Chwyliła jego dłoń oburącz.

– *No deportación. Por favor, señor*. – Nie deportacja, proszę.

Przełknął ślinę, czując rosnącą gulę w gardle. Miał tak za każdym razem.

– Przykro mi, ale takie jest prawo, a pani je łamie.

Riki urodził się w El Paso i z tego tytułu od razu został Amerykaninem. Jego ojciec i matka, urodzeni niecałą milę stąd, w Juárez w Meksyku, czekali dwa lata na wizę i kolejne siedem na obywatelstwo. Ten chory system wynagradzał jedynie bardzo bogatych i bardzo cierpliwych. Jego rodzice należeli do tych drugich. Rozumiał tragedię tej kobiety, ale także znał sprawiedliwość i obowiązek. Jego rodzina przestrzegała prawa swego nowego kraju i, czy się to komuś podoba, czy nie, uważał, że wszyscy powinni tak postępować. Riki był przekonany, że docenić to, co nam daje życie, można jedynie wówczas, gdy szanuje się i honoruje rządzące nim reguły. Ich łamanie może doprowadzić nawet do okradania sąsiadów czy oddawania moczu na Biblię. A jednak wyższe, moralne prawo współczucia wywoływało w nim niepokój, że traktuje tę kobietę i jej dzieci jak przestępców.

Z oddali Linda Calhoun obserwowała ich, stojąc w drzwiach i trzymając psa. Jej diamentowe kolczyki błyskały w słońcu jak iskierki ognia.

Riki skontaktował się przez radio z Bertem na posterunku, a tymczasem kobieta zbierała swój dobytek.

– Przywiozę kobietę z dwojgiem dzieci. Z całą pew-nością są obywatelami Meksyku. Nikogo więcej tu nie widzę.

– 10–4.

Na podwórku pobliskiego domu obok przyczepy, małe dziecko w szortach i klapkach siedziało na starym, rdzewiejącym trzykołowym rowerku. Nie patrzyło na nich. Wpatrzone było w stojącą nieopodal przyczepę zamkniętą na kłódkę.

– Wracam do bazy – powiedział Riki i schował radio-telefon z powrotem do przedniej kieszeni. Strząsnął z buta grudkę błota.

Meksykanka kazała dzieciom zebrać swoje rzeczy. Starszy chłopiec zgarnął zniszczoną koszulę i dzinsy do sportowej torby. Dziewczynka przecisnęła się między przednie fotele i po kolanach matki zeszła na ziemię. Usiadła przy przednim kole, przyciskając do siebie lalkę i ssąc kciuk. Piękne czarne oczy wlepione w Rikiego ani razu nie zamrugały. Czy tak będzie wyglądała jego córka, pomyślał, tylko z mocnym nosem i gładką cerą Reby?

Chłopiec na rowerku odwrócił się do nich.

– Pa! – zawołał i pomachał. – Pa, pa!

Z otwartych drzwi przyczepy, w której mieszkał, wychyliła się jego matka.

– ¡*Vete aquí!* Obiad.

Chłopiec roześmiał się, położył rower na ziemi i posłusznie poszedł. Meksykanka posłała Rikiemu gniewne spojrzenie i zamknęła drzwi samochodu. Dziewczynka u jego stóp przytuliła się do nóg matki. W jej ciemnych oczach odbijała się czapka z emblematem Straży Celnej i Granicznej.

Rozdział 12

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
25 grudnia 1944 r.

Wesołych Świąt, Hazel. Piszę do Ciebie, mając zimne stopy i piersi natarte gorczycą. Ostatniej nocy mało spałam. Po północy do naszego domu przyszło gestapo, które przeczesało miasto w poszukiwaniu jakiegoś żydowskiego uciekiniera. Przez nich Mutti i Papa musieli stać w kuchni w samych nocnych koszulach... w Wigilię! Żyjemy w okropnych czasach.

Mutti powiedziała, że mam gorączkę. Może powinnam więcej jeść na przyjęciu. Podawali pieczone prosię, piure ziemniaczane, białą kielbasę, a na deser pudding ryżowy, ale nic z tego mi nie smakowało. Szampan też nie za bardzo. Przez te jego bąbelki jedzenie nie miało dobrego smaku. Tak jakby już było przeżute. W żołądku czułam kwas. Co do sukienki, o której Ci pisałam w ostatnim liście, szyfon może ślicznie wygląda, ale nie chroni przed zimnem. Zresztą zniszczyłam ją. Dół jest poplamiony, a kamyczki wiszą na nitkach.

Staraliśmy się cieszyć Bożym Narodzeniem najlepiej, jak umieliśmy, ale wszyscy byli w marnym nastroju. Mutti ugotowała małego karpia. Papa upiekł trochę *Christstollen*. Jadłam przy kominku, dopóki od żaru nie zaczęły fruwać babcine drewniane ptaszki. Potem wróciłam do łóżka. Nos mam spuchnięty i obolały, oczy zaczerwienione, a policzki blade jak gotowana ryba. Wyglądam i czuję się jak chora. Kilka minut temu przyszedł Josef. Kazałam mamie go odprawić. Muszę Ci wyznać, że dużo się wydarzyło... Josef podarował mi pierścionek zaręczynowy. Na razie włożyłam go pod materac. Jeszcze się nie zdecydowałam, Hazel, co zrobić. Nie kocham go, ale jest lepszy niż którykolwiek ze znanych mi mężczyzn. Opiekuje się nami i jest dobry dla Mutti i Papy. Oni mówią, że to wspaniała partia dla naszej rodziny. Mutti uważa, że nie trzeba kochać, żeby być żoną, wystarczy dobry przepis na bułeczki i silne plecy. Ale Ty przecież kochałaś Petera, prawda?

Och, Hazel, chciałabym Ci jeszcze tyle napisać, ale nie mam siły ani odwagi. Czy Ty jeszcze kiedyś wrócisz do domu? Tęsknię za Tobą. Ty zawsze wiesz, jak zrobić wszystko najlepiej. Chciałabym być bardziej podobna do Ciebie. Odpisz, proszę, szybko i przekaz Juliusowi moje życzenia świąteczne. *Heil Hitler*.

Twoja kochająca siostra

Elsie

P.S. Czy w Ośrodku kontrolują przychodzące listy?

*

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
27 grudnia 1944 r.

Kochana Elsie!

Dziś otrzymałam Twój list z 21 grudnia i śmiałam się w głos z historii Frau Rattelmüller. Ona zawsze była dziwaczna. Ale trzeba pamiętać jej historię. Gdyby mój mąż i dzieci zginęli w pożarze domu, też bym straciła rozum. Byłam wtedy małym dzieckiem, wciąż jednak pamiętam, jak zawodziła nad ich grobem. Podobno w każdej trumnie była tylko garść popiołu, wyobrażasz to sobie? Żałuję, że Mutti i Papa zabrali mnie na ten pogrzeb. Nienawidzę o tym

myśleć. Czasem chciałabym móc wymazać coś z pamięci, wymazać przeszłość.

Przykro mi, że w tym roku znów nie mogliśmy z Juliusem przyjechać do domu. W związku z walkami w Ardenach Ośrodek zakazał wszystkim kobietom i dzieciom podróżować. Jakże tęsknię za Tobą, Mutti i Papą. Masz rację, już za długo nie byliśmy z wizytą u Was. Garmisch jest dla mnie pełne upiórów przeszłości, ale jeśli działania wojenne nie staną na przeszkodzie, obiecuję przywieźć Juliusa wiosną, na moje urodziny.

Tak jak pisałam w ostatnim liście, przesilenie zimowe uczciliśmy wczoraj cudownym świątecznym przyjęciem. Przybyło na nie o wiele więcej oficerów, niż się spodziewano, co sprawiło nam wielką przyjemność! Jeden z nich, o imieniu Günther, pytał szczególnie o mnie. Wywołało to poruszenie wśród dziewcząt, ponieważ był on dotąd partnerem tylko dla wybranek. Szczęści się najlepszymi aryjskimi przodkami w całych Niemczech. Co zresztą widać. Jego matka pochodzi z rodziny Sternów, tej od piwa. Bardzo go interesowała piekarnia naszej rodziny i zadawał przeróżne pytania. Jest dużo podobieństw między fermentacją pszenicy a tą w chlebie. Spędziliśmy urocze chwile. Mam nadzieję, że jeszcze tu wróci.

Kolejna dobra wiadomość. Dostałam w końcu kartę członkowską! Całkiem niepotrzebnie tak się obawiałam o bliźniaki. Ośrodek daje te karty tylko najlepszym dziewczętom, a więc muszą być zadowoleni z rozwoju dzieci. Dziewczynka jest dość silna i odważna. Przez całą ceremonię chrztu SS płakała, a gdy trzymali nad nią sztylet, sięgała do ostrza! Wszyscy mówią, że posiada prawdziwego ducha wikingów. Chłopiec jest trochę niedoskonały, ale ja też taka byłam na początku.

Jeśli chodzi o tę moją kartę: mogę płacić niższy czynsz i mam specjalne przywileje w robieniu zakupów. Od roku nie mogłam sobie kupić dodatkowych akcesoriów do mojej dirndl: satynowej wstążki, koronki czy metalowych guzików. Wszystko robi się oczywiście w imię wyższego dobra naszego narodu. Ale muszę przyznać, że aż przebieram nogami z podniecenia na myśl, że będę mogła kupić najlepszy materiał, nici i haftki, jakie zechcę. To jak nieustanne Boże Narodzenie.

Z Juliusem widziałam się w Wigilię. Dzieci śpiewały *Weihnachtslieder*. To było piękne. Mogłabym przysiąc, że słyszałam głos Juliusa, wysoki i czysty, ponad innymi. Wiem, że to karygodna matczyzna duma. Chór naszych chłopców jest dużo lepszy niż wiedeńskich, tak mówią. Mamy nadzieję, że wypuścimy w świat najlepszych śpiewaków, choć wszyscy przyznajemy, że czeka nas jeszcze dużo pracy. Jest wrodzony talent, lecz brak iskry. Może Hans Hotter będzie mógł przyjechać i dawać im lekcje.

Po występie pozwolono nam być przez godzinę z dziećmi. Święty Mikołaj częstował grubymi kawałkami *Weihnachtstollen*, a maluchy biegały ze struclą w buziach i rękach, stemplując na białe nasze ręce, twarze i spódnice. Od wielu miesięcy nie czułam się tak pijana ze szczęścia. Julius najwyraźniej ma się dobrze. Mówił, że lubi zajęcia szkolne, i nauczył się stukać obcasami jak należy. Robi to naprawdę fachowo, a trzaśnięcie skórzanych butów go rozśmiesza. Potem wyciąga rękę i krzyczy: *Heil Hitler!* Jestem zdumiona, jak szybko stał się małym żołnierzem.

Ponownie zapytał o swego ojca. Wciąż jeszcze nie mam serca mu tego powiedzieć, więc odparłam, że kieruje ciężarówką Luftwaffe gdzieś w Jugosławii i nie może znaleźć poczty polowej, żeby wysłać listy. Był zadowolony z takiej odpowiedzi i zaraz poprosił o ciężarówkę do zabawy. Zamiast tego dałam mu drugi kawałek ciasta, a sama nie zjadłam. Próbuje schudnąć po urodzeniu bliźniaków.

A więc byłaś pierwszy raz na przyjęciu? Moja mała siostra już dorosła. Na pewno Ci się bardzo podobało. Mój pierwszy bal z Peterem w Hitlerjugend był jak sen. A tak przy okazji, czy Josef jest wolny? Nie pamiętam, czy pisałaś, że jest żonaty, czy nie. Ze względu na Ciebie, mam

nadzieję, że nie. Ale jeśli jest, nie bądź rozczarowana. Może zaproszą Cię do Ośrodka Lebensborn. Ogromnie bym się cieszyła z Twojego towarzystwa. Tutaj bywam bardzo samotna. Tak, wiem dobrze, że to sentymentalne mrzonki. Jednak tęsknię za odgłosem czyjegoś snu, za rytmem oddechu drugiego człowieka. Chyba zbyt wiele lat spędziłam z Tobą w jednym pokoju.

Ostatnio nie sypiam zbyt dużo. Próbuję sobie wyobrazić Juliusa w drugiej części kompleksu, jak leży w czystym łóżeczku i równo oddycha. To pomaga. Wierzę, że dzięki mojemu poświęceniu on będzie lepszym człowiekiem, lepszym Niemcem. Niedługo także i Ty będziesz pewnie żoną i matką. Zobaczysz.

Często o Tobie myślę, Elsie, serdeczności.

Heil Hitler.

Hazel

Rozdział 13

Franklin Ridge Drive 3168
El Paso, stan Teksas
10 listopada 2007 r.

Reba była rozczarowana dzisiejszym wywiadem. Wróciła do domu i spisała nagranie z nadzieją, że w swoich stenograficznych zapiskach przeoczyła jakieś olśniewające wypowiedzi. Ale nie znalazła tam ani jednego wesołego słowa na temat Niemiec i czasu Bożego Narodzenia. Nie miała pomysłu, jak z tego, co zebrała, zlepić radosny artykuł, a termin mijał już za niecały tydzień. Redaktorka z „Sun City” zostawiła w jej poczcie głosowej już dwie wiadomości.

Czytając zapis nagrania, Reba wydała pomruk niezadowolenia. Wypowiedzi Elsie były sporadyczne, za co nie mogła jej do końca winić. Nie wykazała się zwyczajowym profesjonalizmem. Gadały o ślubach, narzeczonych i miłości. Dobry Boże, o czym ona myślała? To przez tę sprawę z nazistami. Na tym się zapętliła i już się nie wyplątała. Zapomniała, że ma pisać wesoły tekst o Bożym Narodzeniu. Zamiast tego dała się wciągnąć w dramat zbrodni drugiej wojny światowej, wyobrażając sobie sekretne życie Elsie w SS. A teraz zbiera żniwo. Znowu odsłuchiwała nagranie.

– Rebo Adams, jesteś poważnie rąbnięta.

Wyłączyła sprzęt i wrzuciła do torebki.

Zmęczona i sfrustrowana, wyłączyła także laptop. Przyjemna, gorąca kąpiel, oto czego potrzebowała. Przekręciła uchwyt kranu jak najdalej w prawo i napełniła wannę parującą, gorącą wodą. Następnie wzięła kilka świeczek. Coś w zapachu zapalanych zapalek przypominało jej dom, ogniska za domem w lecie i zapiekanki z pianką cukrową, pachnące lekko sosną.

Jeśli tata był w dobrym humorze, świat był tak doskonały jak z opowieści „dawno dawno temu...”, aż w końcu okazywał się być równie fikcyjny. Lato było jego ulubioną porą roku, jej też. Czuli się tak lekka jak godziny długiego dnia, a wszystkie jej wspomnienia były przesączone miodem i słońcem. Gdy nadchodził pierwszy jesienny chłód i budząc się, zauważyła, że mama w nocy przykryła ją dodatkowym kocem, zaczynała się trząść z zimna i czuła, jak jej serce ziębnie i usypia zimowym snem, zupełnie jak klony w Wirginii.

– Drzewa udają, że umarły – powiedział raz tata, niosąc ją na barana przez ośnieżony zagajnik za domem. – Może gdy je połaskoczemy, przerwą udawanie. – Spierzchniętymi palcami podrapał korę, przyłożył ucho do pnia i westchnął. – Zero chichotania. Ciszka jak w kościele.

Nigdy się nie dowiedział, ile godzin Reba spędziła później na dworze, łaskocząc drzewa i nasłuchując, czy czegoś nie usłyszy.

W El Paso była może jedna lodowata noc w roku. Riki żartował, że w tym mieście są trzy pory roku: wiosna, lato i piekło. Była to naga prawda. Jednak wolała tę alternatywę od poprzedniej. Dla Reby upał nie był piekłem; był nim mróz.

W oczekiwaniu aż wanna się napełni, zarzuciła uczelnianą bluzę z kapturem. Po drodze do domu zjadła sałatkę w McDonalddie i jeszcze czuła w przelyku smak sosu kremowego. Wino może go zlikwidować. Zeszła na dół i znalazła otwartą butelkę chardonnay. Nalała i starała się nie zwracać uwagi, że jest kwaskowate ze starości. Było już późno i ponad Górą Franklina unosił się księżyc w pełni. Lubiła pić wino w świetle księżyca. Wydawało się wtedy magiczne, nawet w zwykłej wysokiej szklance do wody. Riki jeszcze nie wrócił, co nie było niczym nadzwyczajnym. Dzisiaj jednak chciało jej się porozmawiać. Miała ochotę opowiedzieć komuś o Elsie i przyjęciu gwiazdkowym wśród nazistów, a potem zobaczyć, jak zareaguje.

Żeby złagodzić cierpkość wina, rozejrzała się po szafce w poszukiwaniu czegoś słodkiego. Puszka tuńczyka, pudełko makaronu rurek, do połowy zjedzona torebka czipsów ziemniaczanych o smaku octowym, płatki śniadaniowe z rodzynkami, których zostały już niecałe dwie miarki. Niedużo tego. Z tyłu uchowała się pastelowej barwy paczka draży Whoppers. Wzięła ich garść. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio robiła zakupy w spożywczym, to znaczy kiedy była do tego zmuszona. Z Rikim nie jadali wspólnych posiłków i może tu częściowo tkwił problem.

Reba wychowała się w domu, którego sercem była obszerna kuchnia w południowym stylu. Było to miejsce bezpieczne, oddalone od barku w gabinecie i od ciemnych sypialni. Mama witała poranki w szlafroku i kapciach, szykując omlety serowe i maślane bułeczki. Przez cały rok po południu pijała herbatkę miętową. To była mamy domena, wygodna i stabilna, do której ciągnęło Rebę wbrew niej samej.

Tatę Reby można tam było zastać tylko w jego dobre dni. Wołał wtedy swoje dziewczyny do lodówki, żeby przed pójściem spać pozjadać resztki smażonych kurczaków i kaszy na zimno. Mama nie uznawała jedzenia po dwudziestej i udawała, że nie słyszy ich śmiechów, a następnego rana nie widzi w śmieciach ogryzionych kości. Reba w myślach porównywała swoje dzieciństwo do monety, która ma dwie strony i łatwo się przekręca: raz tata wesoły, raz tata smutny.

Tego lata, gdy Didi wyjechała do szkoły z internatem, Reba miała dziewięć lat. Z dnia na dzień na ich dom padł cień. Reba była tak przygnębiona, że całymi dniami nie wstawała z łóżka. Nie pomogły żadne wysiłki mamy, by przedstawić tę sytuację w wesołych kolorach. Wreszcie któregoś wieczoru głośny krzyk wyrwał ją z łóżka do oświetlonej łazienki mamy. Tam zobaczyła, że mama tamuje krwotok z nosa.

– Co się stało?

– Nic – odrzekła mama. – Wpadłam na drzwi.

Było już dobrze po dwudziestej trzeciej, a taty nie mogła nigdzie znaleźć. Mama zgniotła w dłoń pokrwawioną chusteczkę i szybko przyłożyła do twarzy drugą.

– Tata poszedł się przejść. Proszę, żebyś wróciła do łóżka i tam została. On ma dziś zły humor. – Usiłowała się uśmiechnąć, lecz chusteczka zasłaniała usta i Reba zobaczyła tylko jej pełne łęku oczy.

Zrobiła tak, jak kazała mama, i poszła z powrotem do swojego pokoju. Leżała w łóżku, cały czas wykręcając sobie palce i nasłuchując, kiedy z trzaskiem otworzą się tylne drzwi domu. Gdy w końcu je usłyszała, wstrzymała oddech, kiedy tata wchodził schodek po schodku na górę do swej sypialni. Po półgodzinie ciszy pozwoliła sobie w końcu zasnąć, ale był to sen, z którego wyrывało ją każde skrzypnięcie i szelest wiatru.

Następnego rana mama, już w dziennym makijażu, obudziła Rebę.

– Wstawaj i błyszcz – powiedziała. – Mamy dziś placki pekanowe i co powiesz potem na poranek w kinie? To babska sobota, bo tata śpi. – Pomimo warstwy pudru widać było pod oczami purpurowe obwódki. – Już czuję zapach pieczonych pekanów! Lepiej wyjmę je z piecyka, zanim się spalą! – zawołała i wyszła, nie mówiąc nic więcej.

Gdy Didi przyjechała do domu na weekend z okazji Dnia Kolumba, Reba zaciągnęła ją do ich starej kryjówki na piętrze z garderobą i tonąc we łzach, opowiedziała, co się wydarzyło przed tygodniem. To był pierwszy raz, kiedy tata uderzył mamę, i choć nigdy nie podniósł na nią ręki, Reba zaczęła wątpić, czy nie mógłby tego zrobić. Gdy skończyła opowiadać, Didi powiedziała, patrząc w podłogę:

– Czasem mam problem ze spaniem. Śni mi się, że w moim łóżku jest wąż, ale mówię mu po prostu: „Dość, ty stary wężu, wynoś się. Nie wierzę w ciebie, nie jesteś prawdziwy”. I zawsze sobie idzie. Następnym razem tak spróbuj, dobrze?

To, że starsza siostra nawet nie spróbowała podjąć się obrony mamy ani jej, złamało serce Reby.

– On ją uderzył! – nalegała, lecz jej drżący głos nie brzmiał zbyt pewnie.

Wydarzyło się to późno w nocy, a ileż to razy śniło jej się coś, co wydawało się tak realne, że mogłaby przysiąc na Boga, iż zdarzyło się naprawdę.

Didi tylko kiwnęła głową.

– Spróbuj tego sposobu z wężem. Jeśli nie podziała, no to... – Nie skończyła, tylko pocałowała Rebę w policzek i zostawiła ją w otoczeniu butów z lakierowanej skóry od Mary Jane czy Kedsa.

Przez całe lata Reba zastanawiała się „no to... co?”, ale nigdy więcej nie wspominała o tamtej nocy, nawet po śmierci taty. Pomimo ich bliskiej więzi, odtąd też zawsze cenzurowała każde słowo powiedziane siostrze. Nigdy nie wspomniała Didi o historii choroby taty i przeczytanych notatkach lekarza, częściowo dlatego, że obawiała się podobnego niedowierzania z jej strony.

Reba schrupała mleczną kulkę słodową. Może zrobi Rikiemu niespodziankę i przyrządzi kurczaka smażonego na sposób południowy według przepisu mamy, pomyślała. No ale przecież nie wie, czy Riki lubi takiego kurczaka, a poza tym nie miała pojęcia, co jeszcze się dodaje oprócz oczywistego składnika – kurczaka. Z całą pewnością też nie da się tego zapiec w mikrofalówce. Reba upiła łyk wina i zamknęła szafkę. Nie, ugotowanie niedobrego posiłku jeszcze by wszystko pogorszyło.

Poszła na górę, rozebrała się i zanurzyła w wannie. Gorąca woda zmyła z jej dłoni różowy i niebieski barwnik po cukierkach. Piersi uniosły się. W czystej wodzie wydawały się większe, ale to samo dotyczyło ud i brzucha. Uznała to za sprawiedliwe. Postawiła szklankę na brzegu wanny i zanurzyła się jeszcze głębiej, aż jej oczy znalazły się na poziomie smużek pary unoszących się nad powierzchnią wody jak w obłąkanym tańcu. Srebrny łańcuszek na jej szyi lśnił teraz pod wodą. Przytrzymała go i pomachała jak hipnotyzer wahadełkiem.

– *Don't sit under the apple tree...* – zanuciła pod nosem.

Myślała o Elsie ubranej odświętnie na gwiazdkowe przyjęcie z nazistami. Powiedziała, że niektórzy byli „nawet dobrymi ludźmi”. Dobrzy naziści? Czy to nie oksymoron?

– Słyszę, że ktoś tu miał dobry dzień – odezwał się Riki, opierając się o drzwi łazienki.

Puszczony przez Rebę pierścionek z pluskiem wpadł do wody, a ona przyciągnęła kolana do brody.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś.

Riki usiadł na brzegu wanny.

– Miło cię widzieć...

– Oczywiście, że miło. Wszyscy faceci lubią nagie laski.

Oplotła łydki rękami. Jedno pasmo włosów przykleiło jej się do policzka. Riki odsunął je za ucho.

– Tak, to prawda, ale ja chciałem powiedzieć „szczęśliwą”. Miło cię widzieć szczęśliwą.

Przyniósł ze sobą chłodny powiew listopada. Aż dostała gęsiej skórki. Wyprostowała więc nogi i sięgnęła nimi w stronę strumienia wody, niemal wrzącej. Palce ją zapiekły. Podała mu szklankę.

– Utoczyłam trochę starego winka.

– Ja dziękuję. Miałem trudny dzień. – Ziewnął. – Zatrzymaliśmy młodą matkę z dwójkiem dzieci. Znalazłem ich po stronie Zachodniej. Zadzwoiła mieszkanka, jakaś kobieta z Karoliny Północnej.

– Boże, jak tęsknię za ich wieprzowiną. Jadłeś kiedyś pieczeń z rożna po karolińsku?

Zupełnie inna niż w Teksasie. Więcej sosu, mniej wędzenia – mówiła Reba, chcąc skierować rozmowę na coś innego niż wino.

Riki przychodził codziennie z inną wstrząsającą historią; nie chciała już dziś więcej się dołować.

– Dzieci były takie przestraszone – ciągnął Riki. – Wiem, że ta kobieta wydała wszystko, co miała, żeby się przedostać przez granicę. – Pokręcił głową. – Bóg mi świadkiem, że właśnie tej rodziny chciałbym nie musieć odsyłać.

Reba umieściła palce stóp pod kranem.

– To twoja praca. Dla dobra twojego kraju – powtórzyła to, co mówił jej dotąd setki razy.

– Wiem, ale ostatnio... – rozmasował kciukiem drgające miejsce między oczami – ...to nie to samo co parę lat temu: grupki ludzi przedzierających się tu, by zarobić parę groszy i wrócić do domu. Teraz są całe rodziny. Kobiety i dzieci. Tak naprawdę niczym się nie różnią od ciebie czy ode mnie, prócz tego, że urodzili się po złej stronie rzeki.

– Ty jesteś inny! – Usiadła za szybko i woda wychlapała się przez krawędź wanny. – Jesteś Amerykaninem z wyższym wykształceniem. Oni są tu nielegalnie, łamią prawo. Nie możesz się uznawać za takiego samego jak oni. Musisz... nie wiem, zdystansować się emocjonalnie. Tak jak ja z ludźmi, z którymi przeprowadzam wywiady. Nie mogę wykonywać pracy, jeśli rozmowa jest zbyt osobista. – Od zimnego powietrza stwardniały jej sutki, więc zsunęła się z powrotem do wody.

Kran ciurkał, sączyła wino.

Już robiła materiał o prawodawstwie imigracyjnym. Przecież właśnie wtedy spotkała Rikiego. I czy to nie on w nagraniu twierdził, że prawa nie wolno naginać dla nikogo? Był typem człowieka widzącego świat czarno-biały, co dawało jej zawsze poczucie bezpieczeństwa. Nagłe zauważenie przez niego odcieni szarości trochę ją deprymowało.

– Musisz stanąć z boku. Nie możesz być taki wrażliwy – ciągnęła dalej. – Bo na końcu to ty czujesz się skrzywdzony, a przynajmniej ja tak to widzę. – Wycisnęła mydło w płynie na różową gąbkę. – Umyjesz mi plecy?

Wziął gąbkę.

– To trochę naiwne, nie mówiąc o tym, że nieczułe, nie uważasz?

Odsunęła na bok górę piany.

– Taka jest prawda.

– Czyżby? – Okrężnymi ruchami szorował jej barki. – To mi bardziej wygląda na lęk. Jeśli otaczamy się murem, robimy więcej krzywdy niż dobrego. Każdy kogoś potrzebuje, Rebo.

– Straszny z ciebie John Wayne – stwierdziła i odwróciła się do niego tyłem. – Jasne, każdy kogoś potrzebuje, ale to nie znaczy, że akurat ty musisz być ich wybawcą. – Umilkła.

Jakaś część jej pragnęła, żeby to było tak proste: biec ku słońcu bez lęku i rozczarowania; lecz już dawno temu nauczyła się, że zaufanie to nader wątła materia. Galopujący na horyzoncie bohaterowie w świetle lamp bawialni jawili się co najmniej przeciętni i pozbawieni blasku.

– A może chce być. – Riki zamoczył gąbkę w wodzie i wycisnął wodę na jej plecy.

– To pracujesz w złym miejscu. – Reba sapnęła i zabrała mu z ręki gąbkę. Nie chciała w to dzisiaj brnąć. Nie miała energii. – Ta Niemka w piekarni, z którą dziś robiłam wywiad... – zmieniła temat, szorując kostki – ...powiedziała mi, że w czasie wojny była związana z nazistą.

Riki aż się wyprostował.

– Jest nazistką?

– Czy jest? Nie sądzę. Czy była? Nie jestem pewna.

– Albo się jest rasistą, albo nie. Nie ma stanu pomiędzy.

To był Riki, jakiego znała.

– Nie ma? – Miało to być stwierdzenie, lecz zabrzmiało raczej jak pytanie.

Riki odwrócił ją przodem do siebie.

– Nie – rzekł stanowczo.

– Dobrze, całkowicie się zgadzam. – Kiwnęła głową, czując, jak pulsuje w niej miłe ciepło. – Ale czy nie jest tak, że każdy jakby stawia siebie ponad innych? – Musnęła dłonią mydliny.

– Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, Rebo.

– Ludzie zdradzają siebie nawzajem.

Błysnął zanurzony w wodzie diament pierścionka. Riki ujął palcem łańcuszek.

– Lepiej by wyglądał na twoim palcu.

Odsunęła się i znów położyła w pełnej wody wannie.

– Nie zaczynajmy znów tego tematu.

– Mówię tylko...

– Słyszę, co mówisz. – Umyła nogi, zaczepiając szorstką gąbką o niezgolone włoski.

– Uważam, że jestem bardzo wyrozumiała, Rebo. – Wstał. – Ale przychodzi czas, gdy każdy musi dokonać wyboru, sama to powiedziałaś.

Plasnęła stopą o wodę.

– Dokonałam wyboru. Zobacz, jestem tutaj. Dlaczego naciskasz? – Szorowała mocno, aż kolana jej poczerwieniały i oddech przyspieszył.

– Minęły już prawie cztery miesiące, a nie wyznaczyli-śmy daty, nawet o tym nie rozmawialiśmy. Wiesz co, myślę, że ty nawet nie powiedziałaś nic swojej rodzinie.

Zignorowała go i myła się dalej, rozchlapując wodę za wannę.

– Porozmawiaj ze mną, Rebo.

Zastygła. Co może mu powiedzieć? Kocha go, ale nie takiego życia chciała. Mówi, żeby nie otaczać się murem, a sam dokładnie tak robi, z nią. Zakotwiczył ją w tym przygranicznym mieście jak w pułapce. Otoczył drutem kolczastym. Od chwili gdy przyjęła jego oświadczenia, czuła chęć, by uciec i biec jak najszybciej. Być może dawna Reba została w Wirginii, ale ta nowa też jej się nie podobała. Tak jak powiedziała Jane: zatrzymała się pomiędzy. Skakała myślami ze wschodu na zachód, od Reby, jaką była, do takiej, jaką być chciała. Jedyne, co ją powstrzymywało od przeskakiwania, to Riki i ten pierścionek zawieszony na szyi.

– Muszę wziąć motrin – powiedziała, masując skronie.

Riki westchnął.

– Musisz podjąć decyzję. Nie możemy ciągnąć tego tak dalej.

Reba liczyła bańki pękające na powierzchni wody i sama czuła się ciężka jak kamień.

Rozdział 14

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
1 stycznia 1945 r.

Droga Elsie!

Oświadczyny oficera! Oczywiście, że przyjmiesz, Elsie. Jestem taka dumna.

I zazdroszczę Ci, przyznam. Wiem, że to wszystko jest dla dobra narodu, ale nie sędzę, bym była niełojalna, pragnąc spotkać mężczyznę (wiek obojętny) szukającego żony. Tu mi wciąż przypominają, że tworzymy Niemców, a nie miłość. Ale brak mi tej ostatniej i zastanawiam się często, jak inne miałabym życie, gdyby żył Peter. Byłabym jak ty narzeczoną oficera SS. Oczywiście, gdybym wtedy wiedziała, że jestem w ciąży z Julusem, należałabym, żebyśmy się pobrali, zanim wyjechał do Monachium. Ale takie myślenie nie jest dla mnie dobre. On odszedł. Nie ma sensu walczyć z wyrokami losu. Wszystko zdarza się z jakiegoś powodu. Czy nie tak zawsze mówił pastor?

Od jakiegoś czasu nie byłam w kościele. Program nie pozwala na sentymenty religijne, ale ciągle noszę swój blaszany krzyżyk. Ten, który Papa dał nam wtedy w Wielkanoc, kiedy to Herr Weiss niechętny wrzucił do świątecznego ogniska stół swojej teściowej. Chociaż wszyscy wiemy, że zrobił to z nienawiści, bo ona nie pozwalała mu palić w domu fajki! Nadal śmieję się, przypominając sobie jej minę.

Wtedy też spotkałam Petera – na obchodach święta wiosny. Był taki przystojny w mundurze Hitlerjugend i z takim zapałem pokazywał wszystkim dziewczętom swój medal najlepszego strzelca w klasie. Cóż za wilk w przebraniu owcy! W gimnazjum był cichym, małym chłopcem, który zawsze pachniał pomarańczami podawanymi przez jego matkę na śniadanie. Potem wstąpił do Hitlerjugend i wrócił... odmieniony. Jako mężczyzna gotowy podbić świat. Dziwne, jak można kogoś widywać dzień w dzień i nic nie zauważyć, dopóki jego twarzy nie rozświetli jakaś jasność. Wtedy widzisz to, czego nigdy przedtem nie widziałaś, i żebyś nie wiem jak się starała, już nie da się wrócić do tego „niezauważania”. Posłuchaj. Jestem chaotyczna, wiem. Tak, kochałam Petera, ale chodzi o coś więcej. Przynajmniej takie było moje doświadczenie. To miło, że Josef i Papa są przyjaciółmi. Mutti ma rację, Elsie: to jest dobra partia.

Dzisiaj kupiłam piękny materiał na nową dirndl. Moja przyjaciółka Ovidia pracuje na targu i mówi, że to ręcznie tkana owcza wełna z Włoch. Wysłałam część Mutti, żeby uszyła spódnice. Ona tak ładnie haftuje. Jeszcze nie zdecydowałam, co chcę: czerwone maki czy białe szarotki. Jak myślisz które? Może to Mutti powinna wybrać, chociaż ona zawsze mówiła, że najlepszym dla mnie kolorem jest czerwień. Ja sama szyję brązowy gorset, pasujący do obu. Mam nadzieję, że zdążę przed moją wiosenną wizytą. Być może Mutti jest w stanie uszyć dirndl w tydzień, ale ja nigdy nie miałam jej zręczności ani twoich zdolności do rzemiosł. Ponadto jestem jeszcze gruba po bliźniakach, a chcę, żeby sukienka dobrze pasowała. Program zaleca wczesne odstawienie dzieci od piersi, więc mam nadzieję, że to pomoże.

Dziewczynka rozwija się wspaniale, jest różowa i pulchna jak cherubinek. Jednak chłopiec nie spełnił oczekiwań. Fizycznie nie dorównuje standardom, ale ma dobrą naturę. Nigdy nie płacze i nie marudzi tak jak siostra. Pielęgniarki mówią, że leży w kołysce cały dzień, nie wydając żadnych dźwięków, aż czasem zapominają, że tam w ogóle jest. Podczas karmienia dziewczynka wysysa wszystko, co dla niej mam, a chłopiec zasypia mi przy piersi. Są takimi

przeciwieństwami. Aż trudno uwierzyć, że dzielili ze sobą to samo łono. Lekarze niepokoją się o chłopca. Chociaż wiem, że on nie jest dzieckiem moim, lecz Ojczyzny, nie potrafię w sobie stłumić chęci zaopiekowania się nim. Gdy go trzymam na rękach, czuję każdą jego kostkę. Nazywam go Friedhelm, do czasu aż wydobrzeję na tyle, by go ochrzczono nowym imieniem, zgodnie z Programem.

Przykro mi słyszeć, że jakiś Żyd zepsuł wam Boże Narodzenie. Ciekawe, po co go tam w ogóle przyprowadzili. Dlaczego nie jakiegoś niemieckiego chłopca? Mamy tu wielu, którzy śpiewają jak skowroneczki. Ale myślę, że nie chcą ryzykować przewożenia ich w takim niepewnym czasie.

Z Ardenów dochodzą wieści o dalszych stratach wśród ojców z Programu. Pozamykano wiele ośrodków Lebensborn, a dzieci przywieziono tutaj. Teraz mieszkam w pokoju razem z jedną matką z Luksemburga, o imieniu Cata, oraz drugą ze Stuttgartu, Brigitte. Cata dopiero przyjechała do Steinhöring, a Brigitte była tu od początku istnienia Ośrodka. Jest ulubioną towarzyszką wielu znanych oficerów SS, za swoją ogromną płodność na-grodzoną w zeszłym roku Srebrnym Krzyżem Matki. Urodziła siedmioro doskonałych dzieci, które nazywa numerami, a nie imionami. Nie jestem pewna, czy to dlatego, że używanie imion sprawia jej przykrość, czy jest tak całkowicie oddana narodowi, że imiona nie mają znaczenia. Brigitte zajmowała największy osobny pokój w całym Ośrodku, ale zrobiono z niego żłobek dla napływających dzieci.

Nie przyjaźnimy się. Nasze stosunki popsuły się po Bożym Narodzeniu, gdy major Günther wybrał moje towarzystwo zamiast jej. Przedtem oczywiście spotykał się z nią regularnie. Tak więc staram się, żeby ten trudny czas układał się jak najlepiej. Schodzę z drogi Brigitte i robię wszystko, żeby Cata czuła się w nowym otoczeniu jak najlepiej. Ma żywy charakter i mówi to, co myśli, choć nie powinna. Według Brigitte jest jazgotliwa jak sroka. Lecz jeśli Cata jest sroką, to Brigitte jest sępem.

Mam nadzieję na szybkie zwycięstwo naszych walczących mężczyzn, aby wkrótce nastał Nowy Porządek Niemiec. Wtedy może będę mogła wrócić na zawsze do domu, znaleźć przyzwoitego oficera na męża i wychowywać razem dzieci naszego narodu. O tym marzę, Elsie.

Uściskaj ode mnie Mutti i Papę. Szczęśliwego Nowego Roku 1945 dla Was wszystkich.

Heil Hitler.

Hazel

P.S. Listy przychodzące do uczestniczek Programu są sprawdzane wyrywkowo, ale do tej pory jeszcze żaden stempel na Twoim liście nie został złamany. Swoje listy wysyłam bezpośrednio na pocztę w Steinhöring lub daję mojej przyjaciółce Ovidii, żeby to zrobiła. Możemy do siebie pisać bezpiecznie, siostrzyczko.

*

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
2 stycznia 1945 r.

Droga Hazel!

Już od tygodni nie dostałam od Ciebie ani słowa. Ze względu na toczące się w pobliżu walki rozumiem, że poczta nie może dochodzić tak regularnie jak zwykle. Staram się być cierpliwa, ale to trudne. Mutti martwi się o Ciebie i Juliusa. Nasi wrogowie są bliżej niż kiedykolwiek. Modłę się o Twoje bezpieczeństwo. Tak okropnie za Tobą tęsknię.

Ja wciąż dochodzę do siebie po chorobie, o której Ci pisałam w ostatnim liście. Pomimo

ogromnych wysiłków Mutti nacieranie gorczycą niewiele pomogło. W końcu Papa wezwał doktora Joachima, który dał mi łyżeczkę proszku Dovera i polecił Mutti zaparzyć mi herbatkę z anyżu. Nie miał żadnych lekarstw, wszystkie poszły dla naszych walczących żołnierzy. Dzięki Bogu to nie była grypa! Chodzą słuchy, że ta choroba zabrała życie wielu mieszkańcom Hamburga i Berlina. Modlę się, żeby nie doszła do Steinhöring!

Po siedmiu filiżankach gorzkiej herbatki obudziłam się z pełnym basenem, ale kaszel ustąpił. Czuwał nade mną jakiś anioł. Do końca roku byłam jeszcze osłabiona, ale mogłam wreszcie odpocząć. Sylwestra przegapiłam, przespałam nadejście Nowego Roku. To dziwne uczucie, stracić takie ważne chwile; to jakby ktoś ci ukradł coś cennego, ale winnego brak. Może dlatego rok 1945 wydaje mi się szczególnie dziwny.

W sylwestrowy wieczór zajrzała Frau Rattelmüller, żeby nam powróżyć z lanego ołowiu. Robiliście *Blei-giessen* w Ośrodku? Jeśli tak, to jaki kształt przybrała Twoja przyszłość? Ołów Papy miał kształt pióra: zmiana w domostwie; odebrał to jako nadchodzące zwycięstwo Ojczyzny i poprawę w interesach. Mutti ułożył się w kształt krowy: lekarstwo na chorobę; od tamtej pory stale każe mi pić wywary z różnych mieszanek ziół. Za mnie roztopiony ołów wylali sami. Utworzył obrączkę. Oczywiście Mutti zinterpretowała to jako przepowiednię mojego małżeństwa z Josefem, lecz Frau Rattelmüller przypomniała jej, że kształt obrączki jest również ostrzeżeniem przed nadchodzącymi dalekimi wyjazdami. To podobne do niej przepowiadać złe wydarzenia. Może ta stara wiedźma rzuciła na mnie klątwę za to, że szydziłam z jej porannych bułek.

Ostatniej nocy śniło mi się, że Josef, związany jak prosię, został włożony do naszego pieca razem z chlebem żytnim. Próbowałam go ratować, ale nie mogłam otworzyć drzwiczek i obudziłam się cała mokra. W innym śnie Ty stałaś z pistoletem na podeście tylnych drzwi i kazałaś mi uciekać. Zapytałam dokąd, ale nie odpowiedziałaś. Powiedziałaś tylko: „Biegnij”, i pobiegłam pustymi ulicami na górę Kramer, aż dobiegłam do St. Martin's Hütte. Zatrzymałam się i popatrzyłam w dół na Garmisch, którego tam wcale nie było, tylko jedna czarna dziura w dolinie. Zawsze mi mówiłaś, że sny mają znaczenie. Czy nadal w to wierzysz? Jeśli tak, to cóż to znaczy? Wolałabym całkiem zapomnieć koszmary nocne, są zbyt straszne, by o nich myśleć. Demony, jak twierdzi Mutti, więc odkurzam Biblię i modlę się, modlę, modlę.

Przyjęłam oświadczyzny Josefa. Mutti i Papa są zachwyceni i widok ich szczęścia dodaje mi odwagi, ale nie jestem pewna, czy to wystarczy.

Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjechać tu na wiosnę. Twoja opinia jest dla mnie decydująca. Gdybyś była z nami w tych trudnych czasach, wszystko byłoby dużo łatwiejsze. Muszę Ci powiedzieć, Hazel, że mam tajemnicę. Nie mam odwagi o tym napisać, ale mogę powiedzieć tylko Tobie, im szybciej, tym lepiej. Tak mnie to pochłania, że nie mogę znaleźć spokoju. Martwię się, że popełniłam straszliwy błąd. Jeśli zrobiłam źle, modlę się, żeby konsekwencje nie dotknęły Ciebie, Mutti czy Papy. Proszę, odpisz szybko, Hazel. Dni między listami tak się dłużą.

Heil Hitler.

Twoja kochająca siostra

Elsie

*

Zaskrzypiała podłoga pod stopami Mutti. Elsie spojrzała na obluzowaną deskę w ścianie, by się upewnić, że jest zabezpieczona.

– Chyba się już lepiej czujesz? – zapytała Mutti, wchodząc. Na tacy niosła zupę z cebuli i pasternaku. – Dobrze, że nie śpisz.

Elsie wskazała na list leżący na stoliku przy łóżku.

– Pisałam do Hazel.

Mutti postawiła tacę obok.

– Wysłać ci go?

Elsie zgarnęła list.

– To nic pilnego. – Chociaż Mutti nie miała wścibskiej natury, nie mogła ryzykować. – Zaniosę go na pocztę, jak tylko wyzdrowieję. Pomaga mi takie rozmawianie z nią, jakby była obok. – Wygładziła róg kartki. – Tęsknię za nią.

Mutti podciągnęła wyżej kołdrę na piersiach Elsie.

– Cieszę się, że do ciebie pisze. My z Papą nie dostaliśmy listu od ponad miesiąca. –

Poprawiła łyżkę na tacy. – Jest zajęta, no i ta wojna... – Przyłożyła dłoń do czoła Elsie. – Dobrze. Nie masz gorączki. Jestem pewna, że Josef nie może się już doczekać, kiedy cię zobaczy. – Mutti poklepała córkę po ręku. Mimo słabego światła rubiny lśniły. – Musisz całkiem wyzdrowieć. Dzięki Bogu, to nie była infekcja. Doktor Joachim mówi, że nie ma ani jednej uncji lekarstwa, nawet na czarnym rynku. – Splotła dłonie. – Modlę się, żeby w Steinhöring były lepsze dostawy.

Elsie położyła dłoń na dłoni matki.

– Hazel prosi, żeby uściskać ciebie i Papę. Wydaje mi się, że jest w najlepszym położeniu z nas wszystkich.

Nie chciała, żeby Mutti się martwiła.

Mutti pomasaowała czubki palców Elsie, żeby pobudzić krążenie krwi.

– *Gut*. To mnie podnosi na duchu. Prześlij jej uściski od nas, jak będziesz znów pisała. – Puściła ją. – Muszę wracać do taty. Była chwila spokoju, więc przyniosłam ci lunch. Jedz zupę, póki ciepła. – Wstała i ruszyła do drzwi.

– Mutti – zatrzymała ją Elsie. – Czy została jakaś bułka lub dwie, żebym mogła zjeść? – Mutti kiwnęła głową.

– Apetyt. Wyborny znak.

Po chwili Elsie nasłuchiwała skrzypienia schodów – najpierw diminuendo, potem crescendo, aż wreszcie drzwi otworzyły się ponownie.

– Dwie prosto z pieca od Papy. I kawaleczek masła, który ukrywałam w pojemniku z lodem. – Mutti postawiła talerz na tacy. – Powiedziałam Papie, że rano musimy piec dodatkowe partie bułek. Frau Rattelmüller kupiła tuzin, zanim otworzyliśmy sklep!

– Robi to od miesiący – zauważyła Elsie. – Mówiłam ci, że ona postradała zmysły.

– Ale płaci w monetach, gotówką. – Mutti mrugnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Elsie piła zupę. Unosząca się z niej aromatyczna para napełniała jej płuca balsamem. Zupa Mutti i bułka Papy – nie było na świecie nic lepszego. Trzymała miskę jak najbliżej się dało, aby się nie oparzyć.

Z dołu poprzez deski sosnowe niósł się głos Mutti witającej klientów i przyjmującej zamówienia.

Elsie sprawdziła wzrokiem drzwi i posłuchała, czy nikt nie idzie, po czym wysunęła się spod puchowej kołdry z kluczem w ręku. Podłoga była cieplejsza niż powietrze i przyjemnie grzała stopy. Gdy już przekręciła zamek, szepnęła:

– Tobiasz?

Szeroka deska w najdalszej ścianie odsunęła się.

– Zupa z pasternaku – powiedziała Elsie.

Z niskiej wnęki wypełznął Tobiasz w grubym irlandzkim swetrze, który wyglądał bardziej jak sukienka. Brzuch Papy już dawno wyrósł z tego swetra; leżał nieużywany na dnie jego kufra z drewna cedrowego. Nigdy nie zauważył, że go tam nie ma. Elsie nie mogła ryzykować, że w zimnym pomieszczeniu na górze Tobiasz się przeziębii i kichaniem zdradzi swoją obecność.

Zdjęła pieczywo z talerza i łyżką nabrała pasternaku, cebuli, marchewki i kapusty. Potem przełamała bułkę i posmarowała ją w środku masłem.

– Masz.

– To dla ciebie – wyszeptał Tobiasz.

Elsie pokręciła głową.

– Nie, dla ciebie.

Oczy mu zabłyśły.

Do dziś Elsie nie była w stanie strawić nic więcej niż herbatkę, rosół i precle, których kawałki ssła, aż namiękły w ustach. Tobiasz jadł więc to samo. O ile Elsie na tej diecie schudła, on zdołał zaskakująco nabrać ciała – i na policzkach, i na brzuchu. Mniej przypominał już zjawę, a bardziej chłopca. Choć rzadko się odzywał, Elsie w pewnym sensie przywiązała się do jego towarzystwa, jak do wyimaginowanych elfów, którymi w dzieciństwie zaludniała ogrodowe szopy i drewniane szafy.

– Wejdz z powrotem i jedz tam, gdzie bezpiecznie – poleciła.

Tobiasz kiwnął głową, na palcach podszedł do ściany, przecisnął się przez otwór i wciągnął talerz do środka.

Tak robili od Bożego Narodzenia. Początkowo Elsie wpadała w panikę za każdym razem, gdy rodzice przychodzili zmierzyć jej temperaturę. Serce jej przyspieszało i zalewała się potem od stóp do głów, co sprawiało, że objawy jej choroby wydawały się dużo gorsze. Kiedy przyszedł doktor Joachim, mało nie zemdląca ze strachu. Lecz Tobiasz był najwyraźniej pod osłoną niebios. Sama Elsie zapominała często, że tam jest, dopóki kaszel nie zaczął wstrząsać jej piersiami, aż oddech stawał się płytki. Wtedy on wychodził, przysuwał jej wodę do ust i nucił, żeby jej ulżyć w cierpieniu. Starła się zapomnieć, że jest Żydem. Tak było łatwiej. Musiała jednak wymyślić, co z nim dalej zrobić.

W ataku gorączki przyśniło jej się, że wezwała gestapo i opowiedziała, jak znalazła chłopca ukrywającego się w stercie drewna, tym samym ratując siebie i rodzinę oraz zyskując uznanie władz. Obudziło ją cichutkie nucenie Tobiasza tuż obok i aż wzdrygnęła się na taki makabryczny pomysł. Nie mogłaby go wydać. Już nie. Wszystko się zmieniło. Teraz już był dla niej kimś.

Przy każdym posiłku dzieliła się z nim chlebem po połowie, pokazała mu swoje sekretne przedmioty zgromadzone we wnęce. Najbardziej podobała mu się reklama fasolki po teksańsku, na której rysunek przedstawiał amerykańskiego kowboja jadącego na koniu przez pole słoneczników. Tobiasz wodził palcami po uśmiechniętej twarzy mężczyzny i obrysowywał od góry do dołu spiczasty napis „USA”. Miała też odznakę szarotkę, zdjęcia filmowe Jean Harlow, Myrny Loy i Williama Powella, egzemplarz *A Boy's Will* Frosta z oddartą okładką, słoik kamyków z wybrzeża Jugosławii, małą buteleczkę szamponu różanego oraz tabliczkę czekolady Ritter Sport, jeszcze nienaruszoną. Obawiając się, że Tobiasz okaże się łakomczuchem, ostrzegła go, że gdyby jadł tę czekoladę, z pewnością go znajdą, jej zapach jest bowiem tak wyraźny i znajomy dla węchu piekarza. Lecz po tygodniu żywienia go resztkami przekonała się, że obżarstwo nie leżało w jego naturze.

Po kilku minutach ze szczeliny wysunął się talerz. Elsie zabrała go i naciągnęła na siebie kołdrę. Odbijające się w pierścionku światło lampy rzucało na ścianę czerwone kropeczki. Wciąż nie mogła się przyzwyczać do blasku tych rubinów. Jej decyzja, żeby przyjąć oświadczenia, przyszła nagle.

Dzień po Bożym Narodzeniu wróciło gestapo. Ponieważ dotąd nie znaleziono Tobiasza, oddziały otrzymały rozkaz ostatecznego przeszukania całej okolicy w dzień. Stukot ich butów wyrwał Elsie z transu.

– Ona jest chora! – wołał Papa.

Weszli do pokoju z bronią przewieszoną przez pierś. Rozpalonym oczom Elsie pokój wydał się za jasny; światło obnażało każdy kąt, zdradzało każdy sekret. Naciągnęła kołdrę pod brodę, zasłaniając cienką koszulę nocną, i ze strachu cicho pojękiwała jak w malignie.

Wojskowy tupał w deski narożne i stukał kolbą karabinu w ścianę. Drugi zajrzał pod łóżko i przeszukał jej szafę cedrową, wyciągając na podłogę sukienki i swetry.

– Przestańcie, proszę – błagała Mutti.

– Musimy wszędzie sprawdzić – odparł żołnierz i podszedł do tylnej ściany.

– Nie! – Piersi Elsie zaciskał spazm kaszlu, ale zdołała wykrztusić słowa: – Jestem narzeczoną podpułkownika Josefa Huba. Jeśli nie pójdziecie stąd natychmiast, on dopilnuje, żebyście zostali odpowiednio ukarani za brak szacunku dla naszej rodziny. – Zakończyła już ze świszczącym oddechem i atakiem suchego kaszlu.

Mężczyźni popatrzyli na swego Standartenführera, który dał sygnał, i szybko wyszli. Mutti i Papa patrzyli oniemiała.

– Narzeczoną?

I tak decyzja została podjęta.

Błyszczące na złotym krążku klejnoty zrobiły na rodzicach wrażenie. Nie posiadali nic, co mogłoby się z tym równać. Mutti sądziła, że Josef kupił to u paryskiego jubilera, lecz Elsie знаła prawdę.

Teraz uklękła przy ścianie.

– Tobiasz? – Deska uchyliła się nieco. – Umiesz czytać po hebrajsku? – Ściągnęła pierścionek z palca. – Co to znaczy?

Wysunął dłoń, wziął złoty krążek i obrócił tak, żeby światło padało na wygrawerowany wewnątrz napis, po czym oddał z powrotem.

– No i? – spytała.

Cisza.

– Czy jest zbyt wytarty?

– „Jam umiłowanego mego, a mój umiłowany jest mój” – powiedział czystym głosem, jakby śpiewał. – To jest z Tory.

Rozdział 15

Dworzec kolejowy
Garmisch, Niemcy
6 stycznia 1940 r.

Kapitan Josef Hub dostał przepustkę na sobotę i wsiadł w poranny pociąg do Garmisch. W archiwum Rzeszy zaprzyjaźnił się z gadatliwą sekretarką, która miała zamiłowanie do słodczy, a przez to trądzik różowaty. Po wielu miesiącach flirtowania nad pączkami z cukrem pudrem i ostrożnie dawkowanych aluzji przekonał ją, żeby wyciągnęła akta Petera z archiwum Hitlerjugend. Był w nich numer domu Abenda.

Szukał ulicy wśród kolorowych linii na mapie miasta wywieszanej na ścianie peronu kolejowego. Dokładnie w tym samym miejscu stał cztery lata temu, podczas zimowych igrzysk olimpijskich w 1936 roku. Dworzec był wtedy przepełniony ludźmi, którzy wymachiwali flagami państwowymi w żywych barwach, wychwalali zalety nowego stadionu Hitlera i biegli, żeby ujrzeć swych ulubionych sportowców. Teraz, z wyjątkiem garstki pasażerów, dworzec był pusty.

Maszynieria pociągu zgrzytnęła i jęknęła jak kości wstającego reumatyka. Dobrze, że już wysiadł. Przeczytał zapisany adres. Herr i Frau Abendowie wynajmowali pokoje nad swoim mieszkaniem przyjeżdżającym narciarzom i parom spędzającym tu urlop. Jak napisano w aktach Petera, byli „właścicielami małego pensjonatu”. Ludzie prości, ciężko pracujący. Mieli dwoje dzieci: Petera i Trudi. Peter był starszy.

– Jakiś bagaż, panie oficerze? – zapytał bagażowy.

– *Nein*. – Josef wsunął adres do kieszeni. – O której odjeżdża ostatni pociąg do Monachium?

– O dwudziestej pierwszej.

To mu dawało prawie dwanaście godzin, chociaż nie planował zostać aż tak długo.

– Którędy na Schnitzschulstrasse?

– Tamtą ulicą. – Bagażowy pokazał. – Czy mam wezwać powóz?

Josef poprawił czapkę.

– Spacer dobrze mi zrobi.

Bagażowy wzruszył ramionami i objaśnił mu drogę.

Tak naprawdę Josef chciałby mieć trochę więcej czasu. Przygotować się. Z utęsknieniem i lękiem czekał na ten dzień ponad rok, a teraz, gdy już nadszedł, nie miał takiego wymiaru, jak to sobie zawsze wyobrażał. Poranek był zbyt mokry i słoneczny jak na styczeń. Josef spodziewał się siarczystego mrozu i ziejących pustką ulic, co pasowałoby do jego nastroju. Zamiast tego miasto tętniło ożywionym sobotnim handlem, pachniało pieczonym chlebem i podsycanym w piecach ogniem. Dzieci ganiały się po ulicznym bruku, drzwi sklepów dzwoniły przy każdym wejściu i wyjściu klientek w butach na obcasach i kapeluszach z piórami. Dwie młode kobiety uśmiechnęły się do niego, przechodząc, a potem zaczęły chichotać. Rzeźnik wylewał wiadro różowej wody do rynsztoka.

– *Guten morgen, Hauptsturmführer*.

– *Guten morgen*.

Josef zatrzymał się i sprawdził tabliczki z nazwami ulic.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał rzeźnik.

– Szukam Schnitzschulstrasse, pensjonatu Abendów.

– Tam za rogiem. Frau Abend gotuje dla swoich gości wspaniałą zupę z jagnięciny. Mięso jest z mojego sklepu. Zawsze najlepsze. Obiecuję, że nie będzie pan rozczarowany.

Josef skinął głową, dobrze wiedząc, że nie będzie tam jadł obiadu.

Tamtego listopadowego wieczoru wpadł w furję. Wstyd mu było za swoją bezmyślność i niepohamowanie. Peter miał rację. Oni byli tylko Żydami. Lecz mimo tego wszystkiego, co czytał i słyszał, co sam głosił, pomimo doktryny partyjnej, że są rasą potępioną, Hochschildowie byli jego przyjaciółmi i nauczycielami, niezmiernie dlań łaskawymi. Nie mógł temu zaprzeczyć, tak jak nie mógł zaprzeczyć, że zamordował Petera Abenda. Były to dwie prawdy, ale nie mógł ich jawnie głosić. Był teraz kapitanem w armii Trzeciej Rzeszy i miał szanse na szybki awans. Peter nie słuchał dowódcy. Dyscyplina i wiara to były naczelne zasady, których się trzymali.

A jednak jakkolwiek by swoje czyny racjonalizował, nie mógł zaznać spokoju. W ciągu ostatniego roku cierpiał na migreny. Przenikliwy ból zamazywał mu pole widzenia i redukowało je do niekończącego się tunelu ciemności. Całymi godzinami leżał w odrętwieniu, prawie nie oddychając. Zadawał sobie pytanie, czy tak właśnie czuli się Peter w zacisku jego ręki i Frau Hochschild w grobie. W nocy modlił się, żeby Bóg go zabrał, lecz o świcie wstawał, wkładał mundur i meldował się na służbie. Jego zwierzchnik, zauważywszy, że wychudł i wygląda na chorego, kazał mu się zgłosić do lekarza Waffen-SS, a ten przepisał mu metamfetaminę w zastrzykach i polecił przychodzić, gdy tylko poczuje się zmęczony, niespokojny lub przygnębiony. Bóle głowy minęły, jednak lek nic mu nie pomógł na bezsenność. Nie spał po nocach, chodził po pokoju lub na okrągło czytał *Mein Kampf*, aż w końcu lekarz dodał mu pigułki na sen. Połączenie zastrzyków z pigułkami najwidoczniej podziałało i wrócił do formy... nie, czuł się lepiej niż kiedykolwiek. Jeśli nie liczyć złych snów. Słyszał w nich szept synów Herr Hochschilda i wciąż na nowo czuł pod swoją dłonią zwalniający puls serca Petera. Budził się mokry od potu i wstrząśnięty świadomością, że przecież ten sen był rzeczywistością.

Składając wizytę Abendom, miał nadzieję uciszyć te upiorne szepty i zdjąć z siebie odium śmierci Petera. Poczucie winy ciągnęło go tam jak ćmę do ognia.

Zapukał do drzwi.

– *Ja* – otworzyła mu nastolatka.

Trudi, domyślił się Josef.

– Ja do pana Abenda.

– Przyjechał pan na narty? – Trzymając rękę w pasie, wygięła biodro ruchem nad wyraz dojrzałym jak na swój wiek.

– *Nein*.

Zlustrowała jego mundur.

– Ojca nie ma w domu, ale mama może panu wynająć pokój.

– Mogę z nią porozmawiać?

Trudi otworzyła szeroko drzwi.

– Proszę.

Josef wszedł. W wąskim korytarzu na wielkim gwoździu wisiała jedna fotografia: dziewczynki z warkoczami i Petera w mundurze stojących obok rodziców.

– Mamo, mamy gości.

Trudi zaprowadziła Josefa do saloniku, gdzie siedziała siwowłosa Frau Abend, zajęta cerowaniem. Na jego widok schowała koszyk z niemi pod kanapę.

– Gościa? Proszę usiąść – zaproponowała. – Liczymy za nocleg, w cenie jest obiad i śniadanie. Ponieważ jest pan oficerem, dam panu zniżkę. Mój syn był oficerem.

Josef usiadł.

– *Nein*. Nie przyszedłem tu, aby wynająć pokój. Chciałbym porozmawiać z panią i pani

mężem.

Trudi wtrąciła się:

– Ale mówił pan...

– Cicho – zganiła ją Frau Abend, więc Trudi umilkła i skubała paznokcie. – Pana Abenda nie będzie w domu przez jakiś czas. O czym chce pan z nami rozmawiać, kapitanie...?

– Hub – powiedział Josef. – Josef Hub... Josef. – W gardle mu zasychało. – Znałem pani syna.

– Petera? – rzuciła Trudi.

Frau Abend zgromiła ją wzrokiem i dziewczyna znów zajęła się paznokciami.

– *Ja*, o co chodzi w związku z moim synem?

– Byłem jego dowódcą. – Josef poczuł, że oko zaczyna mu drżeć. – W tamten wieczór, gdy zginął, byłem tam. – Przerwał. Przyszedł oczyścić się z winy, ale nie był pewien, ile ma ujawnić. – Znałem go. Był oddanym żołnierzem. – W saloniku państwa Abendów było tak gorąco, że aż się spocił. Kołnierzyk munduru dusił mu gardło. – Byłem przy nim, gdy został zabity. Przyszedłem więc powiedzieć wam... to znaczy, przyszedłem powiedzieć państwu...

Frau Abend opuściła nisko brodę. Na stoliku stała pusta filiżanka po herbacie, na której dnie pozostał namiętkły kawałek skórki pomarańczowej.

– Mój Peter – wyszeptala trzęsącymi się wargami. – Mój jedyny syn.

Chociaż Josef dopilnował, by przed wyjazdem z Monachium zrobiono mu zastrzyk, pokój zaczął mu wirować i przed oczami pojawiły się ciemne plamy. Wziął głęboki oddech. Jeśli zacznie się migrena, nie ma się gdzie schronić.

– Był wspaniałym żołnierzem. – Josef odchrząknął. – Jego śmierć to wielka strata. To tragedia.

Frau Abend pociągnęła nosem i wyprostowała się.

– Dziękuję. – Jej mocny głos szarpał powietrze. – Żaden z jego przyjaciół dotąd nie przyjechał. Dostaliśmy telegram. Nie było ciała. Napisali... – Zatrzymała się.

– Spalony – szepnęła Trudi.

Josef przypomniał sobie pochodnie wrzucane na oślepek do budynków przez członków Hitlerjugend i jak cała ulica staje w płomieniach.

– Urządziliśmy mu piękny pogrzeb. Pochowaliśmy kilka jego rzeczy w naszym rodzinnym grobie u św. Sebastiana.

Josef kiwnął głową.

– Był pan w Hitlerjugend? Musi pan znać jego narzeczoną, Hazel – drażyła Trudi.

Josef ściągnął brwi.

– Był zaręczony?

– Ma także syna – dodała.

– Trudi, idź sprzątnąć naczynia po śniadaniu i daj psu skórki od chleba – zarządziła Frau Abend. Po wyjściu dziewczyny mówiła dalej: – Peter był zaręczony z Hazel Schmidt, córką Maxa Schmidta, piekarza. Miła Fräulein. – Westchnęła. – Ponieważ ich dziecko nie było z legalnego małżeństwa, ale miało dobre niemieckie pochodzenie, dostało się do Ośrodka Rzeszy w Steinhöring. To dla niego najodpowiedniejsze miejsce.

– Nie miałem pojęcia – wyznał Josef.

W kominku trzasnęło sosnowe polano. Gorąco w pomieszczeniu stało się nagle nie do wytrzymania.

– Cóż... – Wstał. – Muszę zdążyć na pociąg powrotny do Monachium.

Pokiwała głową.

– Jeśli pan tu jeszcze kiedyś przyjedzie, mamy dobre ceny. W czasie olimpiady interes

szedł doskonale, ale teraz już nie. – Odprowadziła go do drzwi.

Skrzywił się, wychodząc na jasne światło dnia, choć zimne górskie powietrze uśmierzało nieco narastający ból.

– Pomodłę się za pana bezpieczeństwo, kapitanie Hub – powiedziała Frau Abend.

Zamknęła drzwi, nim zdążył jej podziękować.

Obok przeszedł mężczyzna, niosąc duży, okrągły bochenek zawinięty w papier. Josefowi zaburczało w brzuchu. Nic jeszcze nie jadł tego dnia i zapach chleba wwiercał mu się w kiszki tak samo gwałtownie jak migrena w głowę. Udał się w kierunku, skąd szedł mężczyzna, uliczką, na której dwaj chłopcy walczyli na kije pośród gołębi zjadających okruszki. Kobieta w podszytym futrem płaszczu wyszła na ulicę, trzymając pudełko z ciastem. Nad nią wisiał szyld: Piekarnia Schmidtów.

*

W środku była kolejka. Za pomarszczoną staruszką o lasce stał mężczyzna w okularach z drucianymi oprawkami.

– Poproszę dobry, solidny chleb. Nie jakieś nadmuchane słodkości. One niszczą zęby – oznajmiła kobieta.

Młoda dziewczyna za kasą zdjęła z półki brązowy bochenek z ziarnami. Kobieta spojrzała nań i kiwnęła głową.

– Ten może być. – Wzięła torebkę z chlebem, wysypała monety na ladę i szybko pokuśtykała do drzwi. Dzwonek nad drzwiami obwieścił, że wychodzi.

– Dziękujemy i zapraszamy, Frau Rattelmüller! – zawołała za nią dziewczyna zza kontuaru. Sapnęła z lekkim poirytowaniem i przesunęła zawiązaną na głowie niebieską chustkę, jakby ją coś swędziało.

Czy to córka piekarza? – zastanawiał się Josef. – Hazel Petera? Wyglądała zbyt dziewczęco. Jej zaróżowiona skóra błyszczała, szyja i ręce były szczupłe i wiotkie. Czy mogłaby doprawdy urodzić dziecko Petera? Im starszy był sam, tym wszyscy inni wydawali mu się młodszy. Sekretarce w archiwum Rzeszy dawał grubo po trzydziestce, a ku swemu zaskoczeniu odkrył, że ma o dziesięć lat więcej.

Mężczyzna w okularach kupił równiutko plecione bułki z makiem i zapłacił kartkami SS na żywność. Gdy młoda kobieta sięgała do pojemnika z pieczywem, kilka kosmyków jasnopszenicznych włosów opadło jej na oczy. Włożyła je z powrotem pod nieco zwichrzony warkocz przykryty chustką. Śliczna.

– Słucham pana? – Duże, ciemnozielone oczy zwróciły się ku niemu.

Musiał popatrzeć w ofertę, rozejrzeć się po półkach.

– Co jest świeże?

– Wszystko – odparła zdecydowanie.

– Wszystko? – Uśmiechnął się. – Naprawdę?

– Tu nic nie leży na tyle długo, żeby się zestarzeć. Ludzie są głodni. Jest wojna. A może pan nie zauważył? – Popatrzyła znacząco na jego mundur.

Odchrząknął, żeby się nie roześmiać. Była przebojowa w sposób diametralnie różny od podlotka Trudi Abend. W tej dziewczynie wyczuwało się nieustraszoną inteligencję, która bardzo mu się podobała.

– No dobrze, więc poproszę bułkę i masło. Chciałbym zjeść na miejscu. Jeśli to nie zrobi kłopotu.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do pojemnika.

– Pan dostaje jedzenie, my dostajemy pieniądze. Nie wiem, jaki to ma być kłopot – mówiła odwrócona plecami.

Miała szczupłą talię i poruszała się zwinnie, nieobciążona nadmiarem dojrzałej kobiecości. Mógłby ją objąć w pasie jedną ręką.

Wróciła do lady z bułką i kawałkiem masła.

– Masło kosztuje dodatkowo trzydzieści fenigów lub równowartość w kuponach.

Hub położył monety na ladzie, ale zanim zdążyła je zgarnąć, zatrzymał jej dłoń.

– Hazel? – zapytał, ale dziewczyna wzdrygnęła się i szybko zgarnęła pieniądze z lady.

– Jestem kapitan Hub. Służyłem razem z Peterem Abendem – wyjaśnił i czekał na jej reakcję.

Nie było żadnej. Chłodno i spokojnie powkładała monety do przegródek i zamknęła kasę.

– Jestem Elsie. Siostra Hazel.

Pokiwał głową. Tak, oczywiście. Jeśli Hazel miała taką samą jasną cerę i włosy, nic dziwnego, że wzięli ją do Programu Lebensborn. Nawet kości policzkowe i nos Elsie nosiły klasyczne cechy nordyckiego pochodzenia. Spędził wiele godzin, badając naukowe uzasadnienie wyższości aryjskiej, w nadziei, że jeszcze bardziej usprawiedliwi swe czyny i noszony znak swastyki. Wziął talerz.

– Właśnie byłem w domu Abendów złożyć uszanowanie jego rodzinie. Powiedzieli mi, że Peter był zaręczony z Hazel.

Elsie przekładała rolady cynamonowe z metalowej tacy na szklaną półkę z ciastami.

– I dlatego pan tu przyszedł? – rzuciła badawczo.

– Dlaczego przyszedłem? – Spojrzał w dół na bułkę; krzyż nacięty na jej wierzchu dzielił ją na cztery ćwiartki.

Elsie skończyła układanie ciast i wytarła palcem odrobinę skapniętej polewy.

– *Ja*, byli zaręczeni. On umarł, a ona pojechała do Steinhöring z Juliusem, ich synem. –

Elsie oblizwała palec do czysta, ściągnęła wargi i powiodła spojrzeniem po Josefie: od insygniów na kołnierzyku po buty z cholewami. – Jeśli chce pan o coś zapytać, musi pan porozmawiać z moim ojcem. Nie jest w zwyczaju, abym to ja rozmawiała o naszych sprawach rodzinnych z nieznanymi. Czy jest pan oficerem SS, czy samym Winstonem Churchillem, ja pana nie znam. – Przerzuciła na przód swój przypominający rybi ogon warkocz i poszła wynieść tacę z powrotem do kuchni.

Była odważna, a to cecha, którą statut Bund Deutscher Mädel zarówno propagował, jak i ganił. Dobra czy zła, Josefowi wydała się zdrowa.

– Ale przecież... przyszedłem tu na śniadanie – rzekł Josef, wzruszając ramionami. Ból głowy ustępował.

Usiadł przy jednym z małych stolików i palcami rozerwał bułkę; wewnątrz była miękka i biała, odrobinę kleista w samym środku.

Do sklepu weszła kobieta z synkiem, dyskutując, czy ma mu kupić słodką bułkę, czy precla z serem. Matka mówiła chłopcu, że jeśli będzie jadł same słodkie, zrobi się tłusty jak prosię, choć ona sama była okrągła i pulchna jak pieczone jabłko. Zmęczona spacerem na zimnie i przedłużającym się sporem pociągnęła dziecko do kontuaru i syknęła przez zęby:

– Wybierz coś zdrowego – poleciła. – Może cebulaka?

Chłopiec przycisnął nos do szyby lady wystawowej, pozostawiając tam tłusty ślad.

Jego matka zwróciła głowę w stronę kuchni za sklepem.

– Elsie! – zawołała. – Max... Luana! Postanowiliście zrobić sobie urlop?

Korzystając z chwili nieuwagi, chłopiec pokazał jej język.

Josef chrupał bułkę, rozbawiony nonszalancją chłopca, wyczekując ponownego pojawienia się Elsie. Wróciła, strzepując z rąk mąkę.

– Jesteśmy, Frau Reimers.

Tuż za Elsie wszedł starszy mężczyzna o rumianej twarzy i włosach koloru soli morskiej.

– *Grüss Gott*, Jana! I pan Ahren. Moi najlepsi klienci, jak się macie?
– *Gut* – odparła Frau Reimers krótko i wężłowato. – Poproszę bochenek *Bauernbrot*, a Ahren weźmie... – Spojrzała z góry na chłopca. – No? Powiedz panu Schmidtowi, co chcesz.
– Roladę cynamonową – oznajmił bez zająknięcia chłopiec.
Kobieta westchnęła i poprawiła kapelusz.
– Oczywiście, wybierasz najdroższe. Dobrze, ale pamiętaj, że do Hitlerjugend nie przyjmują grubasów.
– Ja nie chcę iść do Hitlerjugend – odparował.
Matka uderzyła go w policzek.
– Głupcze. Słuchaj... – Odwróciła się w stronę Josefa i pokazała na niego. – Wszyscy dobrzy Niemcy chcą być oficerami. Ale musisz się zmieścić w mundur.
Josef jadł dalej, nie zwracając na nich uwagi. Chłopiec był o wiele za mały, żeby martwić się o swój pobór do wojska czy skutki zjedzenia słodkiej bułki.
– Och, Jano. Pozwól chłopcu. Spójrz na mnie! Wyrosłem na słodkim pieczywie i ciastach, a lekarze mówią, że jestem zdrow jak ryba.
– Jedną roladę cynamonową? – zapytała Elsie.
Kobieta wzruszyła ramionami.
– Tak myślę. Ale Max, te ceny...
– Trudno zdobyć cukier. Nie ma już takich dostaw jak kiedyś.
– No i czy to nie jest kara Boża, że dał mi dziecko, które jada wyłącznie cukier i masło?
Elsie zapakowała chleb w torbę, a ciasto do pudełka, gdy tymczasem jej ojciec skierował rozmowę na temat wpływu zimna na koper uprawiany przez niego na okiennym parapecie.
– Proszę, Ahren – szepnęła Elsie do chłopca. – Ja też je lubię. – Mrugnęła do niego. Odwzajemnił się uśmiechem.
– *Wunderbar!* – Pani Reimers zajrzała do torby. – Cudowny! Max, jesteś najlepszym piekarzem w całej Ojczyźnie. – Z aksamitnej portmonetki wyciągnęła błyszczące monety i z brzękiem rzuciła na kontuar. – No, choź już, Ahrenie.
Chłopiec wyszedł za nią. Gdy zabrakło głośnego sapania klientki, w piekarni zrobiło się aż za cicho. Kroki zbliżającego się pana Schmidta dudniły o kafelki posadzki.
– Halo, panie oficerze – zagaił. – Elsie powiedziała, że ma pan jakieś pytania na temat mojej starszej córki, Hazel, i Petera Abendy, Panie świeć nad jego duszą.
Josef wstał z szacunku i otarł z ust okruszki.
– To częściowa prawda. Przyjechałem odwiedzić państwa Abendów i zaszedłem tutaj na śniadanie.
– *Ach ja*. To bardzo się cieszymy. – Herr Schmidt podał mu rękę i mocno potrząsnął. – Abendowie to dobrzy ludzie. Utrata Petera była straszna dla nas wszystkich. – Zajął miejsce przy stoliku Josefa i gestem pokazał, żeby i on usiadł. – Elsie, przynieś nam czarnej herbaty.
– Mamy tylko korzeń cykorii – odpowiedziała.
– No to zaparz tę cykorię – polecił Herr Schmidt.
– Ale Papo, nie mamy już zbyt dużo i...
– Rób, co mówię, dziecko – rozkazał stanowczo. – Nie codziennie mamy tu oficera i przyjaciela rodziny jako klienta.
Elsie posłuchała i wyszła.
– Tęskni za siostrą – wyjaśnił Herr Schmidt. – Jest młoda i niezupełnie rozumie politykę, wojnę, patriotyzm... Ale my jesteśmy bardzo dumni z naszej Hazel.
Josef przełknął ostatni kawałek bułki, który miał jeszcze w ustach.
– *Sag mal*, skąd pan przyjechał? – spytał Herr Schmidt.

– Z Monachium – odparł Josef.

Herr Schmidt odchylił się do tyłu na krześle.

– A, ze stolicy ruchu.

Josef potwierdził z uśmiechem i odsunął talerz, na którym został nienaruszony kawałek wiejskiego masła.

Rozdział 16

Straż Celna i Graniczna
Stanów Zjednoczonych
Montana Avenue 8935
El Paso, stan Teksas
11 listopada 2007 r.

– Rik, Carol gotuje na kolację spaghetti z pulpetami. Jesteś pewien, że nie masz ochoty? – zapytał Bert, wkładając kurtkę.

– Dzięki, ale już coś kupiłem w Taco Cabana. – Riki wskazał duże opakowanie jedzenia na wynos stojące na ich minilodówce. – Pomyślałem, że dzieciakom też będzie smakować.

– Nie wiem, jak ty to robisz – wyznał Bert. – Próbowałem się żywić tak jak ty w Taco Cabana i w ciągu tygodnia przytyłem trzy kilo. To prawie pół kilo dziennie!

– Pewnie genetyka. – Riki napiął mięśnie. – Ciało poznaje jedzenie przodków. Bert roześmiał się.

– Albo, co bardziej prawdopodobne, jedząc razem z Carol i dziećmi, zjadam ledwie pół porcji, tyle się wokół dzieje. – Z uśmiechem wzruszył ramionami i postukał grzbietem dłoni w harmonogram pracy. – Jutro ich wywozisz?

– Bładym świtem.

Bert chrząknął i wyłuskał z kieszeni klucze.

– Rozmawiałeś z Rebą?

Riki założył nogi na biurko.

– Zadzwoń do niej później.

– Bo ja mógłbym po ciebie podjechać. Zadzwoń teraz, póki jest sama. – Dużym kwadratowym kluczem podrapał się w zarośniętą brodę.

To był wielki gest, ale Bert nie znał Reby tak dobrze jak on.

– Zadzwoń później.

– W porządku. – Bert zastanowił się. – Nie musisz nocować tutaj. My z Carol możemy cię przechować, dopóki czegoś nie znajdziesz.

– Dzięki, Bert. Doceniam tę propozycję.

Bert zasalutował do wymyślonej czapki i wyszedł.

Przez posterunek przewinęła się jeszcze garstka oficerów, ale wciąż było za cicho. Riki włączył radio na biurku. Po falach eteru popłynęła chwytliwa melodia jakiegoś przeboju. Nucił ją do wtóru, jednocześnie szukając czegoś w Internecie. W taki sposób podróżował. Odwiedzał winnice północnej Kalifornii, bagniste zalewy Luizjany, łodzie do połowu homarów w Maine, Biały Dom i pomnik Lincolna, falujące grzbiety Pasma Błękitnego i oceany po obu stronach kontynentu. Przemieszczał się z miejsca do miejsca jednym kliknięciem, nie ruszając się z wygodnego krzesła.

Riki był z natury domatorem, a jego prawdziwe wyjazdy ograniczały się do Santa Fe na północ i do San Antonio na wschód. Częściowo dlatego tak ciągnęło go do Reby. Ona była „spoza”. Weszła w jego życie, dźwigając świat na ramionach, i poprzez nią miał nadzieję zobaczyć wszystko, co zawsze chciał zobaczyć, bez wychodzenia z domu. Nie dlatego, że bał się wyjeżdżać, raczej dlatego, że bardziej naturalne wydawało mu się pozostać tam, gdzie czuł swoją przynależność, z ludźmi, których był częścią.

Takie poczucie wpoili mu rodzice. Choć wykazali się odwagą, przekraczając Rio Grande

i stając się obywatelami Stanów Zjednoczonych, nigdy nie pozwolili Rikiemu zapomnieć, kim naprawdę jest: synem meksykańskich imigrantów, wyobcowanych z racji swej kultury i tradycji, rasy i religii.

Jeszcze w swoich ostatnich dniach, gdy gruźlica już umęczyła jego ciało i ducha, ojciec Rikiego włączał CNN i oglądał debaty dziennikarzy, polityków i zwyczajnych ludzi na temat przepisów imigracyjnych.

– Oni kradną w Ameryce pracę prawdziwym Amerykanom – powiedział do kamery jeden z uczestników protestu.

– Zostańcie po swojej stronie! – krzyknął inny.

– Zobacz, *mi hijo*, zobacz – mówił ojciec, zanim go złapał atak kaszlu. – Musisz być ostrożny. Ufaj tylko swoim ludziom.

Bolało Rikiego, że ojciec nawet na łożu śmierci uważał siebie i swoją rodzinę za obcych w obcym kraju. Ubiegając się o pracę w straży granicznej, chciał mu udowodnić, że nie ma racji. Zamierzał pokazać ojcu, jakim jest Amerykaninem i jak przez swoją pracę chroni współobywateli. Wtedy nikt nie mógłby zakwestionować jego przynależności narodowej, bez względu na pochodzenie rasowe czy genealogię przodków. Jest oddanym współrodakiem innych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki, lojalnym mieszkańcem El Paso w stanie Teksas, i z chęcią pozostanie tu, gdzie jest. Przynajmniej tak myślał. Ale zbliżając się do końca trzeciego roku pracy jako oficer służby celnej i granicznej, widział dostatecznie dużo, by wiedzieć, że za całym tym karnawałowym blaskiem kryją się twardziele pociągający marionetki za sznurki. Tu nie chodziło tylko o granice, o dwie strony muru, Amerykanów kontra Meksykanów. Chodziło o ludzi bliższych mu w Meksyku niż którykolwiek z polityków dyktujących rozporządzenia z amerykańskiego Kapitolu oddalonego o tysiące kilometrów.

Ściągnął strony o Waszyngtonie i jego siostrzanych przedmieściach w Wirginii. Same nazwy. Reba nigdy nie opowiadała o miejscu, skąd pochodzi, z wyjątkiem sporadycznych momentów, które umykały jej kontroli. Kiedyś, gdy nad miastem szalała rzadka tutaj burza ze smagającym deszczem, popatrzyła przez okno, na chwilę przeniosła się o kilometry stąd i powiedziała:

– Taka była pogoda w Wirginii. Jednego dnia słonecznie i pogodnie, następnego grzmoty i błyskawice. Gdy padało, zawsze płakałam. – Objęła się ciasno rękami i mógł sobie wyobrazić, jak wyglądała, będąc dzieckiem.

– To tylko jedna burza – pocieszał ją.

– Tak, ale przypomina mi, że mogą przyjść kolejne.

Wtedy po raz pierwszy to poczuł, jakąś skrywaną niepewność i dystans. Martwiło go to. Kochał ją. Żeby więc zadeklarować jej wierność i stworzyć poczucie bezpieczeństwa, oświadczył się. Lecz perspektywa zawarcia formalnego związku jedynie powiększyła dystans między nimi – wypełniał ich dom jak balon, który może zaraz pęknąć, i sam Riki miał tam coraz mniej miejsca. Chciał być z Rebą do końca życia, ale to, co powinno być oddaniem, manifestowało się jako niechęć, i to po obu stronach. Znów przypomniał ją sobie, jak bierze kąpiel w parującej wannie. Policzki i sutki zaczerwienione, popija wino, jakby wygrała los na loterii, a jego pierścionek pływa w mydlinach.

Z ekranu komputera, na stronie pod tytułem „Wirginia jest dla zakochanych”, patrzyła na niego uśmiechnięta jasnowłosa rodzina w ogrodzie pełnym tulipanów. Przygryzł wargę.

– *Señor!* – zawołał kobiecy głos z pomieszczenia dla zatrzymanych, a potem rozległo się pukanie.

– Tak. – Riki wstał i otworzył drzwi. – W czym mogę pomóc?

– *¿Puedo tener una manta mas para mi hija?* – usłyszał prośbę o koc.

Wcześniej przeniósł mały odbiornik telewizyjny do sali aresztu. Dzieci właśnie oglądały odcinek *Simpsonów*. Dziewczynka, zwinięta w kłębek obok brata, na dźwięk głosu Rikiego wstała i ściągnęła zielony koc z pleców chłopca. Ten krzyknął płaczliwie i wyrwał jej koc. Siostra nic nie powiedziała, tylko błyskawicznie kopnęła go w plecy.

– *¡Ay! Mamá* – krzyknął malec. – *Ella me pateó.*

Kobieta uciszała dzieci i przprosiła za nie:

– *Lo siento, señor.*

– W porządku – rzekł Riki. – Dam dodatkowy koc.

Poszedł do magazynu i przerzucił sterty koców, aż znalazł miękki, z różowej flaneli. Gdy wrócił, dzieci ganiały się po całej sali. Dziewczynka biegła, ciągnąc za sobą koc, a brat gonił ją, chrupkaniem udając dziką świnię. Zaraz też ją złapał, odwrócił i niby obwąchiwał pyskiem po brzuchu, aż piszczała i śmiała się w głos. Ich matka siedziała spokojnie na pryczy z twarzą ściśniętą wewnętrznym niepokojem.

– Proszę. – Riki położył obok niej różowy koc.

Dotknęła go ręką.

– *Gracias.*

Dziewczynka poprosiła brata, żeby jeszcze raz był świnią, i znów zaczęli się gonić.

– *Niños, paren* – zgromiła ich matka.

– Nie, niech się bawią – powiedział Riki.

Cieszyło go, że były w lepszym humorze niż przedtem. Dotąd prawie cały czas siedziały milczące i zawstyżone, ale przecież to były dzieci, nie przestępcy.

Usiadł obok kobiety; sprężyny pryczy ugięły się pod jego ciężarem.

– Skąd jesteście? *¿Qué pueblo?*

– Barreales, Juárez – odparła, patrząc w podłogę.

Riki kiwnął głową. Znał to miejsce. Uboga okolica na wschodnim krańcu Juárez.

– Macie tam rodzinę?

– *Están muertos.* – Poruszyła się niespokojnie.

– Przykro mi. – Podrapał się w kark. – Moja rodzina też nie żyje.

Oddychała ciężko, z trudem unosząc pierś, jakby nagle przybyło jej lat.

– *¿Usted tiene niños?* – spytała, podnosząc ku niemu twarz z oczami wielkimi jak talerze.

– Nie, nie mam. – Nie potrafił nawet skłonić Reby do noszenia jego pierścionka, a co dopiero do urodzenia mu dzieci. – Nie jestem żonaty. – Słowa te zapiekły jak ogień.

Rozchichotana dziewczynka podbiegła do matki i ukryła twarz na jej kolanach. Chłopiec warczał i węszył, ale gdy zobaczył Rikiego, przestał. W telewizorku Bart Simpson krzyczał: *¡Ay, caramba!*

– Jesteście głodni? – zapytał Riki.

Chłopiec przytulił się do ramienia matki i zmrugał oczy. Przyniesiony im lunch pochłonęli natychmiast. Specjalny zestaw amerykański w papierowej torbie: indyk i amerykańskie kanapki z białego chleba z serem, czipsy Doritos i ciasteczka z czekoladą. Nie został ani jeden okruszek. Ale teraz już była pora kolacji i pewnie zjedliby coś ciepłego.

– Mam coś z Taco Cabana. – Może to nie domowe jedzenie, ale najlepsze, jakie mógł zaproponować. – *¿Tacos?* – zwrócił się do dzieci.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Chodźcie ze mną. – Riki wstał i pokazał, żeby poszli do otwartych drzwi, lecz cała trójka tkwiła niczym za niewidzialną kratą.

Od przywiezienia ich nie wychodzili z pomieszczenia. Z łazienką, łózkami i niewielkim telewizorem w porównaniu z zardzewiałym dodge'em to był istny Ritz-Carlton. Jednak żadne

wygody nie zastąpią wolności. Riki widział już wystarczająco wiele kobiet i mężczyzn przetrzymywanych w tym pokoju, by zrozumieć prawdę. Deportowanie tych ludzi, jego ludzi, jak bydło, zapędzanie ich z powrotem do getta w Juárez, gdzie nie mieli żadnych perspektyw ani nadziei, było dla niego bolesne. Lecz takie było prawo, a Riki wierzył w prawo. Ze spuszczoną głową rób, co powinieneś, nie zadawaj pytań, na koniec czeka cię nagroda – taki był kod, przestrzegany nawet przez jego ojca. Jednak w głębi duszy Riki zastanawiał się, kiedy dochodzi się do punktu, w którym ludzkie współczucie zwycięża nad ślepym posłuszeństwem.

– *Venga* – zachęcał.

Chłopiec przytrzymał siostrę za ramiona, podejrzliwie napinając twarz.

– Obiecuję, że nic wam się nie stanie – powiedział Riki, ale ręce chłopca tylko jeszcze mocniej ścisnęły dziewczynkę. Riki zawahał się, ale ruszył do służbówki. Będzie musiał sam im przynieść. – Jezu, dzieciaku, powinieneś czasem komuś zaufać. – Westchnął.

– Dlaczego powinienem? – chłopiec prawie krzyknął.

Riki odwrócił się.

– Mówisz po angielsku?

Chłopiec opiekuńczo otoczył ramieniem siostrę, która kręciła główką, patrząc to na brata, to na Rikiego.

– Taa...

– Więc rozumiesz – ciągnął Riki. – To nie żadna sztuczka ani badanie. Możesz stąd wyjść, nic ci nie grozi. Mam dla twojej rodziny ciepły posiłek, jeśli chcecie.

Matka wtrącała się, nie rozumiejąc, co powiedział:

– *¿Qué? ¿Qué él dijo?*

Ale syn ją zignorował.

– Mój *papi* ostrzegał mnie przed wami. Mówił, że żołnierze namawiają, żeby im zaufać, iść z nimi. Dają jeść, a potem zamykają w celi ze szczurami y *los serpientes*.

Riki pokazał na jasno oświetlony, klimatyzowany pokój.

– Widziałeś tu jakieś szczury czy węże? – Udał, że się rozgląda.

Chłopiec przygryzł górną wargę i pokręcił głową.

– Dobrze, to dlaczego mi nie wierzysz, skoro widzisz, że nic takiego tu nie ma?

Malutka wierciła się w objęciach brata. Matka splotła ramiona i zmarszczyła brwi, niespokojna i zawstydzona tym, że nie uczestniczy w dialogu.

Po chwili zastanowienia chłopiec przestał zagryzać wargę.

– Jeśli pan naprawdę coś ma, to jakie to *tacos*?

Riki powstrzymał się od śmiechu.

– Dwa *tacos* z wołowiną, trzy *flautas* z kurczakiem, dwie *fajitas* ze stekiem, do tego ryż i fasola.

Chłopiec uniósł brwi.

– Naprawdę?

Riki przytaknął.

– Tam w środku. – I pokazał na pokój funkcjonariuszy.

Powoli ręka chłopca cofnęła się z ramion siostry. Gdy do niej dotarły słowa *tacos*, *flautas* i *fajitas*, ruszyła do drzwi bez dalszego namawiania.

– Musi to bardzo lubić – zauważył Riki. – Ja też lubię.

Matka pocałowała synka w głowę i poszła za córeczką, ale chłopiec, zanim ruszył za nimi, pogrzebał w kieszeni spodni i wyciągnął zaśnieżoną jednocentówkę.

– *Gracias*.

– Nie. – Riki powstrzymał go gestem dłoni. – Ja stawiam, mały.

Chłopiec nalegał, trzymając pieniędzy w wyciągniętej dłoni, dopóki Riki nie wziął.
– Tamtemu drugiemu musieliśmy zapłacić – powiedział.
– Drugiemu?
– Carlosowi. – Chłopiec wytarł nos o nadgarstek. Jego oczy wyrażały już nie podejrzliwość, lecz gniew. – Mama przez niego płakała. – Dolna warga zaczęła mu się trząść. Przygryzł ją i wyciągnął ramiona. – Zamknął nas w samochodzie, bo nie mieliśmy już pieniędzy, żeby mu dać. Potem nas zostawił.
– Carlos – powtórzył Riki, a chłopiec kiwnął głową. – Ile ludzi było w tej grupie? Mały wzruszył ramionami.
– Dużo.
– Wiesz, gdzie teraz są?
W pokoju służbowym dziewczynka zapiszczała z radości.
– *Espera* – skarciła ją matka.
Chłopiec zatrzymał się w drzwiach.
– W Stanach Zjednoczonych – powiedział i wyszedł z pomieszczenia.
Riki odczekał, aż odejdzie korytarzem, żeby wyjąć komórkę z za pasa. W dłoni trzymał sfatygowaną jednocentówkę. Westchnął. Żeby złapać Carlosa, musiałby wyłowić wszystkich ludzi, którymi się opiekował: mężczyzn, kobiety, dzieci, starych i młodych, z Meksyku, Salwadoru, Kolumbii; prostych, ciężko pracujących ludzi, którzy płacili oszustom i kryminalistom, by ich przemycili przez amerykańską granicę; którzy poświęcali tak wiele i znosili wszelkiego rodzaju maltretowanie w zamian za szansę – nawet nie gwarancję – na dobrobyt. Nienawidził takiego rujnowania ludzkich marzeń, ale to była jego praca.
Wrzucił monetę do kieszeni i wybrał numer Berta.
– Przepraszam, że przeszkadzam w kolacji, ale jesteśmy na tropie przemytnika.

Rozdział 17

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
4 stycznia 1945 r.

Drodzy Papo i Mutti!

Heil Hitler i Grüss Gott. Ciężko mi pisać ten list. Jak wiecie, celem Programu jest produkowanie zdrowych Niemców dla naszego narodu. Przybyłam tu wypełniać swój obowiązek, oddając honor zarówno własnej rodzinie, jak i pamięci Petera. Wierzę, że dobrze służyłam naszej Ojczyźnie.

Kilka miesięcy temu pisałam Wam o narodzinach bliźniąt dla Programu. Dziewczynka jest doskonała. Jednak jej brat jest ciągle słaby i chory. Dyrekcja Lebensborn orzekła, że pomimo naszych wysiłków nie będzie on nigdy spełniał wymogów jakości. Dlatego też żądają ode mnie podpisania dokumentu wyrażającego zgodę na usunięcie go z Programu. Prosiłam ich, by skontaktowali się z Wami i żeby nasza rodzina mogła zaopiekować się dzieckiem, ale oni odmawiają. Głęboko niepokoję się o jego bezpieczeństwo. Choć uznano, że się nie kwalifikuje, przecież on ma nos Schmidtów, jasne włosy i wargi lekko wygięte, jak Mutti. Nie pozwalają mi go widywać – boją się, że wpadnę w emocje i zaburzę codzienną rutynę. Ale czy dla czegoś takiego rutyna nie powinna zostać zaburzona? Przeklinam tych lekarzy i pielęgniarki za tak małą troskę o dzieci Niemiec. Pamiętacie, jak chorowałam, będąc małym dzieckiem, a teraz – proszę na mnie spojrzeć! Gdyby tylko poczekali. Gdyby dojrzeli jego ducha. Bo jest silny, wiem to. Czulałam to w swoim łonie. Och, Papo, Mutti, jak ja do niego tęsknię. Jeśli nie mogę go uratować, to chociaż się pożegnać. To podobny ból jak wówczas, gdy mój ukochany Peter tak niespodziewanie odszedł. Peter odwiedza mnie w snach i boję się, że mój nowy syn będzie mnie nawiedzał w podobny sposób. Wiem, że to tylko moja słabość. Na tym świecie nie ma duchów. Słońce wschodzi i zachodzi, pory roku się zmieniają, życie zaczyna się i kończy. Taka jest przyroda, jak mówi Führer. Ale czasem myślę, że może być coś więcej. Czasem wiem, że musi być.

Służyłam wiernie Ojczyźnie pod każdym względem, niekiedy poświęcając się osobiście, ale to, co dzieje się teraz, to dla mnie zbyt dużo, za wiele do udźwignięcia. Chciałabym, żebyście tu byli i mogli mnie pocieszyć.

Heil Hitler.

Hazel

P.S. Ten list wysłała kobieta, która pracuje na targu, osobiście bardzo ryzykując. Ona rozumie mój ból. Ubiegłej wiosny urodziła dziecko z mongolizmem i wypisano ją z Programu. Dziecko zostało zabrane przez nadzorczyńnię SS zaraz po tym, jak przyszło na świat, i do dziś nie wiadomo, co się z nim stało. Ona ma na imię Ovidia. Jest moją przyjaciółką. Modłę się, żeby list do Was dotarł.

*

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
6 stycznia 1945 r.

Droga Elsie!

Wczoraj usunęli Friedhelma z Programu. Ostatniej nocy nie mogłam spać, ale musiałam

udawać i powstrzymywać łzy, bo inaczej odkryłabym swoje uczucia przed współlokatkami, Catą i Brigitte. Tak jak podejrzewałam, one są pospolitymi wiedźmami! Brigitte powtarza Oberführerowi każde moje słowo i opowiada, co robię. Szpieguje mnie jak jakąś zdrajczynię, chociaż nie dałam po temu powodu. Ja tylko przyznaję, że kocham swoje dzieci! Program nie pochwała matek ubiegających się o prawo do dzieci Ojczyzny, ale nic nie poradzę na to, co czuję. One były przez dziewięć miesięcy w moim brzuchu, a nie w brzuchu Führera. Friedhelm to ciało z mojego ciała i kość z mojej kości. Jak można wymagać, że go tak beztrzesko odrzucę? To jak wymagać zmiany pory roku, bo Führer tego żąda. To niemożliwe! Czy oni nie rozumieją, że żądają ode mnie, bym zmieniła podstawowe prawa natury? Po wczorajszym zwątpiłam w sensowność mojego tutaj obowiązku. Moja wiara w nasz cel legła w gruzach. Chcę wiedzieć, gdzie jest mój syn! Nie mogę udawać, że go nigdy nie było. Jaką bym była matką, gdybym to robiła? Jaką kobietą? Módl się za mnie, Elsie. Świat nigdy nie wyglądał tak czarno i beznadziejnie jak teraz. Jedyne sposoby na spełnienie ich rozkazu i zniszczenie w sobie instynktu macierzyńskiego to zatrzymać bicie mojego serca. Modliłam się o to przez całą noc, ale i tak rano ujrzałam słońce. Nie winię Boga o to, że mnie nie słucha. Odwróciłam się od niego, gdy umarł Peter i przyłączyłam się do Programu. Teraz nie zasługuję na jego litość.

Wiem, że mówię rzeczy zdradzieckie, i gdyby ten list wpadł w ręce władz, wysłaliby mnie do obozu wraz z innymi wrogami Rzeszy lub na miejscu zastrzelili. Ale nie potrafię milczeć. Ciężar mojego smutku jest zbyt wielki. Tylko Tobie, Elsie, mogę opisać swoje prawdziwe uczucia. Wiem, że Ty mnie nie zdradzisz.

Ponieważ moje współlokatorki śledzą każdy mój krok, przekazuję ten list Ovidii. Mam nadzieję, że do Ciebie dojdzie. Po przeczytaniu go, proszę, podrzyj go i spal w piecu Papy. Nie ze względu na mnie, ale dla bezpieczeństwa Twojego i naszej rodziny.

Z miłością
Hazel

*

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
8 stycznia 1945 r.

Elsie, dziś piszę do Ciebie ogarnięta gniewem i rozpaczą, której nic nie wymaże z mojej duszy. Żyję wśród demonów, więc chyba znalazłam się już w piekle. Moja współlokatorka Cata, która ostatnio urodziła dla Programu zdrowego syna, będąc w trakcie odstawiania go od piersi, może wchodzić na oddział noworodków. Widziała tam moją córkę, pulchną i jasnowłosą jak aniołek, ale podsłuchiwała też pielęgniarki rozmawiające o Friedhelmie. Jedna z nich opowiadała, jak doktor Ebner wyrażał rozczarowanie tym, że bliźniak Friedhelm się nie udał, pomimo stosowanych w Programie leków na płodność i przepisywanego ciężarnym kompletu witamin. Na to jakaś pielęgniarka stwierdziła, że jeśli matka ma ukrytą wadę, z pewnością przekazuje to jednemu, jeśli nie wszystkim swoim potomkom. I dlatego, jak powiedziała Cata, zaczęli badać moją córkę, by upewnić się, czy u niej nie występuje jakaś mutacja lub odstępstwo od rasy aryjskiej. Nie do pomyślenia! Co do mojego syna, Brigitte twierdzi, jakoby pewien Gruppenführer po zbyt dużej ilości wypitego wina wyznał jej w łóżku, że noworodkom niechcianym w Programie podawano truciznę i wrzucano je do ognia. Ich kości były palone tak jak Żydów eksterminowanych w obozach! Och, Elsie! Jeśli te historie są prawdziwe, to niech ich piekło pochłonie, a mnie razem z nimi. Modlę się, żeby tu weszli Amerykanie i Rosjanie. Zapraszam ich tu, a nas niech spalą na popiół za grzechy, jakie tu popełniliśmy. Nie myślę, bym kiedykolwiek jeszcze zaznała spokoju. Już prawie świta, a ja muszę zanieść ten list Ovidii przed

otwarcie poniedziałkowego targu.

Kocham Cię najszczerzej, Elsie. Pamiętaj o tym... cokolwiek się wydarzy...

Hazel

*

Piekarnia Schmidów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
12 stycznia 1945 r.

Droga Hazel!

Ostatni list, jaki od Ciebie dostałam, ma datę 27 grudnia. Pytałam naczelnika poczty Hoflehnera, czy wysyłki wstrzymano z powodu walk na północy. Zapewnił mnie, że nie i że Ministerstwo Poczty Rzeszy pracuje z najwyższą niemiecką wydajnością, chociaż odrobinę mniej regularnie. Po czym jako dowód wręczył mi list od Herr Meyera do Papy. Powiedziałam mu, że jedna jaskółka nie czyni wiosny. Herr Meyer mieszka w Partenkirchen. Szybciej dojechałabym tam i z powrotem na rowerze, niż trwa dostarczenie tego listu na pocztę w Garmisch.

Nie przestaję się martwić. Przez wiele nocy budziłam się ze snu, w którym widziałam Ciebie. Coś, co nie chce wyjść z głowy, to znak, tak mówi Mutti. Znak czego, nie powiedziała. Staram się nie mówić jej nic, co by ją niepokoiło. Ona tak łatwo się zamartwia i nie rozumie tych czasów. Świat już nie jest taki, jaki był, gdy ona była w naszym wieku. Zatrzymuję więc te koszmary nocne i myśli dla siebie. Ty, Hazel, byłaś jedyną osobą, z którą mogłam rozmawiać. Wiem, że teraz musimy uważać na każde napisane słowo. Być może we wcześniejszych listach popełniłam błąd zuchwałości. Modlę się w obawie, czy czasem nie wpadły w niepowołane ręce i czy to nie one są przyczyną Twojego milczenia. Nie myślałam o zagrożeniu dla Ciebie, tylko o sobie i moim pragnieniu, by Ci tyle powiedzieć. Proszę, wybacz mi i potraktuj to jako frywolne bazgroły głupiej dziewczyny. Czy to możliwe, żeby mieć siedemnaście lat, a czuć się, jakby się miało sto?

Pamiętasz tę historię opowiadaną nam przez Mutti o Frau Grunwald, której włosy zmieniły się z czerwonych jak dojrzałe truskawki w białe jak śnieg po tym, jak pod koniec pierwszej wojny znalazła w stajni trzech swoich synów powieszonych przez Francuzów? Po dziś dzień wiekowa matka Herr Grunwalda wygląda młodziej niż jego żona. Myślałam, że większej tragedii już być nie może. Lecz teraz już rozumiem. Czuję przygniatający ciężar tej wojny. Widzę go na twarzach Mutti i Papy. Wszyscy zbyt szybko się starzejemy. Z trudem nas poznaję. Czasem zapominam, jak wyglądasz i to mnie tak przeraża, że biorę Twoją fotografię i wpatruję się w nią, dopóki nie jestem pewna, że wpisałam Cię w pamięć.

Chciałabym, żebyś była w domu, Hazel. Tęsknię za swoją siostrą. Gdybyś tylko tu była. Gdybyś, gdybyś... Modlę się o Twoje bezpieczeństwo i zdrowie, i wszystkich Twoich dzieci także.

Heil Hitler.

Twoja kochająca siostra

Elsie

*

Ośrodek Lebensborn
Steinhöring, Niemcy
13 stycznia 1945 r.

Elsie, obiecaj mi, że zaopiekujesz się Julusem. On jest wszystkim, co zostało ze

szczęśliwego życia, o jakim marzyłam. Wiedząc to, co wiem, nie zniosę tutaj ani jednego dnia więcej. Elsie, mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co czułam, że muszę zrobić. Kocham swoje dzieci, wszystkie. Ale ja nie jestem taką matką, jakiej potrzebują, bo jestem skażona miłością do nich. Modłę się o to, żeby naprawdę był Bóg i żeby mi wybaczył. Postaraj się, żeby Mutti i Papa to zrozumieli. Kocham Was wszystkich, a Ciebie, moja kochana siostró, będzie mi najbardziej brakowało.

Twoja na zawsze

Hazel

Rozdział 18

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
19 stycznia 1945 r.

Na widok Josefa wchodzącego tego przedpołudnia do piekarni Elsie o mało nie upuściła tacy ze słodkimi kwadratowymi *Honigkuchen*. Przez trzy tygodnie nie było go w Garmisch, wyjechał służbowo. I teraz widziała go po raz pierwszy od Bożego Narodzenia. Co innego posłużyć się swoim statusem, by ratować własną rodzinę przed gestapo, a zupełnie co innego wziąć na siebie odpowiedzialność bycia żoną mężczyzny, którego nie kochała. Nosiła pierścionek, chociaż zawstydzalo ją każde jego błysnięcie. Prawdę trzeba ujawnić, inaczej ryzykuje życie w kłamstwie, na zawsze. Jednak trzymanie Josefa przy sobie stanowiło dla niej jedyną gwarancję ochrony dla rodziny. Mając na górze ukrytego Tobiasa, nie mogła ich teraz narażać, ujawniając swoje prawdziwe uczucia.

– Wróciłeś! – przywitała go.

– Wczoraj wieczorem. – Skłonił głowę i pocałował ją w rękę.

– Papo, Josef przyszedł! – zawołała Elsie przez ramię. Zdjęła z głowy chustkę i wygładziła włosy. – Miło cię widzieć, Josefie, ale co cię do nas sprowadza o tej godzinie? – Nigdy dotąd nie przychodził przed południem.

– Twój tata przysłał mi dziś rano telegram. – Na jego twarzy widać było napięcie.

Elsie poczuła, że ma wilgotne dłonie. Telegram to poważna sprawa. To, że nic o nim nie wiedziała, czyniło ją jeszcze poważniejszą.

Josef spojrział na rubinowy pierścionek na jej palcu. Posłała mu nieśmiały uśmiech. Jego długa nieobecność wywołała w niej nerwowość i niepewność, na czym stoi ich znajomość i związek.

Wiedzą o Tobiasie, pomyślała, obawiając się, czy wyjazd Josefa poza Garmisch nie miał czegoś wspólnego z nią. Próbowала sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby zobaczyć Tobiasa przez okno jej sypialni. Był taki mały, no i zawsze przecież pilnowała, by drzwi pokoju były zamknięte na klucz, a żaluzje w oknach szczelnie zasłonięte i ustawione żerdkami do góry. Jedynie ptaki i chmury mogłyby zajrzeć do środka. Może przelatywało Luftwaffe i obserwowało jej pokój. Słyszała, że mają takie technologie. Mutti i Papa w ciągu dnia nigdy nie wchodzili na górę, a Tobias miał nakazane być tak cicho jak duch, bo go odkryją i umrze.

Wyobraźnia jej pracowała, a wraz z nią przyspieszał puls.

– Papo? – zawołała.

Choć już dawno nie miała gorączki, policzki ją paliły.

Papa przyszedł, wycierając ręce.

– Josef, mój przyszły zięć, jak dobrze cię widzieć. Dziękuję, że tak szybko przyszedłeś. – Poklepał go po plecach, patrząc równie posepnie jak on.

Elsie przeklinała się za to, że tak naraża rodzinę. Z pewnością za to zapłaci. W głowie jej wirowało. Papa dał znak, żeby usiedli w rogu na końcu sklepu. Pociągnął Elsie za łokieć, mówiąc szeptem:

– Nie chcę jeszcze, żeby Mutti się o tym dowiedziała.

Usiadła ciężko na drewnianym krześle przy stoliku, trzymając się krawędzi blatu, żeby powstrzymać drżenie. Josef usiadł tuż przy niej. Papa jeszcze raz zerknął przez ramię i wyciągnął

z kieszeni fartucha list.

W powietrzu czuło się lęk i niepewność jak na pokładzie statku. Elsie przeraziła się, że gestapo przechwyliło jej listy do Hazel i teraz jest oskarżona o jakieś poczynione w nich bezmyślne uwagi. Usiłowała sobie przypomnieć, co pisała, lecz nie była w stanie. Umysł dryfował tam i z powrotem, od jej pióra do jej pokoju i do hebrajskiego napisu na pierścionku, na ramieniu czuła dotyk sztywnej bawełny munduru Josefa.

O cokolwiek chodzi, ona weźmie za to odpowiedzialność. Powie władzom, że jej rodzice nic nie wiedzieli ani o zawartości listów, ani o Tobiasie. Zrobiła to wyłącznie ona.

Nagle z drzwi kuchni wychyliła się głowa Mutti.

– Max, czy mam zrobić pumpernikiel? – Uniosła lepiące się od ciasta ręce.

– *Ja, ja*, pumpernikiel.

Odczekał, aż wróci do kuchni, i dopiero otworzył list. Elsie od razu poznała pismo Hazel.

– Dostałem ten list wczoraj. Dzięki Bogu, że to ja odbieram pocztę, a nie Luana. – Papa położył dłonie na liście, jakby chciał ugnieść jego słowa na kruche ciasto. – Hazel ma kłopoty. Ona nie jest... przy zdrowych zmysłach. – Jego zniszczone i ubrudzone przyprawami palce kontrastowały z bielą kartki. – Musicie to wiedzieć, że Hazel jest wierną córką Rzeszy, pomimo tych rzeczy, które tutaj wypisuje. Josefie, proszę cię, niech to wszystko pozostanie między nami. – Oddychał coraz szybciej i mówił dalej, nie czekając na odpowiedź Josefa. – Ona jest jedną z najlepszych kobiet Niemiec. To dla niej trudny czas. Gdybyśmy pojechali do Steinhöring, moglibyśmy jej pomóc odzyskać wrodzoną dobrą naturę.

Dopiero wtedy pozwolił im przeczytać.

Elsie ścisnęło się serce. Papa miał rację. Hazel była w wielkim niebezpieczeństwie. Nigdy w życiu Elsie nie słyszała siostry wyrażającej się z taką beznadzieją, gniewem i potępieniem dla władz. Gdyby gestapo znalazło ten list, Hazel by aresztowano lub jeszcze coś gorszego. I co z tym jej małym chłopcem? Czy to możliwe, żeby chcieli się pozbyć dziecka zrodzonego z jej ciała?

Elsie ścisnęła w pięści oparte na stole dłonie. Egoistyczny lęk sprzed kilku minut zmienił się w panikę.

– Papo, to nie może być prawda. Nie zrobiliby czegoś takiego... żeby zabrać matce dziecko. – Popatrzyła na Josefa, ale on nie podniósł wzroku znad listu. Zapłonęła gniewem i nim zdołała się powstrzymać, wyrzuciła z siebie: – To barbarzyństwo!

Josef szarpnął głową jak pociągnięta za sznurek marionetka.

Elsie zasłoniła usta, ale jej oczy nadal płonęły.

Zgrzyt zawiasów w drzwiach przeszył powietrze. Do sklepu weszła klientka.

– Halo! – zawołał nieznajomy głos kobiecy, a gdy nikt jej nie powitał, zaczęła bębnić rękawiczkami o szybę lady. Z kuchni dało się słyszeć wołanie Mutti:

– Elsie! Ja ugniatam ciasto! Mamy klientkę.

Papa podniósł się i uklonił kobiecie.

– Przepraszam panią. Już do pani idę.

Kobieta wciągnęła nosem powietrze i zaczęła oglądać tacę z marcepanami.

– Dobrze.

Josef odchrząknął.

– Jazda nocą jest raczej niemożliwa. Jeśli chce pan się dostać do Steinhöring, musi pan wyruszyć wcześniej rano i to z eskortą.

Papa przytaknął.

Josef odchylił się na krześle i podrapał brodę.

– To nie będzie łatwa podróż, ostrzegam. Nie może pan być za długo poza domem. To by

wzbudziło podejrzenia. Ale... – Odwrócił się do Elsie i wyraz jego twarzy zmiękł. – Hazel bardzo dużo dla nas znaczy.

Elsie kiwnęła głową. W oczach miała łzy.

– Jutro o świcie – powiedział Papa.

– *Ja*, o świcie.

Kobieta przy ladzie plasnęła językiem.

– Już wiem co.

– Idź, Elsie – polecił Papa.

Choć z niechęcią opuszczała rozmawiających, nie był to czas na nieposłuszeństwo.

Wstała i poszła w stronę koszy z chlebem.

– Czego pani sobie życzy?

– *Bauernbrot*. – Kobieta wskazała na chleb wiejski.

Sięgając po bochenek, Elsie usiłowała dosłyszeć, o czym mówią przy stoliku Papa z Josefem. Chyba omawiali trasę podróży. Cieszyła się, że jeszcze nie dała Josefowi odmownej odpowiedzi na jego oświadczyzny. Wykorzysta wszystko, co się da, żeby ratować Hazel. Za wszelką cenę.

Kobieta zapłaciła kuponami żywnościowymi i wyszła. Papa zawołał z kuchni Mutti.

– *Ja, ja*, co znowu? – pytała, pokazując ręce ubrudzone mąką od SS, którą mieszało się jak beton, a zrobione z niej ciasto wysychało równie szybko.

– Luano. – Papa westchnął. – Musimy jechać do Steinhöring.

Mutti aż przycisnęła pięści do serca. Kawalki szarego, gliniastego ciasta spadły na podłogę.

– Co się stało? Coś z Hazel? Julusem?

Papa ujął ją za ramiona.

– Umyj się i spakuj nasze rzeczy. Hazel jest...

Wargi Mutti zaczęły drżeć.

– Jest chora – powiedział.

– Chora? – powtórzyła Mutti. Jej ubrudzone mąką pięści zostawiły okrągłe ślady na sukience. – Czy to epidemia gorączki? – zwróciła się do Josefa, ale on odwrócił wzrok. – To ta krowa z lanego ołowiu... – mruknęła. – Proszek Dovera i zioła ją uleczą. – Zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy. – A co z piekarnią?

– Elsie musi sobie poradzić, gdy nas nie będzie – oświadczył Papa.

– Ale drogi nie są bezpieczne. Raporty donoszą...

Papa położył dłoń na policzku Mutti.

– Hazel nas potrzebuje.

– Ja będę was eskortował, Frau Schmidt – powiedział Josef. – Ze mną będziecie bezpieczni.

Rozdział 19

Cmentarz kaplicy św. Sebastiana
Garmisch, Niemcy
23 maja 1942 r.

Josef przyszedł na cmentarz pod koniec dnia. Między łupkowymi i granitowymi krzyżami rosły dzikie maki. Słońce zachodziło, rzucając długie cienie; kwiaty zdawały się wyższe, a ich czerwień bardziej żywa. Kołysały się w porywach wiatru, oferując swoje płatki jakiemuś niewidzialnemu duchowi wysoko ponad nimi.

Właśnie wracał z popołudniowej gry w *watten* z Herr Schmidtem, przy ciasteczkach rodzynekowych, gdy zauważył drogowskaz do kaplicy św. Sebastiana. Śmierć Petera wciąż prześladowała go na jawie i we śnie, ale przyzwyczał się już do obecności upiorów jak do ćmiącego bólu, który rzadko ustępował. Metamfetamina i weekendy w Garmisch też pomagały. Miasto stało mu się tak bliskie, jak własne, ale jeszcze nigdy dotąd nie odważył się w nie zapuścić. Wydawało się to bezsensowne, skoro prochy Petera rozwiął zachodni wiatr i zapewne użyźniły one szalęj i koniczynę w monachijskim Hofgarten. Oczyma wyobraźni widział, jak odwiedzający park spacerują po zielonej darni, nie wiedząc, że ich stopy dotykają ludzkich prochów, nie znając Petera Abenda.

Tego popołudnia sam nie miał pojęcia, co go przyciągnęło do kaplicy. Niemniej jednak stał teraz nad małą tabliczką z napisem: UMIŁOWANY PETER KLAUS ABEND 1919–1938.

Daty otaczał wianuszek z suszonych stokrotek. Josef zastanawiał się, kto go tu położył. Może Trudi, siostra Petera. Josef nie miał rodzeństwa. Jego ojciec został potrącony przez automobil, gdy Josef był jeszcze zbyt mały, by pamiętać. Po tej stracie jego zgorzkniała matka stała się surowa i zdyscyplinowana; wierzyła, że tylko ciężka praca i pilność pozwolą im znów odnaleźć szczęście. Zachęcała go, by się przyłączył do filii Wielkoniemieckiego Ruchu Młodzieżowego w Memmingen, i dożyła chwili, kiedy wstąpił do wojska. Dwa lata po jego wyjeździe na wschód, do Monachium, odeszła we śnie. Znalazła ją zaprzyjaźniona sąsiadka, całkiem sztywną i od szyi po pępek ubrudzoną krwią. Lekarze orzekli, że miała ostrą gruźlicę. Tak dawno nie był w domu i tak rzadko z matką rozmawiał, że nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek kaszlała. Ponieważ była hafciarką, znaną z misternych kwiatowych haftów, sporo wydał na udekorowanie jej trumny wszystkimi możliwymi kwiatami. Pomyślał, że to by ją ucieszyło.

Obok nagrobku Petera kołysał się szkarłatny mak. Josef zastanowił się, kto by jego oplakiwał, gdyby umarł. Nie miał sióstr, które uplotłyby wieniec ze stokrotek, ani braci, którzy nosiliby dalej jego nazwisko. Był lubiany przez licznych przyjaciół, lecz jego brak nie byłby dla nich zbyt głęboko odczuwalny. Stojąc nad grobem Petera w gasnącym świetle dnia, próbował sobie wyobrazić ludzi zebranych nad jego własnym grobem. Jego gospodyni z Monachium pewnie przyszłaby z szacunku i poczucia obowiązku. Może jedna czy dwie dziewczyny, do których się kiedyś zalecał. Frau Baumann płakałaby po nim, ale nie odważyłaby się pokazać twarzy; znana prostytutka nie była osobą pożądaną na niczym pogrzebie, jednak pocieszała go myśl, że odczułaby jego stratę, może bardziej niż ktokolwiek inny. No i Schmidtowie, miał nadzieję. Przyjaźnił się z panią i panem Schmidt i patrzył, jak Elsie rozkwita z wiotkiej panienki w młodą kobietę. Byli poczciwymi ludźmi, szczerymi wobec siebie i innych. Tak, oni też by tam byli. Widział w myślach Elsie ściskającą w ręku bukiet bławatków i wycierającą oczy chusteczką. Śliczna, nawet w smutku.

– Byłeś mądrzejszy, niż sądziłem – powiedział na głos, po czym potrząsnął głową i roześmiał się, zawstydzony, że mówi do zmarłego, a co gorsza zmarłego, którego tu nawet nie było. Ale tak naprawdę myślał.

Z tego, co słyszał, Hazel Schmidt była jeszcze bardziej czarująca niż jej siostra, a jej urodzie dorównywała reputacja wspaniałej kochanki. Próbował odwiedzić Ośrodek Lebensborn w Steinhöring nie jako towarzysz, lecz w nadziei, że w jakimś stopniu pomoże Hazel i synowi Petera. Jego podanie odrzucono z powodu złych wyników badań lekarskich. Nazwiska uczestniczek Programu Lebensborn były tak ściśle tajne, że nawet tysiąc pączków nie przekonałoby znajomej sekretarki w archiwum do wyjęcia akt Hazel. Toteż zrezygnował z prób dotarcia do niej bezpośrednio. Nadal miał migreny i brał zwiększone dawki zastrzyków.

Całymi nocami podsumowywał krzywdy, jakie zadał: jeszcze nie żona, a już wdowa, ból dwóch rodzin, córka na wygnaniu, syn pozbawiony ojca. I nadal walczył z tą częścią siebie, która z sympatią wspominała Hochschildów. Jednak w żadnym stopniu nie przeszkadzało mu to w lojalnym oddaniu Rzeszy. Wciąż powracał w myślach do wydarzeń nocy kryształowej, racjonalizował każdy swój czyn i dochodził do wniosku, że nawet jeśli Hochschildowie byli Żydami, Peter postąpił nierozważnie. Josef nie żałował swego gniewu, raczej braku opanowania. Jedyna rzecz, której nie mógł usprawiedliwić ani zanegować, to fakt, że śmierć Petera była złem. „Trzeba dobrze uważać, by nie zaprzeczać rzeczom, które po prostu są prawdziwe”. Tak jest napisane w *Mein Kampf*.

Jednak nawet po odwiedzeniu Frau Abend dwa lata temu Josef nie był w stanie otrząsnąć się z przytłaczającego poczucia winy. Próbował jeszcze raz złożyć wizytę Abendom, lecz Trudi powiedziała, że nikogo nie ma w domu, udając, że nie słyszy wołania matki z salonu. Odebrał to jako niezbyt zawoalowany znak, iż jego obecność wywołała więcej żalu, niż dała pocieszenia. Lecz gdzie miałby odbyć pokutę? Po tej drugiej wizycie znów poszedł do piekarni, przygnębiony doznany odrzuceniem. Schmidtowie powitali go jak własnego syna. Stanowili oni jedyną jego łączność z życiem Petera, i to przez nich chciał mu zadośćuczynić.

Pochylił się nad nagrobkiem i zerwał kwiat. Jego zapach przypominał mu bułki z makiem.

Rozdział 20

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
16 listopada 2007 r.

Reba weszła do piekarni na kwadrans przed zamknięciem. Mały dzwoneczek nad drzwiami zadzwieczał znajomo i przyjaźnie. Jane, usłyszawszy go, wyrzała zza zasłony kuchennej.

– O, witaj, panienko. – Znow przywitała Rebę uściskiem.

Mięśnie Reby napięły się, ale tylko lekko. Nawet trochę odwzajemniła uścisk i zauważyła, że sprawiło jej to przyjemność.

– Jak się miewasz? – zapytała Jane.

– Żyję – odparła Reba.

– No wiesz, to nie jest odpowiedź. Pleśń na chlebie też żyje. Mam nadzieję, że robisz coś więcej – żartowała. – Jeśli przyszedł do mamy, nie ma jej dziś po południu, poszła do lekarza. Na cycolanie.

– Na co? – spytała Reba.

Jane zaśmiała się.

– Tak nazywamy badania ginekologiczne. My lepiej traktujemy ciasto niż oni nasze kobiece narządy. Ścisną nam cycki w maszynie, jakbyśmy nic nie czuły, a do tego jeszcze znęcają się nad nami w chomacie i papierowej koszulce. Przez cztery lata męczyłam mamę, żeby poszła na kontrolę. Nienawidzi lekarzy... chociaż mój tata nim był. – Podrapała się w głowę. – No, może to tylko babskie dolegliwości. Ale w końcu ją przekonałam, żeby poszła. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale gdy stuknie ci pewien wiek, wszędzie rosną guzki i zgrubienia, i różne takie. Idziesz spać, a budzisz się z grejpfrutem przyklejonym do tyłka. Można się przestraszyć. – Przerzuciła przez ramię ścierkę do naczyń. – Ale nie przejmuj się. Jak ja ci mogę pomóc?

Reba właściwie nie wiedziała, dlaczego tu przyszła. Wyszła z domu w przeświadczeniu, że musi zdobyć więcej informacji o tradycjach gwiazdkowych w Niemczech, ale równie łatwo mogła je wyszukać w Internecie. Jadąc, mówiła sobie, że musi zrobić jeszcze kilka zdjęć piekarni, na wypadek gdyby wyznaczony fotograf nie zrobił ich wystarczająco dużo, no ale zapomniała wziąć aparat. Na parkingu przypomniała sobie, że jadła dziś tylko dwa podgrzane w mikrofalówce paszteciki Jimmy Dean, więc może podświadomie przywiódł ją tutaj żołądek. Jednak teraz, gdy padło pytanie, wcale już nie była pewna.

– Ja... ja... – Reba potarła grzbiet nosa i wzięła głęboki wdech.

W zeszłym tygodniu Riki oficjalnie się wyprowadził. Powiedział, że daje jej swobodę, by zdecydowała, czego naprawdę chce. Przez kilka dni odczuwała ulgę, a nawet wdzięczność za tę wolność, lecz wkrótce z pustych szaf i szuflad Rikiego zaczął wyzierać jej stary smutek.

Zadzwoiła do redakcji, żeby omówić liczbę słów, tytuł i grafikę. To poprawiło jej nastrój na godzinę, ale potem pustka wydała jej się większa niż kiedykolwiek. Riki zadzwonił w niedzielę pod koniec dnia, podczas gdy ona poszła do spożywczego kupić coś gotowego na kolację. Zostawił wiadomość, że właśnie się wprowadza na nowe miejsce. W tle słychać było dziecięcy śmiech. Ciekawa była, gdzie jest. Odtwarzała wiadomość dziesięć razy, wybierając z plastikowego pojemnika sałatkę z kurczakiem w gęstym sosie, po której zjedzeniu dalej była głodna.

Może mieszka u Berta, pomyślała. Riki nie miał już w mieście żadnej rodziny. Rodzice nie żyli, pochowani po drugiej stronie granicy, z powrotem w Juárez. Chciał, żeby z nim pojechała na ich groby podczas obchodów święta Día de Muertos, ale powiedziała, że pracuje nad artykułem, i zaszła się w redakcji, gdy w tym czasie wszyscy inni paradowali wokoło w maskach i z cukrowymi czaszkami. Bała się dnia poświęconego zmarłym. Wydawał jej się makabryczny, nienaturalny i zbyt osobisty, żeby krążyć nad kośćmi swoich najbliższych. Reba nigdy nie odwiedzała grobu swego ojca i nie chciała tego robić. Riki mówił, że w Día de Muertos zmarli wracają, by odwiedzić żyjących. Reba modliła się, by ten religijny przesąd był w całości mitem. Wiedziała bowiem, że gdyby kiedykolwiek jeszcze ujrzała swego tatę, nie potrafiłaby powstrzymać uśpionego w niej żalu. Powiedziała mu, że zostawiając je w ten sposób, był przeklętym tchórzem, że nie kochał ich na tyle, by walczyć o siebie i rodzinę, że nie chciał być lepszym człowiekiem. Powiedziała mu, że ona nigdy nie zostawiła nikogo tak skrzywdzonego, jak on to zrobił, nigdy nie pozwoliłaby nikomu tak się do siebie zbliżyć, by do tego dopuścić.

Jane patrzyła na nią.

– Przyszłaś w sprawie artykułu czy...

Reba przygryzła wewnątrz policzka. To było wyczerpujące, tak w każdej sekundzie się kontrolować. Może Riki miał rację. Może potrzebowała kogoś, kto by jej pomógł nieść ten ciężar.

– Jestem... – Reba westchnęła – głodna.

– *Wunderbar!* – Jane weszła za ladę. – Popatrzmy, co tu mamy. Świeżutkie *Shaumkussen*.

Wyciągnęła tacę z równo ułożonymi rzędami czekoladowych kulek.

– Trufle? – Rebie aż ślina napłynęła do ust.

Mama Reby robiła trufle z białymi czereśniami w każde Boże Narodzenie. Był to przepis jej babci, który wygrał pierwszą nagrodę w kategorii trufla na stanowych targach ciast i słodczy w Wirginii – w ich kuchni wisiała w ramach niebieska wstążeczka. Według rodzinnych opowieści babcia nigdy więcej nie brała udziału w konkursie kulinarnym, uważając, że to nie fair wobec kucharek-amateerek. Mama Reby przekazała ten przepis obu córkom, ale Reba, zajmując stanowisko w sprawie krów, odrzuciła tę rodzinną tradycję. Podobnie jak inne produkty, podjadała jedną czy dwie, gdy nikt nie widział. Pochłaniała je po cichu w spizarni, ładując sobie pełne usta czekoladowo-czereśniowej fantazji.

– Nie, nie aż tak wytrawne. To ciepłe lody. Przypominają pianki Mallomar – wyjaśniła Jane. – Tylko że mama robi je na podstawie z ciasteczek anyżowych, ze środkiem z bezy, a potem całość zanurza w mlecznej czekoladzie. Boskie! – Klepnęła się w udo. – To moje ulubione, ale robimy je tylko w chłodniejszych miesiącach, bo w pustynnym upale i beza, i czekolada się topią.

– Mogę jednego spróbować? – zapytała Reba, szukając w portmonetce dolara.

– Ach, kochana, od ciebie nie wzięłabym ani centa, ale... – Przechyliła głowę i ściągnęła usta. – One są z mleczną czekoladą. Czy to się nie kłóci z twoimi zasadami?

Reba stuknęła paznokciem w ladę. Nie chciała już więcej tego robić. Czy nie mogła być sobą? Stojąc przed wystawą kolorowych słodkości, liczyła w duchu, ile masła, sera i śmietany w słodczych publicznie odmówiła, tylko po to, żeby później je zjeść z poczuciem winy. W szybie ludy odbijała się jej sylwetka. Była wysoka i mocno zbudowana, o wyrazistej twarzy z bladą, brzoskwinową cerą pomimo ostrego słońca. Jej włosy opadały na plecy w regularnych falach, czego nigdy nie miała w wilgotnej Wirginii. Już nie była przez mało kogo dostrzegana chłopczycą z college'u ani wystraszoną dziewczynką w krzywo zawiązanych kucykach. Dorosła i stała się kimś. Rebą Adams. Kiedy przestanie wreszcie udawać, że jest kimś, kim nie jest?

– Zmieniłam zdanie – oświadczyła, wruszając ramionami.

– Tak po prostu! – Jane strzeliła palcami. – No to gratuluje. Ciekawa bylam, kiedy odzyskasz zdrowy rozsadek. Bóg dal nam na ziemi zwierzęta w jakimś celu. Nie wierzę w te wszystkie hinduskie bajdy: reinkarnację i mycie twarzy w krowich sikach. – Wytarła ręce o fartuch. – Mama się bardzo ucieszy. Teraz możesz spróbować wszystkich jej pączków z budyniem, bułek maślanych, tortu szwarcwaldzkiego i... O, łaskawco! Świat się otwiera.

Reba trochę się skrzywiła, bo w końcu kłamstwo wyszło na jaw, chociaż nikt o nim nie wiedział. Ale Jane podała jej ciepły lód, i sama też wzięła jeden.

– Tego się nie zjada tak na raz, jak jakieś fabryczne draże karmelowe. To jest specjał. Zaczyna się od małego gryza z boku. – Ugryzła powoli. – I... widzisz... czekolada zostaje na zębach, a środek wypływa. – Mówiła dalej z pełnymi ustami. – A na końcu jest chrupiące ciastko. – Zamknęła oczy i przełknęła. – Mmm... słodki Jezu.

Reba postąpiła według instrukcji, wgrzyzając się w gęstą czekoladową pianę i wspaniałą chrupkość denka.

– O rety, ale pycha.

– A teraz, czy jesteś gotowa je jeść jak prawdziwa Niemka? – Jane mrugnęła, po czym otworzyła bok bułki, wydłubała jej miękki środek, a na to miejsce wcisnęła ciepły lód. Potem przekroiła bułkę na pół. – Nazywamy to *Matschbrötchen*, bułka z błotkiem.

Stuknęły się połówkami bułki jak kieliszkami szampana i jednocześnie wbiły zęby w ciepłe, kleiste bułeczki. Reba nie przypominała sobie, kiedy ostatnio coś jej smakowało tak prawdziwie.

*

Następnego dnia w piekarni był większy ruch niż zazwyczaj. Sergio siedział na swoim stałym miejscu, jedząc lunch. Dwie kobiety gawędziły nad kawałkami placka z wiśniami, a pod sąsiednim stolikiem ich trójka dzieci bawiła się lalkami i samochodzikami wyścigowymi. W kolejce jakiś starszy dżentelmen, zmrużywszy oczy, czytał nazwy ciast, a nastolatka w koszulce z napisem LATYNOSI ROBĄ TO LEPIEJ pisała coś w swojej komórce.

– Mamo, Reba przyszła! – zawołała Jane w stronę kuchni. – Świetny moment! Mama właśnie włożyła bochenki do pieca. Przez następną godzinę nie może się niczym wymigać. Też bym chciała dołączyć, ale, jak widzisz, mamy dziś pełny sklep.

– Nie szkodzi. Nie potrzebuję już wiele informacji – odparła Reba.

Wczoraj wieczorem spędziła w piekarni trzy godziny. Siedziała jeszcze długo potem, jak Jane wywiesiła tabliczkę „Zamknięte”, i wróciła do domu w takiej euforii od nadmiaru śmiechu i cukru, że prawie nie zauważyła nieobecności Rikiego. Po raz pierwszy od długiego czasu czuła się pełna energii i pracowała do późna, poprawiając swój życiorys i list motywacyjny, które miała wysłać do kilku czasopism w Kalifornii. Kiedy wreszcie się położyła, ciemność była już jej przyjacielem, a nie wrogiem. Ciekawa była, czy większość ludzi tak się czuła w dzień i w nocy, a jeśli tak, to im zazdrościła.

– Macie kulki Mozarta? – zapytał staruszek z kolejki. – Jadłem kiedyś przepyszne pistacjowe kulki Mozarta w Salzburgu. Panie są stamtąd?

– Niestety, proszę pana – odpowiedziała Jane. – Moja mama jest z Niemiec, nie z Austrii. Nie robimy *Mozart-kugeln*, ale chyba je pan dostanie przez Internet.

– Dobrze, to może poproszę precel – dał za wygraną. – Ale, miłe panie, naprawdę powinnyście pomyśleć o robieniu kulek Mozarta. Można na nich sporo zarobić.

– Przekażę pana radę naczelnemu piekarzowi. – Jane wyjęła szczypcami precel i włożyła do papierowej torebki.

– Dankeszejn – rzucił mężczyzna w połowie drogi do wyjścia.

Reba uśmiechnęła się.

– Na pewno Mozart by się ucieszył, że go biorą za Niemca.
– Większość ludzi i tak nie widzi żadnej różnicy. Mówię ci, my Amerykanie jesteśmy zdolni. – Roześmiała się. – Widziałam tę małą celebrytkę w telewizji... Kelly-cośtam. Ona nie wiedziała, że Francja to kraj. Wyobrażasz sobie? Dziecko powinno wodzić nosem po globusie.

Panna „Latynosi robią to lepiej” schowała komórkę i przeszła do zakupów.

– Ci, którzy wiedzą, że Niemcy leżą w Europie, dostają w szkole najwyższą ocenę za pracowitość. Co ci podać, kochanie? – zwróciła się Jane do dziewczyny.

– Eee... poproszę zapiekankę z serem. – Strzeliła gumą do żucia. – Na wynos.

– Już się robi. – Jane obróciła w rękę szczypcę niczym rewolwer.

Reba podeszła do wolnego stolika naprzeciwko Sergia. Poczula chęć przywitania go, tymczasem usiadła do niego tyłem, wykluczając tym samym jakikolwiek kontakt.

– A więc znów przyszedł.

W całej piekarni rozległ się głos Elsie. Nawet trójka dzieci pod stolikiem przerwała swoją zabawę „na niby”, podniosła wzrok, po czym wróciła do rozjeżdżania lalek wyścigówkami.

Elsie miała na sobie brązową spódnicę z frędzlami i bluzkę w serek koloru indygo. Włosy związała z tyłu pasującą do nich chustką w paski. Do twarzy jej w tych kolorach, pomyślała Reba.

– Jane mówiła, że byłaś wczoraj. – Elsie usiadła. Jej przed chwilą umyte ręce były jeszcze wilgotne i pachniały mydłem kwiatowym. – Byłam u lekarza... nic ważnego.

– Cycowanie? – Reba, mówiąc to, poczuła, że się czerwieni.

Elsie roześmiała się.

– Znasz to! Pewnie ci Jane zdradziła nasz mały szyfr.

Reba rozejrzała się, czy przypadkiem nie słyszy żadne z dzieci lub ich matek. Te ostatnie gestykulowały, zajęte rozmową, a dzieci na kolanach ślizgały się po kafelkach.

– Ale nie przyszedł rozmawiać o tych wszystkich ciastkach, które pochłonęłyście z Jane, prawda? – Elsie uniosła brew.

– Były niesamowicie dobre. – Reba uśmiechnęła się. – Przyszedłam w sprawie artykułu.

Było już po terminie i redaktorka ponaglała; chciała mieć tekst na swoim biurku do jutra rana, inaczej lokalna prasa nie zdąży go zamieścić w wydaniu świątecznym. Reba musiała zakończyć swoją misję, a dopóki na tym skupiała uwagę, mogła zapomnieć o Rikim i wszystkim innym. Potrzebowała jednego dobrego cytatu związanego z Bożym Narodzeniem w Niemczech i chciała, żeby to brzmiało jakoś tak: „Boże Narodzenie w Niemczech to cudowny czas; mamy wiele niemieckich tradycji, które podtrzymujemy, gdziekolwiek jesteśmy”. Ciach, to było to. Jednoznaczne stwierdzenie, bez mieszania w to nazistów. Wyjęła notes i długopis.

– Widzi pani, ostatnim razem nie zrobiłam tego, co do mnie należy – wyjaśniła Reba. – To znaczy, nie zadałam pytań ważnych dla artykułu. Muszę się dowiedzieć czegoś o Bożym Narodzeniu, o świętach, o tym, jak świętowaliście z rodziną i przyjaciółmi.

Elsie podparła brodę palcem i patrzyła na Rebę, mrużąc oczy.

Dwie matki obok nich dyskutowały o nadpobudliwości, czy jest to objaw ADHD, czy wpływ czekolady i coca-coli.

Reba stuknęła długopisem i czekała na odpowiedź.

– Mówiąc szczerze, ja nie pamiętam, co robiliśmy przed wojną. Byłam bardzo mała, gdy Führer doszedł do władzy, i dopóki nie odszedł, to były nowe Niemcy. Musieliśmy przestrajać siebie, nasze tradycje, rodziny. To nie było już to samo, co kiedyś. Tak jak ci powiedziałam, to były traumatyczne lata. – Elsie poruszyła bezradnie ramionami. – Nawet szczęśliwe chwile były przyćmione bólem. Widzisz więc, że nie mogę ci opowiedzieć o świętowaniu z rodziną i przyjaciółmi, nie popełniając zdrady.

Reba potrząsnęła głową.

– Zdrady wobec kogo?

– Wobec samej siebie. To by było kłamstwo, wymyślona opowieść, jaką przypuszczalnie chciałabyś usłyszeć. Ach, śpiewaliśmy i tańczyliśmy w rytm umpa umpa, wznosiliśmy toasty kuflami piwa, czciliśmy narodziny Chrystusa i czekaliśmy, kiedy Święty Mikołaj przyjdzie do naszych chat pośród alpejskich śniegów. Czy to właśnie powinnam ci powiedzieć?

Tak, właśnie to.

Reba pocierała nos. Elsie wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, ale ja nie mam takich wspomnień.

– Więc jakie są pani wspomnienia? Proszę opowiedzieć, jak było naprawdę – prosiła

Reba.

Elsie przygryzła wargę i zaczęła:

– W Niemczech w Boże Narodzenie nie było dużo jedzenia. Mój ojciec usiłował prowadzić piekarnię, mając filiżankę cukru tygodniowo. Święta były zimne. Można było zamrznąć na śmierć. Pijani żołnierze w wełnianych mundurach. Brudne ślady butów na śniegu. Członkowie rodziny niemogący się ze sobą zobaczyć i tajemnice niemające nic wspólnego ze Świętym Mikołajem, reniferem czy tą magią świąt...

Rozdział 21

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
24 stycznia 1945 r.

– Tobias, obudź się, obudź się. – Elsie lekko, ale nerwowo stukała w deskę ściany.

Tobias odsunął deskę, wyczołgał się, ziewając, i rozprostował nogi na podłodze jej sypialni. Wnęką w ścianie była duża tylko na tyle, by mały chłopiec mógł usiąść lub położyć się wygodnie ze zgiętymi kolanami; wiedziała, że nie ma wtedy nic bardziej upragnionego niż wyciągnięcie jak najdalej rąk, nóg, palców. Starła się umożliwić mu to tak często, jak mogła, zachowując rozwagę.

Rodzice wyjechali do Steinhöring pięć dni temu i Elsie była im wdzięczna za tę krótką nieobecność. Uwolniło ją to chwilowo od strachu przy każdym stuknięciu czy skrzypnięciu w jej pokoju. Minionej niedzieli była nawet tak odważna, że we wczesnych godzinach rannych zatrudniła Tobiasa w kuchni. Okazał się zadziwiająco zdolny w lepieniu precli; wiedział dokładnie, jak zwijać i skręcać ciasto, żeby zgrubienia wyszły idealnie.

Elsie chuchała i posapywała z zimna, a Tobias wciągnął na nogi stare wełniane pończochy, które sięgały mu do ud. Na głowę włożył zrobioną na drutach szlafmycę i przypominał jej kostiumowe parady w *Fastnacht*^[31] z dzieciństwa. Pomimo narastającego ucisku i bólu w skroniach nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Choć, mały. – Poklepała go po głowie. – Już rozpałam w piecu. Skończyły nam się bułki. Nie mamy nawet czerstwych, żeby zapełnić kosz, więc muszę dziś upiec jedną blachę więcej, co oznacza, że ty zajmiesz się preclami – oznajmiła.

Jako najmłodszej w rodzinie nigdy nie powierzano jej zbyt odpowiedzialnych funkcji w procesie pieczenia chleba. Aż do teraz. Mając na głowie cały rodzinny interes i ukrywając Tobiasa, czuła się starsza i mądrzejsza, i to jej się podobało.

– Wiem, że jest niemilosierne wcześniej, ale takie jest życie piekarza i tych, którzy z nim żyją. – Westchnęła. – Może jak dorośniesz, zostaniesz piekarzem śpiewakiem. – Mrugnęła do niego. – Założę się, że za słodkie bułki z piosenką zarobiłbyś dwa razy tyle co my.

Tobias uśmiechnął się.

– Piekłbym babki z górą cynamonu.

– Wspaniale – orzekła Elsie. – Tobias, wielki śpiewający piekarz babek. Taki będziesz miał tytuł.

Odwróciła się i sprawdziła, czy Tobias bezpiecznie schował się za nią, i dopiero wtedy otworzyła drzwi swojego pokoju, żeby mogli zejść po schodach. Choć co wieczór zaciągała żaluzje, jednak bała się inwigilacji gestapo, dlatego opracowała specjalny system ich codziennej pracy w kuchni. Ulokowała Tobiasa na umączonym drewnianym stole, pod którym trzymali olbrzymi żelazny kocioł, używany przez Mutti do gotowania zup. Gdy tylko Elsie spostrzegła jakieś oznaki niebezpieczeństwa, gwizdała, a wtedy Tobias chował się do kotła i zamykał pokrywę. Tak robili tylko podczas porannych przygotowań. Na pół godziny przed otwarciem sklepu znów go bezpiecznie zamykała w swoim pokoju.

W mieście rozeszła się plotka, że jej rodziców wywieziono pod eskortą do Steinhöring. Nikt nie miał odwagi zapytać, o co chodzi. Zbyt wielu już wyjechało z miasta w nieznanym

kierunku i ludzie woleli właśnie tak: nic nie wiedzieć. Kupowali więc jak zwykle, nie zwracając uwagi na nieobecność rodziców, i zabierali zakupy do domu, gdzie mogli jeść chleb i dyskutować o tym szeptem.

Elsie zaczęła zamykać w porze lunchu, czego jej tata nigdy nie robił. Nikt się jednak nie skarżył, że zamyka sklep od południa do wpół do drugiej, a to jej dało dostatecznie dużo czasu na ugniatanie i formowanie wyrośniętego ciasta oraz sprawdzenie, czy u Tobiasa wszystko w porządku.

Choć już od miesiąca ukrywał się w jej pokoju, dopiero w ostatnich kilku dniach Elsie mogła z nim rozmawiać swobodnie i otwarcie. Wczoraj wieczorem po raz pierwszy usłyszała go mówiącego więcej niż parę słów. Chodziło o kielbasę wieprzową.

– To jest zakazane – powiedział i odwrócił się od talerza.

Lecz to było wszystko, co Elsie miała. Baranina, wołowina, kurczaki i ryby były niedostępne. Była zima i wojna. Czy on zapomniał, że jest Żydem ukrywającym się w jej domu? To nie hotel Romantik. Wzięłaby tę kielbasę z powrotem i zjadłaby ją sama, gdyby nie widok łokci Tobiasa. Cokolwiek by na nie nałożył, sterczały jak ptasie skrzydła, uświadamiając jej, że nawet jeśli od Bożego Narodzenia miejscami trochę przytył, wciąż był straszliwie wąty.

W ostatnim tygodniu oddech zaczął mu lekko świszczec, nie głośniejszy niż pisk myszy. Gdy świst ucichał, Elsie martwiła się, że zimno wpełzło pod jego cienką skórę i zamarzło na kość. Musiał się wzmocnić. Dieta złożona z chleba i zimowych warzyw nic tu nie pomoże. Wychowała się w społeczeństwie pełnym Żydów, więc rozumiała wagę problemu diety, ale mimo to denerwowało ją, a wręcz gniewało, że nawet teraz, gdy wokoło tyle rozlewu krwi i śmierci, ich zwyczaj biorą górę nad ratowaniem życia.

– Jedz. W takich czasach jak teraz Bóg nie może być zbyt wymagający – stwierdziła.

Skrzyżował ręce, uwydatniając jeszcze swe sterczące łokcie.

– Proszę – nalegała.

– Nie mogę – upierał się.

Sapała ze złości i przez chwilę rozważała, czy nie zmusić go siłą, żeby zjadł to mięso, ale nie mogła znieść nawet myśli, że może go skrzywdzić.

– Tobiasie, jeśli nie będziesz jadł nic więcej prócz rzepy, to... – rozmasowała pulsujące skronie i spojrzała na niego – ...umrzesz. A ja nie chcę, żebyś umarł. Jesteś moim przyjacielem. Obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Proszę cię, zjedz. Jeśli nie dla siebie, to dla mnie – przekonywała.

Tobiasz przełknął ślinę i spuścił nisko głowę. Elsie wyciągnęła nadziany na widelec kawałek kielbasy.

– Proszę.

Wyszeptał do siebie słowa jakiejś modlitwy po hebrajsku. W jego głosie czuło się liryczny ton, jak u niej, gdy czytała poezję Roberta Frosta.

– Bóg mnie nakarmi – powiedział.

Możliwe, pomyślała Elsie, ale ludzkie ciało jest zbudowane z substancji materialnej. Jest niedoskonałe i zawodzi nawet przy naszym najszczerzym pragnieniu nieśmiertelności. Ze swoich doświadczeń z Bogiem Elsie wiedziała, że wybaczał on więcej niż którakolwiek religia i kochał bardziej niż jakiegokolwiek prawo. Chciałaby móc przekonać o tym Tobiasa.

Popatrzył na pokrojone pęto kielbasy na talerzu.

– Moja mama kiedyś skaleczyła się przy obiedzie, krojąc dla mnie pęto chorissy – zaczął. – Palec jej krwawił i została szrama. O tutaj. – Potarł miejsce na palcu wskazującym. – Zawsze mnie to gnębiło, ale mama powiedziała, że znaki w naszym życiu są jak nuty na pięciolinii: śpiewają swoją pieśń.

Elsie odłożyła widelec. Jeszcze nigdy nie słyszała go mówiącego tak dużo. Nagle przestał być jakimś tam chłopcem. Miał rodzinę, matkę. Choć Josef wspominał o jego rodzicach, nie byli dla niej realni, podobnie jak dotąd sam Tobias. A teraz stał się realny.

– Gdzie jest twoja rodzina? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, gdzie są moi rodzice, ale moja siostra jest w obozie.

Pomyślała o Hazel i jej pierś przeszły ostry ból.

– Jak ma na imię?

– Cecile – odparł Tobias.

– Starsza czy młodsza? – pytała dalej.

– Młodsza. Ma pięć lat i lubi niebieskie kokardy. Płakała, gdy je zabrali. – Zdjął

z pończochy kawałek zmechaconej wełny.

– Kto jej zabrał?

– Żołnierze. – Oczy mu zmatowiały jak zakurzone srebrne monety. – Gdy wysiadaliśmy z tego pociągu. Wyrwali jej z włosów. Płakała. Żołnierz ją uderzył i upadła na tory. – Zaciśnięte na kolanach piąstki drżały. – Chciałem ich powstrzymać. Próbowałem ją podnieść, ale nie mogłem. Było za dużo ludzi, wszyscy się pchali i krzyczeli, pociąg głośno gwizdał, a ona mnie w ogóle nie słyszała.

– Tak mi przykro, Tobiasie – powiedziała Elsie ze ściśniętym gardłem.

Odwrócił się do niej i twarz mu się rozjaśniła.

– Jakaś pani wzięła ją ze sobą do obozu. Ona tam jest. Widziałem ją raz, gdy śpiewałem.

Robi guziki w szwalni. Ale naprawdę to lubi wstążki. – Posłał Elsie słaby uśmiech. – Kiedyś kupię jej nowe.

Elsie wyobraziła sobie dziecko o sprężystych, brązowych lokach związanych z tyłu turkusowymi kokardami, jak te, które nosiły z Hazel, będąc dziewczynkami.

– Jestem pewna, że jej to sprawi przyjemność. – Westchnęła ciężko. – Ja też mam siostrę.

Hazel. Starsza ode mnie i ma troje dzieci. Jedno jest w twoim wieku. Ma na imię Julius.

Oczy chłopca rozszerzyły się z zaciekawieniem.

– Jesteście do siebie podobni – ciągnęła. – Obaj kochacie śpiew.

Popatrzył w bok, przeciągając cienkimi palcami po ogolonej głowie, na której odrastały już ciemne smugi szczeciny.

– Nie powinienem już więcej śpiewać – szepnął. – Kiedy śpiewam, ludziom dzieje się krzywda.

Elsie przypomniała sobie, co mówił Josef o tym, jak Tobias śpiewał dla więźniów obozu.

– Śpiewałeś dla mnie i mnie uratowałeś – przypomniała mu.

Tobias nie podniósł oczu. Ujęła jego dłoń; skóra była cienka jak na kruchym cieście.

– Kiedyś będziesz śpiewał dla wielkiego tłumu. Zgotują ci owacje na stojąco i będą rzucać róże do twych stóp.

Tobias podniósł wzrok. W świetle lampy sypialnianej widziała jego oczy, łagodne i pełne nadziei.

– Obiecuj mi. Dobrze?

– Ale jak mogę coś obiecać, jeśli nie wiem, czy to się wydarzy? – zapytał.

– Ja w ciebie wierzę. Jeśli tak powiesz, to tak zrobisz – rzekła.

Przez chwilę najwyraźniej wyobrażał to sobie w marzeniach. Potem odwrócił się do niej i z wielką determinacją powiedział:

– Obiecuję.

– Dziękuję.

Bez chwili wahania czy jakiegokolwiek lęku pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Potem zeszła do kuchni i ostrożnie usunęła wszelkie plamy pleśni z ulubionego białego sera Papy. Mutti wydzielala mu go na śniadanie, ale teraz wyjechali, a Elsie nie wiedziała nawet, kiedy wróca. Ukroiła więc i posmarowała grubą warstwą bułkę dla Tobiasa. Sama zjadła zimną kiełbasę, która zalegała jej w żołądku aż do rana, niestrawna i ciężka jak kamień.

Gdzieś z daleka dobiegł śpiew leśnego skowronka. Tobias pomógł Elsie przełożyć wyrośnięte ciasto na drewnianą deskę.

– Zrobmy dwie blachy – powiedziała. – Jutro spryskamy wodą to, co zostanie, i podgrzemy w piecu. Nikt nie zauważy różnicy. Zaczę robić bułki.

Podeszła do ciasta na kajzerki i zanurzyła dłonie głęboko w jedwabistą masę. Ciasto przykleiło się do palców, a także pomiędzy diamenty i rubiny pierścionka. Gładka złota obrączka Mutti nie ma takich zakamarków. Jest odpowiednia dla żony piekarza. Pierścionek Elsie nie jest. Zrobiono go dla kogoś innego, dla jakiejś śpiewaczki lub żony bankiera. Dla kobiety z pomalowanymi paznokciami i zapachem lawendy Yardleya na nadgarstkach. Dłonie Elsie są suche i popękane, a odkąd sklep Grünów jest zamknięty, ona pachnie tylko drożdżami i potem. Jakże jej brakowało ich mydeł kwiatowych, francuskich wód toaletowych i cytrynowej wody kolońskiej. Flakonik szamponu różanego trzymany w kryjówce był zbyt cenny, by go marnować na zwyczajne mycie. Przytykała jedynie nos do otwartej butelki i wyobrażała sobie, że ten zapach unosi się wokół niej całej.

Temperatura w kuchni podniosła się. Pachniało palonym drewnem. Elsie poddała się uspokajającemu rytmowi pracy: formowała bułki wielkości dłoni. Gdy zrobiła ich tuzin, do ciemnej kuchni zaczął powoli wpełzać przyćmiony jeszcze i siny pierwszy brzask. I wtedy zauważyła, że pod piecem leżą już tylko dwa cienkie kawałki drewna. Zapomniała przynieść polana. Drewno z dworu było mokre od śniegu i potrzebowało czasu, żeby wyschnąć w kuchni, zanim da się nim palić. Jeśli nie przyniesie teraz, nie dadzą rady utrzymać ognia w piecu. Ręce miała całe oklejone ciastem. Tobias już wcześniej postawił na kuchni wodę z sodą do zagotowania. Właśnie podwijał rękawy swetra, żeby zrobić w niej kąpiel dla precli. Drewno było na zewnątrz, tuż za kuchennymi drzwiami. Mógłby przynieść jedno czy dwa naręcza. Jeszcze nie zaczęło świtać. O tej godzinie nikt w mieście jeszcze nie wstawał ani nie wychodził z domu.

– Tobiasie, potrzebne nam drewno. – Uniosła jedną rękę w stronę drzwi.

Patrzył na nią przez długą chwilę. Uśmiechem dodała mu odwagi.

– Najpierw uchył drzwi i sprawdź.

Kiwnął głową, otworzył drzwi na parę centymetrów i wyjrzał.

– Nie ma nikogo – szepnął.

Serce Elsie łomotało.

– Włóż moje buty i pośpiesz się. – Starła się mówić pewnym głosem, by zamaskować swój niepokój.

Tobias wciągnął buty i ostrożnie odemknął łańcuch; zdaniem Elsie czekał jednak za długo.

– Szybko!

W mroźnym powietrzu dojrzała obłok pary z jego oddechu, po czym zniknął jak we mgle.

Elsie zbyt mocno nacisnęła kulę ciasta, robiąc z niej całkiem płaski krążek. Policzyła bułki na blasze: raz, dwa, trzy... sześć, siedem, osiem... dziesięć, jedenaście, dwanaście. Spojrzała na drzwi. Jej przyniesienie naręcza chrustu zabierało ledwie dziesięć sekund. Próbowwała kontynuować liczenie, ale zgubiła się, nie wiedziała, które już liczyła, a których nie, więc włożyła je wszystkie do pieca. Węgłe w środku żarzyły się jasnopomarańczowym kolorem. Ułożyła bułki równo, żeby miały miejsce, by wyrosnąć, i zamknęła drzwiczki pieca. Paliły ją

policzki i czoło. Tobias wciąż nie wracał.

– Powinnam iść sama – mruknęła.

Gumowate skrawki ciasta przywarły jej do palców, ale bez wahania umyła ręce i szybko ruszyła do kuchennego wyjścia.

Tobias przywitał ją w progu.

– Wystarczy? – Łokcie mu drżały pod ciężarem pięciu polan.

Elsie wciągnęła go do środka, a on położył drewno obok pieca. Odetchnęła z ulgą. I nagle rozległo się pukanie. W otwartych drzwiach kuchennych stanęła Frau Rattelmüller.

Rozdział 22

Straż Celna i Graniczna
Stanów Zjednoczonych
Montana Avenue 8935
El Paso, stan Teksas
26 listopada 2007 r.

Pół tuzina pojazdów straży granicznej i policji z El Paso ciągnęło betonową alejką dla biegaczy, rowerzystów i mieszkańców miasta spacerujących o zmierzchu wzdłuż Rio Grande. Teraz pustą. Na dźwięk zbliżającego się konwoju miejscowe kaczki chowały się na cienistych zboczach podziemnego przejazdu, a biały żuraw, trzepocąc skrzydłami, leciał do gniazda ukrytego gdzieś w nadrzecznym gąszczu.

Dostali wiadomość od jednego z sąsiadów: w zamkniętej na kłódkę przyczepie są nowi lokatorzy. Przemycnicy zwykle trzymali nielegalnych obcokrajowców w bezpiecznych kryjówkach przez trzy dni, po czym przewozili ich na pustynię. Tam wysadzano ich o zmierzchu. Następnie szli całe mile przez pustkowia, omijając w ciemności punkty kontrolne na autostradzie. Po drugiej stronie przemytnik przejmował tych, którzy przetrwali, i razem szli dalej na północ.

Czasu było mało. Straż graniczna musiała ich otoczyć natychmiast, inaczej ryzykowała zgubienie grupy. Policja pomagała w aresztowaniach.

Kolumnę prowadzili Riki i Bert. Siedzący na miejscu pasażera Bert sprawdził magazynek swego pistoletu, klasycznego półautomatu H&K P2000. Przytroczył go sobie do pasa.

Riki poruszył się na swoim fotelu. To była rutynowa procedura operacyjna, ale załadowana broń zawsze budziła w nim mieszane uczucia. Za dużo już widział przypadków, gdy ktoś się zdenerwował i pochopnie wyciągał broń, zapewne idąc w ślady Wyatta Earpa. Tyle że ludzie, z którymi mieli do czynienia, na ogół nie byli rewolwerowcami ani przestępcami, lecz farmerami i murarzami.

– Czy dostaniemy te gumowe pociski? – spytał Riki.

Taka amunicja ogłuszała ofiary, uderzając bardzo mocno, ale nie penetrowała ciała. Nie spotykali groźnych kryminalistów: obowiązkiem straży granicznej było jedynie nie dopuścić, by niepowołani weszli na terytorium Stanów Zjednoczonych, a nie ich zabić.

– A po co? – Bert wzruszył ramionami. – Facet do mnie startuje, no to go załatwiam w biegu. Chyba nie będę czekał jak debil, aż on mi rzuci ognistą kulą w twarz. – Poprawił boczne wiązania kamizelki kuloodpornej i uśmiechnął się. – Carol ją raczej lubi, a ja sam też się przyzwyczailem.

Riki trzymał jedną rękę na kierownicy, a drugą drapał się po nieogolonej brodzie.

– Ale teraz chodzi o kobiety i dzieci. Broń bardziej ich przeraża, niż nam pomaga.

Bert zaśmiał się szyderczo.

– I o to chodzi. Trzeba tak ich przestraszyć, żeby więcej nie łamali prawa! Nie próbuj mnie zmiękczyć, Rik. Dziś Amerykanie to zgrają krwawiących serc. Och, prawa człowieka, prawa człowieka, jęczą. A co w tym kraju z prawami ludzi przestrzegających prawa? Co z nimi, he? Łatwo się siedzi i toczy filozoficzne pogawędki, jedząc bajgle z serem śmietankowym w New Hampshire, ale tutaj... o cholera. – Wyprostował się nagle.

Na ścieżce biegnącej bezpośrednio od działki z przyczepami mieszkalnymi, które Riki oglądał dwa tygodnie temu, stał jakiś Latynos. Bert włączył światło policyjne wozu. Mężczyzna ruszył biegiem wzdłuż ścieżki. Riki zwolnił tuż przy podwójnej przyczepie, do której zmierzali,

a Bert otworzył drzwi od swojej strony.

– Wygląda na to, że mamy przemytnika. – Wyskoczył na zewnątrz. Spod nagle zatrzymanych opon uniosła się chmura pyłu. – 10–33! – powiedział do radiotelefonu. – Biegnie na południe wzdłuż Rio. Łatwo go zauważyć. Latynos płci męskiej w zielonej kurtce.

– 10–4, tu szef Garza. Wysyłam jeden z naszych samochodów, żeby odciąć mu drogę. Wysłany w pogoń samochód policyjny przemknął obok z rykiem silnika.

– Przyjąłem – odparł Bert. – Wejźmy do przyczepy i zobaczmy, co tam mamy.

Riki z niechęcią wyciągnął pistolet z kabury.

Na zewnątrz parkowała szara furgonetka bez okien. Przyczepa była nadal zamknięta na kłódkę, ale teraz z dwóch małych okien usunięto płyty.

– Niezłe odkrycie, Rik. – Bert ściągnął czapkę niżej na czoło i rozsunął stalową pałkę. – Załóżę się, że mamy tu prawdziwe gniazdo szczurów.

Podjechały jadące za nimi samochody straży granicznej i policji El Paso; ich załogi szybko się rozbiegły, otaczając przyczepę.

– Furgonetka jest pusta! – zawołał jeden z funkcjonariuszy.

Bert i Riki ruszyli do drzwi wejściowych, a za nimi uzbrojona obstawa. Riki zastukał pięścią.

– Otwierać! *¡Abierto!*

Nie czekając na odpowiedź, Bert rozbił kłódkę uchwytem pałki – od razu odpadła od zardzewiałej blachy. Szef Garza wcisnął metalowy grzebień we framugę drzwi i rozsunął je. Po minucie weszli do przyczepy.

W środku ludzie tłoczyli się pod ścianami i w rogach.

– *¡Abajo, abajo!* – rozkazał im Riki, pokazując brudne materace na podłodze.

Imigranci posłuchali rozkazu i położyli się odruchowo na brzuchach, ściśnięci jak sardynki w puszcze.

– Ręce wyciągnąć do góry! – Bert walnął pałką o ścianę. – Do góry, jasna cholera!

– *Ponga sus manos* – przetłumaczył Riki.

Kobiety wyciągnęły ręce nad głowami jak Superman; mężczyźni splekli je z tyłu głowy. Oficerowie i funkcjonariusze przeszukali wszystkie zakamarki, zgarniając imigrantów do głównego pomieszczenia.

– Jeszcze ktoś? – zapytał Bert.

– Chyba już wszyscy – odparł szef Garza.

– Ilu jest? – Riki rozejrzał się.

Małe pomieszczenie było tak zatłoczone, że temperatura znacznie się podniosła. Już był zlany potem, mundur przyklejał mu się do pleców, parząc jak rozgrzany wosk.

– Dwadzieścia pięć, może trzydzieści osób. Nie jestem pewien – ocenił Bert. – Od groma. – Złożył pałkę i zatknął ją za pas. – Nie wiem, jak ci ludzie to znoszą. – Otarł pot skapujący mu z nosa. – Jeden kibel, zero jedzenia, karaluchy i wszędzie, gdzie spojrzysz, gniazda czarnych wdów. Warto było? My ich zaraz odeślemy z powrotem tam, skąd przyszli, i na pewno będą mieli lepiej niż tu. – Wziął do ręki radiotelefon. – El Paso, słyszycie mnie? Będzie nam potrzebny cholerny autobus.

Młody chłopak w koszulce marki Timberland odważył się unieść głowę z materaca.

– Ty tam, mówisz po angielsku? – zapytał go Riki.

– Tak – odpowiedział.

– Skąd jesteś?

– Z Meksyku – odparł szybko.

Riki kiwnął głową. Z Gwatemali, Hondurasu, mogli nawet być Chińczykami, ale wszyscy

mówili, że są z Meksyku, w nadziei, że zostaną deportowani tylko kilka kilo-metrów poza granicę, nie dalej. Riki znał tę grę.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Gdzie jest twoja rodzina?

Wzruszył ramionami.

Dziewczynka po jego prawej stronie zaczęła płakać i Riki zauważył, że ma rozcięte i spuchnięte oko. Uklęknął nad nią.

– Co się stało, *señorita*?

Zaszlochała i odwróciła twarz.

– Bert – rzucił Riki przez ramię. – Musimy przynieść z wozu apteczkę. Ta dziewczynka chyba...

Nagle siedemnastolatek zerwał się na nogi, wymachując składanym nożem. Kopnął Rikiego prosto w szczękę, przeciął kamizelkę kuloodporną agenta straży granicznej po prawej i rzucił się do drzwi.

Rikiemu pokój zawirował, a gdy upadał na ścianę z falistej blachy, poczuł, jakby wszystko pękło na pół. Jak błysk flesza wróciło wspomnienie z dzieciństwa: jedzenie ciepłego arbuza w bagażniku półciężarówki ojca. Początkowo jego rodzice pracowali przy zbiorach w Canutillo, a potem sprzedawali płody na międzystanowej I-10. Za swoją pracę mieli od miejscowego farmera mieszkanie na terenie jego posiadłości oraz procent od utargu. Teraz znów Riki poczuł słodki smak arbuza w ustach, a pod plecami twardą stal samochodu dostawczego. Wypluł i zobaczył czarne nasiona owocu w morzu różowego mięszu.

Wokół rozległy się krzyki.

– Na ziemię! – krzyczał Bert do chłopaka. – Rzuć nóż albo strzelam!

Dziewczynka przeraźliwie krzyknęła.

Strzał przeszył powietrze.

Czyjeś buty głośno tupały.

Pomiędzy zawieszonymi w powietrzu nad Rikim czarnymi punktami pojawiła się twarz Berta.

– Rik? W porządku? Kiwnij głową, jeśli mnie słyszysz.

Riki kiwnął. Zamrugał oczami z wysiłkiem. Różowy kolor przerzedził się i dotarło do niego, że leży na plecach, patrząc na podziurawiony sufit.

– Karetka już jedzie – ktoś powiedział.

– Ja... nie potrzebuję... karetki – wycedził Riki.

Usiłował wstać, lecz nie mógł utrzymać równowagi. Wszystko wciąż wirowało jak toczący się z górki arbuzy.

– Będą tu za pięć minut – uściślił ten sam głos.

– Mówiłem, że nic mi nie jest. – Riki wyciągnął rękę i chwycił Berta za rękaw.

Bert poklepał jego dłoń, a Riki poczuł, że cała drży.

– Wiem, że tobie nic, Rik, ale jemu tak.

Dziewczynka płakała.

– *Lo siento. Tuvimos que hacerlo para nuestra familia. Mi hermano. Por favor. Señor, señor, señor*^[4] – wołała, próbując wyciągać dłoń do Rikiego.

Pracownik straży granicznej wykręcił jej rękę za plecy, zmusił, żeby wstała, i wyprowadził na zewnątrz.

– Chłopak miał w spodniach trzysta gramów kokainy – zachrypiął i odchrząknął Bert. – Pewnie pomyślał, że i tak wpadł, więc równie dobrze może... – Otarł pot płynący mu po szyi. –

Trafiłem go w nogę... żeby go zatrzymać. Sanitariusze już jadą.

Riki dotknął ręką twarzy i zobaczył na dłoni krew. Bert pomógł mu usiąść.

– Ten mały kopnął cię w twarz – powiedział. Grdyka mu drżała.

Riki próbował złapać oddech. Poczł piekący ból między gałkami ocznymi a tyłem czaszki.

– Boli jak diabli.

Policjanci i strażnicy graniczni wyprowadzali ludzi na zewnątrz.

– Agencie Mosley! – zawołał szef Garza. – Chłopak i jego siostra wyglądają na kurierów narkotykowych. Przemysłnik mówi, że nic nie wiedział. A gdy to odkrył, uderzył ją w oko.

– Złapali go? – zapytał Riki.

– Tak – potwierdził Garza. – Nazywa się Carl Bauer. Najśmieszniejsze, że nawet nie jest Latynosem. Pochodzi z Nebraski. Był już notowany. Wymyślił sobie, że przyjedzie do Meksyku i zbije kasę na przeprowadzaniu ludzi. Jeden z imigrantów powiedział, że każdy z nich zapłacił cztery tysiące dolarów za przerzut.

– To ten co nad rzeką? – zapytał Bert.

– Nie – odrzekł Garza. – Tamten był miejscowy. Wylegitymował się. Ma papiery.

– Cholera. – Bert pokręcił głową. – Facet wyglądał jak typowy Meksykanin. To dlaczego uciekał?

– Bo go goniliśmy – odezwał się Riki.

– Carl ukrywał się w sąsiedniej przyczepie. Poszedł tam i powiedział kobiecie z dzieckiem, że da im dziesięć tysięcy, jeśli będą cicho. Dziecko tak się przestraszyło, że zsikało się w majtki. Matka wybrała numer alarmowy, gdy nie patrzył – wyjaśnił Garza.

– Głupi dureń – stwierdził Bert. – Nie wiedział, że to właśnie ona dała nam cynk.

Riki przypomniał sobie zagniewaną twarz kobiety przed dwoma tygodniami i „pa, pa” małego chłopca na trzykołowce. Ona też musiała być z pochodzenia Meksykanką. Może myślała tak samo jak on: że przepisy istnieją z jakiegoś powodu, nawet jeśli te powody nie każdemu pasują. Lepiej być po stronie władzy niż przeciwko niej.

A jednak gdy przyjechali sanitariusze i zaświecili mu latarką w oczy, Riki nie mógł stłumić myśli, że musi istnieć lepszy sposób niż takie bezsensowne cierpienie i niepotrzebne straty. Musi być jakieś wyjście, żeby móc zachować lojalność zarówno wobec swego kraju, jak i wobec własnych przekonań.

– Masz paskudną ranę i wstrząśnienie mózgu – sanitariusz mówił z wyraźnym hiszpańskim akcentem, który jeszcze bardziej uwypuklał żuciem gumy. – Masz szczęście. Powiedzieli mi, że ten chłopak niemal złamał ci kark. Pora iść spać. – Podał Rikiemu dwa tylenole. – Odpocznij i nie uderzaj w nic głową przez tydzień. Masz w domu kogoś, kto się tobą zaopiekuje?

Riki nie odpowiedział. Zamiast tego połknął pigułki bez popijania. Poczł, że podrapały mu przełyk.

Oskarżył Rebę, że to ona ma problem, ale może, patrząc głębiej, miał go właśnie on. Jak mógł się domagać decyzji od innych, jeśli sam ich nie podejmował? Zanim jej będzie wierny, powinien być najpierw wierny sobie.

Rozdział 23

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
24 stycznia 1945 r.

– A to niespodzianka. – Frau Rattelmüller zakaszła znacząco w rękaw palta.

Chłodny powiew wiatru wtargnął do kuchni.

– Zobaczyłam dym z komina. – Stuknęła laską w drewnianą framugę drzwi. – Wcześniej rozpaliliście w piecu, więc pomyślałam, że pójde po bułki.

Elsie z trudem przełknęła ślinę i stanęła przed Tobiasem, osłaniając go własną spódnicą.

– O szóstej. Wie pani, że wcześniej nie otwieramy. Kiedy nie ma rodziców, nie mam czasu na zakupy specjalne. Przepraszam, ale musi pani poczekać, tak jak wszyscy.

Frau Rattelmüller wyciągnęła szyję, zaglądając za Elsie.

– Widzę, że masz pomocnika. – Wskazała rączką laski. – Mały skrzat.

Elsie zmartwiała.

– Proszę już iść, bardzo proszę.

Ruszyła sama w kierunku drzwi, chcąc jak najszybciej zasunąć łańcuch, zaprowadzić Tobiasa do kryjówki i udać, że wszystko to był tylko zły sen. Konsekwencje tej jednej chwili całkowicie ją przerosły. Teraz nawet Josef nie zdoła jej uratować.

Tobias skulił się przy piecu, w którym beztrosko syczał płonący ogień.

– Czy to jest Żyd? – nie ustępując, zapytała Frau Rattelmüller.

Pod Elsie ugięły się kolana. Teraz nie mogła już tej kobiety wyrzucić, bo pewnie od razu poszłaby po gestapo.

– Żyd? – zmusiła się do nieszczerego śmiechu. – *Nein*, to jest...

– Bo pasuje do opisu tego żydowskiego dziecka, którego gestapo szukało w Wigilię. – Weszła dalej do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. – U mnie w domu też byli i tak wystraszyli Matildę, że zaczęła się krztusić własnymi kłakami.

Frau usiadła na stojącym w pobliżu taborecie, oparła pomarszczoną brodę na drewnianej rączce laski i patrzyła na nich badawczo.

– Myli się pani – powiedziała Elsie.

Policzki miała tak rozżarzone jak węgle w piecu. W uszach przeraźliwie jej dzwoniło. Usiłowała zaczerpnąć powietrza.

– Podejź tu, chłopcze – rzekła Frau Rattelmüller.

Elsie wzięła go za rękę.

– To mój siostrzeniec Julius. Syn Hazel.

Frau Rattelmüller zmrużyła oczy, wpatrując się w Tobiasa.

– Powiedz mi zatem, od kiedy to oznaczają niemieckich chłopców jak Żydów w obozach?

Tobias miał rękawy podwinęte aż do zgięcia łokci. Na lewym przedramieniu widniał długi jak stonoga wytatuowany numer. Zasłonił go. Frau Rattelmüller parsknęła i zastukała laską o kafelki podłogi.

– Nie okłamuj mnie, dziecinko. Dobrze znam twoją rodzinę. To nie jest wasza krew. Umiesz oszukiwać. – W uśmiechu ukazała żółte zęby.

Elsie przypomniało się przyniesione dawno temu przez tatę nagranie muzyczne dla dzieci *Piotruś i wilk*. W głowie zadźwięczała jej waltornia wilka i nastrojowe skrzypce Piotrusia.

Chociaż słońce już podnosiło się na niebie, wydało jej się, że zapada coraz większy mrok. Chcąc się opanować, Elsie wbiła paznokcie w dłonie. Musiała jasno pomyśleć, znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale docierały do niej tylko trzaski i pojękiwania drew w palenisku.

– Ukrywasz to dziecko już ile?... Miesiąc? Jestem pod wrażeniem. Czy rodzice o tym wiedzą?

Nie było wyjścia, nie mogła w to bagno wciągać rodziny.

– Nie – odparła.

– *Gut.* – Frau Rattelmüller pokiwała głową. – Czy mogę ci coś doradzić? – Wstała i podeszła tak blisko, żeby móc mówić szeptem. – Pozbądź się go stąd. Nie wiesz, co robisz. Jeśli go znajdą, zapłaci cała twoja rodzina. Także Herr Hub.

Ból przeszył piersi Elsie, po czym utkwił w jej żołądku jak kaczką Piotrusia w brzuchu wilka. W ustach jej zaschło, palce zdrętwiały. Tobias odsunął się od nich obu i cały drżał. Frau Rattelmüller spojrzała łagodniej.

– Nie bój się, chłopcze – powiedziała i wyciągnęła ku niemu zaszuszoną dłoń.

Skulił się i ukrył twarz, przyciskając ją do krawędzi stołu. Elsie otoczyła go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Jeśli go dopadną, to go zabiją.

– *Ja*, to pewne – potwierdziła Frau Rattelmüller.

Elsie na moment zamknęła oczy, żeby pomyśleć. Lepiej jego niż jej rodzinę, prawda? W ciemnych zakamarkach jej umysłu snuła się taka właśnie myśl. Nie mogła trzymać Tobiasa w swojej wnęce w nieskończoność. Ale jeśli go wyda, będzie miała na rękach jego krew. Czy mogłaby z tym żyć?

– Są jeszcze inni – powiedziała Frau głosem cichym jak chrupnięcie zgniatanych stopą okruszków chleba.

– Inni? – zapytała równie cicho Elsie.

– A jak myślisz, dla kogo kupuję co rano tyle bułek? – Jej spojrzenie było czyste i szczerze. Żachnęła się. – Jeden kot i stara kobieta nie jedzą tak dużo.

Elsie poczuła nagle w piersiach ulgę, jakby za dotknięciem różdżki pętla się rozwiązała. Wzięła głęboki oddech i sprawdziła w piecu, jak tam bułki.

– Mam przyjaciół w Szwajcarii. Próbuje ich tam wywieźć. – Frau Rattelmüller zwróciła oczy na Tobiasa. – Jak on ma na imię?

Elsie trzymała go mocno za rękę. Już nie wiedziała, komu może ufać.

– Jest uzdolnionym muzykiem, jak jego matka i ojciec, i zręcznie robi precle. Ma na imię Tobias.

Najpierw sprawdzi, czy Frau zachowa to w tajemnicy.

Tobias patrzył na Elsie ze szczerą wdzięcznością, a ją ogarnęło przytłaczające poczucie winy. W świecie, gdzie wszystko wydawało się iluzją i nic nie było takie, jakie powinno, z mrozącą krew w żyłach jasnością uświadomiła sobie: teraz jest odpowiedzialna za Tobiasa i musi go uratować.

Rozdział 24

Franklin Ridge Drive 3168
El Paso, stan Teksas
4 grudnia 2007 r.

Świąteczny numer czasopisma „Sun City” przyszedł z popołudniową pocztą. Reba siedziała przy stole w kuchni i oglądała układ graficzny. Wysłała swojej redaktorce zupełnie inny artykuł niż zamówiony. Jednak uderzenie w czułe struny amerykańskich serc w czas Bożego Narodzenia przebiło nawet najważniejsze wiadomości i komentarze edukacyjne. Redaktorce tekst ogromnie się podobał i w ostatniej chwili nawet zmieniła okładkę. Jako temat numeru dała jej artykuł. Reba pogładziła dłonią śliską fotografię. Młody żołnierz w pustynnym mundurze polowym i z czerwoną kokardką na karabinie trzyma zniszczoną fotografię swego pradziadka w mundurze z czasów drugiej wojny światowej. W nagłówku tytuł: *Świąteczne kolędy w czas wojny*. Reba to wymyśliła.

Artykuł praktycznie napisał się sam po jednym telefonie do USO^[5] w Fort Bliss i kilku jej wizytach u Elsie. Była dumna z bezstronności tego tekstu. Żadnego sentymentalnego dosładzania, żeby było łatwiej przelknąć. Mężczyźni i kobiety byli z daleka od swych rodzin, samotni i pełni lęku, tak samo jak sześćdziesiąt lat wcześniej. W każdej kulturze i pokoleniu rzeczywistość wyglądała tak samo gorzko: Święty Mikołaj i jego renifer nie zawsze przyjeżdżali do naszego komina, a wojna odbierała nawet nadzieję, że mogliby przyjechać.

Od trzech tygodni Reba i Riki wysyłali sobie wiadomości przez telefon. Nie rozmawiali ze sobą osobiście od tamtego wieczoru, gdy on się wyprowadził. Przyjechał do mieszkania po swoje rzeczy wozem meblowym, gdy była w pracy, i zostawił napisaną odręcznie notkę: „Rebo, wzięłem swoje rzeczy. Wynajmuję jednopokojowe mieszkanie w centrum. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Riki”.

Redakcja jej czasopisma mieściła się w budynku Stanton Street naprzeciwko Plaza Center. Gdy jeździła do pracy, specjalnie parkowała przy Plaza Theater i szła pieszo przez całą dzielnicę historyczną, myśląc, że może on gdzieś patrzy przez okno i ją zauważy. Nie żeby to cokolwiek zmieniło, po prostu lubiła sobie to wyobrazać. Dalej nosiła jego pierścionek zawieszony na łańcuszku na szyi.

Poprzedniego dnia Jane zapytała ją, dlaczego go nie zdejmie. Reba często zachodziła do piekarni. Autentycznie polubiła towarzystwo Jane i Elsie. W ostatnim czasie wydawały jej się bardziej rodziną niż własna matka i siostra.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i pogładziła palcami pierścionek.

– Bo on znaczy dla ciebie więcej, niż myślałaś – wtrąciła Elsie zza kasy.

Reba nie mogła ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, więc zamoczyła pierniczek w gorącym kakao i zapełniła nim usta.

Na rozkładówce magazynu umieszczono parę zdjęć Elsie pozującej z tacami bożonarodzeniowej strucli, batoników orzechowych i serduszek z piernika. „Boże Narodzenie w czasach wojny mogło oznaczać mniej prezentów pod choinką, ale więcej podarków od serca”. To był najlepszy cytat. Reba mocno drażniła Elsie, żeby go zdobyć.

Ciekawa była, czy Riki już widział ten numer, na przykład w kolejce do kasy, w poczekalni u dentysty, w holu restauracji, gdziekolwiek. Podniosła telefon i instynktownie zaczęła wybierać numer komórki Rikiego. Doszła już do ostatniej cyfry, gdy żołądek jej się ścisnął i przerwała. Czuła się, jakby telefon w jej dłoni był radioaktywny. Odłożyła go, lecz palce

nadal ją paliły. Czy o niej myślał? Czy sam kiedykolwiek wybierał jej numer, a potem zrezygnował? Zegar kuchenny wybił za kwadrans siedemnastą. Nie, pewnie nie. Był zajęty pracą.

Postanowiła zadzwonić do Jane i powiedzieć jej, że numer już się ukazał, ale wątpiła, by ktoś odebrał o tej godzinie, tuż przed zamknięciem. Elsie unikała zamówień w ostatniej chwili, ignorując istnienie telekomunikacji po godzinie szesnastej. Reba zdecydowała, że lepiej będzie pójść tam jutro. Może im zanieść egzemplarz. Odłożyła słuchawkę. Gdy tylko to zrobiła, telefon rozświetlił się i usłyszała melodię *Jingle Bells*.

Chcąc się trochę rozweselić, pierwszego grudnia Reba zmieniła sygnał dzwonka. Na wyświetlaczu ujrzała: Didi Adams.

Reba wysłała Didi serię krótkich, jednozdaniowych e-maili i zostawiła wiadomości na poczcie głosowej, dzwoniąc dokładnie wtedy, kiedy wiedziała, że siostra jest w pracy. Unikała w ten sposób długich rozmów telefonicznych, a jednocześnie zmniejszała swoje wyrzuty sumienia. Jej starsza siostra, z zawodu adwokat, miała taki sam talent jak ona do wyciągania z ludzi ich tajemnic, a zachowywania własnych tylko dla siebie. Co innego rozmowa z Jane i Elsie. Same wybierały, kiedy i jak wyjawiać swoje sekrety. To był wspólny mianownik ich przyjaźni: akceptacja bez wymuszania wyznań. Z rodziną było inaczej. Mama Reby miała zwyczaj notorycznie udawać, że nie dostrzega istotnych problemów, i kierować uwagę na drobiazgi. Unikała konfrontacji w rodzinie i córki zachęcała do tego samego. Być może dlatego Didi wybrała sobie taki zawód: mogła się dokopywać do prawd innych ludzi, żeby zrekompensować sobie lata spędzone na wypieraniu własnych kłopotów ze świadomości.

W pustym domu ze słuchawki telefonu niesło się głośne *jingle all the way*. Reba przygryzła skórkę na brzegu paznokcia. Nie mogła ignorować Didi w nieskończoność. Była jej siostrą i pomimo wszystkich uraz Reba kochała ją bardziej niż kogokolwiek na świecie. Przy ostatnim sygnale przed włączeniem się sekretarki odebrała.

– Halo.

– No cześć, moja niepoprawna siostro! – Głos Didi brzmiał ciepło i żywo jak bąbelki szampana.

– Cześć, Didi. – Reba usiadła przy stole z czasopismem otwartym na swoim artykule.

– Mamo! Reba jest przy telefonie! – krzyknęła Didi w dal, skąd dochodziły odgłosy rozmowy. – Tak, teraz! Na mojej komórce! Mama mówi, żebyś ty do niej zadzwoniła. Podeszłaby teraz, ale jesteśmy na urodzinach wujka Vance’a i ona właśnie ma usta pełne wędzonego łososia. Dalej jesz łososie? Nie jest to zagrożony gatunek ryb czy coś?

– Tak, jem, i nie, nie jest. – Reba westchnęła.

– Tak myślałam. A co z wieprzowiną? Wujek Vance kupił sobie to nowe urządzenie, które piecze świnie w niecałe dwie godziny. Więc wszyscy teraz czekamy na wspaniałą pieczeń z grilla. Osobiście – Didi ściszyła głos – za taki byle jaki grill nie dałabym więcej niż dziesięć centów. Chryste, on go kupił na eBayu. Myślałby kto, że wynalazł koło, tak się z tym obnosi. No i wiesz co, już minęły dwie godziny, a to mięso jest jeszcze różowe jak pupa noworodka. Dzięki Bogu jest grog cioci Gwen, jak zwykle pyszny. Uratował wszystkim wieczór. Nie uwierzysz, wujek Vance jest już po czterech głębszych i sam sobie śpiewa *Happy Birthday*. Znasz mamę, po alkoholu robi się nerwowa, więc opycha się zakąskami i zaśmiewa się, jakbyśmy byli w cyrku. Co oczywiście w pewnym sensie jest prawdą. – Wydała stłumiony chichot, który Reba tak dobrze znała. – Chciałabym, żebyś tu ze mną była. Pytałam mamę, czy się do niej ostatnio odzywałaś. Powiedziała, że nie. W zasadzie nie odzywałaś się do nikogo. Więc zadzwoniłam. Mówiąc szczerze, spodziewałam się, że znów zostawię wiadomość, a tu proszę! – Przerwała, a Reba nie była pewna, czy po to, żeby zaczerpnąć powietrza, czy pociągnąć łyk.

W tle słyhać było *Mud Slide Slim and the Blue Horizon*, to samo CD, które mama

puszczała na każdym spotkaniu rodzinnym. Dobra, nastrojowa muzyka, jak twierdziła. Reba poczuła ukłucie tęsknoty za domem i ścisnęła w rękę wiszący na szyi pierścionek.

– Naprawdę nie możesz tak długo milczeć. Rozumiem, że praca i strefy czasowe ci utrudniają, ale, kochanie, tutaj ktoś się o ciebie martwi – mówiła dalej Didi.

– Wiem, przepraszam.

– Tęsknię za moją siostrzyczką.

– Ja za tobą też. – Reba wyprostowała się na krześle, usiłując zachować normalny głos.

Czuła, że za chwilę może uderzyć w płaczący ton, a nie mogła się rozkleić. Nie teraz.

– Jak leci?

– Dobrze, wszystko dobrze.

– Taa, słyszę, że skaczesz z radości.

– Jestem zmęczona.

– Weź urlop! Przyjeźdź wcześniej do domu. Właściwie z tego powodu dzwonię.

Chciałabym wiedzieć, kiedy przyjeżdżasz na święta.

– Ja... no... – Zwilżyła zaschnięte gardło.

W poprzednie święta nie pojechała do domu, wymawiając się nową pracą, ale w rzeczywistości nie mogła już znieść kolejnego Bożego Narodzenia, gdy obok ich pończoch wisi pończocha dla taty, a mama jak zwykle próbuje utrzymać radosny i odświętny nastrój. Akurat zaczęła się spotykać z Rikim i podniecała ją perspektywa romantycznej Wigilii we dwoje. Bez przestrzegania żadnych tradycji i bez oczekiwań. Niezapisana tablica. Mama i Didi zaakceptowały jej wytłumaczenie bez wielkiego żalu, ale miała wątpliwości, czy w tym roku znów jej się uda.

– Nawet nie próbuj mi powiedzieć, że nie przyjedziesz do domu. Przysięgam na świętych Marię i Józefa, że wpadnę w furję.

– Didi, proszę cię. – Reba wzięła w palce pierścionek zaręczynowy i obróciła go wokół kciuka.

– Żadne Didi, proszę. Nie chcę o tym słyszeć. – Parsknęła. – Cóż, nie mogę cię siłą wsadzić w samolot.

Reba rozluźniła się nieco. Faktycznie, nie może.

– Zdaje się, że ja będę musiała przyjechać do El Paso.

– Co? – Reba wstała, zrzucając czasopismo na podłogę.

– Podejrzewałam, że znów wymyślisz jakąś wymówkę, więc już kupiłam bilet.

Przyjeżdżam w tygodniu między świętami a Nowym Rokiem.

– To szaleństwo. Ja mam pracę i ty masz pracę, i...

– No i co zrobisz, nie wpuścisz mnie do domu? Rebo, przyjeżdżam i już. Więc nie egzaltuj się. Musisz się z tym pogodzić.

Rozdział 25

Piekarnia Schmidów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
2 lutego 1945 r.

W swoje siedemnaste urodziny o północy Elsie urządziła piknik na podłodze sypialni. Tobias wsypał do ciasta żytnej trochę nasion słodkiego anyżu i ulepił z niego koronę. Po upieczeniu była ciemna i pachnąca jak kandyzowana lukrecja. Na środku postawili świecę. Choć było nader skromnie, bez ucztowania i bez rodziny, jak to świętowała w poprzednich latach, Elsie pokładała wielkie nadzieje w tym kolejnym roku i była wdzięczna Tobiasowi, że razem z nią go przywitał. Gdy kukułka wybiła północ, zdmuchnęła świecę i w pokoju zapadła ciemność.

Trzy dni później Papa, Mutti i Josef wrócili z chłopcem, którego Elsie nigdy by nie rozpoznała, gdyby nie to, że wszedł do piekarni i natychmiast zaanonsował:

– Jestem Julius. Ja nie jestem wasz.

Tak bardzo nie przypominał swojej matki ani ojca, zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia, że prawie się z nim zgodziła. Mimo to odpowiedziała:

– Cieszę się, że się spotykamy. Czuję, jakbym znała cię od dawna. Jestem twoją *Tante*.

– *Doch!* Przecież wiem – powiedział, krzywiąc nos jak świnka. – Co tak śmierdzi?

Właśnie skończyła przygotowywać partię bułek cebulowych, a pogardliwą uwagę siostrzeńca zignorowała.

– Gdzie jest Hazel? – zapytała.

Papa podał Mutti swoją walizkę.

– Weź to na górę, Luano. – Potem zwrócił się do Josefa: – Jeszcze raz ci dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Obaj mężczyźni skłonili głowy nisko, co mówiło samo za siebie.

– Co? Co? – Elsie patrzyła raz na jednego, raz na drugiego.

Papa uniósł dłoń, żeby się wstrzymała.

– Później, Elsie. To był ciężki dzień. – Delikatnie ujął za ramię Juliusa. – Chodź. Przed pójściem spać znajdziemy coś do jedzenia. – I zaprowadził go do kuchni.

Josef odwrócił się do Elsie.

– Musisz mi powiedzieć – błagała.

Włożył starannie czapkę.

– Hazel opuściła Ośrodek.

– Opuściła? I dokąd poszła? Będzie tu z nami, *ja*?

– Wyjaśnią ci rodzice. To nie do mnie należy.

Wiedziała, kiedy ma przestać zadawać pytania. Tydzień temu gestapo zastrzeliło sadownika Achima Thalberga. Jego przestępstwo: ogłosił w *Biergarten* wiadomość o wycofaniu się Niemiec ze Słowenii. Przy sąsiednim stoliku siedziała grupa gestapowców. Szybko wymienili między sobą kilka słów, wyciągnęli pistolety i po minucie biedny Achim leżał martwy, a jego kufel piwa z pianą stał zimny na stole.

Frau Rattelmüller nadal kupowała swoje poranne bułki i opowiadała jej różne szczegóły. Elsie nie miała jeszcze do niej pełnego zaufania, lecz z każdym dniem coraz bardziej przekonywała się, że Frau jest jej lojalną powierniczką. Podczas nieobecności rodziców Elsie dodawała do jej codziennych zakupów trochę nadprogramowych bułek, zwykłych i miodowych.

Jednak tak, żeby tata po powrocie nie zauważył. Tobias był dalej straszliwie chudy, ale podejrzewała, że w tych czasach była to cecha raczej powszechna. Jej własna sukienka wisiała na niej jak na wieszaku. Nie mieli już mięsa, a na czarnym rynku można było dostać co najwyżej kościstego królika. Lasy były już ogołoczone z wszelkiej zwierzyny. Garstkę warzyw bulwiastych, jakie jeszcze zostały, przechowywała ukrytą w worku jutowym za stertą drewna w kuchni i modliła się o wczesne nadejście wiosny. Jeśli tak się nie stanie, była pewna, że wszyscy zamienią się w szkielety.

Elsie bawiła się mankietem swego bufiastego rękawa. Josef ujął jej dłoń i przejechał kciukiem po ofiarowanym jej pierścionku. Elsie nosiła go cały czas jako rodzaj talizmanu. Coś się stało. Czuła to od wielu dni, a jej lęk rósł i zbliżał się jak straszliwa burza.

– Przepraszam, nie mogę zostać – powiedział Josef. – Otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawienia się w Dachau.

– Wyjeżdżasz? Na jak długo?

– Dopóki nasze siły nie odeprą sił alianckich.

Poczuła ogarniającą ją falę mdłości. Kto będzie ich teraz chronił? Krążyły plotki, że Armia Czerwona jest większą potęgą niż przewidywano i że już wkrótce dojdzie wprost do serca Berlina. Choć bardzo obawiała się wroga, myśl o tym, co mogą jej zrobić współrodacy, ścisnęła jej serce z przerażenia. Rodzina Grünów zniknęła w nocy, ale jak pokazał przypadek Achima Thalberga, żołnierze stawali się coraz bardziej agresywni i żądni zademonstrowania, co może spotkać każdego, kto im się narazi. Josef był sprzymierzeńcem, ale teraz wyjeżdżał. Hazel znikła, mają pod opieką Juliusa, w jej sypialni ukrywa się Tobias, a Niemcy przegrywają wojnę. Uświadomiła sobie nagle to wszystko i prócz kropli potu na twarzy także jej dłonie zrobiły się wilgotne. Josef wziął to za objawy troski o jego bezpieczeństwo.

– Dam sobie radę – zapewnił. – Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. – Po czym schylił się, żeby ją pocałować.

Instynktownie odwróciła policzek i zobaczyła w jego oczach ból i rozczarowanie. Był dobrym człowiekiem, który nie chciał niczego więcej, jak tylko zapewnić jej bezpieczeństwo; ale przecież go nie kochała. Josef odchrząknął.

– Napiszę do ciebie.

Skinęła głową, lecz nie odwróciła się, by patrzeć, jak wychodzi. Byli teraz zdani wyłącznie na siebie.

*

Elsie poszła na górę do zamkniętej sypialni mamy i zapukała.

– Mutti?

– Wejź, kochanie.

W środku Mutti ze ściągniętą twarzą rozpakowywała walizki i wkładała rzeczy do cedrowej szafy.

– Czy Julius zjadł kolację? Szynka, którą kupiliśmy, nie odpowiadała mu. Zdaje się, że była trochę nieświeża, ale co możemy zrobić? Namówiłam tatę, żeby zjadł. Zepsute czy nie, zawsze to jedzenie. Musi utrzymać siły. Nie jest już młodzieńcem jak kiedyś – trajlowała, składając wciąż na nowo jeden ze swetrów taty. Spojrzała pośpiesznie na Elsie, pokazując doły pod oczami, głębsze niż Elsie u niej kiedykolwiek pamiętała. – Wyjechaliśmy w takim pośpiechu – ciągnęła. – Ale twój Papa ciągle mi przypomina, że wy, dziewczęta, jesteście już całkiem dorosłe. Możecie sobie same dać radę. Dziesiątki razy pokazywałam ci, jak się gotuje gulasz. W twoim wieku już nie wymagasz ode mnie, żebym martwiła się o twoje jedzenie, co na siebie wkładasz czy dokąd chodzisz. – Złapała szybki oddech. – Już nie jesteście dziećmi, a mi brak czasu, mam na głowie piekarnię i klientów oraz zajmowanie się tym pełnym przeciagów domem.

A teraz jest Julius, którym trzeba się opiekować. Oczywiście nie jest małym dzieckiem jak bliźniaki... – Poglądziła palcami gruby warkoczowy wzór na swetrze. – Ale potrzebuje matki. Więc widzisz, będziesz musiała pomagać tacie na dole. Teraz, gdy jest tu Julius, nie mogę być tak często w kuchni i...

– Mutti, proszę... – Elsie położyła dłoń na swetrze Papy. – Gdzie jest Hazel?

Ręce Mutti opadły bezwładnie.

– Hazel? – Nerwowo zamruwała oczami. – Nie wiemy. Powiedzieli nam tylko, że odeszła.

– Kto wam powiedział?

– Biuro Ośrodka. Jej współlokatorki. Powiedziały, że wyszła na rynek i już nie wróciła.

Po prostu odeszła.

Mutti z łękiem i zmieszaniem przygryzła dolną wargę. Dla niej ta opowieść też nie miała sensu. Uciekanie nie leżało w naturze Hazel, ale gdyby to zrobiła, choćby słowem dałaby im znać. Przede wszystkim napisałaby do Elsie. A chociaż naczelnik poczty Hoflehner zapewnił Elsie, że pocztę doręczano regularnie, od tygodni nie dostali nic spoza doliny Garmisch-Partenkirchen. Ostatni przyszedł list Hazel do Papy z 4 stycznia. A jeśli Hazel pisała, a listy zostały przechwycone? Może ukrywała się teraz w którymś domu jak Tobias u niej i nie mogła się z nimi skontaktować? Ale przecież zostawiła Juliusa. Hazel nigdy nie zostawiłaby dzieci bez ważnego powodu... chyba że nie miała innego wyjścia. Czuła ból w skroni, jakby miała za ciasno ściągnięty warkocz.

– A gdzie są bliźniaki?

Między brwiami Mutti pojawiła się bruzda.

– One należą do Ojczyzny.

– Julius też, a dali go nam.

– Julius jest synem Hazel i Petera.

– A tamte, czy nie są z krwi twojej córki? Czy to się nie liczy? – Podniosła głos.

– Ciszej – syknęła Mutti.

Jej ton zmroził Elsie do szpiku kości. Nigdy nie słyszała swojej matki mówiącej w taki sposób.

– Musisz znać swoje miejsce. Jesteśmy kobietami. – Zatrzymała wzrok na córce. – Musimy być mądre w naszych słowach i działaniach. Rozumiesz? – Mutti wyjęła z walizki pogniecioną bluzkę i wygładziła ją na łóżku. – Josef bardzo pomógł w zabraniu Juliusa. Już prawie musieliśmy go tam zostawić. Josef zna pewną kobietę, która pracuje w biurze SS. Mówi, że ona jest dobra w dostarczaniu informacji. Znajdziemy Hazel. Znajdziemy moje wnuki. – Głośno przełknęła ślinę i wskazała głową otwartą walizkę. – Czy mogłabyś położyć na miejsce moją szczotkę i spinki, kochana?

Elsie wzięła druciane spinki do włosów i szczotkę z włosia i położyła je obok siebie na toaletce.

– Krew z krwi naszej, kość z kości naszej – szepnęła Mutti.

– Co to było? – spytała Elsie.

– Tak powiedział Führer w Norymberdze; to z Biblii, i nie wolno nam zapominać. Przed nami są Niemcy, w nas są Niemcy i po nas są Niemcy.

Podniosła cieniutką bluzkę. Elsie patrzyła na powiewną koronkę w lustrze toaletki.

– Niemcy się zmieniły – wyszeptowała.

W nikłym świetle świecy widziała, że Mutti wzdycha i ociera palcem łzę płynącą z brzegu oka.

– Idź i pomóż tacie załadować piec na noc – powiedziała i powiesiła bluzkę.

Wyraz jej twarzy skryły ciemności szafy.

Rozdział 26

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
27 grudnia 2007 r.

Wnętrze piekarni od podłogi po sufit udekorowane było plastikowymi girlandami, srebrnymi łańcuchami, kolorowymi szopkami i sztucznym śniegiem ze spreju, którym obramowano okna wystawowe.

– Wszystkiego dobrego po świętach! – zawołała Jane zza długiego rzędu klientów.

Choć święta już minęły, miała na głowie czapkę Świętego Mikołaja z pomponem, który podskakiwał przy każdym ruchu głowy.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiedziała Reba.

W piekarni był tłum. Szkoły miały ferie, więc rumianolice młodzież stała w kolejce, gawędząc i pokazując na wystawione za szybą słodczyce w czekoladzie i w lukrze. Z głośnika w górze płynęły dźwięki kolęd, nucone też w zamyśleniu przez niektórych klientów. Tworzyło to w sklepie zgoła niecodzienny nastrój. Nawet dzwonek u drzwi był dziś weselszy.

Reba była zadowolona z panującego tu gwaru. Dzień wcześniej przyjechała Didi i po niemal całej dobie spędzonej razem z nią w małym mieszkaniu Reba pragnęła jakiejś odmiany. Chciała też uniknąć jakiegokolwiek okazji, która by sprowokowała jej siostrę do zadawania pytań. Już miała jedną próbkę tego ranka.

W rzadko używanej szufladzie w kuchni Didi znalazła zdjęcie Rikiego i Reby w Mundy's Gap w Górach Franklina.

– Z kim tutaj jesteś? – zapytała.

Reba nie skłamała.

– To Riki Chavez. Pracuje w straży granicznej.

Didi kiwnęła głową, wrzuciła fotkę z powrotem i dalej szukała filtrów do kawy. Ale cała ta sprawa zdenerwowała Rebę. Nie była jeszcze gotowa na rozmowy o Rikim. Wiedziała, że siostra wpadnie w furję z powodu ukrywanego narzeczeństwa, nawet jeśli zostało zawieszono. Tak jak powiedział Riki, robią sobie przerwę na podjęcie decyzji. Wciąż miała pierścionek. Było to zbyt skomplikowane, żeby w tej chwili o tym rozmawiać. Sama nie mogła o tym myśleć, bo zaraz dostawała bólu głowy.

Gdy Didi penetrowała łazienkę w poszukiwaniu zapasu papieru toaletowego, napięcie stało się nie do zniesienia. Na pewno w zakamarkach łazienkowych szuflad zostało jeszcze coś, co należy do Rikiego, jakiś nożyk do golenia, dezodorant Old Spice czy prezerwatywa.

– Chcesz coś na lunch? – Reba zawołała do siostry na górze, starając się zachować beztroski ton. – Znam tę niemiecką piekarnię. To moje znajome. Mają najlepszy chleb na kanapki w całym mieście.

Didi skwapliwie się zgodziła, mając za sobą śniadanie składające się ze zleżałych owocowych chrupków śniadaniowych. Była to jedyna zawartość szafki w kuchni, do której nie potrzeba było otwieracza do puszek. Przed wizytą Didi Reba usunęła wszelkie przeterminowane produkty żywnościowe, ale zapomniała je zastąpić nowymi zapasami. Co gorsza, Didi musiała jeść te chrupki bez mleka. Reba wypila całe przed jej przyjazdem.

– Kto to jest? – zapytała Didi, pokazując na Jane za kasą.

– Jane. Jej matka Elsie jest właścicielką. Ostra jak żyłeta. Ma siedemdziesiąt dziewięć lat,

a wciąż pracuje dzień w dzień.

Didi zrobiła okrągłe oczy i pokręciła głową.

– Boże, jestem pod wrażeniem.

Usiadły i położyły na stoliku kupione na wynos pudełka z krojonym w plastry indykiem i serem szwajcarskim.

– Gdy ja będę w tym wieku – stwierdziła Didi – będę spała do południa i ubrana w jedwabną piżamę jadła wyłącznie pączki Krispy Kreme. Za nic będę miała swoją figurę czy modę. Będę szaloną starszą panią i będę kochała każdą minutę życia.

Reba roześmiała się. Pomimo wszystko uwielbiała swoją siostrę. Ona miała takie szczególne podejście do życia.

– Każdy bochenek jest świeży, upieczony rano – powiedziała Reba. – Mają też naprawdę dobre ciasta. Musimy zapytać Jane, co nam poleca na deser.

– Wygląda na zajęta.

– Zaraz się tu rozluźni. – Reba spojrzała na zegarek. – To klientela lunchowa.

– Musisz tu często przychodzić.

– Parę razy w tygodniu. – Reba wzruszyła ramionami. – Jane i Elsie stały się dla mnie jakby minirodziną.

– Naprawdę? – Didi uniosła wysoko brwi. – Nigdy o nich nie wspominałaś, ale przy tak rzadkich twoich telefonach i e-mailach nie jestem zaskoczona. Wiem, jesteś dużą dziewczynką, ale mama się martwi.

– Byłam superzajęta. Praca, praca, praca. – Reba machnęła ręką. – Poza tym mogłabym tylko ściągnąć na siebie wymówki, że przesiaduję w niemieckiej piekarni z kobietami dwa i trzy razy ode mnie starszymi. Daj spokój, Didi! – Zaśmiała się trochę zbyt głośno.

Didi uśmiechnęła się niepewnie, po czym skierowała uwagę na pojemniki z pieczywem.

– Czy oni robią pumpernikiel? Całe lata nie jadłam dobrego pumpernika. Ten ze sklepu spożywczego smakuje jak tektura.

Reba odetchnęła z nieskrywaną ulgą.

Zdecydowały się na mały bochenek pumpernika, ale zanim podeszły do lady, poczekały, aż kolejka się zmniejszy.

– Cześć, panienko! – powitała ją Jane. – Przepraszam, ale nie miałam wolnej chwili. Czy to jest Didi?

– Owszem. – Didi uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę.

Jane uścisnęła ją z entuzjazmem.

– Miło mi cię poznać. Reba już od paru tygodni mówiła, że przyjedziesz z wizytą. Lubię znać środowisko rodzinne moich przyjaciół. Dużo mi o nich mówi. – Pokazała ręką na zaplecze kuchenne. – Ale nie wiem, co moje środowisko mówi o mnie! – Roześmiała się, aż podskoczył pompon jej czerwonej czapki. – No więc, co podać?

– Przyniosłyśmy mięso i ser na kanapki. Może położymy je na pumperniku.

Jane odwróciła się do chlebów i wyjęła z półki gruby, czarny bochenek.

– Zawsze dobrej jakości. Mama upiekła go dzisiaj. Pozwólcie, że pójde do kuchni i ładnie wam pokroję.

Wyszła na zaplecze. W sklepie zaczęli grać *Walking in a Winter Wonderland*.

– Ej, to twoja ulubiona – odezwała się Didi, trącając Rebę łokciem i nucąc: – ...*say are you married, hmm-hmm, no man...*

Tak, to była jej ulubiona, ale w tym momencie wprawiała ją w zakłopotanie. Zastanawiała się, czy to nie jakieś ponadzmysłowe sztuczki rodziny Adamsów.

Jane wróciła z pokrojonym chlebem.

– Więc ty też pochodzisz z Wirginii, tak?

– Jasne. Prawie cała nasza rodzina mieszka tam od zawsze. Reba jest jedną z nielicznych, którzy spakowali się i opuścili stan. – Didi odchyliła się ku Rebie. – Tęsknimy za nią.

– Wyobrażam sobie. – Jane podała Rebie chleb. – Mama zostawiła swoich w Niemczech. Moi dziadkowie zmarli, gdy byłam jeszcze w pieluszkach, ale chyba mam tam jeszcze jakichś kuzynów. Rozumiem mamę, że przeniosła się do Stanów, ale czasem chciałabym mieć możliwość poznania swoich krewnych. Na pewno za nią tęsknili.

– Wypłacz jezioro łez – odezwała się Elsie z drzwi do kuchni i klasnęła w dłonie, wzbijając w powietrze chmurę mąki.

– Morze, mammo, morze – poprawiła Jane.

Elsie nie zwróciła na nią uwagi.

– Nie opowiadaj sentymentalnych kawałków z mojego życia. Mamy ich pod dostatkiem na tym głupim kanale Lifetime. Oglądasz to? Nic tylko płaczą, umierają i piętnastolatki w ciąży.

– Prychnęła, machając ręką. – I to nazywają dziś rozrywką!

Didi chrząknęła, maskując śmiech.

– W moich czasach mieliśmy Bogarta i Hayworth, i filmy, które wносиły coś więcej niż zasmarkaną chusteczkę. – Pewnie jesteś siostrą Reby, Didi.

– A pani to pewnie Elsie, przyjaciółka Reby – odwzajemniła się Didi.

– Stara przyjaciółka. – I wskazując na chleb w ręku Reby, dodała: – Według przepisu mojego taty. Często go piekł w czasie wojny. Łatwiej było dostać żyto niż białą mąkę. Wiesz, co znaczy *pumpernickel*?

– Mammo... – zaczęła Jane.

– Diabli pierd – powiedziała Elsie.

Didi roześmiała się, najpierw nieśmiało, a potem na cały głos. Jej śmiech udzielił się Rebie. Jane wywróciła oczami.

– Przepraszam... zawsze jej się coś wyrwie.

– Nie przepraszaj za mnie – skarciła ją Elsie. – Wątpię, żeby rodzina Reby tak łatwo się obrażała.

– Ależ skąd! – zapewniła ją Didi. – Rozumiem teraz, dlaczego Reba lubi z panią spędzać czas.

– Tak jest. To nie ma żadnego związku z moją piekarnią. Przychodzi dla mojego wulgarnego towarzystwa. – Elsie mrugnęła do Reby.

– Dokładnie tak. Rozpracowałaś mnie – potwierdziła Reba i zaniósła chleb do stolika. – Czy panie już jadły lunch? Sporo tego mamy.

– Dzięki, ja już coś wcześniej przekąsiłam – oznajmiła Jane. Tymczasem wszedł następny klient. – Czym mogę służyć?

Elsie weszła między Didi i Rebę, biorąc je pod ramiona.

– Mam dwadzieścia minut do upieczenia się bułek. Jaki macie ser?

– Szwajcarski – odparła Didi.

– *Ach, ja!* – ucieszyła się Elsie. – Mam dobrych znajomych Szwajcarów. Bardzo *gut*.

Wszystkie trzy usiadły i zaczęły robić kanapki. Reba porozkładała kromki chleba, Didi nałożyła na nie plastry indyka, a Elsie ser.

– Aha – powiedziała Didi, oceniając trzy górki kanapek. – Dla Reby bez sera.

Już sięgała, żeby zdjąć plasterka sera, lecz Elsie ją powstrzymała.

– Nie trzeba! Dziewczyna wreszcie odzyskała rozum. Poza tym do pumpernickla najlepszy jest ser. Dodaje słodkiego smaku do goryczy chleba.

Didi uniosła głowę. Reba pospiesznie przytaknęła i złożyła kromki.

– Kanapki gotowe! – Rozdała je swym towarzyszkom.
– Ona jest teraz, jak to się mówi?... diwą nabią. – Elsie wzięła swoją kanapkę i ścisnęła mocno obie kromki, żeby mięso i ser trzymały się razem.

Didi skrzyżowała ramiona.

– Naprawdę?

– Umieram z głodu! – Reba włożyła kanapkę do ust.

Elsie kiwnęła głową.

– Nabią mocna rzecz. Mówią, że zmienia hormony. Widziałam w telewizji w programie naukowym o zdrowiu. – Ugryzła kawałek i mówiła dalej: – Badania wykazały, że kobiety z zespołem napięcia przedmiesiączkowego miały mniej ataków nerwowych, depresji, huśtawek nastrojów i ogólnie lepsze samopoczucie, gdy jadły więcej nabią. Lekarze udokumentowali. – Przełknęła. – A ja wierzę w naukę. Reba jest przykładem. Zaczęła jeść nabią i w głowie jej się tak rozjaśniło, że mogła wreszcie podjąć decyzję co do tego narzeczonego.

Reba zamknęła oczy.

– *Um Gottes willen!* Bo i był już czas. – Elsie wgryzła się w pumpernikiel.

*

– Nie mogę uwierzyć, że musiałam się dowiedzieć o zaręczynach swojej siostry od siedemdziesięciodziewięcioletniej Niemki, którą poznałam niecałe dziesięć mi-nut wcześniej! Nie do wiary! – Didi krążyła po kuchni Reby.

Reba siedziała przy stole i patrzyła, jak za oknem księżyc wznosi się powoli zza krawędzi gór, i marzyła, żeby być teraz na nim.

– To ten chłopak, prawda? – Didi pokazała na szufladę. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to twój narzeczony?

– Eks... – wyjaśniła Reba.

– No to nawet. Zgodziłaś się wyjść za kogoś i nie zadałaś sobie trudu, żeby powiedzieć rodzinie... powiedzieć mnie!?! – Dramatycznym gestem uderzyła się dłonią w piersi. – Swojej siostrze!?

Reba czyściła ciemną obwódkę od pumpernika za paznokciem kciuka. Didi nabrała powietrza.

– Jesteś w ciąży?

Reba gwałtownie uniosła głowę.

– Boże, nie. Didi, to nie jest program Jerry’ego Springera.

– No próbuję wytłumaczyć sobie, dlaczego coś takiego zrobiłaś. – Przyłożyła obie dłonie do skroni, naciskając punkty akupresury i mrużąc oczy, aż zrobiły się jak szparki.

– Wiedziałam, że nie zrozumiesz – mruknęła Reba. – Dlatego ci nic nie mówię.

Didi usiadła obok niej, podpierając pięścią policzek.

– Co tu jest do rozumienia? Wystarczy powiedzieć, że się zakochałaś, i rozumiem. Ale ty nie powiedziałaś ani słowa! – Spojrzała na Rebę wyczekująco. – Kochasz tego chłopaka?

Reba ukryła nos w złożonych dłoniach. Pachniały jeszcze szwajcarskim serem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. To było skomplikowane. Kochała Rikiego, ale może niewystarczająco. To było jak z sernikiem. Myślała, że go uwielbia, ale może tylko dlatego, że przyrzekła sobie go nie jeść. Teraz, gdy już mogła go jeść otwarcie, czy nie powinna też spróbować wszystkiego, co traciła: bułek z cheddarem i ciastek z kremem, hamburgerów i sataya z wołowiną, naleśników na maślanec, siekanej peklowanej wołowiny smażonej z ziemniakami, a wszystko to polane bitą śmietaną? Świat należał do jej podniebienia. Jak więc mogła wrócić do pogryzania starego, znanego sernika, nawet jeśli za nim szalała, nawet jeśli była to jej najbardziej ulubiona potrawa na świecie? I co zrobić, żeby Didi to rozumiała?

Zasłoniła dłońmi całą twarz i wyszeptała przez palce:

– On jest jak sernik.

– Jak... co? Sernik? – Didi prychnęła z irytacją. – A to druga sprawa. Myślałam, że nie jadasz takich rzeczy. Na Boga, przecież to ty mnie zmusiłaś, żeby adoptować krowę!

Reba jęknęła. To było za dużo naraz. Schowała głowę w złożonych ramionach, tak jak to robiła na przerwach w pierwszej klasie.

– Reba, porozmawiaj ze mną. – Didi znajomym gestem położyła rękę na jej plecach.

W kryjówce z własnych ramion Reba czuła spokój i ciszę. Słyszała tylko swój równy oddech. Ale musiała od czegoś zacząć.

– Teraz jem nabiał.

– To dobrze. Mama będzie zadowolona. Cierpiała, że nie jesz jej placuszków z serem.

Wiesz przecież, że zna trochę przepisów, które uważa za cenne, a we wszystkich jest śmietana, ser lub kawał wołowiny. – Didi ściszyła głos. – No to jak poznałaś Rikiego?

Reba uniosła brodę i oparła ją na przedramionach.

– Pisałam artykuł o przygranicznej imigracji. Robiłam z nim wywiad na posterunku, gdzie pracuje. Był tak inny od chłopaków, których znałam w domu. Nosił buty kowbojskie i stetsona, ale nie dlatego, że tak było w katalogu „J. Crew”. Naprawdę bywały ubrudzone błotem i końskim łajnem.

Didi zaśmiała się, a Reba jej zawtórowała.

– I traktował mnie, jakbym była... kimś wyjątkowym, bo pochodzę ze Wschodniego Wybrzeża i tyle podróżowałam. Nie mógł uwierzyć, że wystarczyło nam jechać dwie godziny, żeby się znaleźć nad wodą, i to kiedy tylko chcemy. Fascynowały go moje zdjęcia z plaży w Sandbridge, a mało kto bywa pod wrażeniem geriatrycznego splendoru Sandbridge! Ale on całe swoje życie spędził tutaj. W środku łądu, na pustyni. Nigdy nie był nad oceanem. Wyobrażasz sobie?

Didi pokręciła głową.

– Ale przede wszystkim tak bardzo mnie kochał. Nigdy nie byłam tak kochana. Tak mocno, wiesz?

– Nie wiem. Nawet nie chcę liczyć, z ilu koszmarnymi mężczyznami się spotykałam. Gdybyś jeszcze nie wiedziała, wszędzie jest mnóstwo świrów szukających ładnej buzi i bara-bara. – Westchnienie Didi było pełne gniewu. – Prawdę mówiąc, zazdroścę ci.

Reba usiadła prosto.

– Nie zazdrość! To jest absolutnie straszne.

– Tym gorzej. Już jestem zielona z zazdrości. Widziałam zdjęcie. Gorący chłopak. – Didi uśmiechnęła się znacząco. – Dlatego zachodzę w głowę, czemu nic nie wspomniałaś, że ci się oświadczył. Wstydziałaś się?

– Nie, nie wstydziałam. – Reba zapatrzyła się na księżyc w pełni, stojący już wysoko nad skalistym szczytem górskim. – Nie byłam pewna. Nie chciałam nikomu mówić, dopóki tego nie odwzajemnię, też nie poczuję takiej wielkiej miłości.

Reba wyciągnęła schowany pod bluzką pierścionek i pomachała nim.

– Piękny – powiedziała Didi.

– Nigdy go nie nosiłam.

– Do licha, dlaczego? Gdybym ja miała taki diament, szpanowałabym nim po całym mieście.

– Jakoś mi nigdy nie pasował – wyjaśniła Reba.

Didi kiwnęła głową.

– I dlatego się wycofałaś?

– Chyba tak. Nie zerwaliśmy oficjalnie. Pokłóciliśmy się i on się wyprowadził. Nie odzywa się od ponad miesiąca. – Poczowała ucisk w gardle i pieczenie w oczach.

– Tak jest łatwiej, co? – zauważyła Didi.

Reba odwróciła się, żeby ukryć zbierające się w oczach łzy. Nie mogła ich powstrzymać.

– Próbujesz czasem do niego dzwonić?

Reba wzruszyła ramionami. Ileż razy zaczynała wybierać numer i nie kończyła... Modliła się, żeby zadzwonił, ale nie dzwonił, więc i ona nie dzwoniła. Dni zamieniały się w tygodnie milczenia. Tęskniła za nim, bardziej niż kiedykolwiek przypuszczała.

Didi pogłaskała Rebę po grzbiecie dłoni, od nadgarstka aż po czubki palców.

– Pamiętasz, co mama mówiła nam, gdy byliśmy małe? Jeśli kogoś naprawdę kochasz, pójdziesz za nim na koniec świata, oddasz wszystko, co masz, nawet życie. Co nie znaczy, żeby sobie podcinać żyły dla jakiegoś dupka tylko dlatego, że ci mocniej zabiło serce. – Przerwała.

Reba wiedziała, że obie myślą o tym samym: mama właśnie tak zrobiła. Oczywiście nie w sensie dosłownym, ale przez całe swoje życie patrzyły, jak się wykrwawia, jak dzień po dniu umiera, żeby na zewnątrz utrzymać reputację rodziny, a wewnątrz pozory normalności. Mama próbowała ukrywać przykre prawdy przed wszystkimi, nawet przed sobą, ale one wiedziały. Zawsze wiedziały.

– Chodzi mi o to, że jeśli się z kimś bierze ślub, trzeba wiedzieć na pewno, w co się człowiek pakuje.

No właśnie, i oto zastarzała drzazga wyszła na powierzchnię. Reba była już zmęczona jej kluciem. Chciała ją wyjąć bez względu na skutki.

– Czy uważasz, że mama wiedziała, w co się pakuje, wychodząc za tatę? – spytała.

Didi zamrużyła oczami raz i drugi. Skrzywiła prawy kącik ust. To był dla nich obu bolesny temat.

– Tata miał za dobre serce. Wojna je rozdarła i nikt nie mógł go zeszyć, ani my, ani mama. – Westchnęła. – Myślę, że i na coś takiego trzeba być gotowym: że osoba, którą kochasz, odejdzie od ciebie, czy to duchem, czy ciałem. Śmierć przychodzi w różnym przebraniu.

– Głodny wilk! – szepnęła Reba.

Didi przeczesła ręką grzywkę i mówiła dalej:

– Nigdy, nawet przez chwilę, nie wątpiłam, że mama go kochała. Cokolwiek innego się zdarzało, tego nie udawali.

Reba nie kwestionowała więzi pomiędzy mamą i tatą. Pamiętała, co razem przeżyli. Pamiętała dobre dni taty. Jak spacerowali we dwoje po lesie za domem. Mama wachlowała się liściem klonu wielkim jak łapa niedźwiedzia, a tata obejmował ją w pasie. Sposób, w jaki mama patrzyła na niego przy obiedzie, jakby jego śmiech był dla niej muzyką. Uśmiech mamy, gdy przynosił do domu bukiety jasnych słoneczników. Gdy Reba po raz pierwszy przyjechała do El Paso, wydało jej się niestosowne, że słoneczniki rosną na dziko na obrzeżach pól lucerny. Jak chwasty. Zastanawiała się, czy w innych częściach świata takie samo podwójne życie mogą mieć róże.

– Może nie, ale było diabelnie dużo innych udawanych rzeczy. Mama zasługuje na Oscara. – Reba przygryzła dolną wargę, która zaczynała drżeć. – Kiedy myślę o naszym dzieciństwie, nie wiem, co było prawdziwe, a co nie. Czasem mam uczucie, że mózg mi się zwichrował. Wtedy rozumiem, co musiał czuć tata.

Didi poprawiła się na krześle.

– Tata... miał dość trudno.

– Dość trudno? – Reba się zaśmiała. – Boże, Didi, mówisz to tak, jakby chodziło o zły

dzień! – Wszystkie lata rozżalenia zgromadziły się w niej jak stos drewna, które Didi właśnie podpałała. – Zawsze tak robiłaś. Gdy wyjechałaś do internatu, udawałaś, że w domu jest wszystko w najlepszym porządku, no a nie było. I to bardzo nie było. Tata był w poważnej depresji. Znalazłam dokumenty o jego chorobie. Miał terapię elektrowstrząsami. Wiesz, co to jest? – Przyłożyła sobie czubek palca do skroni. – Przepuszczanie prądu przez mózg. Nie wiem, co uważasz za dość trudne, ale ja bym powiedziała, że to było coś więcej. I to, co robił w Wietnamie, Didi. Straszne rzeczy. Czytałam jedną notatkę terapeuty. W nim tkwiła druga, całkiem inna osoba, której nigdy nie znałyśmy. – Jej usta nie nadążały mówić tego, co w pośpiechu odtwarzał umysł. – Pamiętasz... pamiętasz, jak ci mówiłam, że uderzył mamę? Powiedziałaś, że to mi się śniło. Sen! To ty śniłaś! Udając, że nasz dom był normalny, podczas gdy tata wyraźnie potrzebował pomocy i nie znajdował jej wcale w butelce whisky. Ale nie, wszystkim pasowało albo coś udawać, albo uciec. W sumie cieszę się, że tobie się udało stamtąd wyjechać i żyć w twoim idealnym szkolnym świecie, ale w domu nie działało się dobrze. I wcale nie trzeba było być jakimś specjalnym mózgowcem, żeby się tego domyślić. Ty wiedziałaś, na pewno wiedziałaś! – Twarz ją paliła. – On się zabił, Didi! – Stłumiła łkanie. – Gdy wróciłam ze szkoły, mama już zdążyła przeciąć linę. Dzwoniła na policję. Nie było cię, nie widziałaś. A najgorsze było to, że on wcale nie wyglądał na nieżywego. Wyglądał tak jak zawsze po pijaku. – Nigdy dotąd nie rozmawiała o tamtym dniu. Czowała, jakby wewnątrz niej nagle zapłonęło ognisko i strzeliło płomieniami do nieba. – Gdy przyjechała karetka i powiedzieli, że on nie żyje... – zasłoniła oczy dłonią – ...poczułam ulgę. Ulgę, Didi! Tak bardzo go kochałam, ale też bardzo się go bałam. Jak to możliwe, nie da się kochać tego, czego się człowiek boi?

Po policzkach Didi lzy płynęły strumieniami, ale Reba nie mogła płakać. Zbyt wielki był płomień, który palił ją wewnątrz.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – ciągnęła. – To mnie nadal przeraża, bo wciąż czuję w sobie tak dużo z taty.

– Ach, Rebo. – Didi ujęła dłońmi obie dłonie Reby. – Tak mi przykro.

Spojrzały sobie w oczy jak siostra siostrze. Puls Reby zaczął się powoli uspokajać.

– Nie chciałam cię zostawiać – mówiła Didi, przygryzając wargi. – Ale musiałam stamtąd wyjechać. Chciałam się uwolnić od tego smutku. Czulałam taki lęk i taką beznadziejność.

Reba poczuła w sercu przebłysk zrozumienia.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiałaś?

– Byłaś małą dziewczynką. – Didi westchnęła. – Myślałam, że pomagam ci, ukrywając to przed tobą. Zawsze gdy tata zaczynał walczyć z tymi swoimi lękami i demonami, ty się tak przejmowałaś. Nie chciałam, żebyś się martwiła jeszcze bardziej. Chciałam, byś myślała, że wszystko jest okej, a potem mnie to wszystko przerosło. Musiałam się z tego wyrwać... żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Chciałam też uchronić ciebie od patrzenia na mój ból.

– A mama? On ją krzywdził.

– Mama rozumiała tatę lepiej niż którakolwiek z nas. – Didi wytarła palcami ściekający jej z oczu tusz, rozmazując go po twarzy. – Studiowanie prawa nauczyło mnie, że pomimo wszystkich faktów, jakie są dla nas oczywiste, prawda może być straszliwie trudna do pojęcia. Upływ czasu i nasze człowieczeństwo, to, jak każdy z nas by tego doświadczył, potrafią ją zagmatwać.

– Prawda to prawda – wyszeptała Reba.

– I tak, i nie – stwierdziła Didi. – Codziennie idę do sali sądowej, niosąc swoją prawdę, i nigdy nie przestaje mnie to zadziwiać, że adwokat drugiej strony robi to samo. Więc kto ma rację? – Wzruszyła ramionami. – Cieszę się, że nie jestem sędzią.

– Twierdzisz więc, że akceptujemy anarchię? Opuszczamy ręce bezradnie i pozostajemy

w uludzie? Zobacz, ile dobrego zrobiło to dla naszego taty.

– Nie – odparła Didi. – To znaczy, że pozwalamy, by sędzią był Bóg. To zbyt wielkie zadanie dla ciebie czy dla mnie. Musimy przestać się bać cieni i uświadomić sobie, że świat składa się z odcieni szarości, ze światła i ciem-ności. Nie ma jednego bez drugiego. – Didi znów ujęła dłonie Reby. – Tata źle robił, osądzając swoją przeszłość nazbyt surowo i za tamto potępiając również swoją teraźniejszość. Żadna z nas nie mogła nic dla niego zrobić prócz kochania go najlepiej, jak umiała. Nie można zmusić nikogo do wierzenia w naszą prawdę ani nie można na nikim wymusić, by sobie wybaczył. Odpowiadamy wyłącznie za siebie. – Didi przyciągnęła Rebę do siebie. – Przepraszam, że nie było mnie tam wtedy, kiedy mnie potrzebowałaś. Przepraszam, że dopiero teraz, po tak długim czasie, rozmawiamy o śmierci taty.

Reba przytuliła się do niej.

– Ja też przepraszam.

I po raz pierwszy od bardzo dawna siostry poczuły, że nie mają do siebie żadnych pretensji. Rebę ogarnął spokój, za jakim tęskniła przez całe życie.

– Didi. – Odprężyła się i położyła głowę na ramieniu siostry. – Ja nie chcę być taka jak tata.

Didi oparła swoją głowę na głowie siostry.

– Jego największym błędem było to, że nie widział, jak bardzo go kochamy.

Reba pomyślała o Rikim i poczuła ból w środku klatki piersiowej.

– Riki jest najprawdziwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam... I naprawdę kocham sernik.

– Aa, sernik – szepnęła Didi, kiwając głową. – No a może on nie jest sernikiem. Może jest mleczarzem.

Obejmujące się siostry zaczęły chichotać.

– Nigdy nie rozumiałam tej twojej fazy „bez nabiału”. To po prostu do ciebie nie pasowało. – Didi pocałowała Rebę w czoło.

– Usiłowałam być kimś, kim nie jestem – przyznała Reba z uśmiechem i poczuła się wolna od kłamstwa.

Prawda jest lekka jak obłok.

Rozdział 27

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
23 marca 1945 r.

Słońce dawało światło tak słabe jak herbatka rumiankowa zaparzona przez Mutti z niedojrzałych pączków zebranych tego rana. O świcie przeszła burza, która sprawiła, że pochyłały się na szypułkach niczym główki skarconych dzieci w szkole. Teraz wiał zimny i wilgotny wiatr, niosąc ze sobą zapach dżdżownic wijących się pod uspionymi jeszcze pędami truskawek. Nieważne ile by włożyła chust i jak szybko by się owijała, Elsie czuła na karku chłód niczym dotyk zimnego metalu. Tłum klientów jak zwykle uformował już kolejkę, by nakarmić brzuchy do nowego dnia pracy. Sklep wypełniał zapach chleba i szeptana wiadomość o klęsce Niemiec.

Elsie wrzucała czerstwe bułki i bochenki do płóciennych toreb lub owijała w papier, w zamian przyjmując monety, ale też różne błyskotki, a nawet obietnice zapłaty. Mieli już mało wszystkiego. Pojemnik z bułkami był prawie pusty, a Frau Rattelmüller nie przyszła po swe zwykłe zakupy.

– Zapłaciłem za trzy, a dostałem dwie – upomniał się mężczyzna w sztywnym kapeluszu z rondem, pokazując palcem na bułki w brązowym papierze.

– Przepraszam. – Elsie dodała jeszcze jedną i wyszedł, posapując i mrużąc pod nosem, gdy szczerlnie owijał gardło szalikiem.

Następny klient o coś poprosił, ale nie usłyszała. Nieobecność Frau Rattelmüller wybiła ją z rytmu. Była niespokojna. Jej myśli krążyły pomiędzy sklepowym młynem klientów a drzwiami domu Frau na końcu ulicy. Zastanawiała się, co ją zatrzymało.

W powietrzu wisiała zmiana pory roku, ale tak jakby nadchodziła nie tylko wiosna. Gestapo z przewieszonymi przez ramię karabinami patrolowało ulice w dzień i w nocy. Przeciekały wieści, że siły aliantów są już nad Renem i lada dzień go przekroczą. Volksempfänger^[6] przekazywał, że Amerykanie, Brytyjczycy i Rosjanie przyjdą gwałcić i mordować, lecz Elsie zastanawiała się, czy mogą być jeszcze gorsi od własnych żołnierzy. Od czasu zamordowania Achima Thalberga jeszcze wielu ludzi zostało poddanych kwarantannie, aresztowanych lub po prostu zastrzelonych. Ukrywanie Tobiasa pod ich dachem dawało powód do zabicia na miejscu jej i całej rodziny, a mając jeszcze na dole Juliusa, musiała co dzień wkładać dużo wysiłku w to, by utrzymać tajemnicę.

Na początku Mutti zaproponowała, by Julius dzielił pokój z Elsie. Już sama propozycja wywołała u chłopca pierwszy atak furii – podobne, jak się wkrótce przekonali, pojawiały się u niego regularnie. Odmawiał spania nawet w pobliżu osoby przeciwnej płci i jeżył się na każdy objaw uczucia okazywany sobie nawzajem przez rodziców, czy gdy trzymali się za ręce, czy gdy całowali się w policzek. Było to zaskakujące, zważywszy na kochającą naturę Hazel. Mutti go tłumaczyła, mówiąc:

– Został wychowany według najwyższych zasad moralnych Rzeszy. Może my wszyscy potrzebujemy lekcji moralności.

Papa pokiwał głową, ale zmarszczył brwi.

Chcąc udobruchać Juliusa, Mutti uszyła siennik ze starych obrusów i wypchała go słomą. Usunęła kilka rzeczy pozostałych jeszcze w kuchennej spiżarni. Tam miała być jego sypialnia.

Nie był zachwycony, ale zaakceptował, jako że było to jedyne wolne miejsce w domu. Nadąsany i poirytowany swym nowym otoczeniem spędzał tam większość dni, ustawiając swoje żołnierzyki na deskach podłogi pełnych wgłębień z kawałkami darni. Był jak stare kwaśne mleko, zgorzkniały od ogromnego smutku, którego nikt nie mógł zmniejszyć.

Elsie nie winiła go całkowicie. Nie znał ich. Hazel przeniosła się do Steinhöring, będąc jeszcze w ciąży, a oni odwiedzili go tylko tuż po urodzeniu. Jego rodziną był Ośrodek. Nieustannie opowiadał o swoich instruktorach, o wpajanych tam zwyczajach i o tym, jak bardzo nienawidzi cudzoziemców. Nikt nie ośmielił się tego wszystkiego kwestionować, ale takie brutalne słowa z ust siedmiolatka sprawiały im przykrość. Julius wiedział wszystko na temat władzy i dyscypliny, ale nic o rodzinie i współczuciu.

Choć byli w podobnym wieku i urodziwi, Julius i Tobias różnili się od siebie jak dzień i noc. Julius był jak głaz – nie okazał emocji nawet wówczas, gdy Mutti pokazała mu zdjęcia jego matki, Hazel, ani gdy go pogłaskała po policzku. Nie okazał nawet cienia odwzajemnianego uczucia czy choćby wdzięczności. Nie chciał nosić swetrów zrobionych na drutach przez Mutti, twierdząc, że wełna pachnie owczym łajnem, tak samo jak siennik, na którym sypia. Chyba jedyną przyjemnością sprawiało mu jedzenie, choć krytykował wszystko, co mu dawano. Wzdrygał się przed jedzeniem warzyw i utyskiwał, że szpecle smakują jak sznurowadła, choć były zrobione z mąki i jajek w proszku od jego ukochanego SS. Nic nie było dla niego w porządku ani dostatecznie dobre.

Mimo to Mutti świata poza nim nie widziała. Natomiast Papa zachowywał rezerwę. Elsie go dobrze znała. Nie pochwalał tego, że chłopiec wynosi się ponad swoją piekarską rodzinę. Był przecież synem jego córki, z jego krwi. Toteż zaraz w pierwszym tygodniu kazał mu wziąć się do pracy. Julius jęczał i narzekał przy każdej partii bułek i ciast. Wnosił do kuchni jakąś przykrą gorycz, aż zaczęli się obawiać, że przejdzie ona do chleba. Po tygodniu Mutti poprosiła Papę, żeby go zwolnił, a potem chłopiec spędzał już całe dni, bawiąc się w wojnę w kuchennej spiżarni.

Przed świtem, zanim Papa rozgrzał piec, podczas gdy Mutti zajmowała się sprawami Juliusa, Elsie często miała całą górę dla siebie, co dawało jej czas na obsłużenie Tobiasa. Potem musiała dołączyć do ojca w kuchni.

Po jej wcześniejszych opisach Juliusa Tobias był ciekaw nowo przybyłego siostrzeńca Elsie. Jednak była trochę zaskoczona, gdy pewnego ranka szepnął:

– Nasłuchiwałem jego śpiewu.

Elsie chciała mu szybko dać wełniane skarpetki, które Mutti udzięgała dla Juliusa, a ten rzucił je na podłogę, bo go gryzły. Nigdy by ich nie nosił, a Mutti znów czułaby się dotknięta odrzuceniem prezentu. Elsie doszła do wniosku, że najlepiej będzie, gdy skorzysta z nich Tobias.

– Przyłożyłem ucho do podłogi, ale usłyszałem tylko szcęk naczyń i rozmowy klientów – ciągnął Tobias, gdy Elsie podciągała mu skarpety do kolan. – Jakie piosenki on ci śpiewa?

– Śpiewa? Kto?

– Julius. Mówiłaś, że on śpiewa. Ja nie mogę śpiewać, więc pomyślałem, że mogę posłuchać jego – mówił, trzepocząc rękami.

Elsie dała mu śniadanie, które przyniosła jej Mutti: nieforemny precel owinięty w muślinową serwetkę.

– Jeszcze nie miał okazji – powiedziała i naciągnęła mu szlafmycę na uszy, żeby się nie przeziębził. – Teraz jedz.

Tobias kiwnął głową.

– Ja też dawno nie śpiewałem, tak naprawdę. Oficerowie kazali mi śpiewać, ale ich pieśni nie są takie piękne. Nie tak jak te, które pisał mój ojciec, a my z mamą i siostrą razem śpiewaliśmy. – Położył serwetkę na podółku. – Czasem martwię się, że je zapomnę. Czasem boję

się, że już nie mam głosu.

Elsie spojrzała i pogładziła go po głowie.

– Ja nigdy nie zapomnę twojego głosu – pocieszyła go. – I ty go na pewno nie straciłeś. Jest w tobie i będzie zawsze. Wierz mi.

Przytaknął i wczłogał się z powrotem do legowiska z koców w swej małej życiowej przestrzeni, dzielonej z rzeczami Hazel. Tomik poezji Frosta leżał otwarty na wierszu *Próba przez istnienie*.

– To piękny wiersz – zauważyła Elsie. – „Opowieść o małościach świata tam w niebie brzmi szlachetniej zgoła, więc umysł pędzi, serce kołata i gromki okrzyk śmiałka woła” – wyrecytowała z pamięci.

– „Na końcu zawsze Bóg obwieszcza” – szeptał Tobias, gdy Elsie z powrotem zakładała deskę.

*

Papa był zadowolony z sukcesu Elsie podczas ich wyjazdu do Steinhöring i powierzył jej jeszcze więcej rodzinnych przepisów. Elsie lubiła swoje nowe obowiązki w kuchni i przyzwyczała się do witania Frau Rattelmüller w drzwiach kuchennych każdego ranka. Trwało to już od tak dawna, a mamie i tacie nie przeszkadzało. Jej codzienne zakupy były swego rodzaju milczącym kodem. Tuzin bułek oznaczał, że wszystko jest w porządku. Jej dzisiejsza nieobecność oznaczała kłopoty.

Kolejka klientów zmalała, co Elsie przyjęła z wdzięcznością. Chleby Papy na zakwasie miały być wyjęte z pieca dopiero za trzydzieści minut.

Julius wyszedł ze spiżarki ze świeżo umytą twarzą i włosami noszącymi jeszcze ślady grzebienia. Mutti uprasowała mu spodnie i koszulę, tak jak robiono to w Ośrodku.

– Wyglądasz bardzo ładnie – pochwaliła Mutti. Wzięła go za rękę i potrząsnęła lekko za ramię. – Powiedz dzień dobry cioci Elsie.

Wzrok chłopca przeszył ją na wylot.

– Chciałbym na śniadanie pierniki.

– No co ty, nie powinienesz jeść na śniadanie słodczy. Nie pozwalali ci na to w Steinhöring, prawda?

– *Nein*. – Julius wywrócił oczami. – Mieliliśmy jajka na miękko i kielbasę, biały chleb ze świeżym masłem, dżem morelowy i owoce ze wszystkich zakątków imperium niemieckiego. Ale tego jakoś tutaj nie widzę. – Uwolnił dłoń z jej uścisku i skrzyżował ręce na piersiach.

Mutti pokiwała głową.

– *Doch*, nie widzisz. – Złożyła dłonie. – Elsie, daj Juliusowi piernika... i szklankę mleka.

Elsie nie miała czasu usługiwać rozpieszczonemu siostrzeńcowi. Wzięła ostatni piernik, duży domek czarownicy, który dekorował pojemnik z pieczywem od Bożego Narodzenia, złamała go na pół i podała Mutti.

– Elsie! – krzyknęła Mutti.

– Jest pumpernikiel z rodzynkami? – zapytała następna klientka, trzymająca na biodrze zakutane dziecko, które spało z otwartymi ustami, oparte policzkiem o jej mostek.

– Bez rodzynek. Sam pumpernikiel – odparła Elsie.

Kobieta poszperała w kieszeni i wyciągnęła z niej złoty krzyżyk od chrztu.

– To wszystko, co mam.

Elsie przyjrzała się młodej matce i zobaczyła jej wystające kości policzkowe oraz popielate wargi.

– Proszę zatrzymać. – Klepnęła ją w rękę i sięgnęła po ciemny bochenek.

Oczy kobiety zaślśniły łzami i pocałowała śpiące dziecko.

– Bardzo, bardzo dziękuję.
– Elsie, a mleko? – przypomniała Mutti.

Elsie prychnęła.

– Przepraszam, Mutti, ale musisz je przynieść sama. Jestem zajęta.

Poczuła na karku lodowaty wzrok Juliusa. Potem Mutti wyszła z nim, pewnie po mleko, lecz Elsie wiedziała, że nic nie znajdą. Już od tygodni nie mieli mleka. Papa zastępował je rozwodnioną śmietaną i serwatką, którą dostawał od producenta serów w zamian za pieczywo.

– Następny proszę! – zawołała Elsie i kolejna osoba podeszła do lady.

– Mogę z tobą zamienić słowo?

Z początku Elsie nie poznała, kim jest postać ubrana w wojskową pelerynę do kostek i czarny kapelusz z woalką. Frau Rattelmüller uniosła skraj woalki, ukazując ściągniętą twarz i podkrążone oczy. W kolejce za nią dał się słyszeć niecierpliwy pomruk.

– Za dwie minuty przyjdę pod stos drewna na tyłach – szepnęła Elsie, owinęła w papier cienki kawałek ciasta i wręczyła jej przez ladę.

– Dziękuję.

Frau Rattelmüller wzięła pakunek i wyszła.

– Mutti – zawołała Elsie – czy mogłabyś na chwilę stanąć za ladą? Zapomniałam przynieść drewna.

Nie była to całkiem nieprawda. Drewna było już niewiele.

Mutti wyszła z zaplecza i ukłoniła się następnemu klientowi.

– *Grüss Gott*, Herr Baumhauer.

Elsie wyszła do kuchni, przeszła obok Papy zagniatającego ciemny chleb i Juliusa na stołku leniwie żującego swój zaczarowany, kruchy piernik. Włożyła buty, zarzuciła na ramiona szal i wyszła na dwór. Był dżdżysty marcowy dzień.

Frau Rattelmüller czekała po drugiej stronie stosu. Elsie musiała się starać iść pewnym krokiem, w razie gdyby ktoś ją obserwował. Jeśli Frau na koniec zamierzała ją wydać, chciała przynajmniej wyglądać na niewinną. Może będą mieli litość dla biednej córki piekarza. Ale jeśli to Frau Rattelmüller została odkryta, to ich spotkanie postawi ją w roli współniczki. Zatrzymała się przed świeżo ułożonym na krzyż stosem drewna.

– *Ja?* – zapytała bardziej oschle niż leżało to w jej naturze. – O czym pani chce ze mną mówić?

Frau Rattelmüller wyczuła wrogość.

– Przyszłam sama i bez żadnych złych intencji – zapewniła. – Nie byłabym tutaj, gdybym miała inne wyjście. Opierała się ciężko na lasce. – Znam pewnych ludzi w obozie Dachau. Mówią, że naziści planują usunięcie stamtąd Żydów. Zbliżają się Amerykanie i Rosjanie. Planują wkrótce przetrząść Żydów na piechotę do Tegernsee.

– Teraz? – Deszcz zmienił się w ostre lodowe igielki, siekąc czoło i nos. – Zamarzną na śmierć.

– Zapewne jest to część planu, żeby oszczędzić amunicji żołnierzom w Berlinie.

– Ale Josef... – Serce Elsie biło coraz szybciej. – On jest w Dachau.

– *Ja.* – Frau Rattelmüller odwróciła twarz za woalką. – Jest jednym z oficerów nadzorujących.

– Nadzorujących marsz śmierci?

Josef nigdy z nią nie rozmawiał o swojej służbie. Zawsze przypuszczała, że ma to coś wspólnego z brygadą górską, a nie żydowskimi obozami. Od lat krążyły plotki o okrucieństwach w Dachau i masowych grobach. Zbyt straszne, więc większość wołała nie wierzyć. To byli ich współobywatele. Elsie nie była w stanie wyobrazić sobie Josefa kierującego takim brutalnym

procederem. Deszcz przejmująco smagał jej policzki.

Frau Rattelmüller przysunęła się bliżej.

– Znam jednego mężczyznę, który może przekupić strażnika, żeby przymknął oko, kiedy żydowskie kobiety będą przechodziły od baraków, gdzie pracują, do tych, gdzie śpią. Są tam dwie dziewczynki z rodziny, którą... – Skrzyknęło drzewo. Odwróciła się nerwowo. Mały wróbel sfrunął z gałązki. Mówiła dalej szeptem: – Gdy już będę je miała, natychmiast wyjadą do Szwajcarii, gdzie czekają zaufani znajomi.

– Pani też jedzie?

– Ja jestem za stara. Tylko bym im przeszkadzała – powiedziała z goryczą. – Przyszłam, bo potrzebuję twojej pomocy z tą łapówką. Dałam wszystko, co miałam, ale to za mało.

Elsie cofnęła się. Więc o to chodziło. Staruszka chciała pieniędzy. Czy tak też kupowała swój codzienny chleb? Za pieniądze wyłudzone pod pretekstem dobroczynności? Elsie przyjrzała się Frau Rattelmüller. Jej woalka była na brzegach wystrzępiona, rąbek spódnicy powyciągany, pomimo zimna na nogach nie miała pończoch, a jej chude, kościste dłonie były czerwone od mrozu. Ta kobieta nie objadała się bułkami i słodyczami.

Lecz Elsie nie miała jej co dać. W kasie piekarni było tak mało pieniędzy, że każdy ubytek zostałby zauważony. Potarła zmarznięte czoło, próbując się rozgrzać, i wtedy je zobaczyła: czerwone błyski na roztopionym lodzie. Jakże łatwo przyszło jej zapomnieć o obietnicy danej Josefowi, tym bardziej że nie napisał dotąd ani słowa, mimo iż przyrzekał.

– Proszę. – Zsunęła pierścienek z palca. – To powinno wystarczyć.

– Twój pierścienek zaręczynowy? – Frau Rattelmüller wzięła go, ale widać było przez woalkę, że zmarszczyła brwi. – A co powiesz Josefowi i swojej rodzinie, gdy zapytają?

Elsie roztarła palce, nagle cieplejsze niż przedtem.

– Powiem im, że oddałam na ratowanie Ojczyzny.

Frau skinęła głową.

– Twoja siostra Hazel była odważna, ale ty, Elsie, masz serce proroka Daniela.

Elsie drgnęła, słysząc, jak mówi o Hazel w czasie przeszłym. Rozejrzała się i pokręciła głową.

– Tak naprawdę ten pierścienek nigdy nie był mój.

Frau Rattelmüller chwyciła Elsie za rękę.

– Są jeszcze tacy, co pamiętają, że prawo Boga jest ponad wszystkimi ludźmi. – Głos jej się załamał. – Ci ludzie nie powiodą nas ścieżką destrukcji. Wcześniej w życiu nauczyłam się, że umarli nie ocala żywych. Mogą to zrobić tylko żywi. Dopóki jest życie, jest nadzieja.

Odwróciła się, żeby odejść, ale Elsie ją zatrzymała. To była jej szansa.

– W zamian chcę prosić o przysługę.

Elsie wzięła głęboki oddech, aż lodowate powietrze zdławiło ją w gardle. Uderzane marznącym deszczem gałęzie trzeszczały. Nawet szept był niebezpieczny, nawet każdy ruch, ale Tobiasz stał się dla niej zbyt ważny. Każda godzina spędzona w jej pokoju przybliżała go do zdemaskowania i katastrofy. Jeśli teraz była szansa go uratować, musiała z niej skorzystać.

– Gdy wtedy odkryła pani w naszej kuchni Tobiasza, proponowała pani, że zabierze go z innymi. Czy zrobi to pani teraz... zabierze go pani z Niemiec? – spytała.

Frau Rattelmüller chwyciła oburącz wygiętą rączkę laski i ściszyła głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Elsie, teraz to zbyt niebezpieczne. Przeprowadzenie go z piekarni do mojego domu mogłoby nas wszystkich wpakować do grobu.

Co chwilę zrywał się porywisty wiatr.

– I przy tej pogodzie... on jest taki mały i wąty.

I Frau pokręciła głową.

Elsie pomyślała o wystających łokciach i kolanach Tobiasa, o jego małych uszach pod czapką z pończochy. Miała rację. Był słabego zdrowia. Była duża szansa, że nie przetrwa takiej aury.

– Przepraszam – powiedziała Frau Rattelmüller. – Proszę, uwierz mi, gdyby była możliwość przetransportowania go, zrobiłabym to. Gestapo pilnuje waszej piekarni dzień i noc. Może to na rozkaz Josefa, żeby was chronić, w każdym razie są tu... i obserwują. Muszę myśleć przede wszystkim o moich podopiecznych.

Elsie przytaknęła. Widziała światła samochodów jeżdżących do późna w nocy, ale sądziła, że każda ulica w Garmisch była tak dobrze strzeżona. Na wieść, że tylko jej, kolana się pod nią ugięły.

– Pomogę ci, jak tylko będę potrafiła – mówiła dalej Frau Rattelmüller – ale tego zrobić nie mogę.

Elsie nie była w stanie winić staruszki za roztropność. Trzeba było podjąć wszelkie środki ostrożności. Działanie pod wpływem impulsu może kosztować życie. A więc na razie Tobias nadal będzie się ukrywał w jej sypialni.

I wtedy Elsie sobie przypomniała.

– W obozie jest jego siostra. Ma na imię Cecile. Pracuje w szwalni. Może ją pani zabrać razem z innymi?

Przynajmniej tyle mogła zrobić dla Tobiasa.

– *Ja*. – Frau Rattelmüller stuknęła laską o oblodzony bruk. – Jeśli wciąż tam jest, zabierzemy ją do Szwajcarii.

Elsie podziękowała skinieniem głowy.

– Proszę jej powiedzieć, że brat się czuje dobrze i opowiada o niej z wielką miłością. I że obiecuje znów ją zobaczyć. – Wypuściła z ust obłok pary. – Będzie na nią czekał z niebieskimi wstążkami.

– Niebieskimi wstążkami? – spytała Frau Rattelmüller, a Elsie przytaknęła.

– Zrozumie, o co chodzi.

Zaszczekał jakiś pies i obie aż podskoczyły.

– Idę.

Frau odwróciła się i pokuśtykała śliską ulicą.

Poruszona Elsie zgarnęła naręczę polan; drzazgi kłuły jej ręce. W środku Julius skończył już piernik i zaczął jeść bułkę z resztką masła i dżemu, jakie pozostały rodzinie. Elsie zrzuciła drewno pod piec i odkaszlnęła, żeby pozbyć się resztek emocji. Znając charakter Juliusa, nie mogła sobie pozwolić na okazywanie jakichkolwiek prawdziwych uczuć.

– Czy twoja babcia już jadła? – zapytała.

Chłopiec odłamał kawałek bułki, kręcąc głową.

– Więc może powinienes jej trochę zanieść, zanim zjesz wszystko sam?

Papa odwrócił się od gąbczastych grudek razowego *Schwarzbrot*. Julius jadł dalej.

– Słyszałeś ciocię Elsie, synu? – padło pytanie.

Julius przełknął i odpowiedział:

– Nie jestem twoim synem.

Papa ścisnął drewniany wałek białymi rękami.

– Elsie. – Jego głos zadudnił w kuchni, odbijając się echem od garnków. – Zanieś Mutti śniadanie. Muszę porozmawiać ze swoim wnukiem.

Mutti otworzyła dla Juliusa ostatni słoik dżemu wiśniowego. Elsie nałożyła łyżeczkę na talerz, zdjęła z półki gorącą bułkę i wyszła do części sklepowej, zadowolona, że jej siostrzeniec

otrzyma wreszcie prawdziwą lekcję dyscypliny, jaką dostaje się zwykle tylko od ojca.

Śniadaniowy szczyt zakupów już minął. Mutti rozkładała ciastka na tacy tak, aby pokryć całą jej powierzchnię i zatuszować nieco ich skromny wygląd.

– *Ach ja*, jak ładnie wyglądają – mówiła cicho sama do siebie.

Elsie podeszła do niej z talerzem.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia.

Mutti wykonała gest ręką, jakby go odsuwała.

– Wrzuć ją do pojemnika razem z innymi. Potrzebujemy więcej pieniędzy. Ja nie jestem głodna.

Elsie postawiła talerz przy kasie.

– Jedz, Mutti. Nie będzie dobrze dla nikogo, jeśli zachorujesz i będziesz leżała w łóżku.

Mutti wzięła bułkę w dłonie, ale jej nie przełamała.

– Wiśnie. Twoje ulubione. – Elsie podała jej nóż do dżemu.

Od powrotu ze Steinhöring Mutti bardzo mało jadła. To niepokoiło Elsie. Matka popatrzyła na porcję galaretowatego, lśniącego jak rubin dżemu.

– Zawsze gdy go próbuję, myślę o tamtej wiśni w ogrodzie twojej babci.

– Pamiętam ją dobrze. Spędzałyśmy tam z Hazel wiele letnich dni, udając, że to bajkowy zamek z zaczarowanymi owocami. Miałyśmy taką zabawę: przy każdej zjedzonej wiśni wypowiadałyśmy jakieś życzenie. Naprawdę wierzyłam, że wszystkie się spełnią. Niektóre się spełniły. Raz Hazel poprosiła o flakonik lawendowych perfum, a ja o szampon różany i gdy przyszłyśmy odwiedzić babcię w następnym tygodniu, już tam na nas czekały. – Elsie uśmiechnęła się na wspomnienie zapachu trzymanego w tajemnicy flakonika.

– Oma była dobrą matką – powiedziała Mutti. – Bardzo mi jej brak w obecnych czasach.

– Przetarła kącik oka. – Ależ jestem głupia. Stara kobieta, a plecie jak dziecko.

– *Nein* – powiedziała Elsie. – Kobieta mówi jak córka.

Mutti pogładziła kciukiem policzek Elsie.

– Tak nam się udało. Wyrosłaś piękna i mądra. To są dary od Boga, kochanie.

Elsie położyła dłoń na dłoni matki i poczuła, że w piersi rozkwita jej kwiat. Mutti nigdy jej tak nie chwaliła.

– Musisz coś zjeść. – Elsie jeszcze raz przysunęła talerz. – Proszę.

Mutti wyjęła rękę spod dłoni Elsie i rozerwała bułkę.

– Oma mówiła zawsze, że najlepszy jest chleb z kimś przełamany. – Rozsmarowała dżem. – Ty też musisz jeść.

To była prawda. A swojego precla Elsie oddała Tobiasowi. W środku aż skręcało ją z głodu.

Mutti podała jej pół bułki i wylizała nóż do czysta. Jedząc, Elsie myślała o wszystkich zaczarowanych owocach, jakie jadła z siostrą, babcią i mamą. Wciąż czekały na spełnienie się tamtych życzeń. Dzisiejszy posiłek, choć tak skąpy, był najlepszym, jaki jadła od miesięcy. Napenił coś więcej niż tylko pusty żołądek.

Rozdział 28

Franklin Ridge Drive 3168
El Paso, stan Teksas

– Oryginalna wiadomość –

Od: leigh.goldman@sanfranmonthly.com

Wysłano: 3 stycznia 2008, 8:58

Do: reba.adams@hotmail.com

Temat: „San Francisco Monthly” – stanowisko redaktora

Szanowna Pani Adams,

wraz z Wydawcą zapoznaliśmy się z Pani życiorysem i dotychczasowymi publikacjami.

Szczególnie podobała nam się ostatnia, zatytułowana *Świąteczne kołеды w czas wojny*. Nasz obecny redaktor działu kultury i rozrywki przeprowadza się w lutym do Nowego Jorku, pozostawiając nieobsadzone stanowisko. W związku z tym chcielibyśmy zaproponować je Pani i umówić się z Panią na rozmowę telefoniczną w przyszłym tygodniu. Jeśli dołączy Pani do naszego zespołu redakcyjnego, z przyjemnością pomogę w szybkiej i łatwej przeprowadzce w rejon Zatoki San Francisco. Proszę o jak najszybsze skontaktowanie się ze mną telefonicznie lub e-mailem.

Z poważaniem

Leigh Goldman

Redaktor naczelna

„San Francisco Monthly”

122 Vallejo Street

San Francisco, CA 94111

– Oryginalna wiadomość –

Od: reba.adams@hotmail.com

Wysłano: 3 stycznia 2008, 19:08

Do: didi.adams@gmail.com

Temat: Fw: „San Francisco Monthly” – stanowisko redaktora

Didi,

przeczytaj poniżej. Dziś dostałam wiadomość od Leigh Goldman. Uważaj: TEJ nagradzanej Goldman z „San Francisco Monthly”. Tak, wiem, prawie zesłam, gdy przeczytałam e-mail. Chcą mnie, Didi. Możesz w to uwierzyć? San Francisco, Kalifornia!

Pamiętasz, jak byłyśmy małe i słuchałyśmy starych winylowych singli taty, przebrane w długie jedwabne koszule nocne mamy, i śpiewałyśmy *San Francisco (Be sure to wear some flowers in your hair)*? Zawsze go cieszyło. Teraz też nucę.

Naprawdę się z tego cieszę, Di. To szansa, na którą czekałam od wyjazdu z domu. Nie mogę jej przegapić.

Riki wciąż się nie odzywa. To już tak długo, a z tą ofertą na stole nie jestem pewna, co bym mu powiedziała, nawet gdybym sama zadzwoniła. „Pa, wyjeżdżam”. Tęsknię za nim, ale odbieram tę pracę jako znak. Muszę iść do przodu.

Kocham Cię

Reba

– Oryginalna wiadomość –

Od: didi.adams@gmail.com

Wysłano: 4 stycznia 2008, 11:11

Do: reba.adams@hotmail.com

Temat: Re: Fw: „San Francisco Monthly” – stanowisko redaktora

Gratuluję, Rebo!

To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałam od miesiący. Przyślij mi umowę, zanim cokolwiek podpiszesz. Rzucę okiem.

Śmiałam się w głos na wspomnienie naszych występów muzycznych. Ale się wtedy działo! To był najpewniejszy sposób, żeby wywołać u taty uśmiech. Bądź szczęśliwa, Rebo. Obiecuj mi, że sobie pozwolisz. Jestem podekscytowana razem z Tobą. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem mamie. Będzie taka dumna.

À propos mamy: dużo o tym myślałam i sędzę, że powinnyśmy z nią pomówić o tym, co znalazłaś w dokumentach medycznych taty i o jego śmierci. Musimy o wszystkim porozmawiać jak rodzina. Od jego śmierci minęło ponad dziesięć lat. Dużo się zmieniło. Nie jesteśmy już małymi dziewczynkami. Przeszłość nie może nas już zranić. Wilk taty to nic innego jak smutny, stary pies myśliwski, który zgubił już wszystkie zęby. Mama tęskni za Tobą. Pomyśl, żeby jak najprędzej przyjechać do domu w odwiedziny.

Cieszę się, że idziesz do przodu, ale upewnij się, że to, co uważasz za „naprzód”, nie jest napędzane strachem. Bo wtedy to tylko ucieczka pod maską czegoś dobrego. Uwierz mi, wiem coś o tym. Jeśli „mleczarz” nie skontaktuje się z Tobą, może masz spróbować jakiegoś kalifornijskiego sera. Słyszałam, że mają pyszny cheddar.

Też Cię Kocham

Didi

Rozdział 29

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
29 kwietnia 1945 r.

Na ulicach panowała złowroga cisza. Ptaki siedzące parami na brzegu dachu usiłowały ćwierkać, że już wiosna, lecz i one czuły, że wszystko pogrążone jest jakby w letargu. Ich skrzekliwe protesty odbijały się echem od ulicznego bruku i domów z muru pruskiego.

Po wyjeździe Josefa gestapo przestało dostarczać produkty potrzebne w piekarni, toteż zaczęli po trochu zużywać własne zapasy. W pierwszym tygodniu kwietnia nie mieli już cukru. Elsie uciekała się do roztopiania marcepanów. Przez jakiś czas to pomagało. Lecz teraz nie mieli już w zapasie nic, nawet łyżeczki miodu czy melasy. W lnianym worku na mąkę zostały już ostatnie garstki. Młyny przestały pracować. Papa poprosił Juliusa, żeby zbierał orzechy laskowe i kasztany leżące na ziemi w lesie, co robił z niechęcią i to dopiero wówczas, gdy Elsie przekupiła go ukrywaną przez siebie czekoladą Ritter Sport. Papa miał orzechy i używał ich jako zastępczej mąki do bułek. Palce miał pełne odcisków i zabarwione na brązowo. Jednak co rano rozpalał na nowo w piecu i jakoś udawało mu się piec chleb tak rumiany i smaczny jak zawsze.

Długo w ten sposób funkcjonować się jednak nie dało. Wkrótce będą musieli zamknąć interes. Kasa i tak była pusta. Od tygodni prowadzili z klientami handel wymienny.

Jednak gdy Elsie poszła do rzeźnika, by zamienić bułki na jakieś ochłapy, ten oświadczył:
– Moja rodzina żywi się szczurami i zgniłą brukwią. Nie jesteśmy władcami piekarni jak wy.

Władcy piekarni? Sam pomysł już był śmieszny. Jakże łatwo było przypuszczać, że gdzie indziej jest nieskończenie lepiej niż tam, gdzie się jest samemu. Czasem w nocy śniły jej się reklamy z czasopisma „TEXAS, U.S.A.”, przedstawiające krainę z rzędami bochenków chleba z bakaliami, grzanki polane gulaszem z jagnięciny, słodkie wypieki posypane cukrem pudrem, ciastka imbirowe i grube kawałki ciasta czekoladowego nasączone wiśniówką. Budziła się z zimną, zastygłą śliną wokół ust.

Pomimo braków w cudowny sposób zachował się jeden ze słynnych tortów szwarcwaldzkich taty. Udekorowany warstwą wiórków z gorzkiej czekolady i wiśniami w spirytusie był za drogi, żeby ktokolwiek go kupił. I tak, gdy inne słodczyce poznikały, on stał za szkłem lady wystawowej, nietknięty w swej doskonałości. Elsie łapała się na tym, że wpatruje się weń z łakomstwem znacznie przekraczającym głód. Znała każdy dołek w wiśniach, każdy załamek czekolady. Tort był dla niej wspomnieniem tego, co miała kiedyś, i obietnicą tego, co nadejdzie. Gdzieś na świecie było prawdziwe masło i cukier, mąka i jajka, a także uśmiechnięci ludzie z błyszczącymi monetami w kieszeniach. Papa niedługo pokroi ten tort i obdzieli nim głodnych klientów oraz swoją rodzinę.

Przez frontowe okna wpadł promyk późnokwietniowego słońca; połówki wiśni zablyszcząły w jego jasnym świetle. Tak, pomyślała Elsie, tylko słońce jeszcze świeci.

Z kuchni wyszli Mutti i Papa w świątecznych kapeluszach i trzymając rękawiczki.

– Julius nie idzie – oznajmił Papa.

Szli do kościoła luterańskiego. Elsie udała, że ją boli głowa, czuje się chora i obawia się, że wyjście mogłoby pogorszyć jej stan. Bóg wybacza takie niewinne kłamstwa, jeśli służą dobru

innych, tłumaczyła sobie.

Chciała zostać w domu sama z Tobiaszem. Włosy mu odrosły, na głowie miał już krótką czuprynę. Obiecała, że mu ją umyje w gorącej wodzie.

– W prawdziwej gorącej wodzie? – dopytywał się.

Nigdy jeszcze nie brał gorącej kąpieli. W dzielnicy żydowskiej kąpali się w wodzie deszczowej, a w obozie polewano ich wodą ze szlauchu. Słuchanie o Dachau było dla niej przykre dlatego, że źle traktowano tam Tobiasza, ale też dlatego, że Josef brał w tym udział.

Ciepła kąpiel była doprawdy drobną przysługą. Jeśli mogła zrobić dzbanek herbaty, z pewnością mogła zagrzać wody, by umyć włosy i szyję małemu chłopcu. Powinna była pomyśleć o tym wcześniej, ale żeby zrekompensować mu to zaniedbanie, postanowiła zużyć do tego swój ostatni szampon różany.

Elsie nie powiedziała Tobiaszowi o Frau Rattelmüller i Cecile. I nie zamierzała. Zdecydowała, że najlepiej jak zatrzyma to dla siebie, gdyż nie mogła być pewna, czy kobiecie się uda. Była w pełni świadoma, że najstraszliwszy ból powodują niespełnione nadzieje. Czasem myślała, że większą ulgę sprawiłoby jej, gdyby odkryto, że Hazel nie żyje, niż trawiąca ją niepewność, czy tak jest, czy nie. Z powodu tej myśli miała zresztą poczucie winy tak wielkie, że zaczęła cierpieć na niedające się niczym uśmierzyć bóle głowy.

– On też nie czuje się dobrze. Herbatka z głogu i wiązówki błotnej. Zaparzę mu, jak wrócę – powiedziała Mutti.

Julius od swego przyjazdu był kilka razy w kościele. Za pierwszym razem przez całe nabożeństwo narzekał na chłód w kaplicy i zaklinał się, że pobyt tam wpędzi go do grobu tak jak jego ojca... i matkę. Ta gorzka uwaga miała na celu ich zranić i zrobiła to, aż w końcu Papa rzekł:

– Lepiej umrzeć w prawości niż żyć w bezduszości. Tak uważa twoja matka. Na tym opiera się wspólnota ludzi.

To zamknęło buzię Juliusowi. Wiedział dobrze, że nie należy zaprzeczać dogmatom Rzeszy, a szybko się zorientował, że dotyczy to również słów Papy. Nigdy więcej nie posłużył się imieniem Hazel, by okazać mściwość, ale z kościołem sprawa była ciężka. Mutti przestała nalegać, żeby tam chodził, gdy kilka tygodni temu Julius chciał się ubrać w swój mundur, choć na dworze było jeszcze zimno i krótkie skórzane spodnie zupełnie się nie nadawały. Wtedy postawił na swoim i został w domu, by bawić się żołnierzkami w swojej pakamerze.

Tej niedzieli Elsie miała nadzieję, że Papa wkroczy do akcji, zmusi chłopca do włożenia długich spodni i do pójścia z nimi. Nie miała szczęścia.

– Ale Papo... – zaczęła, on jednak uniósł dłoń, powstrzymując ją gestem.

– Potrzebuję więcej orzechów. Chcę, żeby do naszego powrotu Julius nazbierał przynajmniej dwa stosy.

– Jeśli źle się czuje, nie powinien wychodzić na dwór – zauważyła Mutti.

Papa sapnął tylko, nakładając swój tyrolski kapelusz.

– Lepiej już chodźmy, Luano, żeby się nie spóźnić. Drzwi i okna miejcie pozamykane – powiedział przez ramię. – Na zachodzie widać chmurę burzową.

Elsie popatrzyła na niebo. Było jasno i słonecznie. Wróciła do kuchni przypomnieć Juliusowi, jakie ma zadanie. Chciała w czasie jego nieobecności zrobić Tobiaszowi obiecaną kąpiel.

Julius leżał na podłodze, a przed nim stały poustawiane w równe rzędy żołnierzki.

– *Ja* – odezwał się, nie podnosząc wzroku.

– Czy dziadek nie prosił cię o nazbieranie orzechów?

– Prosił.

– Może padać. Powinieneś już iść – stwierdziła Elsie.

Julius zauważył wpadające przez okno kuchenne słońce i przekręcił się na plecy.

– Potrzebujemy orzechów do chleba na cały tydzień – nalegała.

Ziewnął.

– I tak już nikt nie przychodzi, więc jakie to ma znaczenie?

Elsie tupnęła nogą, przewracając jeden rząd żołnierzyków.

– A ty chcesz jeść?

Popatrzył jej w oczy.

– Pójdę, gdy będzie mi się chciało, a teraz mi się nie chce, więc wyjdź z mojego pokoju. –

Kopnął drzwi spiżarki, a te, zamykając się, uderzyły Elsie w czoło.

Tego było naprawdę za wiele. Był z nimi trzy miesiące i miała już serdecznie dosyć traktowania go przez wszystkich jak pupilka, podczas gdy on nie okazywał żadnego zainteresowania ani nimi, ani swą nieobecną matką. Kierowana nagłym impulsem wpadła z impetem do spiżarki, złapała Juliusa za kołnierz i przytrzymała go z twarzą na wprost swojej twarzy. Jak Schmidt ze Schmidtem.

– Posłuchaj mnie, dzieciaku – warknęła. – Twoja matka, a moja siostra nigdy by nie pozwoliła na taki upór. A twój tata, Panie świeć nad jego duszą, już dawno wzięły pas i zaprowadził cię do szopy na drewno. Wierz mi, dobrze go znałam. To nie był mężczyzna tolerujący zuchwalstwo. A jeśli chodzi o Ośrodek, który tak cenisz... – Pokręciła głową.

– Wyjrzyj na zewnątrz swego małego pokoiku! Słyszałeś o bombardowaniach w Wiedniu i w Berlinie? Głupi chłopaku. Trzecia Rzesza upada. Upadnie całkiem, a wszyscy twoi towarzysze i nauczyciele zostaną wystrzelani przez Rosjan jak kaczki.

Oczy chłopca zrobiły się wielkie jak spodki.

– To. Już. Koniec. Koniec Ośrodka, Programu, a ja mam już dość głodowania. Mam dość patrzenia, jak Mutti i Papa cierpią. Mam dość poniżania dobrych Niemców, i to z jakiego powodu? – Potrząsnęła nim mocno. – Ponieważ nie mają dostatecznie czystego pochodzenia! Przecież ty jesteś synem zwyczajnej córki piekarza, która ma takie samo prawo do życia jak... jak Isaac Grün!

I takie samo jak Tobias. Czują, że wszystko w środku w niej się trzęsie. Trzęsły się trzymające ciężkiego chłopca zaciśnięte dłonie.

– Jestem już zmęczona całą tą nienawiścią, strachem i brzydotą, a najbardziej jestem zmęczona niemądrymi chłopcami, zbyt samolubnymi, by widzieć, że wokół umierają ludzie dla nich i przez nich! Mam już dość!

Wargi Juliusa zaczęły drżeć; kark mu poczerwieniał w miejscu, gdzie płócienna koszula najbardziej wrzynała się w skórę.

Puściła go. Skulił się u jej stóp. Elsie złączyła dłonie i przyłożyła je do pulsującej głowy. Julius zaskomlał, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła w nim nie złośliwe dziecko, lecz swoją siostrę, Hazel. Jak ona za nią tęskniła. Nie dostając od niej listów od miesięcy, mogła sobie wyobrazić najgorsze. Julius był synem Hazel, jej krewnym i wystraszonego małym chłopcem. Wyciągnęła rękę i pogładziła palcami jego miękką, jasną czuprynę.

– Wybacz mi, Juliusie.

Odskoczył od niej z wściekłością; po policzkach płynęły mu łzy.

– Nienawidzę was wszystkich! – Chwycił swoją brązową kurtkę z odznaką najmłodszych spośród Hitlerjugend i wybiegł kuchennymi drzwiami.

Elsie poczuła, że traci czucie w rękach; w oczach jej zawirowało. W głowie pulsowało coraz bardziej. Resztką sił wyszła z kuchni i powlokła się po schodach na górę. Musiała dotrzeć do łóżka, żeby nie upaść tu, gdzie stała.

Przewracając się na poduszkę, wydała z siebie cichy jęk.

– Elsie? – Tobiasz odezwał się szeptem zza ściany. – Elsie, co się stało?

Przed oczami latały jej czarne i szare plamy.

– Źle się czuję – jęknęła.

Wypowiedzenie tych słów sprawiło jej nadludzki wysiłek.

Deska odsunęła się, a ona usłyszała odgłos idących przez pokój stóp. Tak jak w czasie gorączki w Boże Narodzenie, Tobiasz wspiął się na łóżko obok niej i zanucił prosto do ucha. Słodka melodia kołała ból. Pachniał delikatnie owczą wełną i ciastem preclowym.

– Dziękuję, Tobiasz. – Oparła o niego policzek.

Przez chwilę pragnęła zapomnieć o wszystkich: Juliusie, Hazel, Peterze, Frau Rattelmüller, Cecile, Josefie, Mutti i Papie, nawet o sobie. Nie chciała, żeby istniało cokolwiek oprócz Tobiasza i jego pięknego głosu w ciemności.

*

– Wiedziałem, że jesteś zdrajczynią!

Obudziło ją dudnienie butów. Nie zasnęła jeszcze na dobre, lecz już na tyle, by jej percepcja się zamgliła, a umysł zatracił orientację. Zanim jej oczy odzyskały ostrość, ktoś złapał ją za włosy i ściągnął z łóżka, po schodach na dół do kuchni, gdzie czekało uzbrojone gestapo.

– Zdrajczyń! – huczał głos za nią.

Z góry dochodziło tupanie butów, szcęk przewracanej lampy i mebli wywracanych z takim hukiem, że aż z belek pod sufitem wzbijał się kurz.

Tobiasz, pomyślała. Mają Tobiasza! Serce jej łopotało jak ptak schwyty w sidła.

Chwyciły ją tak potężne palpacje, że nie mogła złapać tchu.

Trzymający ją za włosy i miotający oskarżenia gestapowiec obrócił ją twarzą do siebie.

– Kremer! – wykrztusiła.

– Fräulein. – Uśmiechał się z satysfakcją.

Puścił ją i upadła; uklękła na czworakach u stóp Kremera.

– Josef będzie bardzo rozczarowany, że jego mała piekareczka okazała się Judaszem. –

Wzruszył ramionami. – Ale ja wiedziałem, wiedziałem. – Palec po palcu ściągnął z rąk skórzane rękawiczki i cisnął je na drewniany stół piekarski.

Strażnik wymierzył swój karabin w głowę Elsie, tak blisko, że mogła dojrzeć sadzę wokół lufy.

Kremer pogładził się po swych krótkich wąsach.

– Jesteśmy uprawnieni do likwidowania zdrajców osobiście, ale ja święcie wierzę w moc widowiska. Zgodzisz się ze mną? Tych, co zdradzają własny kraj, należy pokazywać jako przykład, a więc co to ma być, he? Kula czy lina? Jako Niemiec dam ci wybór.

Sobą się nie przejmowała. Tego mężczyzny nienawidziła i jeśli będzie miał jej krew na swoich rękach, modliła się, żeby Bóg ją pomścił. Ale co oni zrobią z Tobiaszem? Nie była w stanie myśleć o jego męczarniach.

– To jeszcze chłopiec! – krzyknęła.

– Co nie zmienia twojej zbrodni – oznajmił Kremer. – To hańba. Herr Schmidt piecze najlepsze pierniki w całej Bawarii.

Papa i Mutti? Nie, nie pozwoli ich poświęcić za jej czyny.

Na stole stała miseczka orzechów laskowych z dziadkiem do orzechów. Kremer wziął orzech, włożył go między ramiona dźwigni i ścisnął. Kawałki łupiny spadły na podłogę, a on wsunął do ust słodki środek.

– Proszę oszczędzić moją rodzinę. Oni są niewinni. – Zebrała dłońmi spódnice. – Dam panu wszystko, czego pan chce. Wszystko!

Prychnął i wypluł orzech z powrotem do miseczki.

– Robaczywy.

Na górze ktoś krzyknął i uzbrojony żołnierz przy jej boku odwrócił się gwałtownie.

Kremer wskazał głową do góry.

– Wyjdź. – Odpiął pistolet z pasa kabury i pokazał na Elsie. – Tylko ty i ja, Fräulein. Strażnik posłuchał i zostawił ich samych w kuchni.

– Proszę, majorze Kremer – błagała Elsie. – To tylko jeden Żyd. Co to ma teraz za znaczenie? – Głos jej się załamał.

Wojna już się prawie kończyła. Wszyscy o tym wiedzieli. Hitler zaszył się w bunkrze w Berlinie i oczekiwał na kapitulację. Po co przelewać więcej krwi? Nawet taki człowiek jak ten ma sumienie i potrafi rozpoznać niepotrzebne okrucieństwo. Niebo i piekło nie znają ras ani wyznań. Po niego tak samo kiedyś przyjdzie śmierć, tak jak po nią i Tobiasa. Ale wybór, jakiego dokona teraz, zadecyduje, którą bramą tam przejdzie.

Kremer odwrócił się do niej, a jego oczy upiornie zaświeciły.

– Żyd?

– Jeśli pan wierzy w Boga, proszę.

– Przyprowdźcie tu chłopca! – wrzasnęła Kremer przez ramię, po czym ukląkł obok Elsie. – „Ludy, które się mieszają z inną rasą lub pozwalają, by im to czyniono, grzeszą przeciwko woli wiecznej Opatrzności”. Tak mówi nasz Führer. – Spojrzał na nią znacząco. – To jedyny Bóg, w którego wierzę.

– Puśćcie mnie! Powiedziałem wam, co ona mówiła. Jest zdrajczynią! – Julius wiał się i wrywał z uchwytu gestapowca.

Kremer popatrzył na niego i parsknął jak koń.

– Niesamowite. Jak to czasem trudno się zorientować. Nawet nie wygląda jak gryzoń. – Przekrzywił głowę. – Może ma coś w zębach. I może ten fałsz w oczach.

– Ja? Ja nie jestem Żydem! – krzyczał Julius.

Kremer uniósł pistolet. Żołnierz usunął się na bok.

– *Nein!* – Elsie wstała i zasłoniła Juliusa. – On jest synem mojej siostry Hazel i waszego towarzysza Petera Abenda. Jest czystej krwi Aryjczykiem, urodzonym i wychowanym w Ośrodku Lebensborn.

Kremer trzymał pistolet przed sobą w prawej ręce.

– To nie ja nazwałem go Żydem. Ty to zrobiłaś. – Małym palcem lewej ręki wydłubał sobie z zęba kawałek skórki orzecha.

– Kłamczucha! – Julius uderzył Elsie pięścią w krzyż. – Zdrajczyni!

Skrzywiła się i odchyliła w bok.

Kremer zaśmiał się cicho.

– Wierzę ci, chłopcze. Masz w sobie za dużo wigoru, żeby być niższej rasy.

Gestapowiec, który plądrował jej pokój, zszedł na dół i zameldował:

– Nic nie ma, panie majorze.

Elsie spojrzała w górę. Czy Tobias jest bezpieczny? Przeniosła wzrok niżej i nie spuszczała go z Kremera. On spojrzał na sufit i mlasnął językiem.

– Jestem pewien, że coś tam jest. – Uśmiechnął się do Elsie. – Mysz na strychu?

Serce Elsie zabiło mocniej, a potem zatrzymało się na chwilę. Pokręciła głową.

Dwaj żołnierze zawrócili ku schodom, lecz Kremer ich zatrzymał.

– Stójcie! – Wskazał na Elsie. – Ty nam przyprowadzisz Żyda.

Elsie ścisnęło się gardło.

– Tutaj nikogo nie ma oprócz mojego siostrzeńca i mnie. Moi rodzice poszli do kościoła.

– Naprawdę zdrajczyni i kłamczucha – rzekł Kremer.

Pchnął ją na ziemię, a Juliusa uderzył w twarz i zatykając mu usta ręką, przyłożył mu lufę pistoletu do skroni.

– On jest Niemcem! – krzyknęła Elsie.

Gestapowcy w kuchni zmieszali się.

– Zaraz, zaraz – przekomarzał się. – To bękart, syn dziwki. Zresztą niezłej dziwki. Sam ją nawet lubiłem, ale nasza rasa doprawdy nie potrzebuje takiej deprawacji. Może bardziej ludzkie będzie wyzwolić to dziecko od jego nieszczęścia, niż pozwolić mu dorastać w takiej zboczonej rodzinie zdrajczyń i ładacznic jak ta. – Wzruszył ramionami.

Julius stał zeszywniały z przerażenia. Strach wybałuszył mu zaczerwienione od płaczu oczy; zamszowy przód jego spodni pociemniał od mokrej plamy.

Kremer rzekł drwiąco:

– To nie jest syn Ojczyzny. Nawet nie jest nauczony korzystania z toalety. – Pochylił się do ucha Juliusa. – Może jest opóźniony. Wiesz, co Program robi z opóźnionymi: cyjanek w mleku na śniadanie albo... – przerwał i przycisnął pistolet – szybka kulka w głowę. Tak było z twoim bratem.

Z oczu Juliusa popłynęły łzy.

Elsie uchwyciła się zimnej podłogi, chcąc złapać równowagę. Poczula, jakby wszechświat się zapadł, a jej oczy ujrzały przed sobą tunel.

– Powiem ci, co zrobię. – Kremer puścił Juliusa, rzucając go na ziemię obok Elsie. – Ty mi przyprowadzisz Żyda, a ja daruję życie temu bękartowi. Oczywiście tobie nie mogę tego zaproponować, Fräulein, ale obiecuję, że twój wyrok wykonam szybko.

Julius leżał nieruchomo obok Elsie jak bezwładna szmaciana lalka. Czy jego życie jest warte życia Tobiasa? A jej? Tobias obdarzał ją wyłącznie zaufaniem i miłością. Nie zasługiwał na to, żeby go wręczyć jak monetę w jakiejś niemoralnej transakcji. Ale poświęcić swoją rodzinę. Z takim poczuciem winy nie mogłaby ani żyć, ani umrzeć. Wierzyła w życie pozagrobowe i nie chciała stanąć przed Bogiem z żadnym z tych ciężarów.

Zamknęła oczy. Pod powiekami widziała rozbłyskujące gwiazdy. Ten koszmar był już tak bliski końca. Mówiono, że na pastwiskach za miastem obozują Amerykanie i Rosjanie. Lepiej byłoby umrzeć z ich rąk, niż dokonywać tego wyboru.

– No więc jak? – zapytał Kremer.

Myśli targały jej umysłem, jakby ciąły go na pół. Nie była w stanie znaleźć rozwiązania. Logika nic tu nie pomagała. Mogła tylko liczyć na Bożą pomoc i modlić się o rozgrzeszenie. Powoli wstała.

– Przyprowadzę go panu – zakwiliła jak zraniona zięba. – Ale muszę tam iść sama. On nie wyjdzie, jeśli nie będę sama.

Strażnicy popatrzyli na Kremera. Ten syknął przez zęby.

– Masz pięć minut, a potem zastrzelę twojego siostrzeńca, sam znajdę Żyda i jego też zastrzelę. A ciebie na końcu, żebyś patrzyła na ich krew.

Rozdział 30

Droga między Tegernsee a Garmisch
Niemcy
29 kwietnia 1945 r.

Josef Hub był cieniem dawnego oficera. Marsz z Dachau do Tegernsee nie przebiegał dobrze ani dla więźniów, ani dla SS. Oglądał rzeczy, które wstrząsały jego duszą, a migreny się nasiliły. Podczas tej trzydniowej podróży w pewnym momencie przestał spać i jeść, a zamiast tego jak tylko mógł najczęściej, aplikował sobie metamfetaminę. Niedaleko miasta Percha zabrał wełniany kożuch z pleców starszego człowieka, niemieckiego pasterza. Na kościstym ciele Josefa wisiał jak wielka skóra niedźwiedzia, a on czuł się taką bestią, na jaką wyglądał. Od tygodni nie mył się ani nie golił. Broda w kolorze rudawoblond zasłaniała mu twarz, oczy miał podkrążone i cały się trząsał. Większość ludzi odwracała się na jego widok, a on w tym nędznym stanie czuł się anonimowy i wolny.

Jacyś podróżni, których spotkał, przeszli na drugą stronę drogi, gdy się do nich zbliżał. I tak powinni zrobić, myślał w duchu. Gdyby jeszcze wiedzieli, czego się dopuszczał... Większość idących to były rodziny aryjskie: kobiety niosące małe dzieci, starsze dzieci w wełnianych skarpetach i z workami na kiju, rolnicy uzbrojeni w grabie i kosy, by zapewnić swoim bezpieczeństwo. Czy na to przyszło Niemcom: być krajem włóczęgów?

Bez względu na to, dokąd ci ludzie zmierzali, zawsze będą Niemcami. I on zawsze będzie Niemcem. A dokąd się udać, gdy twój dom już nie jest bezpieczny, gdy świat przestaje mieć sens? W którym momencie przychodzi decyzja czy iść, czy zostać?

Do Josefa przysła, gdy patrzył, jak młoda żydowska więźniarka przez ponad milę ciągnęła swoją umarłą matkę. Nogi starej kobiety, sine i zamarznęte na kość, zostawiały na ziemi ślady jak płozy nart. Gdy strażnik rozkazał kobiecie rzucić ciało, odmówiła, a on zastrzelił ją tam, gdzie stała. Krew córki zachlapała trupie policzki matki.

Wtedy Josef zawrócił konia, zostawił Żydów i swoje stanowisko i pozwolił, aby każdy mijany żołnierz mógł strzelić mu w plecy. Odjeżdżając galopem, modlił się, żeby ktoś naprawdę to zrobił. W połowie drogi koń mu padł z wycieńczenia. Zostawił go zdychającego na poboczu i teraz dalej szedł pieszo. Wciąż prześladował go odgłos stóp maszerujących żydowskich więźniów. Gdy przyspieszał kroku, ich rytm narastał. Wreszcie zaczął biec, ale go dopadli. „Morderca, zdrajca!”. Bili go po plecach. Upadł, potknąwszy się o wystający szkielet sępa z głową wykręconą do ziemi. Wyciągnął broń spod kożucha i wystrzelił w górę.

– Uciekajcie stąd! – krzyknął.

Ale gdy się rozejrzył, nikogo nie było. Droga ciągnęła się, pusta aż po horyzont.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum porywistego wiatru nad jego głową. Zięba zerwała się z łopotem i poszybowała z wiatrem ku pooranemu smugami niebu. Ból głowy przytwierdził go do ziemi. Leżał obok zdechłego ptaka i patrzył, jak czerwie wyjadają mu wnętrze, czuł smród gnijącego mięsa... Znów powrócił obraz masowych grobów w obozie w Dachau.

Przez wszystkie lata swej służby w SS nigdy osobiście nie odebrał nikomu życia, z wyjątkiem Petera Abenda. Ale był tam. Widział śmierć wokół siebie i był jej sprawcą, wypełniając swe obowiązki. Czuł się ubrudzony ich krwią i bardziej winny niż zwykły szeregowiec posyłający kulę. Zamknął oczy, lecz obraz masy trupów jeszcze się w jego pamięci wyostrzył.

Był pewien, że ich mściwe duchy pozostaną na niemieckiej ziemi. Gdyby tylko mógł wyjechać, uwolniłby się od nich i od całego koszmaru tej wojny. Günther Kremer i jego towarzysze z Garmisch znali trasę ucieczki. W Brunsbüttel czekał na nich okręt płynący do Wenezueli. Musiał się tam dostać. Ale musiał zapłacić, złotem i klejnotami, które zgromadził i ukrył w swoim mieszkaniu w Garmisch. Zabierze je oraz Elsie. Zaczną wszystko na nowo w Ameryce Południowej. Ona pomoże mu odnaleźć szczęście. Wierna i lojalna, pomoże mu oczyścić się z grzechów.

Wiedziony tą myślą, zacisnął zęby i podniósł się z ziemi. W dali, nad kominami Garmisch, unosiły się pióropusze szarego dymu. Wiedział, że jeden z nich należy do piekarni Schmidtów.

Rozdział 31

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
29 kwietnia 1945 r.

Elsie szła w górę schodek po schodku, a każdy z nich wydawał jej się nie do pokonania. Tak sobie wyobrażała Drogę Krzyżową. Modliła się o jakiś ratunek, ale nie była obdarzona ponadnaturalnymi mocami zwyciężającymi piekło jak Chrystus. Po trzech dniach od śmierci będzie cuchnęła zgnilizną.

Nie musiała się odwracać – wzrok Kremera palił jej plecy.

Otwarte na oścież drzwi sypialni uderzały o coś z tyłu. Drogę zagradzała przewrócona szafka nocna. Elsie przycisnęła się i podeszła do ściany. Pogładziła dłonią deskę.

– Tobiasie – zawołała cicho.

Choć nie usłyszała najłżejszego szmeru, czuła ciepło jego oddechu bijące niczym od płomyka świecy w kościelnym krużganku.

Przyłożyła policzek do szorstkiego drewna.

– Musisz wyjść. – Wiedziała, że on przytulił się z drugiej strony deski, że dzieli ich zaledwie grubość palca.

Deska uchyliła się na centymetr.

– Poszli już?

Ciepło wyparowało z wywróconego do góry nogami pokoju i Elsie poczuła w sobie wielki ziąb. Szczękały jej nie tylko zęby, ale wszystkie kości; objęła się rękami.

Tobias wyczołgał się ze swojej kryjówki.

– Czego oni chcieli?

Elsie przyciągnęła go do piersi.

– Posłuchaj, Tobiasie – szepnęła. – Ci mężczyźni czekają, żeby cię zabrać. – Wzdrygnęła się. Kolana jej się trzęsły i chwiały się na nogach. – Przepraszam.

Tobias ścisnął ją mocniej i przyciągnął do siebie.

– Nie smuć się – pocieszał ją. – Ja się spotkam ze swoją rodziną.

– Wybacz mi – błagała Elsie. – Proszę, wybacz.

Ściągnęła mu z głowy czapkę z pończochy i pocałowała w czubek głowy. Zanim zdołała nałożyć mu czapkę z powrotem, pchnięte drzwi z hukiem roztrzaskały szafkę nocną i do pokoju wparowali esesmani. Zamknęła oczy i nie otwierała ich, gdy Tobias został bez słowa wyszarpięty z jej objęć.

– „I takóž znów wybierać mam, choć wybór zawsze jest ten sam – wyrecytowała. Na dłoniach czuła jeszcze jego ciepło. Złączyła je ciasno i przycisnęła do piersi. – I wziął Bóg wtedy złoty kwiat, połamał go i rzucił w świat”.

Przycupnięta pod ścianą, w której Tobias miał kryjówkę, przycisnęła do niej czoło.

Słyszała, jak buty tupią po schodach na dół i wychodzą na zewnątrz.

– My się zajmujemy Żydem – odezwał się tuż za nią Kremer. – Ty i twoja rodzina jesteście w areszcie domowym.

Odwróciła się.

– Ale powiedział pan...

Kremer trzymał Juliusa, którego anielska twarzyczka była teraz czerwona i spuchnięta.

– W gnieździe jest zawsze więcej niż jeden szczur. – Kremer podszedł bliżej i wetknął jej potargane pasmo włosów z powrotem do warkocza. – Poza tym nie jestem pewien, czy jestem gotów cię zabić. Twoja siostra była ładniejsza i całkiem dobra w swojej profesji, ale ty... ty masz zdrowego niemieckiego ducha. Przerwano nam w Wigilię. – Chwycił ją za kark i cisnął na łóżko. – A ja zawsze kończę to, co zacząłem.

Julius płakał cicho skulony w kącie pokoju.

Masywna i gorąca dłoń Kremera trzymała ją za szyję. Patrzyła na regularne sploty nitek bawełnianego prześcieradła. Jej ciało było zdrętwiałe i sztywne jak pień sosny za oknem. Skraj sukienki, tak ładnie i równo obrębiony przez Mutti, zasłonił jej uszy. Czowała, jak szorstka skóra Kremera napiera na jej uda.

To, co się stało potem, działo się poza nią. Jej duch odleciał. Nie było łez. One płyną tylko z oczu żyjących. Ogarnęła ją ciemność.

Potem rozległ się strzał, a po nim dwie kolejne serie z karabinu maszynowego. Do pokoju wpadł żołnierz.

– Majorze! Uciekł!

Kremer nadął się z wściekłości.

– Co?! – zakipiał, po czym odruchowo uderzył żołnierza i zaczął wciągać spodnie. – Jak dziecko mogło uciec czterem policjantom?

Strażnik spuścił głowę i zaczerwienił się na widok Elsie leżącej głową w dół na łóżku.

– Ugryzł porucznika Loringhova i uciekł. – Mówiąc to, patrzył w ziemię. –

Pobiegliśmy za nim, ale potem, zdawało mi się, że zobaczyłem... nie mogę powiedzieć na pewno, ale to wyglądało, jakby on... zniknął, panie majorze.

– Zniknął?

– *Ja*. – Młody strażnik był wyraźnie poruszony zarówno uderzeniem, jak i tym wszystkim, czego był świadkiem. – Przyszła nagle mgła i burza, a potem rozległ się dźwięk, jakiego nie słyszałem nigdy w życiu, i on... zniknął. – Zabrakło mu tchu. – Poltergeist – szepnęła.

– Ja nic nie słyszałem. Którędy biegł? – Kremer odciągnął spust pistoletu.

– Na wschód. W kierunku lasu na górze Kramer.

– Głupcy! Naczytaliście się braci Grimm!

Pędem zbiegł po schodach, a strażnik za nim.

Mijała minuta za minutą. Przez szyby okienne docierały krzyki z ulicy. Julius w kącie pociągał nosem. Gdzieś w oddali rozległ się gwizd pociągu. Zaczął padać deszcz, potem przestał. Świat na zewnątrz pędził dalej.

Elsie poczuła ostry ból w nogach i uprzytomniła sobie, że metalowa rama łóżka wbiła jej się w oba kolana. Na prześcieradle ujrzała plamy krwi.

– Elsie! Julius! – zawołali z dołu Mutti i Papa.

Julius wstał i pobiegł do nich.

Wchodząc do jej sypialni, rodzice dyszeli z przerażenia.

– Och, Elsie... Elsie! – łkała Mutti. – Co oni ci, dziecko, zrobili? – Trzymała dłonie nad zakrwawioną pościelą jak ksiądz nad sakramentem. – O nie, nie mojej córce.

Papa odwrócił się razem z Julusem. Mutti otuliła Elsie ramionami i kołysała ją.

– To moja wina. Ja zdradziłam nas wszystkich – odezwała się Elsie. W mocnych objęciach matki czuła się znów bezpieczna i chroniona jak małe dziecko.

– Ciiii... Jestem przy tobie. – Mutti kołysała ją i ocierała jej pot z czoła. – Przyszliśmy do domu, jak tylko usłyszeliśmy, co się stało – tłumaczyła. – Wszyscy uciekają z miasta.

Papa podniósł odłamaną z szafki nocnej listwę, obejrzał ją i znów położył. Julius ukrył twarz pod jego paltem i jęczał.

– To koniec świata – powiedziała Mutti. – Amerykanie zajęli Dachau. Mogą być tu lada godzina.

Josef, pomyślała Elsie, i zwinęła się w kłębek, zanurzając się w maślanym zapachu objęć matki.

– Wszyscy żołnierze SS otrzymali rozkaz ewakuacji i walki z napotkanym po drodze wrogiem – mówił dalej Papa.

– Porzucają nas – dodała Mutti.

Dopiero wtedy Elsie poczuła łyzy parzące jej oczy.

– Nie płacz, kochana – uspokajała ją Mutti.

– Dzięki ci, Boże – wyszeptała Elsie, a Mutti przestała ją kołysać. – Jesteśmy ocaleni! – powiedziała Elsie, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez. – Wszyscy! To się skończyło.

Papa popatrzył na nią z powagą.

– To nie Bóg jest odpowiedzialny za koniec Ojczyzny. To zrobił człowiek. – Oczy jego były ciemne i pełne smutku.

– „Co człowiek sieje, to i żąć będzie” – zacytowała Elsie.

Papa uniósł głowę.

– Max, ona jest w szoku – przypomniała Mutti.

– Kto ci to zrobił? – zadał pytanie.

Współziomkowie naziści; jeden oficer, przyjaciel Josefa; mężczyźni zdolni do okrucieństw, o jakich nie umiała mówić przy tacie... Dlatego, że ukrywała żydowskie dziecko; dlatego, że nie wierzyła w człowieka, którego Papa wciąż cytował; dlatego, że nie zgadzała się już z tym krajem. Elsie nie wiedziała, jak zacząć i czy w ogóle ma to sens. Przyciągnęła kolana do brody i odwróciła się od ojca.

– Czy my też uciekamy z miasta? – zapytała mama.

Papa westchnął ciężko.

– To nasza piekarnia, nasz dom. Nie zostawię go, by został splądrowany i zniszczony. Zaryglujemy drzwi i będziemy się modlić do Boga o zmiłowanie.

Mutti nerwowo ścisnęła rękę Elsie.

– W takim razie przyniosę wiadro wody. Musimy jak najszybciej opatrzyć twoje rany. Piec wystygł, rozpal ogień, Max – zwróciła się do Papy.

– Chodź, Juliusie – rzekł Papa.

Wtedy Julius podniósł wzrok i przeniósł go na Elsie i Mutti oraz na pokrwawioną pościel. Spodnie miał wciąż mokre od moczu, oczy zaczerwienione jak wiśnie z syropu. Ramiona kulił ze wstydu. Papa otoczył go ramieniem i bez słowa wyprowadził.

Może on zdradzi jej tajemnicę, ale nie dziś. Dziś w końcu zobaczył, że świat wymknął się jego fikcyjnej, wyimaginowanej doskonałości. Dziś był świadkiem końca własnego dzieciństwa.

*

Przez całą noc i następny dzień padał ulewny deszcz. Wyplukał bruk uliczny do czysta, jak dno strumienia. Do pierwszego maja całe miasteczko zapachniało rozmokłą ziemią i sosnowymi igłami, które spływały w dolinę z namiękłych górskich zboczy.

Elsie przeszukała wszystkie uliczki i drogi wokół piekarni, ale nigdzie nie było śladu Tobiasa. Tak jak powiedział żołnierz: po prostu zniknął. Idąc ulicą, na której poranne mgły unosiły się w górę niczym wstające duchy, była niemal pewna, że on właśnie to zrobił: uniósł się duchem do nieba na ognistych rumakach jak biblijny Elias.

Z frontowej, sklepowej części piekarni obserwowała, jak przez miasto przetaczają się amerykańskie czołgi. Powiewały nad nimi flagi w kolorowe gwiazdki i paski, i wyglądałyby niemal jak jakaś świąteczna parada, gdyby nie ich gigantyczne koła z gąsienicami, które dudniły

i rzeźbiły na ulicznym bruku, taranując samochody i wszystko inne, co napotkały na drodze. W swej bezradności, nie mogąc ich zatrzymać ani znaleźć Tobiasza, Elsie pozostawało tylko się modlić. Jednak nie modliła się o pokój i zrozumienie. Wiedziała już, że takie rzeczy znajduje się dopiero w przyszłym życiu. Modliła się już tylko o wytchnienie.

Hitler nie żył. Wystarczył niecały jeden dzień, by wieść ta rozniosła się po krańce imperium niemieckiego. Strzał w głowę z pistoletu Walther. Reakcje ludności na niezaprzeczalną klęskę i obalenie władzy nazistów były podzielone. Pół miasta go opłakiwało i uważało, że skończył szlachetnie; drugie pół nazywało go tchórzem i dezerterem. W końcu oni tu zostali, by stanąć twarzą w twarz z jego przeciwnikami. I choć Amerykanie wjechali z karabinami w dłoniach i posępnymi twarzami, Elsie szybko odkryła, że byli dużo mniej przerażający, niż opisywała ich nazistowska propaganda, i dużo mniej przerażający niż jej własne gestapo.

Dzień wcześniej grupka żołnierzy amerykańskich wpadła jak burza do piekarni i oczyściła wszystkie półki. Mutti zamknęła się w sypialni z Julusem, lecz żeby przestraszyć teraz Elsie, potrzeba było czegoś więcej niż broń i obca mowa. Uparła się, że stawi czoło wrogom. Tak naprawdę ci mężczyźni wcale nie byli tacy, jak ich przedstawiała nazistowska propaganda. Ich pogwarki brzmiały wesoło i śpiewnie, tak jak zapamiętała z uwielbianych w dzieciństwie filmów.

Jeden młody żołnierz uśmiechnął się, odkrywając w gablocie czerstwy i zapadnięty już tort szwarcwaldzki Papy. Mimo iż był stary i pokruszony na bokach, na jego widok twarz mu się rozjaśniła, a na obu policzkach ukazały się dołeczki. Nie mogła się powstrzymać, by nie odwzajemnić uśmiechu. I wtedy to się stało: widząc ich uśmiechających się do siebie, jego towarzysze też się uśmiechnęli. Potem powiedzieli coś do jednego z żołnierzy, a ten zaśmiał się w głos. Radość rozlała się wokół jak masło na gorącej bułce. Chwilę potem, jakby to był poranek Bożego Narodzenia, cały oddział żołnierzy kroił tort na grube kawałki i pakował je w papier. Elsie to się podobało. Już tak długo nie czuła podobnej zaraźliwej radości, nawet przez krótką chwilę, i cząstka jej duszy była zadowolona, że tort został spożytkowany w taki właśnie sposób.

Papa przez cały czas ich wizyty miał minę surową i zgorszoną.

– Mam nadzieję, że im to zaszkodzi na żołądki – mruknął pod nosem.

To był jego tort, jego chleb, jego praca, teraz rabowana przez żołnierzy wroga. Mutti ze strachu przed konfiskatą schowała swoją ślubną obrączkę w doniczce z koprem na parapecie. Jednak oprócz skonfiskowania tortu żołnierze nie wyrządzili żadnych szkód ani nie zabrali żadnych przedmiotów. Ten, który pierwszy zauważył tort, wychodząc, skłonił głowę i powiedział:

– *Danke schön.*

Elsie w naturalnym odruchu odpowiedziała:

– *Bitte schön.*

Gdy już poszli, Papa nakładł jej do uszu.

– To obcokrajowcy, którzy równie dobrze jak uśmiechać się do słodczy potrafią gwałcić i mordować – mówił.

Ale ona już widziała, jak takie rzeczy robią jej ziomkowie. Otarła się o śmierć i na własnej skórze doznała ich nikczemności. Doświadczyła czegoś, czego jej tata nie umiałby sobie wyobrazić i w co nigdy by nie uwierzył. W porównaniu z tym uśmiech obcokrajowca nie zwiastował nic szczególnie złego. Papa należał do starego, więdnącego pokolenia. Hitlera nie było, rząd nazistów był zniszczony, a Niemcy przeszły pod kontrolę aliantów. Jeśli mieli przetrwać, rozumowała Elsie, musieli się zaprzyjaźnić z tymi nowymi twarzami, tymi obcokrajowcami. A w ich rodzinie ona robi to jako jedyna.

Dziś piekarnia była pusta i cicha. Papa miał wystarczającą ilość mąki z orzechów

i racjonowanych przydziałów proszku, żeby upiec *Brötchen*, ale nikt nie przyszedł. Mieszkańcy miasteczka pozamykali się w domach w obawie przed czołgami i żołnierzami, niepewni swej przyszłości.

– Co oni z nami zrobią? – Mutti rzuciła pytanie do wszystkich i do nikogo.

Cała ich czwórka zebrana w pustej piekarni wyglądała przez frontowe okno sklepu na ulice, które zmieniły się nie do poznania. Wszędzie porozrzucany gruz i śmiecie, pełno obcych twarzy. Elsie przypominało to *Fasching*, dawne parady karnawałowe i radosne widowiska. Tylko że teraz byli ostrożnymi widzami, nie uczestnikami.

– Max? – Mutti oczekiwała odpowiedzi.

Papa czytał *Das brüderliche Jahr* Möllera.

– Nie sędzę, żeby to wiedzieli – rzekł, nie odrywając się od lektury.

Mutti szeptała modlitwę i popijała zimną herbatkę z rumianku. Julius schował się za doniczkę z koprem i dłonią ułożoną jak pistolet celował w głowę każdego przechodzącego człowieka. Elsie stała przy drzwiach, nie mogąc oderwać wzroku od sceny rozgrywającej się na ulicy.

Przy małej publicznej pompie zebrali się amerykańscy żołnierze. Rzucali do siebie paczką papierosów. Przez okna z małymi szybkami ich głosy przenikały jak bąbelki radości. Kruczczożarny żołnierz płynnym ruchem zatknął papierosy za mankiet i włożył jednego do ust. Sylwetką przypominał Elsie Williama Powella i czuła się dokładnie tak, jakby oglądała aktorów w filmie. Patrzyła jak urzeczona.

Żołnierz zauważył jej spojrzenie i zatrzymał na niej swój wzrok. Poczwała dreszcz przenikający ją od piersi aż po policzki. Odwróciła się do niego tyłem. Nigdy tego nie robiła, oglądając Powella.

Żołnierz na zewnątrz roześmiał się.

– Mamy tu widownię!

Elsie spuściła głowę, żeby rodzice nie zauważyli jej rumieńca. Wtedy zobaczyła u swych stóp pod dolną framugą drzwi małą, białą kartkę. Była brudna i nierzucająca się w oczy, gdyby nie jej kształt. Miała rogi zbyt proste, żeby to był zwykły śmieć. Podniosła ją i rozłożyła, natychmiast rozpoznając pismo Josefa.

– Co to jest? – zapytała Mutti.

– Nic. Śmieć z ulicy przywiany pod drzwi. – Elsie zgmiotła papier w dłoni. – Jeśli nikt nie chce jeść naszego chleba, to może ja bym zjadła kawałek, co, Papo?

Mruknął coś znad książki, gdy szła do kuchni.

Schowana w kącie za piecem wyprostowała kartkę.

Elsie!

Mamy przyjaciół, którzy zapraszają nas do cieplejszego klimatu. Nie bój się. Zaczniemy razem nowe życie. Wiem, że ciężko Ci będzie zostawić rodzinę, ale oni nie mają powiązań z Partią. Będą bezpieczni. Co do nas, musimy opuścić Niemcy jak najszybciej. Czekam na Ciebie na dworcu o osiemnastej. Weź tylko to, co musisz. Przed nami długa droga.

Twój mąż Josef.

Twój mąż? Zaciśnęła lewą dłoń. Rzeczywiście! Ledwie go znała. Podpułkownik Josef Hub, zatrudniony w obozie Dachau. Ilu ludzi zabił? Ile kobiet i dzieci? Elsie zastanawiała się, czy to nie on rozkazał gestapowcom szukać Tobiasa w Wigilię, skoro sankcjonował brutalne metody Kremora. Poczwała w gardle cierpki smak. Podarła list na kawałeczki i wrzuciła do pieca. Nie, nie spotka się z Josefem na dworcu. Zostanie tutaj. Niezależnie od tego, co jej rodzice widzieli i czego nie zrobili, mimo surowego wychowania siostrzeńca i ofiary poniesionej przez siostrę – oni są jej rodziną. Josef nią nie jest. Chociaż nosiła jego pierścionek, w sercu nigdy nie

czuła do niego przywiązania. Zwiesiła głowę ze wstydu, że przyszło jej kłamać. Była zmęczona udawaniem, że wierzy w to, w co nie wierzy, i że jest tym, kim nie jest.

Na półce leżało kilka dopiero co ostygłych, lśniących orzechowobrazową chrupiącą skórką bułek. Rozłamała jedną z nich i zjadła jej słodki, parujący środek. Jutro pomoże Papie zdobyć prawdziwe mleko, mąkę i jaja. Potem rozpalą w piecu i upieką chleb.

Rozdział 32

Franklin Ridge Drive 3168
El Paso, stan Teksas
7 stycznia 2008 r.

Reba z zaskoczeniem ujrzała, że na ekranie jej komórki wyświetla się JANE MERIWETHER. Kilka miesięcy temu dała jej swój numer, ale dotąd jeszcze nie dzwoniła. To był pierwszy raz.

Ściszyła telewizor. Była dwudziesta piętnaście. Anthony Bourdain przymierzał się właśnie do zjedzenia pieczonego świńskiego jelita grubego w Namibii. Przez cały wieczór oglądała różne *reality show*, próbując czymś zająć umysł. Rano odbyła czterdziestopięciominutową rozmowę z Leigh. Szło bardzo dobrze, jak jej się zdawało, dopóki Leigh nie powiedziała, że rozważa jeszcze jedną kandydaturę. Ta nieznana rywalka przyprawiła Rebę o paranoję. Leigh obiecała powiadomić ją e-mailem o ostatecznej decyzji w ciągu dwudziestu czterech godzin. To oczekiwanie sprawiało, że była podekscytowana jak szczeniak proszący o przysmak.

– Jane! – odezwała się, wdzięczna, że dzieje się coś nowego.

– Rebo, przepraszam, że tak późno cię niepokoję – Jane mówiła przejętym głosem. – Mamy kłopot. Pomyślałam, że może ty nam pomożesz.

Reba usiadła prosto na kanapie.

– Coś z Elsie? – Serce jej przyspieszyło.

– Nie, mama w porządku. Nie chcę, żeby o tym wiedziała. Chodzi o Sergia. – Głos jej się załamał. – Aresztowali go.

– Aresztowali? Za co? – Reba nie umiała sobie wyobrazić Sergia robiącego coś, co mogłoby komukolwiek przeszkadzać, może z wyjątkiem zbyt powolnego smarowania bułek masłem.

– On jest tu nielegalnie. Miał wizę, ale wygasła już przed laty, a nie przedłużył jej, bo nie miał pieniędzy. Zamierzają go wywieźć przez granicę i nie będzie mu wolno tu wrócić przez dziesięć lat!

Zapadła cisza. Reba już myślała, że straciły połączenie, ale właśnie gdy chciała coś powiedzieć, Jane zaczęła mówić dalej.

– To ten, o którym ci opowiadałam. Mężczyzna, z którym jestem. Kocha mnie. W każdej chwili mógłby mi zaproponować małżeństwo, a wówczas dostałby obywatelstwo, ale nie zrobił tego. Wiedział, jak bym zareagowała... tyle osób się pobiera dla zielonej karty. Szanował, że byłam zadowolona z tego, iż jest, jak jest. Ale ja byłam głupią kretynką. Powinnam sama to dla niego zrobić. – Głos jej się rwał. – Rebo, ja nie mogę żyć bez Sergia.

Reba gryzła skórki przy paznokciach, nie wiedząc, co ma zrobić i co powiedzieć.

– Gdzie on jest?

– O to chodzi. Jest zatrzymany na posterunku.

Reba ugryzła zbyt mocno. U dołu paznokcia zebrała się krew.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że twój eks pracuje w straży granicznej. Myślałam, że może...

– Spróbuj. – Reba wysłała krew i poczuła jej żelazisty smak. – Trzymaj się dzielnie.

Rozłączyła się. Na ekranie telewizora twarz Anthony'ego Bourdaina wykrzywiła się z niesmakiem. Reba czuła się podobnie. Wybrała numer Rikiego.

Odpowiedział po drugim sygnale.

– Halo?

Na dźwięk jego głosu wstrzymała oddech.

– Halo? – powtórzył. – Reba?

– Tak. To ja. Cześć... przepraszam. – Wzięła się w garść. W tym momencie powinna zapamiętać o swoich uczuciach i przedstawić mu fakty. – Riki, mam znajomego, który ma problemy. Nazywa się Sergio Rodriguez. Został zgarnięty przez straż graniczną. Jest nielegalnie, ale mieszka tu już od paru dziesięcioleci.

Nastąpiła długa przerwa. Reba przycisnęła telefon bliżej do policzka, słysząc po drugiej stronie jego oddech. Boże, jak za nim tęskniła.

– Tak, zatrzymaliśmy go – powiedział wreszcie Riki.

– Czy jest jakaś możliwość, żeby go wypuścić? On potrzebuje tylko nowej wizy. – Palce jej się trzęsły, więc spłótła je razem. – Nie możemy pozwolić, żeby go na dobre wydalono z kraju.

– Rebo, istnieje procedura, a sama wiesz najlepiej, że nie mogę naginać prawa. Nawet dla ciebie. Ja... – zaczął, lecz nie dokończył. Odchrząknął.

Reba uświadomiła sobie, że jemu jest tak samo trudno.

– Riki, nie dzwoniłabym, ale jesteś jedyną osobą, której ufam. Miałam nadzieję, że będziesz mógł pomóc.

– A dlaczego ten znajomy jest tak ważny? Co go wyróżnia spośród innych?

Gorycz w jego głosie przeniknęła ją do szpiku kości i zaczęła tracić pewność siebie.

– Moja znajoma Jane go kocha. – Znów wysłała krew z palca, który ją piekł.

– Za coś takiego wpadłbym w prawdziwe tarapaty. – Westchnął. – Ale w jego dokumentach są pewne niedopatrzania. To mu da dodatkowe kilka dni.

– Cokolwiek – rzekła Reba.

– Daj mi godzinę. Będzie stał przed posterunkiem.

Reba przytuliła policzek do słuchawki, jakby chciała przez nią poczuć jego bliskość i ciepło.

– Dziękuję. – Kolejna chwila dręczącej ciszy.

– To ja już lepiej... – zaczął Riki.

– Tęsknię za tobą. – Reba sama nie wiedziała, skąd to się wzięło. Zasłoniła usta i wsłuchiwała się w trzaski w telefonie.

– Taak – odparł lakonicznie.

– Myliłam się – wyrzuciła pośpiesznie. – Co do wielu rzeczy. Ja... się bałam.

Coś kliknęło po jego stronie. Pewnie długopis, domyśliła się.

– Ja też się myliłem. – Riki westchnął. – Prosiłem o coś, czego sam nie dawałem. Muszę się zmienić.

Płuca Reby napełniły się do granic, a wypuszczając powietrze, czuła ulgę, radość i miłość.

Telewizor migał reklamą turystyczną: „Kalifornia. Znajdź się tam”.

*

Następnego dnia wcześniej rano Reba wraz z Jane, Sergiem i Rikim stali w Urzędzie Miasta El Paso. Potrzebnych było dwóch świadków. Wybór Reby był oczywisty, ale drugiego trudno było im znaleźć w tak krótkim czasie. Jane nie chciała wtajemniczać Elsie. Wyjaśnianie tego wszystkiego o wschodzie słońca nie byłoby najlepszą prezentacją nowo nabytego ziemia. Reba się z tym zgadzała, więc jeszcze raz zadzwoniła do Rikiego. Zgodził się przyjść, mówiąc, że to posłuży weryfikacji statusu Sergia. Reba miała nadzieję, że nie tylko temu.

Jane miała na sobie cieniutką białą koszulę i powiewną spódnicę w kwiaty lubinu. Włosy związała z tyłu tak, żeby wyeksponować te w kolorze blond, a zamaskować siwe. Promieniała radością i uderzająco przypominała młodą Elsie z czarno-białej fotografii.

Za czterdzieści dwa dolary urzędnik magistratu przeprowadził krótką, lecz solidną ceremonię i wręczył im świadectwo ślubu.

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Reba czuła ucisk w krtani. Stojący obok niej Riki także był cały spięty.

– Nigdy nie myślałam, że przyjdzie ten dzień. – Jane pocałowała Sergia.

– Gratulacje – powiedziała Reba.

– Chciałbym wam bardzo, bardzo podziękować za wszystko, co zrobiliście.

Sergio uściskał dłoń Reby, a potem Rikiego z takim oddaniem, że Reba aż się zarumieniła. Wszystko, co zrobiła, to była jedna rozmowa telefoniczna. To wyłącznie Rikiemu należały się podziękowania.

– Czas na przyjęcie! – oznajmiła Jane. – Zamierzam sobie ukroić gruby kawałek tortu i wylizać wszystko, co do najmniejszego czekoladowego okruszka. – Nagle przerwała, pocierając czoło. – To znaczy, jak już powiem mamie. Boże, dopomóż nam.

Sergio otoczył ją ramieniem.

– Po prostu musi przyjąć to do wiadomości. – Jane przytuliła się do niego. – Rebo, Riki, idziecie, prawda?

– Ja lepiej wrócę na posterunek. Inaczej Bert kogoś tam zabije za wypuszczenie Sergia. Muszę wszystko powyjaśniać – rzekł Riki.

Reba nastroszyła się. Tak długo się z nim nie widziała i tak miło było, gdy stał tuż obok. Nie chciała, żeby odszedł.

– Proszę – przekonywała Jane. – Przyjdź, zjedz kawałek tortu szwarcwaldzkiego w naszym domu. Nalegam. Muszę wam podziękować za wszystko, co dla nas zrobiliście. Wiesz co, ciągle sobie powtarzam, że przecież dopiero cię poznałam, ale tak naprawdę czuję, jakbym cię znała już długo. Pewnie dlatego, że Reba tyle o tobie opowiadała.

Oczy Reby napotkały wzrok Rikiego.

– No to może na chwilę. – Poglądził się po brzuchu. – Nie jadłem śniadania, a słyszałem, że pieczesz najlepsze ciasta w mieście.

Jane puściła oczko.

– Strzał w dziesiątkę. To prawda.

*

Wjeżdżając na parking przed piekarnią, już wiedzieli, że będą kłopoty. Piętnaście po dziewiątej na drzwiach wisiała jeszcze tabliczka „Zamknięte”, chociaż w środku paliły się światła.

Jakiś klient wracał do swojego samochodu, zmagając się z wiatrem.

– Nie otworzyli dzisiaj! – krzyknął do nich.

Jane użyła swoich kluczy i weszła do środka.

– Mamo!

– Gdzie ty byłaś? – Zza kotary w drzwiach do kuchni dał się słyszeć głos Elsie.

Cała czwórka westchnęła jednocześnie.

– Ja już nie jestem młoda. Nie mogę mieszać, piec, lukrować i obsługiwać klientów. Był czas, że mogłam, ja, ale nie teraz. – Szczęknęła rzucona blacha. – Budzę się rano, a ciebie nie ma, zniknęłaś. Myślę, poszłaś wcześniej robić precle, ale w kuchni nikogo nie ma. Ciasto wyrośnięte jak diabli! – Kolejny szczęk. – Całe rano klienci się dobijają do drzwi. Spieszę się, ale... Przekłete stare ręce! Przekłete nowe piece! Na gazie tak się nie piecze jak na starym

dobrym ogniu. – Wyłoniła się z kuchni z dwoma bochenkami chleba. Twarz miała tak samo bladą jak umączone ręce. – O, wyszłaś sobie z przyjaciółmi. Bardzo rozsądne. – Cisnęła bochenki na półkę i założyła za uszy cienkie, białe pasma włosów.

– Mamo, to była nagła sprawa – tłumaczyła Jane.

– Nagła sprawa? Uhuu. Tak nagła, że nie mogłaś obudzić swojej Mutti i jej powiedzieć? W mgnieniu oka jej twarz wykrzywiła się. Elsie zasłoniła usta.

– Mamo, przepraszam. – Jane podeszła do niej i przyciągnęła ją do siebie. – Ale już jestem.

Po raz pierwszy, odkąd Reba ją знаła, Elsie wyglądała na swój wiek, na kobietę zniszczoną przez noce i dnie, tygodnie i lata. Reba musiała odwrócić wzrok; patrzyła na podłogę, na swoje buty, na buty Rikiego. Pomyślała o swojej matce i o wszystkim, co przeszła.

Elsie szybko doszła do siebie, strząsnęła demony i uniosła brodę.

– Wybaczcie mi. To był trudny poranek. Później mi wyjaśnisz. – Chrząknęła i kontynuowała swą pracę. – *Mach schnell!* Rebo, czy mogłabyś przekręcić tabliczkę? Jesteśmy otwarci. Jane, przynieś Sergiowi to, co zwykle i... – Zwróciła się do Rikiego: – My się chyba nie znamy.

– Riki Chavez. – Wyciągnął rękę.

Elsie uniosła brew.

– Riki od Reby?

Riki wyprostował się.

– Tak – potwierdziła Reba.

Spojrzał na nią, jakby chciał o coś zapytać, ale tylko odwrócił się do Elsie i kiwnął głową.

– Miło cię wreszcie poznać. Wybacz moje ręce. Właśnie formowałam ciasto. – Elsie wytarła ręce o fartuch i przyglądała włosy. – Jesteś tu pierwszy raz, trzeba ci dać jakiś specjał. Może pierniczki? Albo piernik. Upieczony dziś rano.

Riki skłonił się.

– Wygląda smakowicie, ale Jane wspomniała coś o okolicznościowym torcie.

– Okolicznościowym torcie? To twoje urodziny?

Reba ściągnęła usta.

– Nie, uum... – Riki popatrzył na Rebę, potem na Jane.

– To ma związek z tym, o czym mówiłam – podchwyciła Jane. – Z nagłą sprawą, mamo.

– Zaciśnęła dłonie i wyprostowała się. – Sergio i ja pobraliśmy się dziś rano. Wczoraj go zatrzymali, bo nie przedłużył sobie wizy, a Reba i Riki pomogli go wydostać. My spotykaliśmy się, no wiesz, w sensie romansowym, już od lat, i uznałam, że najwyższy czas coś z tym zrobić. W końcu jestem kobietą czterdziestopięcioletnią. – Wyciągnęła rękę do Sergia, wdychając głęboko powietrze, którego jej zabrakło.

Elsie kompletnie znieruchomiła. Reba przestraszyła się o jej zdrowie.

– Pani Meriwether. – Sergio zaskoczył ich wszystkich, wychodząc naprzód. – Wiem, że nie jestem takim mężczyzną, jakiego pani oczekiwała dla swej córki, ale ja panią bardzo szanuję. Była pani dla mnie dobra od pierwszej zjedzonej tu kromki chleba i czułbym się zaszczycony, mogąc panią nazywać swoją rodziną. Kocham Jane. Bardzo prosimy panią o błogosławieństwo.

Jane przygryzała wargę, Rebę ścisnęło za gardło. Nastąpiła niezręczna cisza, której nikt nie miał odwagi przerwać. Czekali na reakcję Elsie, a ona powoli spuściła głowę i pociągnęła nosem.

– Mamo – szepnęła Jane.

Elsie podniosła głowę z radosnym uśmiechem.

– Dzięki Bogu! Już myślałam, że jesteś lesbijką.

– Co?! – Jane wzięła się pod boki.
Elsie otarła łzy radości.
– Tak jak powiedziałaś, jesteś czterdziestopięcioletnią niezamężną kobietą, zawsze bawiłaś się z chłopcami. Nigdy nie przyjaźniłaś się z kobietami, no a potem pojawiła się panna Reba.
– Uuu... ja? – rzuciła Reba.
Elsie mówiła dalej.
– Taka silna osobowość, a nie może się zdecydować co do... no wiesz. Nie jestem tumanką, takie rzeczy zdarzały się od lat. Choćby Marlena Dietrich. – Ujęła w obie dłonie twarz Sergia. – Błogosławię, błogosławię. – I ucałowała go w policzki.
– Ha! – rzucił Riki.
Jane zmarszczyła czoło.
– Mamo, ty mówisz poważnie? Przez te wszystkie lata ja szukałam idealnego mężczyzny dla ciebie.
– Mój już nie żyje, odszedł. – Rozłożyła ręce bezradnie. – Gdybyś ty wolała kobiety, to nic mi do tego, jeśli tylko byłabyś szczęśliwa. Ale nie wyglądałaś na szczęśliwą... no i chciałabym mieć wnuki!
– Boże święty! – Jane spiekła raka.
– Nie martw się też wiekiem. W komputerze wyczytałam, że jakaś kobieta urodziła dziecko, mając sześćdziesiątkę. A ty jesteś, jak to się mówi, młódka w porównaniu z nią. – Elsie pochyliła się i wyciągnęła z gabloty wysoki czarno-biały tort. – *Ach ja*, świętujemy! – Nożem do tortów poprzecinała skomplikowane wzory z waniliowego lukru i wiórków czekoladowych, na każdym kawałku tortu zostawiając po jednej wiśni. – Proszę, jedzcie. – Nakładała trójkątne porcje na stojący obok stos talerzyków.
– Lesbijka... naprawdę, mamo, musisz odstawić Internet – rzekła Jane z przekąsem.
– A ty powinnaś już dawno przestać chować głowę w kurz, ale czy ja coś mówiłam?
– W piasek, mamo – poprawiła ją Jane.
– Co w piasek?
– Chować głowę w piasek.
– No właśnie! – Elsie kiwnęła głową. – Zawsze myślałam, że ty i Sergio bylibyście dobrą parą. On tak się do ciebie uśmiechał. – Poklepała Jane po policzku.
Jane pokazała wymuszony uśmiech, po czym wzięła swój kawałek tortu, usiadła obok Sergia i zaczęła go karmić z ręki.
– Dla ciebie. – Elsie podała porcję Rikiemu i zaczęła kroić następny.
Reba powstrzymała ją.
– Ja wezmę od Rikiego. – I zwróciła się do niego: – Już jem nabiął.
– Naprawdę? – zapytał. – Co jeszcze się w tobie zmieniło od czasu, gdy się wprowadziłem?
– Wiele rzeczy musiało – odparła.
Riki wziął od Elsie widelczyk i wskazał na stolik.
– Powiesz?
Po zjedzeniu ostatniego kawałka tortu Jane posadziła Sergia przy kasie, a ona z Elsie poszły pracować w kuchni. Riki z Rebą siedzieli jeszcze jakiś czas przy stoliku, jedząc do spółki czekoladowe ciasto, podczas gdy do piekarni jeden po drugim wchodzili klienci.

Rozdział 33

Garmisch, Niemcy
1 maja 1945 r.

Pociąg o osiemnastej przyjechał i odjechał bez Elsie i bez Josefa. Josef obawiał się, że Elsie nie dostała wiadomości, którą wsunął pod drzwi, więc trzymając się bocznych uliczek, powlókł się jeszcze raz do piekarni. Zapukał do drzwi kuchennych. Nikt nie odpowiedział. Z drugiej strony budynku dochodziły jakieś głosy, więc obszedł go dookoła. Od frontu zebrała się grupka Amerykanów. Ukrył się w cieniu, który o zachodzie słońca był coraz większy i głębszy.

– Jak to cudownie z twojej strony, panienko – mówił korpulentny żołnierz z wbitym w hełm wielkim pociskiem. – Żyliśmy od wielu tygodni na sucharach, papierosach i czekoladzie. Jak dobrze zjeść coś świeżego. – Włożył bułkę do ust, odgryzł kawał i żuł. – Powinnaś poznać naszego kucharza. Nauczyć go tego i owego – mruknął z zadowoleniem. – Hej, Robby! – zawołał.

Odwrócił się ciemnowłosa mężczyzna ze zwisającym z ust palącym się papierosem.

– Musisz się nauczyć takie piec, dać nam dla odmiany jakieś porządne jedzenie.

– Dajcie mi składniki, a może upiekę – odparł Robby wesoło.

– Piękne to wasze miasteczko – odezwał się szczupły Amerykanin o łagodnym głosie, wyglądający na rasowego Aryjczyka. – Klimatem przypomina mój dom rodzinny. Jestem z Gaylord w Michigan. Słyszałaś kiedyś? Na północ od Detroit.

– Zamknij się, Sam. Nie wolno nam się bratać ani wdawać w rozmowy z tymi ludźmi. Nie mówiąc o tym, że ona nie rozumie ani słowa z tego, co mówisz – zgasił go inny.

Josef wyciągnął szyję zza rogu, żeby zobaczyć, kogo to dotyczyło. Stała tam Elsie z koszykiem opartym o wysunięte biodro.

– Ta panienska dała nam jedzenie nie pochodzące z zimnej puszkii. Zasługuje przynajmniej na podziękowanie – bąknął Sam i poprawił karabin na plecach. – Poza tym każdy słyszał o Detroit.

– Nie, jeśli się jest Niemką i nie odróżnia *hello* od *good bye*, a tym bardziej Nowego Jorku od Hollywood. – Korpulentny żołnierz podłubał w zębie brudnym paznokciem kciuka, po czym ugryzł kolejny kęs.

– Hollywood – wtrąciła się Elsie. – Jean Harlow? – Podparła się jedną ręką w talii, uniosła brodę i wyrecytowała niemal płynną angielszczyznę: – „Nie wiesz jednej dziesiątej tego. Nie uwierzyłbyś, czego musiałam bronić. Pierwszego wieczoru, gdy się spotkaliśmy, ten facet spierał się ze mną przez dwie godziny. O co? Że jakaś kobieta w Jersey urodziła czworaczki. I tak było już zawsze”.

Żołnierze zamilkli, po czym wybuchnęli śmiechem.

Josef przywarł z powrotem do zimnego muru. Przejmujący ból rozsadał mu czaszkę. Co Elsie robi, rozdaje im chleb? Rozmawia z nimi, w obcym języku? Nie był pewien, czy to nie halucynacje.

– Chyba nie masz racji, Potter – rzekł Robby. Zgasił papierosa o kamień brukowy i zatknął peta za ucho. – Ona wie więcej, niż myślisz. Tak jest, Jean Harlow. – Kiwnął głową. – Ale osobiście nazwałbym cię Laną Turner.

Ktoś zagwizdał. Potter nadał pierś i zatrzepotał rzęsami. Żołnierze roześmiali się. Elsie też. Josef przyklejony plecami do kamieni walczył, żeby się nie przewrócić, tak pulsowało mu

w głowie.

– *Romantyczna pulapka?* – dodała Elsie.

– No ty na pewno. – Robby puścił oko.

Elsie uśmiechnęła się i podała mu bułkę.

Wziął ją.

– Może będę uchodził za zdrajcę jak ten Benedict Arnold, jeśli ci to powiem, ale... do diabła z tym. Dziękuję. *Danke schön*.

– *Bitte schön* – odpowiedziała.

– Pracowita mróweczka. Nie tak jak większość tych niemieckich dziewcząt – stwierdził

Potter.

– Mró-wecz-ka? – powtórzyła Elsie.

– Ha! – Potter klepnął Sama po plecach, wytrącając mu z ręki bułkę. – Pojętna.

Sam podniósł bułkę i wytarł o rękaw.

– Może powinniśmy jej coś dać. Zapłacić za jedzenie?

– Dobrze gadasz. – Robby pogrzebał w swoim chlebaku i wyciągnął prostokątną tabliczkę. – Skoro jest z piekarni, pewnie lubi czekoladę. – Podał ją Elsie.

Obróciła tabliczkę dookoła i rozdarła papier. Oczy jej się zaświeciły.

– *Schokolade!* – Ugryzła kawałek z boku. – *Ist gut!*

– No i rozmawiamy – zauważył Robby. – Co jeszcze macie, chłopcy?

– Paczkę fajek – odparł Sam.

Robby wziął papierosy i wyciągnął w jej stronę.

– Palisz?

Wzięła jeden cienki patyczek. Ktoś rzucił Robby’emu zapalniczkę, a on przypalił jej koniec papierosa. Pociągnęła i wypuściła obłok dymu z łatwością i elegancją gwiazdy filmowej.

Josef nie mógł uwierzyć swym oczom. Elsie była całkiem inną kobietą. I ten sposób, w jaki stała, odważny i pewny siebie – w niczym nie przypominała tamtej delikatnej dziewczyny u jego boku na balu świątecznym.

Nagle rozkasła się i żołnierze otoczyli ją kołem.

– *You okay?* – zapytał Sam.

Elsie oddychała głęboko.

– Ou-kej, ou-kej – powtórzyła skrzekliwie jak modra sójka, po czym oddała papierosa Robby’emu. – *Nein*. – Ugryzła jeszcze kawałek czekolady, zawinęła ją z powrotem i włożyła do koszyka. – *Thank you*.

Mężczyźni znów parsknęli śmiechem.

– Jest oblatana. – Potter podrapał się po brzuchu i poprawił karabin przerzucony przez ramię.

– *Wie ist* twoje imię? – zapytał Robby.

– Elsie Schmidt – odpowiedziała. – *Und sie?*

– Sierżant Robby Lee. – Ukłonił się.

– Kucharz nadzwyczajny – dodał Potter. – Przyznaję, że jeśli ma czas i przydział, ten chłopak potrafi z podłej wieprzowiny zrobić niezłą pieczeń.

– Urodzony i wychowany w Karolinie Północnej. – Pociągnął papierosa Elsie. – Mam to we krwi. Moja mama, gdy była ze mną w ciąży, cały czas jadła tylko pieczeń. Jednak w wypiekach jestem trochę niedouczony.

Elsie podniosła bułkę.

– *Brötchen*.

Spojrzeli sobie w oczy i nawet ze swej kryjówki w cieniu Josef czuł, jak między nimi

zaiskrzyło. Przeszył go ból. Na jej ręku nie było pierścionka. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, jak mogła tak szybko zapomnieć o nim i o swoim kraju? Zdrajczyni, pomyślał, i nagle ten głos, który mu rozciął umysł na pół, okazał się głosem syna Herr Hochschilda. Wszystkie mięśnie mu się napięły, od stóp do głowy. Nie mógł oddychać. Zamknął oczy, nie mogąc opanować konwulsji i obezwładniającego wspomnienia.

Rozdział 34

Centrum Wypoczynku i Rekreacji
Amerykańskich Sił Zbrojnych
Gernackerstrasse 19
Garmisch, Niemcy
26 czerwca 1945 r.

– Dodaj do śmietany kirschwassera – instruowała Elsie po angielsku. – Ubij na gęsto.

Robby kiwnął głową.

– Dobrze. – Zaczął ubijać.

– Więcej pary! – Poruszyła ręką, że ma być mocniej.

Zwiększył tempo. Jego bicepsy pod burooliwkowym podkoszulkiem poruszały się naokoło miski w rytm ubijania słodkiego kremu. Elsie usiłowała tego nie dostrzegać, nie wyobrazić sobie znajomego ciała pod spodem. Skupiła się więc na skrobaniu wiórków czekoladowych obieraczką do marchwi.

Schwarzwälder Kirschtorte robiła już tysiąc razy, ale nigdy dotąd przesiewanie mąki czy drylowanie wiśni nie wydawało jej się tak prowokujące. Było to irracjonalne i absurdalne, to była normalna kuchnia z piecem, garnkami i brytfankami. Nie było w niej nic uwodzicielskiego ani ryzykownego poza tym, że była to kuchnia amerykańska z Robbym Lee w środku.

– Jak to wygląda? – Robby przechylił prawą stronę miski. Ubity krem zachował swój spiralny kształt. Elsie zebrała palcem stojący czubek kremu i polizała.

– *Gut*. Skosztuj.

Zamiast spróbować, Robby objął Elsie za szyję i pocałował jej umazane kremem wargi.

– No, naprawdę – powiedział.

Elsie odsunęła go łokciem z powrotem do pracy.

– Mamy upiec tort – powiedziała po niemiecku.

– *Ein Kuchen. Jawohl, Fräulein*. – Robby roześmiał się i zasalutował.

Elsie przychodziła do Centrum Wypoczynku i Rekreacji Amerykańskich Sił Zbrojnych, odkąd je otwarto. Po tygodniu okupacji Amerykanie przekształcili ośrodek nazistowski po drugiej stronie miasta, gdzie była na balu świątecznym, w ośrodek wypoczynkowy dla szeregowców. Przyjeżdżali tu na przepustki żołnierze z całej Europy, żeby jeździć na nartach, wędrować po górach, grać w karty i jeść potrawy, które nie pochodziły z puszkowanych racji. Miasto zaroilo się od uśmiechniętych mężczyzn, którzy spędzali tu dzień czy dwa urlopu od służby wojskowej.

Gdy wojna się skończyła, rodzina Elsie miała nadzieję, że przyjdzie jakaś wiadomość od Hazel. Elsie oczekiwała, że siostra lada chwila wejdzie do piekarni, ale tak się nie stało. Mijał dzień po dniu i ich serca zaczynały mieć coraz większą pewność tego, czego umysł nie chciał do siebie dopuścić. Krążyły pogłoski o tym, jak mężczyźni, kobiety i całe rodziny zabijały obce lub ich własne kule. Ośrodki Lebensborn i wszyscy uczestnicy Programu zniknęli z dnia na dzień. Nawet ci, którzy jeszcze kilka miesięcy wcześniej mówili o nim z wielkim szacunkiem, teraz kręcili głowami i wruszcali ramionami. Elsie się na to obruszała, postrzegając jako jeszcze jeden akt zdrady. Gryzła się w język za każdym razem, gdy Papa wspominał Josefa.

– Są jakieś wiadomości? Sprawdzałaś pocztę? – pytał co dzień, jakby nic się nie zmieniło i poczta przychodziła tak jak zawsze.

O Josefie od otrzymania tamtej kartki nic nie słyszała i przypuszczała, że jest już na

wybrzeżu w Argentynie lub Brazylii, gdzieś daleko od Niemiec. Nie przydałby się w odnalezieniu Hazel. Nie miał już żadnych wpływów we władzach. I nie było już niemieckich władz. Berlin został zniszczony. Wszelkie archiwa pewnie zamieniono w popiół.

Nie miała też żadnej wiadomości od Frau Rattelmüller od tamtego lodowatego dnia przy stosie drewna, tuż przed inwazją aliantów. Amerykanie skonfiskowali jej dom i urządzili w nim prowizoryczną kwaterę oficerską. Początkowo Elsie obawiała się o życie staruszki i ukrywanych przez nią lokatorów, ale dom nie był przeszukiwany przez gestapo tak jak piekarnia. Elsie poszła sprawdzić i zajrzała przez otwarte okna. Nie było żadnych śladów demolowania. Nawet jednej drzazgi. Poduszki na kanapie w salonie leżały wygodnie na swoim miejscu; porcelanowe figurki Hummel ustawione były tak jak zawsze. Dom został po prostu opuszczony.

Elsie miała nadzieję, że Frau Rattelmüller w końcu dotarła do swoich żydowskich przyjaciół, i czuła wielki spokój na myśl o tym, że Cecile może być pod dobrą opieką. Pocieszyłoby to również Tobiasza, myślała. Ogromnie za nim tęskniła. Jej pokój bez tej cichej obecności, która przedtem wyznaczała naturalny rytm życia, sprawiał wrażenie, jakby go pozbawiono serca. Pocieszała się tym, że pomimo dokładnych poszukiwań w mieście i w lesie Amerykanie nie znaleźli ciała małego chłopca. Musiał się stąd wydostać, nie miała wątpliwości, i tylko żywiła nadzieję, że pewnego dnia da o sobie znać.

Julius nigdy nie wspominał o Tobiasie ani o ataku Kremera. W ogóle nie mówił o tamtych potwornych dniach kwietniowych. Coś w nim się zmieniło. Dalej był ponurym chłopcem, ale jego przywiązanie do poprzedniej, narzuconej osobowości znacznie zmalało. Bez dyskusji robił, co mu kazano, i wykazywał naturalną zdolność do liczenia. Pomagał Mutti liczyć pieniądze w kasie i z niezwykłą precyzją dzielił ciasto na kawałki, żeby wyszło dokładnie tuzin. Wszyscy z zadowoleniem patrzyli na rozwój jego zainteresowań; żołnierzyki leżały zapomniane w skopku na mleko.

Pragnąc przywrócić ich życiu normalność, Mutti zapisała Juliusa do lokalnej szkoły podstawowej, gdy tylko *Grundschule* otwarto na nowo. Była to jednak inna nauka niż w Ośrodku Lebensborn. Przez dwa dni się boczył, bo nauczyciel posadził go obok dziewczynki z dużym czerwonym znamieniem na ręku. Papa wytłumaczył mu, że zabarwienia skóry nie mają nic wspólnego z charakterem człowieka. Lekcja ta poszła na marne, gdy do piekarni weszło dwóch czarnoskórych Amerykanów i Papa odmówił ich obsłużenia.

Elsie uważała, że to głupota rezygnować z jakichkolwiek pieniędzy. Pełna kasa oznaczała pełne żołądki zarówno klientów, jak i całej rodziny. Bez wsparcia ze strony nazistów rachunki piekarni ucierpiały. Po wielu tygodniach amerykańskiej okupacji ani starzy klienci, ani nowi nie przychodzili do nich regularnie. Chociaż Papa nigdy nic nie mówił, Elsie widziała po jego mrukiwym obejściu, że trzeba się postarać o większe zarobki. Ponieważ nikt inny się do tego nie skłaniał, wzięła to na siebie i zapytała Robby'ego, czy nie przydałby się doświadczony piekarz w kuchni Centrum Wypoczynku i Rekreacji.

Jednak przepisy wojskowe były surowe, a obywatele niemieccy – podejrzani. Dowódca Robby'ego powiedział, że nie może ryzykować infiltracji kuchni przez spiskujących agentów podziemia, no i masowego zatrucia. Mimo to Robby przekonał go, że Elsie jest nieszkodliwa, a nawet może wnieść nieco więcej swobody. Nie było trudno zareklamować siedemnastolatkę wyglądającą jak z okładki czasopisma, choć jego zwierzchnik zaznaczył, by się zbytnio nie spoufała. Obowiązywała zasada niebratania się wojskowych z ludnością. Żołnierz przyłapany na nawiązywaniu prywatnych znajomości z Niemcami mógł zostać oskarżony o działalność wywrotową. Na szczęście Departament Wojny Stanów Zjednoczonych znajdował się daleko za oceanem. Robby mrugnął znacząco do dowódcy i pokiwał głową, a trzy dni później otrzymał podpisane półoficjalne pozwolenie na pracę dla Elsie i zatrudnienie jej jako kelnerki.

Pracowała tam na popołudniowej zmianie, ale rodzicom powiedziała, że dostała pracę na zmywaku w restauracji Von Steuben. Papa trochę się zżymał. Von Steuben szybko zyskała sobie opinię hałaśliwego baru dla żołnierzy amerykańskich, którzy wpadali tam na kufel ciemnego *ale*, pieczoną kielbasę i niewyszukaną muzykę. Z niesmakiem myślał o tym, że Elsie przebywa wśród takiej klienteli, lecz wkrótce się poddał, wzięwszy pod uwagę jej zarobki i fakt, że tylko zmywała naczynia. Prawda byłaby dla niego trudniejsza do zaakceptowania, a ona zwyczajnie nie miała teraz energii, by się z nim o to sprzeczać. Potrzebowali pieniędzy, a ta praca je dawała. Kiedyś mu powie. Na razie miała nadzieję, że nie będzie się dopytywał, dlaczego nie ma czerwonych i popękanych dłoni lub dlaczego ciągle pachnie melasą, cebulą i pomidorami. Specjalnością każdego dnia w Centrum była pieczeń Robby'ego.

Nie lubiła przyjmować zamówień i roznosić na tacy hamburgerów, smażonych ziemniaków, makaronu zapiekanego z serem i innych potraw zwanych „przysmakami domowymi”, ale lubiła czas spędzany w kuchni. Po godzinach Robby uczył ją angielskiego – umiała już nieco więcej niż te kilka dialogów z *Romantycznej pułapki* – a także gotowania amerykańskiego jedzenia. Ona w zamian uczyła go przepisów niemieckich.

Na pierwszej lekcji Robby'ego była amerykańska szarlotka, w zasadzie taka jak *Versunkener Apfelkuchen* Papy, ze zmianą paru składników. Ona pokazała mu, jak zrobić ciasto miodowe *Bienenstich*, „żądło pszczoły”. Powiedział, że jeszcze nigdy nie jadł czegoś tak pysznego, więc Elsie była zadowolona. Potem były ciasteczka Toll House – Robby tłumaczył się, że nie były takie jak prawdziwe, bo zamiast jego ulubionej czekolady Nestlé użyli czekolady z przydziałów wojskowych. Zdaniem Elsie ciastka niczym szczególnym się nie wyróżniały. Słodkie ciasto z wrzuconymi byle jak kawałkami czekolady. Za słodkie jak na jej podniebienie.

I tak mijały dni: wczesne ranki w piekarni i długie wieczory w kuchni Centrum. Lubiała spędzać czas z Robbym i nie minęło wiele czasu, a ich losy splotły się w jedno.

Ciasta czekoladowe zostały upieczone i ostudzone. Elsie przekroiła je.

– Kirschwasser.

Nasączyła cztery księżycy wiśniówką.

– To może uchodzić za niemiecką wodę święconą. – Robby objął talię Elsie i pocałował ją w kark.

Poczuła, jak jej ramiona i kolana miękły, podczas gdy wiśniówka lała się w miękki środek ciasta.

Przed wojną Kościół luterański ogłosił, że seks pozamałżeński jest grzechem. Dziewice były gloryfikowane i w życiu, i w bajkach, dziewczęta o wiadomej reputacji wyśmiewane i otoczone hańbą. Dzieci z nieprawego łoża odrzucano jako bękarty. Ale wszystko to się zmieniło. Hazel traktowana była jak klacz rozrodowa; chwalono ją i szanowano. A teraz po prostu stała się zapomnianym i niechcianym atrybutem wojny. Oczywiście każdy w Niemczech czegoś tam żałował. Były czyny, których człowiek nie potrafił wytłumaczyć ani duchowny rozgrzeszyć. Pobożność wyszła z mody i Elsie szybko pojęła, że jej młodość i uroda mogą posłużyć komuś innemu albo też jej samej. Nigdy więcej nie będzie słaba. To, co robiła z Robbym, nie miało nic wspólnego z nim, a wszystko z nią.

Odstawiła butelkę z wiśniówką.

– Zepsujesz ciasto – ostrzegła, po czym chwyciła Robby'ego za ramiona i przyciągnęła bliżej.

– I co będzie dalej? – wyszeptał w jej objęciach.

– Trzeba przełożyć warstwy kremem – oznajmiła, wskazując na miskę z ubitą śmietaną.

– A potem? – Przejechał palcami wzdłuż jej obojczyka.

Policzki miała gorące, sukienka ją cisnęła.

– Lukrowanie.

– A potem? – Rozpiął guziki jej gorsetu.

Z rozpiętym przodem sukienki lepiej jej się oddychało, na nagiej skórze czuła chłodne powietrze. Żar z policzków spłynął w dół do jej wnętrza jak roztopiona czekolada, by zaspokoić jej głód. Nie powstrzymywała go.

– Czekolada i... – pocałował zagłębienie między jej piersiami, a ona poczuła, że dostaje gęziej skórki – ...i wiśnie.

Gdy Robby podnosił ją na blat, odsunęła miskę i ciasta.

Rozdział 35

Niemiecka piekarnia U Elsie
Trawood Drive 2032
El Paso, stan Teksas
30 stycznia 2008 r.

– *Happy birthday, dear Elsie. Happy birthday to you* – śpiewali.

Elsie siedziała przy stoliku z twarzą rozplamioną od blasku świeczek na największym torcie, jaki udało się Jane upiec w tajemnicy.

Reba i Riki przyszli razem. Po ślubie Jane pogodzili się, lecz postanowili się nie spieszyć. On został w swoim mieszkaniu w centrum, ale Reba już nie musiała zgadywać, w którym budynku mieszka. Przychodziła tam często, przynosząc potrawy ugotowane w domu, tak że w końcu jedli razem.

Jane i Elsie zrobiły jej skrócony kurs pieczenia – „101 porad”. Jej cytrynowe pączki były przebojem. Riki stwierdził, że przypominają mu *churros*, które jego ojciec kupował od ulicznych sprzedawców w Juárez. Chleb chłopski Reby był mniej udany. Drożdże nie wyrosły i wyszedł twardy jak tektura. Riki docenił jednak jej wysiłki, mówiąc, że mogą to jeść jako dużą, prostokątną tortillę. Śmiejąc się, zjedli chleb z domowej roboty salsą i białym serem, *queso fresco*. W całym swoim życiu Reba nie czuła się tak lekko.

Elsie zdmuchnęła świeczki i zrobiło się ciemno.

– Jestem szczęśliwa, że dożyłam tylu lat!

Sergio zapalił światło, a Jane pokroiła tort na grube kwadraty.

– Mamo, upiekłam jedno z twoich ulubionych: placek z kruszonką z przyprawami.

– Placek z kruszonką? – zapytała Reba. – Moja babcia go piekła. To jest z Niemiec?

– Nie. – Elsie rozdała im widelczyki. – Dostałam przepis od znajomego, szefa kuchni z Karoliny Północnej. Po wojnie stacjonował w Garmisch.

– Nigdy mi nie mówiłaś – zauważyła Jane. – Myślałam, że to adaptacja niemieckiego ciasta. – Ugryzła kawałek.

– To dowód na to, że nawet w moim wieku ma się tajemnice. – Elsie zgarnęła do ust kawałek karmelowej polewy. W zamyśleniu przeżuła i połknęła. – Pyszne. Sama bym lepszego nie zrobiła. – Mrugnęła do Jane i nabrała widelcem następną porcję.

Jane uśmiechnęła się. Sergio pocałował ją w szyję.

– Więc piecze pani według przepisów niemieckich i amerykańskich, a myślała pani kiedyś o nauczaniu się meksykańskich? W tych okolicach można by na tym zarobić – rzekł Riki.

Sergio przytaknął. Jane uniosła palec.

– Tarty i *tres leches* można dostać w tym mieście na każdym rogu, a nigdzie indziej nie ma prawdziwego niemieckiego chleba. To nas czyni wyjątkowymi. Mamy wyłączność na rynku.

– Właściwie chętnie bym się nauczyła – stwierdziła Elsie.

Jane aż upuściła z widelca kawałek ciasta.

Elsie wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie? Człowiek nigdy nie jest za stary na naukę nowych rzeczy. Może to nie będzie tak dobre jak u mojej sąsiadki Marii Sanchez, ale też nie zamierzam otwierać piekarni meksykańskiej. – Zwróciła się do Rikiego. – Umiesz piec?

Riki zawahał się.

– Niezupełnie. Repertuar moich przepisów składa się z jednego: *pan de muertos*. Chleb

umarłych. Zawsze pomagałem swojej mamie go piec na Día de Muertos.

– Chleb umarłych – starannie powtórzyła Elsie. – Jakie odpowiednie! – Roześmiała się.

– Nie bądź makabryczna – powiedziała Jane.

– *Ach was!* To moje osiemdziesiąte urodziny. Żyję już wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie można swej śmiertelności traktować zbyt poważnie. W Niemczech mamy powiedzenie: *Alles grau in grau malen*. Nie trzeba widzieć wszystkiego w czarnych barwach. Nie mamy prawa, inni mają dużo gorzej.

Reba wysłała Jane pocieszający uśmiech.

– Ten chleb jest właściwie afirmacją życia – wyjaśnił Riki. – Meksykanie widzą śmierć zupełnie inaczej niż ludzie kultury zachodniej. My świętujemy śmierć jako kontinuum, rodzaj koegzystencji. Nawet opisujemy ją jako elegancką kobietę.

– Catrina, Pani Umarłych – dorzucił Sergio. – Piękna, bezcielesna kobieta w kapeluszu z kwiatami. – Uśmiechnął się, ukazując przyklejony do dolnej wargi kawałek polewy cynamonowej.

Jane zrobiła pogardliwy gest dłonią.

– Czyż to nie podnosi na duchu?

Elsie ją zignorowała.

– Ja kocham kapelusze z kwiatami. Po zakończeniu wojny byłam na *Strassenfest*, paradzie ulicznej, w Monachium i miałam na głowie kapelusz z czerwonymi pelargoniami. Tyle już czasu nie myślałam o tamtym lecie. – Klepnęła Rikiego w ramię. – Ta Pani Umarłych ma coś ze mną wspólnego. Pokażesz mi, jak upiec chleb umarłych. W prezencie urodzinowym. Jane i Reba też się nauczą.

– My?

Spojrzały po sobie. Elsie potaknęła.

– Musicie uczyć swoje dzieci ich kultury. I niemieckiej, i meksykańskiej. To samo dotyczy ciebie, Rebo.

Reba zakrzuszyła się kawałkiem gąbczastego ciasta.

Riki uśmiechnął się.

– Umowa stoi.

– *Prosit!* – Elsie uniosła swoją szklankę *Apfelsaftschorle*, soku jabłkowego pół na pół z wodą mineralną.

*

Radio w samochodzie grało jakąś wolną melodię. Reba i Riki zaparkowali przed mieszkaniem Reby na Franklin Ridge. Nie mogła dłużej odkładać powiedzenia mu o San Francisco.

Leigh zadzwoniła i zostawiła wiadomość w czasie, gdy Reba świętowała w piekarni zaślubiny Jane i Sergia. Dostała tę pracę. Odbierając wiadomość, znieruchomiała. Za dużo szczęścia upakowane w jednym dniu: spotkanie z Rikim, ślub Jane i Sergia, a potem wymarzona praca. To było wszystko, czego pragnęła. Dlaczego więc poczuła się, jakby słońce przestało świecić? Pamiętała słowa Didi: „Bądź szczęśliwa, Rebo. Obiecuj mi, że sobie pozwolisz”.

Reba oddzwoniła do Leigh, przyjęła pracę i poprosiła o możliwie jak najpóźniejszy termin rozpoczęcia. Leigh wiele nie ustąpiła.

– Pierwszy poniedziałek lutego – oznajmiła.

Reba złożyła wymówienie w „Sun City” i wystawiła mieszkanie na sprzedaż w lokalnej agencji nieruchomości. Co mogła, zapakowała do kartonów, a resztę oddała sąsiadom. Opłaciła rachunki za cały miesiąc, odwołała prenumeratę „El Paso Times” i opróżniła szafy. O swym nadchodzącym wyjeździe powiedziała prawie wszystkim z wyjątkiem Rikiego. Tak dobrze się

układało. Nie chciała, by pękło jak bańka mydlana.

Wpisując datę na urodzinowej kartce dla Elsie, uprzytomniła sobie, że do końca tygodnia musi wyjechać do Kalifornii. Przyjęcie urodzinowe Elsie nie było odpowiednim momentem, żeby mu to zakomunikować, jednak teraz też nie była dobra chwila. Wyjazd był jej szansą na dziennikarstwo z prawdziwego zdarzenia. Musiała go o tym przekonać i już zbierała się na odwagę, gdy on ściszył radio.

– Możesz sobie wyobrazić, jak to jest mieć osiemdziesiąt lat? – Podrapał się po wieczornym zaroście. – Tyle widziała.

Reba pokiwała głową, główkując, jak przejść na temat San Francisco.

– Prawdziwa przygoda. Nie bać się nieznanego. – To wszystko, co udało jej się wymyślić. Riki przytaknął.

– Chodzi mi o to, że przez całe swoje życie podążała za tym, czymkolwiek „to” było. Zadał głowę.

Reba krążyła myślami, szukając punktu odniesienia.

– Tak, to inspirujące. Chciałoby się... wziąć byka za rogi, prawda?

W radiu rozmowę na antenie przerwał cichy sygnał stacji.

W końcu Reba wyrzuciła to z siebie.

– Riki, „San Francisco Monthly” zaproponował mi pracę redaktorki. To czasopismo z górnej półki. Praca marzeń! Zaczynam od zaraz.

Popatrzyła na wyświetlający się zakres radiostacji: 93,1. Silnik auta pracował głośno na wolnych obrotach. Nie miała odwagi spojrzeć Rikiemu w oczy.

– Wyjeżdżasz? – zapytał.

– Zawsze właśnie tego chciałam.

– Ummm. – Grzejnik w samochodzie szumiał i perkotał. – San Francisco. Będziesz nad wodą.

Reba skinęła głową.

– Nad zatoką. Przyjedziesz. – Nie brzmiało to przekonująco, ale chciała, by wiedział, że o tym myślała.

Wciągnął powietrze i zatrzymał.

– Moje życie jest tutaj. Nie mogę zabrać się stąd i wyjechać. – Wypuścił powietrze. – Cieszę się razem z tobą, Rebo. Naprawdę. – Położył dłoń na jej dłoni.

Odwróciła się i zobaczyła, że mówi szczerze. W oczach miał czułość i powagę przepełnioną bólem. Zamiast ulgi Reba poczuła, jak rośnie w niej smutek.

Rozdział 36

Parada uliczna
Leopoldstrasse w Schwabing
Monachium, Niemcy
28 lipca 1945 r.

– Tam mają precle z musztardą! – Robby przekrzykiwał łomot ulicznej orkiestry. Przeciskał się przez tłum, ciągnąc za sobą trzymaną za rękę Elsie. Za nimi podążali Sam i Potter z wielkimi kuflami pianistego piwa.

Elsie poczuła w ustach niesmak na samą myśl o ostrej musztardzie. Od dwóch tygodni źle się czuła. Po zaliczeniu wieczornej zmiany ledwo starczało jej siły, żeby pomachać Robby'emu w kuchni i wrócić rowerem do domu. Od świtu do nocy była zmęczona, a do tego zupełnie straciła apetyt. Dzięki Amerykanom rzeźnik dostał nowy przydział wieprzowiny i Mutti mogła teraz kupować długie pęta kielbasy z szałwią, dawnego przysmaku Elsie. Jednak zapach tłuszczu w kuchni przyprawiał ją o mdłości i nie miała ochoty nawet spróbować. Mutti zrzuciła to na karb zbyt ciężkiej pracy. Wszyscy tak pracowali. Jednak było to dziwne, że po tylu miesiącach wygłodzenia nie miała ochoty na to, co kiedyś najbardziej lubiła.

Wolny dzień, oto czego potrzebowała. W tę sobotę kuchnia Centrum była zamknięta ze względu na wymianę przeciekającej rury. Elsie poprosiła również Papę o dzień wolny w piekarni. Robby i dwóch jego kolegów jechali pociągiem do Monachium na paradę uliczną. Od lat w żadnym mieście nie urządzano tradycyjnych imprez, ponieważ naziści zabronili obchodzenia wszelkich świąt niezwiązanych z Partią. W głębi duszy Papa tęsknił za starymi tradycjami, tak jak wszyscy. Zgodził się, żeby pojechała ze znajomym z Von Steuben, chociaż taki znajomy nie istniał.

Rano w dniu wyjazdu spała dłużej niż zwykle, i to pomogło. Obudziła się silniejsza i zregenerowana; zjadła nawet na śniadanie porcję gotowanej szynki, choć smakowała nieświeżo.

Mutti zrobiła jej niespodziankę w postaci nowej dirndl, haftowanej pięknie w delikatnej maki i obszytej pasującą do nich czerwienią. Była zrobiona z materiału przysłanego przez Hazel.

– Potrzebujesz czegoś nowego, żeby włożyć na święto – powiedziała Mutti, wygładzając między palcami szwy sukienki. – Wiem, że czerwony był ulubionym kolorem twojej siostry, ale ona chciałaby, żebyś ty to nosiła. Z twoimi oczami możesz nosić każdy kolor i wyglądać pięknie.

Po raz pierwszy zdarzyło się, żeby Mutti chwaliła urodę Elsie bardziej niż urodę Hazel, i Elsie doskonale to rozumiała: Mutti nie wierzyła, że Hazel jeszcze kiedyś wróci do domu.

– Masz, kochanie. – Mutti podała jej sukienkę. – Weź, zanim ją pobrudzę mąką – dodała, choć jeszcze nie zabrała się do pieczenia. – Przed wyjściem koniecznie mi pokaż, jak wyglądasz. – Mutti wyszła i zamknęła za sobą drzwi jej sypialni.

Elsie położyła sukienkę na łóżku, rozkładając jej brązową rozkloszowaną spódnicę szeroko jak ogon pawia. Hazel wyglądałaby w tym ślicznie. Niezwykłe ubranie, tak jakby Mutti wyszła na rękawach i obrąbku cząstkę swego serca. Od czasu sukni od Josefa w tamtą Wigilię nie miała na sobie czegoś tak wspaniałego. To jednak było cenniejsze niż wszystkie szyfony Paryża, cały jedwab Szanghaju i wełna Kastylii, ze względu na wszystko, co suknia przetrwała, wszystko, co oni przetrwali. Zdjęła muślinowy szlafrok i rozpięła sukienkę w talii. Z naelektryzowanej cieniutkiej halki do miedzianych guzików przeskoczyły iskierek prądu.

Potem patrzyła na siebie w lustrze z podziwem i zdumieniem, że suknia uszyta na rozmiar Hazel tak świetnie na niej leży. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jej figura się wypełniła. Nawet

pomimo ostatniego braku apetytu zaokrągliły jej się piersi i biodra jak nigdy dotąd. Zapięła sukienkę, posmarowała nadgarstki szamponem różanym, wyjęła z szafy pasujący kapelusz i rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Była gotowa. Prawie.

Czegoś jeszcze w tym stroju brakowało, by wyglądał tak atrakcyjnie jak na zdjęciach amerykańskich kociaków w Centrum Wypoczynku i Rekreacji. W zewnętrznej skrzynce okiennej coś się czerwieniło. Czerwone pelargonie poruszane letnim wiatrem. Zerwała największą kiść kwiatów i zatknęła za wstążkę kapelusza.

Teraz ktoś w rozbawionym tłumie potracił jej kapelusz. Kwiaty spadły i zostały rozdeptane przez wiele stóp obutych w drewniaki. Elsie ogarnęła się dopiero, gdy dotarli do kiosku piekarni U Johannsów. W jej opinii misternie poukładane precle wyglądały tak, jakby spędziły za mało czasu w sodzie, a za dużo na słońcu.

– Dwa. – Robby pokazał palcami znak pokoju.

– *Nein* – zaprotestowała Elsie.

– Musisz coś zjeść. – Robby zmarszczył brwi. – Chcesz się upić?

Sama wypila cały kufel piwa. Słód w magiczny sposób uspokoił jej żołądek. Miała ochotę na drugie, ale wiedziała, że to niemądre. Już czuła w głowie lekkie upojenie. Papa mówił, że ciemny lager, podobnie jak ciemna czekolada, właśnie tak działa.

– Mają smażone pączki. Może chcesz jednego? – nalegał Robby.

Małe, posypane cukrem kulki leżały na pergaminowych podkładkach, ociekając tłuszczem. Ślina napłynęła jej do ust.

– *Ja*.

Robby poprosił o jednego precla i jednego pączka. Sam i Potter zadowolili się piwem; ich uwagę przyciągały dwie biuściaste dziewczyny w falbaniastych sukienkach z dużym dekoltem.

Elsie trzymała ciepły pączek na dłoni. Z apetytem ugryzła kawałek, ale był słodki nie do zniesienia. Z trudem go przelknęła i resztę oddała Robby'emu.

– Zjedz. – Kręcąc nosem, pokazała ręką, że nie chce.

– Nie dorównuje jakością tym od Schmidów? – zażartował.

– Schmidt? – wtrąciła się kobieta stojąca w kolejce za nimi. Miała zaokrąglony brzuch i typowy dla ciężarnych pryszcz na czubku nosa. – Hazel Schmidt?

Elsie starała się nie koncentrować na jej defekcie.

– To moja siostra – wyjaśniła.

– O! Więc musi pani znać Josefa Huba?

O mały włos nie zwróciła pączka. Chciała odejść, ale kobieta szła za nią.

– On szukał pani siostry. Czy znalazł ją w końcu? Był dowódcą oddziału jej narzeczonego w Monachium. Petera Abenda.

Elsie odwróciła się tyłem do Robby'ego. Kobieta zrobiła to samo i mówiła dalej.

– Ja byłam nazi... sekretarką w archiwum w Monachium. Nigdy nie zapominam nazwisk.

– Poglaskała się po brzuchu. – Z Josefem byliśmy znajomymi, zanim poznałam swego męża. – Pokazała przez ramię na czekającego w kolejce korpulentnego mężczyznę. – Josef poprosił mnie o wyjęcie kartoteki Hazel Schmidt, czego naturalnie nigdy bym nie zrobiła. Wtedy to były tajne informacje. – Energicznie wyprostowała ramiona. – Straciliśmy kontakt. Ciekawa byłam, czy ją znalazł.

– Kiedy to było? – Serce Elsie zaczęło bić mocniej, ożyła nadzieja.

– Hmm... – Kobieta postukała palcami w wystający brzuch. – Tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy, może czterdziesty drugi. Nie pamiętam. Wydaje się, że minęły wieki, prawda?

Rzeczywiście. Elsie przypomniała sobie, jak Josef po raz pierwszy wszedł przez drzwi

piekarni w swym nakrochmalonym mundurze, wysoki i dumny, i wydało jej się to sceną z ciemnej sali kinowej, pozbawioną kontekstu otoczenia.

– Taki był chaos po upadku Rzeszy. Od miesięcy nie słyszałam nic o Josefie – powiedziała Elsie.

– A więc pani go znała. To dobry człowiek. – Odchrząknęła. – Taka szkoda. Słońce w pełni lata grzało niemiłosiernie, pomimo kapelusza.

– Szkoda?

– Nie słyszała pani?

Pokręciła głową. Uszy ją paliły.

Kobieta spojrzała na męża, po czym przysunęła się bliżej.

– Znaleźli go wraz z grupą oficerów SS na statku zacumowanym w Brunsbüttel.

Zbiorowe samobójstwo.

Elsie zrobiło się ciemno przed oczami. Mrugała rozpaczliwie.

– Wszyscy zastrzeleni, krwawa jatka. Oprócz Josefa. On, jak podają, miał wstrzykniętą truciznę – dokończyła szeptem.

Elsie ciężko łąpała powietrze, ale to nie pomogło. Kwas podszedł jej do gardła i nim zdążyła się odwrócić, zwymiotowała na drewniane chodaki kobiety.

Robby podbiegł do niej.

– Elsie?

Uklęła na ziemi i złapała się trawy.

– Przepraszam, wszystko przez piwo. – Robby tłumaczył kobiecie. – Cały tydzień źle się czuła. Prawie nic nie mogła jeść.

Kobieta strąciła z buta kawałek smażonego pączka.

– Nic nie szkodzi. To samo miałam jeszcze niedawno. W tej ciąży miałam straszliwe nudności.

Elsie wpatrywała się w złocisty kwiat mniszka w pełnym rozkwicie. W głowie nadal jej się kołowało, ale już tak nie huczał uliczny zgiełk. Położyła dłoń na brzuchu. Niemożliwe.

Rozdział 37

Straż Celna i Graniczna
Stanów Zjednoczonych
Montana Avenue 8935
El Paso, stan Teksas

– Oryginalna wiadomość –
Od: reba.adams@hotmail.com
Wysłano: 14 lutego 2008, 18:52
Do: ricardo.m.chavez@cbp.dhs.gov
Temat: Myślę o Tobie
14 lutego 2008
Szczęśliwych walentynek, Riki!

Próbowałam dzwonić na komórkę, ale pewnie byłeś zajęty na posterunku. Przykro mi, że nie mogę być tam i patrzeć, jak słońce zmienia niebo w kolory naszych ulubionych lodów. Ile naliczyliśmy tamtym razem? Trzydzieści trzy różne odcienie? To o dwa więcej niż jest w lodach Baskin-Robbins. Moim ulubionym zawsze będzie marakuja, ananas, ptasie mleczko i śmietankowy. Ten nad Sunland Park w Nowym Meksyku. Więc jeśli zobaczysz je dzisiaj, spróbuj i za mnie.

Tu nad zatoką jest inny zachód słońca. Moim zdaniem trochę rozmyty. Ale mieszkanie jest bardzo ładne. Moja naczelną, Leigh, pomogła mi je znaleźć, i to z pełnym umeblowaniem. Była długa lista oczekujących na mieszkanie w tym kompleksie apartamentów, ale jedno jej słowo i przesunęli mnie na początek. Spodobałoby ci się. Z mojego balkonu widać morze. Leigh w biurze daje mi popalić. Trochę mi przypomina Elsie z tym jej organicznym wręcz bzikiem na punkcie lokalnej żywności, wino wyłącznie z Napa. Mam nadzieję, że tylko ten tydzień jest tak upiorny, a jak już mnie we wszystko wprowadzi, trochę się uspokoi.

Moje pierwsze zadanie to artykuł o nowym trendzie – skrzyżowanie nocnego klubu z restauracją. Ciekawe. Leigh mówi, że mam poznawać z autopsji miejską scenę rozrywki, ale większość swojej pracy wykonywać w biurze, nie w plenerze. Ciekawe, co tak naprawdę to oznacza.

San Fran jest dużo większe niż El Paso, to pewne. Także dużo większe niż Richmond. Wczoraj przeszłam się po centrum. Pomyślałam, że obejrzę parę symboli miasta: przystań rybacką, fabrykę czekolady Ghirardelli, piekarnię Boudin. Kupiłam tam bułkę w kształcie żółwia. Poważnie. Istna karykatura. I tak samo smakuje. Mdła jak woda ze stawu. Musisz powiedzieć Elsie, że nic nie dorównuje jej *Brötchen*, nawet w słynnych piekarniach wielkich miast.

Byłeś ostatnio w piekarni? Ja dzwoniłam kilka razy, ale (co nie dziwne) odpowiedział automat. Elsie naprawdę powinna sobie założyć pocztę elektroniczną. Filtr spamów nie dopuszcza żadnego porno ani reklam viagry. Powiedz jej to.

Tęsknię.
Kocham
Reba

Rozdział 38

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
2 sierpnia 1945 r.

Elsie szła po schodach na górę, żeby się przebrać na wieczorną zmianę. Amerykańskie Centrum Wypoczynku i Rekreacji szykowało się na przybycie tłumu klientów: eskadry bombowej na tygodniowej przepustce. Cały oddział miał przyjechać autobusem z Fritzlara w Niemczech. Robby poprosił Elsie, żeby po zakończeniu pracy jako kelnerka pomogła mu jeszcze w kuchni. Zgodziła się, choć niechętnie. Była przerażona czekającym ją wieczorem. Miała już za sobą ciężki dzień w piekarni. Papa pojechał do Partenkirchen, gdzie znów otwarto młyn, a piekarnię zostawił pod opieką Elsie. Była całkowicie wycieńczona, a miała tylko godzinę, żeby się przebrać i dojechać rowerem do Centrum.

Zaraz po paradzie usiadła z kalendarzem. Cięża była możliwa. Od kilku miesięcy nie miała okresu. Tłumaczyła to sobie tym, że za dużo jest na nogach, a za mało je. W czasie wojny często miewała takie zatrzymania cyklu, i teraz nie było inaczej. Tak myślała. Nie ma czasu na to, żeby być w ciąży, mówiła sobie, gdy przyszedł poniedziałek i zaczął się kolejny tydzień. W ciągu dnia jej umysł i ręce zajęte były mieszaniem, walcowaniem i przyjmowaniem zamówień. Ale w nocy lęk o to, czy nie nosi w swoim łonie bękarta, nie dawał jej zasnąć.

Ta bezsenność i zmęczenie fizyczne sprawiały, że nawet wejście po schodach do swego pokoju było dla niej straszliwym wysiłkiem. Teraz zatrzymała się w pół drogi i oparła o ścianę, walcząc z obezwładniającym pragnieniem, by poddać się sile ciężenia i polecieć w dół. Podparła się mocno obiema rękami i szła dalej.

W pokoju, tak jak stała, położyła się na łóżku, tylko na chwilę, żeby udać sen i tym podstępem ożywić nieco ciało. Lecz poduszka wydała jej się tak gorąca, że aż paliła w uszy. Usiadła, potarła czoło i pomodliła się o siły, na które z pewnością nie zasługiwała.

– Nie wyglądasz dobrze. – W drzwiach stała Mutti. – Nie możesz długo utrzymać czegokolwiek w żołądku. – Popatrzyła na nocnik.

Elsie starała się myć go natychmiast po każdym ataku wymiotów i wierzyła, że Mutti jest zbyt zajęta domem i Julusem, by to zauważyć.

– Coś tam mogę – wyjaśniła.

– *Ja*. – Mutti weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. – Z pewnością.

Elsie poczuła, że stają jej włoski na rękach.

– Julius już wrócił ze szkoły? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Pytał, czy może pójść do domu swojego kolegi szkolnego, Rory'ego Schneidera.

Najstarszego syna Bitsy Schneider.

Elsie pamiętała ich dobrze. Bitsy i Hazel przyjaźniły się w szkole. Pochodząca z biedniejszej rodziny Bitsy wyszła za kowala Henriego Schneidera, przyjaciela swego ojca, starszego od niej o dwadzieścia lat. Wtedy wszyscy współczuli Bitsy: jej mąż był za stary, żeby chodzić na przyjęcia Hitlerjugend czy wstąpić do SS. Teraz, gdy miała już trójkę dzieci i czwarte w drodze, a mąż był bezpieczny w domu, niejedna zazdrościła jej udanego małżeństwa.

Elsie poczuła, że jej stopy w butach są zdrętwiałe z zimna.

– To dobrze, że znajduje sobie przyjaciół.

– *Ja*. Dałam mu imbir i owoc dzikiej róży, żeby zaniósł Bitsy. Mówi, że dziecko całą noc

kopie ją w żebra. Powiedziałam jej, że to oznacza silnego chłopca. To błogosławieństwo urodzić takiego w naszych ciężkich czasach.

Elsie pośpiesznie przytaknęła. Mutti usiadła obok niej.

– Przykro mi, że ty tak to źle znosisz, ale na początku to normalne.

Elsie poczuła, że nogi i ręce ma jak z waty.

– Nie wiem, co masz na myśli, Mutti. Najadłam się zepsutego sera.

Mutti położyła dłoń na brzuchu Elsie.

– Obawiam się, że to jednak dużo więcej niż ser. – Elsie nie była w stanie ruszyć się z miejsca ani nic powiedzieć. – Jesteś w ciąży.

Bezceremonialność słów Mutti sparaliżowała ją kompletnie. Chociaż myślała o tym już od tygodni, wypowiedzenie tego na głos sprawiło, że stało się realne. Ale nie, jak to możliwe? Nie może mieć dziecka, nie chce go, nie teraz, nie tak. Jej ramiona bezwładnie opadły do przodu, potem klatka piersiowa i całe ciało, aż upadła na podłogę. Była zbyt zmęczona, żeby płakać. Nie miała siły wytworzyć łez, zawodzić lub bić się w piersi. Mogła tylko zastygnąć w bezruchu.

– Boże, pomóż mi – wyszeptwała.

Mutti uklękła na podłodze i objęła Elsie ramieniem.

– Chcesz tego?

Elsie zamknęła oczy.

– Przepraszam cię, Mutti.

Wiedziała, że to grzech przeciwko Bogu nie chcieć swojego dziecka, grzech przeciwko wszystkiemu, co naturalne i święte. Pomyślała o Hazel: o tym jak promieniała dumą ze swoich dzieci i o bólu jej rozszarpanego na strzępy serca w ostatnich kilku listach. Przyszły przed tygodniem. Ovidia nie mogła ich wysłać wcześniej, dopiero teraz. Elsie odczytała, co się dało, z brudnych, zamoczonych kartek. Potem w ciemnościach nocy tłumiała płacz, zastanawiając się, gdzie mogła się podziąć Hazel. Nie pozwoliła sobie uważać jej za zmarłą, nie mogła. Ogrom jej rozpacz był tak dotkliwy i tak świeży jak otwarta rana. Bała się, że gdyby pozwoliła sobie dalej krwawić z bólu, poddałaby się temu całkowicie. Nie pokazała listów rodzicom. Tej jednej obietnicy mogła Hazel dotrzymać, skoro w końcu ją zawiodła... zawiodła także Tobiasa, a teraz zawodzi własne dziecko.

– Ciii. To nie twoja wina. – Mutti otarła łzy z policzka Elsie. – Umarł czy uciekł, Josefa nie ma. Zostawił cię niezabezpieczoną przeciwko... – Odkaslnęła. – Jesteś za młoda, żeby mieć zrujnowane życie.

Elsie opuściła brodę. Wiedziała, że powinna powiedzieć Mutti o Robbym, ale nigdy nie potrafiła z nią rozmawiać o takich rzeczach.

Mutti popatrzyła przed siebie.

– To prawdopodobnie trzeci miesiąc. Jeszcze mamy czas to zatrzymać.

Elsie słyszała o kobietach, które omal nie umarły po wbiciu im do wnętrza łona szpikulca do lodu, żyłki umocowanej na cygarnicze czy drutów do dziergania. Skrzywiła się.

– Znam specjalne zioła – mówiła Mutti, patrząc w dal szeroko otwartymi oczami – napar z mięty polej i pluskwicy. Sześć filiżanek dziennie przez pięć dni. Szóstego dnia zaczyna się krwawienie. Normalnie, jak co miesiąc.

Elsie z trudem przełknęła ślinę. Zioła? To wydawało się takie zwyczajne i niegroźne.

– Ty je stosowałaś?

Mutti ściągnęła usta.

– Tak jak powiedziałam przedtem twojej siostrze: mężczyźni i wojna nie zmieniają się. Zdarzają się rzeczy poza naszą kontrolą. Co nie znaczy, że w ogóle nie mamy kontroli. Twój ojciec nie był moim pierwszym mężczyzną. – Przygryzła dolną wargę. – To, co się tobie

zdarzyło, zdarzyło się i mnie. W czasie pierwszej wojny do domu przyszli rosyjscy żołnierze. – Mięła w ręku fartuch. – Ja nie znalazłam wtedy mężczyzny, a oni wzięli to sami. Nie można było nic zrobić. Nigdy nie mówiłam o tym twemu tacie. Tylko Hazel i teraz tobie. Gdy umarł Peter i Hazel odkryła, że jest w ciąży z Juliusem, miała wybór. Jej dziecko było owocem miłości. Ale twoje i moje... – Głos jej się załamał. – Gdybym tylko wcześniej wtedy przyszła. Powinnam cię lepiej chronić. Przysięgałam sobie, że moje dzieci nigdy nie doznają takiego cierpienia jak ja.

Elsie czuła dreszcze na całym ciele. Prawie trzydzieści lat minęło, a Mutti wciąż miała poczucie winy. Czy tak samo może być z nią?

– Postąpiłaś najlepiej, jak umiałaś – zapewniła ją Elsie, po czym skrzyżowała ręce na brzuchu.

Mutti pociągnęła nosem i otarła łzy fartuchem.

– Jest lato. Kwitnie mięta polej. – Pocałowała Elsie w czubek głowy. – Nie będziemy już o tym rozmawiać. Nikt nie musi wiedzieć. Zrobimy to i będziemy się modlić o Boże zmiłowanie. To wszystko, co możemy.

Elsie przytuliła się do ręki matki. Pachniała słodko suszonymi ziołami i mlekiem z miodem. Elsie chciała zmyć z siebie ten ciężar, całkiem i do końca. Niepewnie kiwnęła głową.

Rozdział 39

Straż Celna i Graniczna
Stanów Zjednoczonych
Montana Avenue 8935
El Paso, stan Teksas
5 marca 2008 r.

Riki przyjechał na posterunek wcześniej, z oczami podkrążonymi od nieprzespanych nocy. Miał sny. Takie, po których odczuwał lęk i niepokój, pomimo ciepłych wieczorów i miękkich prześcieradeł. W swoim apartamencie nie czuł się jak w domu. Nie pamiętał dokładnie, o czym śnił. Gdy tylko się obudził, wizje zniknęły, wtapiając się w ściany ze sztukateriami.

Matka mówiła mu zawsze, że w snach świat duchów kontaktuje się z żywymi. Jako dziecko wierzył w to, do czasu, gdy kiedyś przyśniło mu się, że matka zginęła w katastrofie lotniczej. Stwierdził, że są tylko trzy wytłumaczenia: świat duchów jest pełen kłamców; świat duchów nie istnieje; sny są całkowicie sfabrykowane przez podświadomość. Najbardziej przekonujące było to ostatnie, zważywszy na fakt, że jego matka nigdy nie leciała samolotem. Umarła dziesięć lat później na gruźlicę, a zaraz po niej ojciec. Po ich śmierci chciałby nadal w to wierzyć. Chciałby ich jeszcze zobaczyć, choćby tylko we śnie.

Poza tym chciał, żeby była tu Reba, teraz. Nie należał do ludzi oszukujących siebie samych. Tęsknił za nią. Jej pogrążone we śnie ciało i kosmyk włosów były dla niego jak balsam i dopóki spała obok niego, spał głęboko i bez snów. Próbował sobie wyobrazić, że leży obok, i w ten sposób uzyskać wewnętrzny spokój, lecz druga strona łóżka była pusta i dojmująco zimna.

Riki celowo nie odpowiadał na większość telefonów i e-maili Reby. Miał nadzieję, że te tygodnie po ślubie Jane są nowym początkiem, lecz stało się nader jasne, że Reba nie wiąże z nim swojej przyszłości. Nie zmusi jej do tego i nie powinien. Ale jego rozum i serce były ze sobą w konflikcie. Praca dawała mu jakieś zajęcie, lecz nawet to stało się niemiłym obowiązkiem.

O piątej rano wstał, zjadł miskę chrupiek kukurydzianych, wziął prysznic, ogolił się i ruszył do pracy.

Bert siedział już za swoim biurkiem z dużą filiżanką kawy.

– Masz sprawozdanie? – zapytał Bert.

Riki zwałił się na swoje krzesło ciężko, zupełnie pozbawiony energii.

– Sprawozdanie? – Włączył komputer i musiał odwrócić wzrok od migającej ikony startu.

Oczy go paliły.

– Taa. – Bert siorbnął kawę. – Miałem telefon wczoraj o dwudziestej trzeciej. Ty nie?

Telefon Rikiego był wyłączony. Ładował baterię przez noc i zapomniał go włączyć po obudzeniu.

– Nie. Ładowałem telefon i był wyłączony.

Bert sięgnął do stojącego obok faksu.

– Poważnie, człowieku, musisz mieć telefon i radio czynne okrągły tydzień przez całą dobę. Technicznie one są własnością rządu. Rozumiem, że musisz naładować, ale... – Prychnął i rzucił na biurko Rikiego stertę wydruków z faksu.

– Co to jest? – Riki przecierał oczy.

– Chłopak z Juárez został zastrzelony – powiedział Bert.

Na leżącej na wierzchu stronie było doniesienie prasowe.

– „El Paso Times” chciała informacji do porannego wydania – wyjaśniał Bert. – Przekleńci reporterzy. Wszędzie wietrzą krew, tym razem nad Rio Grande, tak? – Ziewnął, drapiąc się w szyję. – Powiedziałem im: „Bez komentarza”, dopóki nie dostaniemy więcej info ze strony Chihuahua. Uczepili się, że to dziecko z rodziną zostało deportowane przez nasz posterunek jeszcze w listopadzie. Pewne jak cholera, że chcą to tak wykręcić, żebyśmy byli równie winni jak facet, który nacisnął spust. – Wyjął z szuflady biurka buteleczkę z tabletkami na zgagę i wysypał dwie. – Przeklęte liberalne media. Nie wiedzą, co znaczy słowo „nielegalny”? To podstawy angielskiego. Nie mają żadnego szacunku dla ludzi, którzy usiłują ich chronić. – Skończył i połknął dwa białe krążki.

Riki wziął do ręki egzemplarz gazety.

EL PASO, Teksas: Mieszkańcy obu brzegów rzeki oplakują dziś śmierć niewinnego dziecka. Jak oświadczyły władze lokalne, dziewięcioletni chłopiec dostał się w krzyżową wymianę ognia między funkcjonariuszami Straży Celnej i Granicznej a grupą obywateli meksykańskich wkraczających nielegalnie na terytorium Stanów Zjednoczonych.

W poniedziałek o 7.00 w pobliżu mostu Paso del Norte funkcjonariusze SCG na rowerach zostali zaatakowani kamieniami rzuconymi przez grupę usiłującą wejść na terytorium Stanów Zjednoczonych przez wyrwę w granicznym ogrodzeniu, jak podaje specjalny nadzorca operacji Adrian Rodriguez.

– Rzucali kamieniami w funkcjonariuszy Stanów Zjednoczonych – powiedział Rodriguez. – Szkolimy naszych ludzi, by reagowali w obronie własnej.

Funkcjonariusz SCG oddał kilka strzałów ze swojej broni. Pociski nie trafiły tych, w których były wymierzone, i powstrzymały grupę obywateli meksykańskich, lecz jedna kula zabłąkała się na drugi brzeg i zabiła dziewięcioletniego Victora Garcię, który stał po meksykańskiej stronie nasypu i oglądał zajście.

– Używamy broni jako taktyki odstraszenia – wyjaśniła agentka specjalna Marsha Jenkins, rzeczniczka prasowa FBI w El Paso. – To był bardzo nieszczęśliwy wypadek.

Straż graniczna nie podała nazwiska funkcjonariusza, który strzelał. Jak powiedział Rodriguez, wysłano go na płatny urlop.

Meksykański sekretarz stanu potępił dzisiaj tę śmierć. Władze meksykańskie zażądały od Stanów Zjednoczonych przeprowadzenia pełnego śledztwa w sprawie wydarzeń, które doprowadziły do strzelaniny.

Użycie broni palnej w odpowiedzi na atak kamieniami jest nieproporcjonalnym użyciem siły, oświadczyły władze Meksyku.

Deportowana w listopadzie 2007 r. matka Garcii, Carmen, zamieszkująca w dzielnicy Barreales, była nieosiągalna. Jego ojciec, Felipe, przebywa obecnie w więzieniu gminnym w Juárez za przestępstwa narkotykowe.

W 2007 r. Agencja Ochrony Celnej i Granicznej odnotowała 398 przypadków śmierci na granicy. Śmierć Garcii zwiększa te fatalne statystyki, a wojny na granicy trwają.

Riki przejechał palcem po danych: Carmen i Victor Garcia, dzielnica Barreales. Serce zabiło mu szybciej. Otworzył program komputerowy i przeszukał dokumenty deportacji z listopada. I oto byli: Carmen, Victor i Olivia Garcia, deportowani 12 listopada 2007 roku. W głowie mu się zakręciło. Poczł mdłości i wstał, żeby wyjść do toalety. Ale miał miękkie kolana.

– Wszystko w porządku, Rik? – zapytał Bert.

Riki pokręcił głową. Gdyby tylko postąpił wtedy inaczej, pomyślał. Gdyby tylko. Inaczej niż w przypadku ataku, tu teoretycznie nie było kogo winić. Nie było napaści ani obrony. Nie

było słuszności ani pomyłki, dobra czy zła. Jednak fakty przemawiały do niego czarno na białym: Victor nie żyje, a on jest tym, który wysłał chłopca w objęcia śmierci. Nie do pomyślenia, nie do wiary, to nie może być prawda. Ukrył twarz w dłoniach. To nie była jego wina. A jednak w jakimś sensie była.

Rozdział 40

El Camino Village
osiedle apartamentowców
Camino Real 2048
San Francisco, stan Kalifornia

– Oryginalna wiadomość –
Od: reba.adams@hotmail.com
Wysłano: 12 kwietnia 2008, 12:18
Do: didi.adams@gmail.com
Temat: Tutaj pada... ZNOWU
Didi!

Gdy podrygiwałyśmy w rytm The Mamas & the Papas, nigdy bym sobie nie wyobrażała, że kwiaty w moich włosach będą tak zmoczone deszczem. Zdecydowanie musieli palić jakieś zioło, bo to miejsce wcale nie jest obiecany letnim zlotem miłości.

Pisałam Ci już o pracy. Jest, jaka jest. Nad artykułami ziewam z nudów. Ile można przeczytać esejów o najnowszym bordeaux tygodnia, zanim będzie się miało ochotę stłuc butelkę o własną głowę? N.U.D.Y. Spodziewałam się, że przynajmniej przyślą do czasopisma kilka próbek do degustacji. Może reporterzy wypijają wszystko, zanim dotrze do mnie? Być redaktorem to kompletnie inna para butów, niż pisać artykuły. Powinnaś zobaczyć moje biurko, zawalone papierami! Pasuje do pogody i do mojego nastroju.

I nie, nie zapomniałam. Sprawdzam swój kalendarz, kiedy będę mogła polecieć na weekend do domu, ale nie wygląda to dobrze. Właściwie nie przysługuje mi jeszcze prawie żaden urlop, a podróż na Wschodnie Wybrzeże trwa prawie cały dzień. Próbuję znaleźć długi weekend, wolny od pracy w czasopiśmie, który mogłabym przedłużyć o przysługujący mi urlop, ale już powierzono mi obowiązki redaktora dyżurnego w Memorial Day. Może będę mogła przylecieć 4 lipca, ale czy nie mówiłaś, że mama ma zamiar jechać ze stowarzyszeniem Junior League obejrzeć fajerwerki na Kapitolu? Napisz mi, żebym nie marnowała energii na niepotrzebne plany.

Riki ma się dobrze, tak myślę. Dzwoniłam do niego w zeszłym tygodniu, ale był czymś bardzo zajęty na posterunku, tak mi się przynajmniej wydawało. Tak naprawdę to nie wiem, co się z nim, co się z nami działo przez ten ostatni miesiąc. Wiem tylko, że jest jakiś... zdystansowany. Di, czy ja podjęłam złą decyzję? Zadaję sobie to pytanie co najmniej trzy razy dziennie, tyle ile posiłków.

Oto nieciekawy widok z wybrzeża Pacyfiku w tym tygodniu. Jak tam świat nad Atlantykiem?

Tęsknię
Twoja Reba

*

O zmierzchu Reba patrzyła, jak statek wpływa do portu. Kłęby deszczowych chmur nieco się przerzedziły i temperatura zelżała na tyle, że można było posiedzieć na balkonie. Jednak od ziemi szła makabryczna mgła, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż całkiem zasłoniła słońce i księżyc.

Reba nie tolerowała braku słońca od czasów Wirginii, gdzie od stycznia do kwietnia ciągle chciało jej się płakać. W college'u Sasha pytała ją, czy nie cierpi na SAD, sezonowe

zaburzenie nastroju. Reba uważała to za drwiny, dopóki nie zaliczyła kursu z podstaw psychologii, na którym wykładowca na omówienie objawów i leczenia tego schorzenia poświęcił cały dzień wykładów. Zbyt przypominało to depresję taty, dlatego też zaprzeczała, że mogłoby dotyczyć jej samej, i starała się powstrzymywać objawy, gdy w pobliżu była Sasha. El Paso ze swymi średnio 302 dniami słonecznymi w roku okazało się dla niej nie-zamierzoną terapią.

Teraz czuła znajomy stan przygnębienia zwiększony dziesięciokrotnie. Usta jej się trzęsły, oczy piekły, jakby chciały wyrzucić cały ciężar smutku, przepelniającego ją jak deszczówka puste doniczki na kwiaty na jej balkonie. Nie mogła jednak winić za to wyłącznie pogody. Uczucie smutku pozostało nawet wówczas, gdy nad zatoką zalśniło kalifornijskie słońce, a niebo nad Crissy Field pokryło się prawdziwym błękitem. Wtedy poczuła się jeszcze gorzej, a nawet uroniła jedną czy dwie łzy.

W porcie poniżej statek wydawał się nie większy niż zabawka, a za nim wiły się strumienie czarnych jak węgiel fal. Na pustym pokładzie jak miniaturowy ołowiany żołnierz stał marynarz, oddzielony małą drewnianą łupiną od bezmiaru oceanu. Patrząc na tę maleńką postać, Reba też poczuła się mała.

Czasopismo okazało się większe, niż przypuszczała. Tyle było dodatkowych prac, terminów i liczenia słów, a w bufecie rzadko widywała dwa razy tych samych ludzi. W przeciwieństwie do „Sun City” „San Francisco Monthly” wymagało od niej pracy wyłącznie w biurze, nigdy w domu. Wiele długich wieczorów spędziła przy biurku w swoim boksie, pożywiając się krewetkami Kung Pao. Ściany boks, pokryte szarą tkaniną, przesiąknięte były kwaśnym zapachem czosnku. Reba nie wiedziała, co jest gorsze: samotne siedzenie w biurze czy w mieszkaniu. W domu oglądała powtórki *Seksu w wielkim mieście*, który tylko jej przypominał, że w tym mieście nie ma żadnego seksu, żadnego wykwintnego życia czy picia martini w towarzystwie sławnych dziennikarzy. Najgorsze było to, że wcale szczególnie za tym nie tęskniła. Natomiast marzyła na jawie o Rikim, Elsie i Jane. Z Jane rozmawiała krótko kilka tygodni temu i na dźwięk szczękających w tle garnków poczuła nagły przypływ nostalgii.

Riki podczas ich rzadkich rozmów telefonicznych zachowywał coraz większą rezerwę. E-maili nie pisał w ogóle. Od marca czuła, że dzieląca ich odległość coraz bardziej spycha ich z kursu, jaki ona miała nadzieję im wyznaczyć. Chciałaby go zapytać, czy spotyka się z kimś innym, ale bała się odpowiedzi. Wydawało się, jakby wszyscy posuwali się naprzód, wszyscy oprócz niej. Co za ironia. Nareszcie spełniła swoje marzenia o wielkim mieście, a czuła się bardziej zadowolona niż kiedykolwiek.

Syrena statku odezwała się długim i żalonym rykiem. Reba chętnie przyłączyłaby się do niego i może tak by się faktycznie stało, gdyby nagle nie usłyszała piskliwego szczekania na sąsiednim balkonie. Do metalowego stolika przywiązany był tam czarny chihuahua.

– Słyszę cię, kolego – powiedziała Reba.

Piesek strzygł we wszystkich kierunkach trójkątnymi uszami. Podeszła bliżej, a on rzucił się w jej stronę, krztusząc się przy co drugim szczeknięciu, ściągany przez smycz.

– No już, cicho. Nie zrobię ci krzywdy.

Gdy po raz pierwszy zamieszkali razem, Riki przyniósł do domu zabłąkanego chihuahua. Nazwał go Nacho i kupił mu minisombrero. Zatrzymałby go, ale tydzień później zgłosili się właściciele. Akurat wtedy Reba miała jakiś ważny termin i złościł ją zarówno Riki, jak i ten mały gość ze szczenięcymi łapkami uganiający się po ich kuchni. Ale Riki zapalił się do pomysłu, by mieli jakieś zwierzę. Uśmiechnęła się do tego wspomnienia, choć wraz z nim wrócił żal.

Weszła do środka i przyniosła resztki chińszczyzny na wynos.

– Lubisz krewetki? – Wyciągnęła dłoń ze skreconym ogonkiem.

Pies siedział na tylnych łapkach, przekrzywiając łebek.

– Dobry piesek – powiedziała Reba i przez piętnastocentymetrową ściankę dzielącą balkony rzuciła mu krewetkę. Złapał ją w powietrzu.

Reba wzięła drugą soczystą krewetkę i włożyła sobie do ust.

– Wiesz – mruknęła – ja właśnie przyjechałam z twoich rodzinnych stron. Byłeś kiedyś w Chihuahua?

Uświadamiając sobie nagle, że rozmawia z psem, wychyliła się, żeby zajrzeć, czy sąsiedzi nie siedzą przypadkiem w swoim salonie, śmiejąc się z niej do rozpuku. Ale światło było zgaszone, drzwi dokładnie zamknięte.

Pies stanął na tylnych łapach i złożył razem przednie; widać było, że jest tego nauczony.

– Bardzo pięknie! – Reba rzuciła mu drugą krewetkę, a pies łapczywie zjadł nagrodę.

– Masz jakieś imię? – Popatrzyła na obrożę, czy nie ma tam tabliczki, ale nic nie znalazła. – Nie szkodzi. Dam ci przezwisko.

W głębokim zamyśleniu wyciągnęła z pojemnika jeszcze jedną krewetkę.

Na Rovera ani Maxa nie wyglądał.

Pies znów stanął na tylnych łapach, uderzając cienkim ogonkiem o drewniany balkon.

Wyciągnęła w jego stronę jedzenie.

– Jeszcze kąsek?

Z podnieceniem machał łapkami, jakby przesiewał złoto.

– Hej, to niezły pomysł. Co na to powiesz, Kąsek?

Chyba mu pasowało. Rzuciła mu ogon krewetki i zlizwała z palców sos hoisin.

Dokujący statek znów zaryczał, ale teraz dźwięk nie rozchodził się aż takim echem. Na pokładzie nie było już marynarza.

– Lubisz pączki? – zapytała Reba psa. – Niektórzy uważają, że są podobne do *churros*. Może kiedyś nam upiekę.

Kąsek oblizwał pysk i zwiesił język, najwyraźniej się uśmiechając.

*

– Oryginalna wiadomość –

Od: didi.adams@gmail.com

Wysłano: 14 kwietnia 2008, 17:43

Do: reba.adams@hotmail.com

Temat: Re: Tutaj pada... ZNOWU

Rebo!

Co tam kwiaty, piszesz jak jakiś przemoczony kot! Nie cierpię słyszeć Cię w takim ponurym nastroju. To niezdrowo. Wyciągaj głowę z tej kałuży. Pamiętaj, co powiedziałam: patrz w górę, kotku, bo przegapisz tęczę! Chciałabym, żebyś choć przez chwilę widziała taką Rebę, jaką ja widzę. Jesteś wojowniczką, silną i zdeterminowaną. Zawsze to w Tobie podziwiałam. Nie pozwól sobie rozsypać się w środku.

Tak, mama jedzie na Dzień Niepodległości do Waszyngtonu z Junior League z Richmond. Panie chcą uhonorować weteranów z Wietnamu czerwono-biało-niebieskimi girlandami zrobionymi z używanych ubrań. (Nie pytaj mnie. Miesiąc temu była cała kampania zdobywania materiałów dla naszych „dzielnych mężczyzn w mundurach”. Od tamtej pory wszystkie są ucieleśnieniem Betsy Ross). Więc nie ma sensu, żebyś przylatywała. A potem nie będzie mówiła o niczym innym tylko o szarlotkach i Johnie Philipie Sousie. Nie ma innego terminu w lecie, żebyś mogła przyjechać? No a jesienią: Święto Pracy albo Dzień Kolumba? Spróbuj, Rebo, proszę.

Przykro mi, że z Rikim znaleźliście się w kolejnym impasie. Związki na odległość są trudne. Nie mam w tym względzie doświadczenia, ale żadnej z moich koleżanek nie udało się

takiego związku utrzymać. Jednak ja stawiam na tego Rikiego. Jeśli coś ma z tego wyjść, to ten wstęp trwa już o wiele za długo. Jeszcze jeden powód, by wsiąść w samolot. To Ci mówi starsza siostra: żadnych tłumaczeń. Przywieź Rikiego ze sobą do domu. Może powinniście gdzieś razem pojechać. Możemy z tego weekendu zrobić jedną wielką sesję terapeutyczną. ;-)

Uśmiechnij się, mała siostrzyczko. Nad brzegiem Pacyfiku czy Atlantyku woda jest taka sama.

Kocham Cię . Kocham Cię.

Didi

Rozdział 41

Centrum Wypoczynku i Rekreacji
Amerykańskich Sił Zbrojnych
Gernackerstrasse 19
Garmisch, Niemcy
7 sierpnia 1945 r.

Elsie balansowała tacą z ciężkimi talerzami klopsów. Od wyjazdu 9. Eskadry Amerykańskich Sił Powietrznych w Centrum Wypoczynku i Rekreacji było wyjątkowo spokojnie. Robby oznajmił, że personel kuchni musi sobie zrobić mały odpoczynek i w menu będzie wyłącznie „klops – specjalność mamy”. Wczoraj przygotowywali je do późna wieczór: mielili, piekli i schładzali ponad dwa tuziny bloków mięsnych. Olbrzymia misa mielonego mięsa o mało nie spowodowała u Elsie nagłej wycieczki do toalety, ale bała się ryzykować zwymiotowanie matczynych ziółek.

Przez cały tydzień Mutti przygotowywała wiązki ziół i pakowała je w małe saszetki z gazy, żeby Elsie parzyła sobie w pracy wieczorem. Zawieszane w oknie kuchennym suszyły się purpurowe pęczki mięty polej i pluskwicy. Papa o mały włos nie zaparzył ich sobie, myśląc z lawendą, więc dla odróżnienia Mutti przewiązała każdy pęczek czerwoną wełną.

To był piąty i ostatni dzień kuracji Elsie. Do tej pory nie wywoływały one niczego poza żółtym zabarwieniem cery i stale pełnym pęcherzem.

– Ostatnie zamówienie dla stolika numer dwa! – zawołał jeden z kucharzy i podał Elsie talerze z klopsiem polanym dodatkowo keczupem i posypanym prażoną cebulką, a ona podniosła załadowaną tacę na bark.

Przy stoliku pięciu żołnierzy piło spienione piwo w kufiach. Na widok podchodzącej kelnerki rozbłysły im zgłodniałe oczy, ale zanim do nich doszła, poczuła ściśnięcie między żebrami a miednicą i potężny skurcz. Złożyła się wpół. Talerze zsunęły się i rozbiły o podłogę.

Z bólu nie była w stanie pozbierać się i wstać. Z podłogi podnieśli ją dwaj mężczyźni. Trzeci zgarnął z jej fartucha lepkie warzywa z sosem pomidorowym, a pozostała dwójka zbierała potłuczone talerze. Twarze mieli skrzywione, poruszali ustami, ale niewiele słyszała. Wciąż miała w uszach dźwięk tłuczonego szkła. Skurcz w środku skręcał ją coraz bardziej. Złapała się za brzuch i zamknęła oczy. Gdy je znów otworzyła, Robby trzymał ją za brodę i usiłował pojąć, co się dzieje, lecz to był ból, o którym Elsie nie mogła i nie chciała mu mówić.

Widziała, jak Robby powiedział coś do kogoś z tyłu, a potem wszystko zawirowało jak mieszany z ciastem cynamon. Miała ochotę zwymiotować, ale pamiętała o ziołach, więc odchyliła głowę do tyłu, żeby powstrzymać odruch. Zaraz potem uprzytomniła sobie, że to nie sala wiruje. To ona się porusza, niesiona przez całą jadalnię i kuchnię do schowka na bieliznę stołową.

Robby ułożył prowizoryczny materac ze sterty kremowych obrusów, a ze złożonych serwetek zrobił poduszkę. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i błagała, żeby ktoś jej rozpiął sukienkę. Robby wyprosił mężczyzn i zrobił, o co prosiła.

– Elsie, musimy zawołać lekarza – powiedział.

Złapała go za rękę, wbijając mu paznokcie w nadgarstek. Lekarz mu powie o ciąży.

– *Nein*. – Rozumiała, co się dzieje, i teraz chciała tylko, żeby była tu Mutti i potwierdziła te objawy. – Moją matkę – wyszeptwała, ale potem przypomniała sobie, gdzie jest, a gdzie niby być powinna. Do tej pory nie powiedziała rodzicom o swej pracy u Amerykanów. – Nie, nie

trzeba.

Kolejny skurcz uderzył z taką siłą, że mogło to być tylko skręcające się w środku dziecko. Robby przyłożył dłoń do jej brzucha.

– Tutaj boli?

Dotknięcie jego dłoni zmniejszyło trochę ból i przyszło jej do głowy, że może przez cienką skórę dziecko poczuło jego puls. Oczy ją paliły i wszystko widziała zamazane; modliła się o przebaczenie.

– Z ostatnimi rekrutami przyjechał jeden nowy. Któregoś dnia przyszedł pograć w futbol. Mówił, że jest lekarzem. Mogę go sprowadzić. Nikt nie będzie wiedział – rzekł Robby.

Zanim zdążyła odmówić, wyszedł. Została sama. Schowek oświetlała zwisająca na kablu żarówka. Wokół niej fruwała tłusta ćma, od czasu do czasu dotykając rozgrzanej bieli szkła i odlatując, dotykając i odlatując – wciąż na nowo próbowała rozpaczliwie dostać się do światła. Jej mechate skrzydła uderzały o okrągłe szkło żarówki. Elsie chciały ją złapać w dłoń i wypuścić na zewnątrz, żeby ścieżki jej życia mogło wyznaczać prawdziwe światło księżyca. Z każdą minutą skurcze były coraz łagodniejsze.

Ktoś zapukał i otworzył, choć nie powiedziała „proszę”. Wszedł wysoki mężczyzna o rdzawych włosach opadających na czoło. Wyróżniał się tym spośród pozostałych żołnierzy, ostrzyżonych króciutko, zgodnie z regulaminem. Wyglądał też na starszego od nich, a w jego twarzy była sama łagodność.

– To doktor Meriwether. Powiedziałem mu, że od tygodni źle się czujesz. On ci pomoże – powiedział Robby.

– Fräulein Schmidt. – Doktor Meriwether skłonił się, po czym ukląkł przy jej prowizorycznym posłaniu i otworzył swój plecak Czerwonego Krzyża.

– *Nein*. – Podciągnęła się i próbowała wstać, ale ból powrócił.

Doktor Meriwether przyłożył dłoń do jej czoła. Miał takie delikatne i troskliwe palce. Natychmiast się położyła.

– Gorączka – zwrócił się do Robby’ego. – Czy mógłbyś wyjść, gdy będę panią badał? Robby przestąpił z nogi na nogę.

– Elsie?

Kiwnęła głową, więc wyszedł.

– To proszę mi może powiedzieć, gdzie boli – zwrócił się do niej doktor Meriwether.

Elsie słyszała jakąś różnicę w sposobie jego mówienia po angielsku. Jego akcent miał spokojną nutę, sączył się jak miód z plastra.

– Kobięce sprawy.

Miała nadzieję, że lekarz na tym poprzestanie. Ale on przyłożył dłoń do jej podbrzusza i mocno nacisnął. Sapnęła głośno, czując, jak w środku coś się oderwało. Między jej udami rozlało się ciepło.

– Uhm. – Palcami rozszerzył jej oko i zajrzał. – Patrz prosto na mnie.

I tak zrobiła.

W istocie Elsie nie pamiętała już, kiedy ostatni raz patrzyła drugiej osobie w oczy z tak bliska. Patrzyła ludziom w oczy, rozmawiając z nimi, i czasem pamiętała, że mieli je bardzo jasne lub bardzo ciemne, ale jeszcze nigdy nie widziała takich jak u doktora Meriwethera. Jego tęczęwki nie były po prostu brązowe – miały złociste cętki, na obrzeżach przechodzące w zielone i żółte. Żrenice też nie były po prostu ciemne – w ich środku lśniło światło i odbijał się całkowicie odmienny świat. Miała ochotę pofrunąć wprost do ich wnętrza. Serce biło jej jak szalone.

– Sierżant Lee mówi, że cierpisz na chroniczne wymioty, brak apetytu i zmęczenie. –

Przerwał, czekając na potwierdzenie, więc Elsie kiwnęła głową. – Kiedy miałaś ostatnią menstruację?

Zadając to pytanie, odwrócił twarz, a ona już wiedziała, że on wie.

Przygryzła wargi, by powstrzymać łzy.

Doktor przeszedł na drugi koniec jej posłania.

– Przepraszam, panno Schmidt, ale czy mogę? – Wskazał na spódnicę.

Zamknęła oczy i uniosła ją do kolan, ale zaraz po chwili ściągnęła z powrotem w dół.

– Poroniłaś. Czy coś sobie robiłaś? – mówił łagodnym głosem. – Pytam tylko po to, by wiedzieć, czy jest rana po przekłuciu. Jeśli nastąpi krwotok lub wywiąże się infekcja, możesz umrzeć.

– Piłam herbatki – powiedziała Elsie, a doktor zmarszczył brwi z troską. – Miętę polej i pluskwicę. – Głos jej się załamał. Znów złapał ją skurcz i przyciągnęła do siebie kolana.

– Zostań tu, proszę.

Wyszedł na chwilę z pomieszczenia i wrócił z kawałkiem chleba i dwiema szklankami wody, jedną czystą, jedną szarawą.

– Najpierw wypij tę. – I podał jej mętny płyn.

Elsie upiła i wypluła z powrotem do szklanki. Woda była gryząca i miała smak węgla drzewnego.

– Co to jest?

– Węgiel. Przyrzekam, że ci nie zaszkodzi. Nie jest smaczne, ale musisz wypić wszystko. Niewłaściwie stosowana mięta polej może mieć żrące działanie. A węgiel wypłucze ci truciznę z organizmu.

– Truciznę? – Elsie wypiła gorzki napój. – Myślałam, że straciłam dziecko.

– I tak się stało. – Pokazał brodą, żeby dopiła osad na dnie szklanki.

Przełykała z trudem. Kawałki węgla drapały ją w zęby, aż przechodziły ją ciarki po kręgosłupie.

– Te zioła zatrują i dziecko, i ciebie. – Wziął od niej szklankę. – Jeśli chodzi o dziecko, niewiele teraz mogę zrobić, ale tobie mogę pomóc. – Odstawił szklankę na bok i wyjął z plecaka pudełko z lekarstwami. – To zmniejszy ból i skurcze. – Podał jej białą tabletkę i szklankę z czystą wodą.

Popiła pigułkę, a woda jeszcze nigdy nie wydawała jej się tak słodka.

– Teraz proszę coś zjeść, żeby trucizna nie wyżarła dziury w żołądku.

Podał jej chleb – rozpuszczał się w ustach, a ona była mu wdzięczna, że znów może czuć przyjemność znajomych smaków.

– Ból powinien minąć za kilka minut, ale krwawienie może jeszcze potrwać. – Siedział na ziemi obok posłania i obserwował ją w zamyśleniu. – Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Aha. – Podrapał się w głowę. – Jeszcze dziecko.

– Nieprawda – zaprotestowała i podniosła się, najwyżej jak mogła.

Doktor Meriwether przeciągnął dłonią po swych falujących włosach, a ona znów poczuła, jakby wiatr poruszał liśćmi jabłoni.

– Gdy ja miałem siedemnaście lat, sprzątałem boksy w oborze u ojca i miałem jeszcze mleko pod nosem. Jesteś za młoda, żeby doświadczać tego wszystkiego: wojny i tych mężczyzn – powiedział, co przypomniało Elsie, że pod drzwiami czeka Robby.

Krople potu spływały jej między piersiami.

– Z całym szacunkiem, panie doktorze, przeżyłam więcej, niż jest pan w stanie sobie wyobrazić. Dziękuję panu za pomoc i chciałabym poprosić o jeszcze jedną przysługę. Proszę mu

nie mówić. – Popatrzyła w stronę drzwi. – Proszę.

Doktor Meriwether skinął głową.

– A, rozumiem.

– Nikt nie może wiedzieć.

Ich oczy spotkały się i zatrzymali wzrok na sobie. Nad ich głowami ćma obijała się o żarówkę. Uśmiechnął się ze współczuciem, a ona już wiedziała, że zachowa jej tajemnicę.

– Z pewnością pragnie wiedzieć, jak się czujesz. – Wstał.

Ku zaskoczeniu ich obojga Elsie chwyciła jego dłoń.

– Dziękuję.

Nie miała ochoty puścić, a on nie zabierał. Jego palce w jej dłoni wydały się Elsie czymś tak naturalnym, jakby były częścią jej własnego ciała. Puściła, zanim nazbyt przywiązała się do wyczuwania jego równomiernego pulsu.

Doktor Meriwether otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku – oznajmił.

Wszedł Robby, ocierając pot ze skroni.

– Okej?

Elsie nie bała się, co powie doktor. Ufała, że jego odpowiedź będzie właściwa.

– Ta mała dama potrzebuje odpoczynku i dobrego odżywiania. Przez tydzień chłopcy będziecie musieli się obejść bez jej pięknej twarzy – powiedział doktor Meriwether.

Robby poklepał go po ramieniu.

– Dzięki, doktorze. Zaraz ugotuję jej rosół z kurczaka. No i ee... – Stanęli tyłem do Elsie.
– Dowództwo mogłoby coś źle zrozumieć, więc... mam nadzieję, że to pozostanie między nami. Tajemnica lekarska, takie tam.

Doktor Meriwether zarzucił sobie plecak na ramię.

– Dobrze znam zasady, sierżancie. – Odwrócił się do Elsie. – Nie bierz się do pracy, dopóki nie skończą się skurcze. Dziś i jutro leż – polecił. – A ty po zamknięciu kuchni musisz ją odwiedzić do domu – rzekł do Robby'ego. – Jeśli będę potrzebny, służę pomocą.

Światelka w jego oczach lśniły tak, że Elsie wstrzymała oddech. Chciała z nim iść.

Wszystko jedno dokąd. Lecz myśl o obolałym brzuchu i zmoczonej spódnicy wywoływała w niej paraliżujący wstyd.

Rozdział 42

El Camino Village
osiedle apartamentowców
Camino Real 2048
San Francisco, stan Kalifornia
5 maja 2008 r.

Po długim dniu pracy w poniedziałek Reba usiadła na balkonie z kieliszkiem taniego białego wina, puszką tuńczyka i dwiema bułeczkami maślanymi, które upiekła poprzedniego dnia dokładnie według przepisu na tartę Ulijanki. Didi wycięła go z jednego z czasopism mamy piszącego o południowej gościnności i wysłała Rebie z adnotacją: „Pamiętasz tę rymowankę? Wciąż się uśmiecham, jedząc te ciastka. Więc dzielę się z Tobą przepisem. Moja Ulijanko... i wybieraj kogo chcesz, kochana”.

Reba była gotowa na wszystko. Lekka chandra z kwietnia zdążyła już nabrać rozmiarów depresji. Popijała wino.

– Wolni strzelcy muszą zrozumieć, że termin to termin – obwieściła. – Jeśli oni spóźnią się dzień czy dwa, to oznacza, że ja mam nawał pracy w ostatnim tygodniu przed wydaniem, a więc przeoczenia są nieuniknione. – Ułamała kruchy wierzch ciastka i rzuciła przez przegrodę na balkon Kaska. – Nie jestem Superbabą! A gdzie była Leigh? Czy nie powinna dwa lub trzy razy sprawdzać całej naszej pracy, zanim to pójdzie do druku? Czy to nie jest obowiązek redaktor naczelnej? Nie, nie, ona jest zbyt zajęta potrząsaniem dłoni na lunchach w kawiarni Chez Panisse. A tymczasem ja redaguję te durne przesłodzone kawałki o dietach celebrytów, modnym obuwiu i restauracjach stosujących masło ekologiczne! Gdzie są prawdziwe historie o prawdziwych ludziach? – Ugryzła kawałek bułki, ciągnąc zębami z całej siły. – Hmm... trochę gumowata. Jak uważasz?

Kąsek skończył jeść bułkę i obwąchiwał ziemię w poszukiwaniu okruszków.

– Oczywiście, tobie smakuje. Ty nawet jaja sobie wylizujesz. – Urwała drugi kawałek i rzuciła. – O czym to ja mówiłam?

Był to już czwarty kieliszek wina. Dzień należał do szczególnie ciężkich: Leigh zbesztala ją w obecności całego biura za to, że w majowym numerze w artykule o słynnym szefie kuchni jego nazwisko ukazało się z błędem w pisowni. Riki nie oddzwaniał do niej już od ponad tygodnia. Didi napisała w e-mailu, że poznała prawnika o nazwisku Davidson i chociaż nigdy w coś takiego nie wierzyła, teraz myśli, że zakochała się od pierwszego wejrzenia. A do tego wszystkiego zlew w kuchni przeciekał i teraz linoleum pokrywała woda na wysokość dwóch, trzech centymetrów. Była przekonana, że wszechświat wziął się na nią, więc przepisała sobie na to butelkę wina i uciekła na balkon.

– Mój mały przyjacielu, wniosek dla ciebie taki, że praca jest do chrzanu, miłość do chrzanu, życie do chrzanu. Lepiej mi było w El Paso. – Postawiła kieliszek i sięgnęła widelcem do puszki z tuńczykiem. – Nawiasem mówiąc, to gdzie są twoi właściciele? Mieszkasz tam sam? Nie, ktoś musi po tobie sprzątać. Bóg świadkiem, że żywię cię ja. – Znów wzięła kieliszek, żeby dopić wino. – Boże, mam nadzieję, że nie dostanę pozwu do sądu za karmienie psa sąsiadów. Hej, może byś zrobił kilka rundek wokół balkonu? Spalił tę bułkę? Nie mogę cię utuczyć, żeby nie było jak z tym facetem, co pozwał McDonalds'a za to, że utył. Ja nie jestem McDonald's. – Kiwnęła głową do siebie samej.

Wieczorne niebo w światłach miasta przybrało kolor miedziany. Nad zatoką wisiła

kopuła ze sztucznymi gwiazdami w kolorach białym, żółtym i pomarańczowym. Oprócz wielu innych rzeczy z El Paso brakowało jej tu księżycy.

– Masz. – Rzuciła Kąskowi resztki bułki i słuchała, jak zlizuje je i zjada. – Fajnie, że komuś to smakuje. Nie wiem, co zrobiłam źle. Może za długo mieszałam, a może za mało. Kto wie!

Nagle Kąsek stanął w gotowości na czterech łapach, nastawił uszy i podniósł ogon jak antenę radiową. Rozsuwane drzwi balkonu otworzyły się i z ciemnego mieszkania wyszedł mężczyzna. Kąsek popędził do niego i rozpoczął szaleńczy slalom między jego nogami.

– Hej, Jerry G., wygląda na to, że już dostałeś obiad.

Mężczyzna trzymał w ręku miskę z suchą karmą i patrzył na niedojedzoną skórkę leżącą między jego eleganckimi półbutami.

– Ale wpadka – szepnęła do siebie Reba i przelknęła ostatni łyk wina. – Uu... cześć – powiedziała, wstając ze swego rozklekotanego krzesła ogrodowego. – Jestem Reba. Właśnie się wprowadziłam... no jeszcze w lutym, więc właściwie nie tak „właśnie”. Choć biorąc pod uwagę, że dotąd się nie spotkaliśmy, może być, że „właśnie”. Ale z twoim psem jesteśmy już przyjaciółmi. Odniosłam wrażenie, że też jest bardzo samotny, więc pomyślałam, że możemy sobie dotrzymywać towarzystwa. W każdym razie... – Wzięła głęboki oddech. – Cześć, sąsiedzie! – Wyciągnęła rękę nad przegrodą.

Wyglądało to raczej, jakby zamierzyła się nożem niż podawała przyjacielską dłoń.

Roześmiał się, postawił miskę na podłodze i zapalił balkonowe światło.

– Reba, powiadasz? – Ucisnął jej dłoń. – Jase DeLuca.

Czyżby był powiązany z siecią Dean & DeLuca, pomyślała i omal go nie zapytała, ale jakaś jej cząstka, która zachowała jeszcze nieco trzeźwości, powstrzymała ją od tego.

Jase wyglądał jak z okładki czasopisma „GQ”. Był mniej więcej w jej wieku, może trochę starszy. Elegancka koszula i spodnie były idealnie wyprasowane jak na tę późną porę; podwiniete rękawy odsłaniały silne, opalone ręce; na ogolonej brodzie nie widać było nawet cienia zarostu, a piaskowoblond włosy układały się w perfekcyjnie swobodną fryzurę. Facet był wysoki i zadbany niczym gwiazdor filmowy. Wykwintne ciacho u jej drzwi!

Reba lekko się chwiała i zastanawiała się, czy to znaczy, że omdlewa. Może Jane i Didi miały rację, że miłość przychodzi jak grom z jasnego nieba. BUM i witaj, miłości.

– Sam jestem tu nowy. Musieliśmy się wprowadzić mniej więcej w tym samym czasie. – Jase podniósł jedną ręką Kąska. – To jest Jerry Garcia. Ale już się chyba znacie.

Zaśmiała się w duchu. Chihuahua nazwany Jerry Garcia?

– W skrócie Jerry G.

Pies znalazł leżącą resztkę twardej skórki i gryzł ją wściekle.

– Och! Nie powinnam mu... uu, tego dawać – kajała się.

Jase trzymał psa tak, że mógł mu patrzeć w oczy.

– Więc to dlatego od tygodni jesteś taki śmieszny, co? – Odwrócił się do Reby. – Już wiemy, czyja to wina.

– Ja bardzo przepraszam. – Spociła się i poczuła w swoim pocie alkohol. – Co tylko chcesz... to znaczy, jeśli on przeze mnie się rozchorował czy coś.

– Chcę odświeżacz powietrza. – Jase uśmiechnął się.

Reba otarła pot z nad górnej wargi.

– Wolisz podłączony do prądu czy w spreju?

– Podłączony do prądu? Ciekawe. – Jase roześmiał się. – Wiesz co, cofam to, co powiedziałem. Miałem okropny dzień. Poczęstuj mnie kieliszkiem tego, co pijesz, i będziemy kwita.

Postawił psa z powrotem na ziemi.

– Ummm... – Reba spojrzała na butelkę, zawstydzona, że jest już pusta. – Mam w lodówce więcej. Chcesz wpaść?

Na chwilę zapomniała o swoim problemie hydraulicznym. Zerkając przez szklane drzwi na zalaną kuchnię, pomyślała, że może powinna mu powiedzieć, żeby wziął ze sobą kalosze. Ale czy to nie zabrzmiałoby jak pikantna aluzja? Kręciło jej się w głowie. Naprawdę nie powinna już więcej pić, ale była mu to winna. Stosunki dobrosąsiedzkie. Poza tym jego widok niesamowicie ją kręcił. Po raz pierwszy od miesiąca poczuła się radośnie. Nie chciała, żeby jej to umknęło.

Jase przeczesał dłonią czuprynę.

– Przyszedłbym, ale zamówiłem pizzę z North Beach – wyjaśnił. – Jadłś coś?

Obok jej krzesła wciąż stała puszka z tuńczykiem i resztką twardej jak kamień bułki.

– Tak jakby... właściwie to nie – odparła.

– To będzie pizza Coit Tower: z pieczarkami, kiełbasą, salami i pepperoni. Tylko nie mów, że jesteś weganką, witarianką czy jedną z tysięcy Kalifornijczyków na diecie.

– Fu... nie ja! Nie, nie, nie. – Pomachała palcem kokieteryjnie jak nauczycielka w szkole.

– Obecnie jem wszystko, co przede mną postawią. Wszystkie hity dozowane... znaczy chwytły dozowane. – Przetarła oczy, by się skupić.

– Dobrze, bierz więc wino i przychodź do mnie. – Jase otworzył drzwi, a Jerry G. od razu próbował za nim wejść. Jase odsunął go nogą. – Ty nie możesz tam wchodzić, wiesz o tym, kolego.

Pies zapiszczał cicho.

Reba zaczęła się zastanawiać, po co mu odświeżacz powietrza na balkonie, ale Jase jej przerwał.

– Spotykamy się za pięć minut?

– *Cinco minutos* – powtórzyła, a Jerry G. zataczał małe kółka po balkonie.

*

Gdy Reba obudziła się następnego dnia w mieszkaniu Jase'a, już go nie było. Był kwadrans do południa. Wystraszona, z potężnym kacem, z wielkim trudem zdołała wybrać numer Leigh na telefonie przy łóżku.

– Jestem chora – powiedziała i nie skłamała.

Po odłożeniu słuchawki, potykając się, doszła do toalety Jase'a i zwymiotowała ostro przyprawione kawałki salami i sera. Gdy poszła wypłukać usta, na widok obwódki z rudych włosów w otworze umywalki znów ją zemdliło.

– O Boże, nigdy więcej – przysięgła.

Trzęsąc się od stóp do głów, ostrożnie obeszła sypialnię Jase'a, na wszelki wypadek osłaniając swoją nagość ręcznikiem do rąk.

Chodząc potem w samej bieliźnie, czuła się na pograniczu mdłości. W głowie waliło jej jak młotem. Cofała się myślą do tego, czego nie miała odwagi sobie wyobrazić. Spodnie znalazła zwinięte między prześcieradłami zwisającymi z brzegu łóżka Jase'a; koszulę na wyścielanym krześle; jeden różowy kłapek na środku pokoju. Pozbierała swoje rzeczy tak szybko, jak zdołała bez protestów żołądka, wciągnęła zapiętą koszulę i postanowiła szybko przemknąć do siebie, nie wkładając spodni.

Uchyliła drzwi sypialni. Choć wiedziała, że go nie ma, wszystko tego ranka miało znamiona przestępstwa, a nie chciała zostać przyłapana. W college'u nigdy nie doświadczyła „wstydliwych powrotów” i zawsze dziwiła się dziewczętom, które to robiły. Teraz, ponad dziesięć lat później, sama szła na palcach wzdłuż przedpokoju, modląc się, żeby nikt jej nie przyłapał.

Na zewnątrz na balkonie Jerry G. leżał, opierając pysk na przednich łapkach jak rozmarzone dziecko. Nie widział jej za drzwiami ze szkła odblaskowego. Na ma-honiowym stolyczku stała pusta butelka po winie, obok pudełko po pizzy z ostatnim kawałkiem pokrytym zastygłym serem i pokrojonym w kostkę mięsem. Odwróciła wzrok i żeby jej się nie cofnęło, wyobraziła sobie zapach mięty. Pod stolikiem leżał byle jak rzucony drugi kłapek. Musiała go odzyskać, by uniknąć ryzyka, że Jase go sam odniesie. Rozmowa z nim była ostatnią rzeczą, jakiej by chciała. Właściwie nawet nie umiałyby z nim rozmawiać.

Ostrożnie, żeby gwałtownym ruchem nie zwrócić uwagi psa, sięgnęła pod stolik, uchwyciła kciukiem i palcem wskazującym pasek klapka i płynnym piruetem odwróciła się, niemalże wpadając na regał. Była tam biografia Bob-by'ego Kennedy, zniszczony egzemplarz *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*, niebieski wazon ze sztucznymi gałązkami kwitnącej wiśni i fotografia Jase'a trzymającego dwie małe dziewczynki. Zdjęcie, przycięte nożyczkami, żeby została tylko ta trójka, było za małe do ramki 10 × 15.

Reba podniosła je i przyjrzała się dokładnie. Na lewym ręku miał srebrną obrączkę. Popatrzyła na radośnie roześmiane dziewczynki z włosami związanymi do tyłu wielkimi kokardami. Były do niego podobne, wyglądały jak małe modelki w katalogu Macy's. Mąż. Ojciec. Poczula szarpnięcie w żołądku.

– O Boże – szepnęła i odstawiła ramkę na półkę.

Wróciły ulotne wspomnienia z nocy: Jase zaprasza ją na pizzę; ona wyjmuje schłodzoną butelkę pinot grigio; śmieją się, trzymając oszronione kieliszki; zapach pieczonego chleba i sera; smak odważnych pocałunków; jego dłonie na jej nagich plecach; prześcieradła owijające jej kostki.

– O Boże, Boże, Boże. – Wciąż ściskając w ręku swoje rzeczy, usiadła na stoliku, strącając pustą butelkę na jutowy dywanik pod spodem. Butelka stoczyła się z brzękiem na dębową podłogę. Jerry G. zerwał się i szczeakał z furią przy rozsuwanych szklanych drzwiach.

Brudny blat stolika przylepiał się do jej ud. Myślała, że znów zwymiotuje, więc ukryła twarz w swoich pomiętych spodniach. Pachniały domem, środkiem do prania z wybielaczem o zapachu wiosennym, którego lubił używać Riki. Jak bardzo za nim tęskniła. Nawet popełniając zdradę, chciałyby, żeby tu był, przytulił ją i powiedział, że wciąż ją kocha, pomimo wszystkich jej błędów, i przeszłych, i obecnych.

– Riki – szepnęła. – Przepraszam.

Instynktownie sięgnęła po pierścionek na szyi, lecz palcami wyczuła tylko obojczyk. Wczoraj zdjęła pierścionek i włożyła do małej buteleczki niebieskiego środka do czyszczenia biżuterii, żeby się namoczył. Z pewnością będzie teraz lśnił jak gwiazdy. Zacisnęła pięść na miejscu, gdzie zwykle wisiał, i przycisnęła ją do mostka.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, otworzyły się drzwi wejściowe.

– O, hej, myślałem, że do tej pory... – Jase spojrział na zegarek i westchnął głęboko. – Chyba nie zdołałaś pójść do pracy. – Zaśmiał się nerwowo. – Sam ledwo zdążyłem. Wpadłem do domu w porze lunchu wziąć parę rzeczy, których rano w pośpiechu zapomniałem. Co za noc, hej? – Chrząknął znacząco, potrząsając kluczami.

Jedynie rzeczy, jakie miała w zasięgu ręki, to własne ubranie i pizza, a była pewna jak diabli, że nie ma zamiaru poświęcać dla niego swych kłapek od Tommy'ego Hilfigera. Najlepiej jak umiała rzuciła więc pudełkiem od pizzy. Tektura wykonała efektowną woltę w powietrzu z wyraźną intencją zrzucenia kawałka pizzy wierzchem na jego buty. Reba nie mogła mieć większej satysfakcji.

Stała, kipiąc z wściekłości, z dumnie uniesioną głową. Nie mogła już cofnąć tego, cokolwiek wydarzyło się między nimi, ale za ten moment brała pełną odpowiedzialność.

Z największym opanowaniem, jakie była w stanie sobie narzucić, pomaszzerowała w stronę drzwi.

– Po-poczekaj chwilę! – Zatrzymał ją, unosząc dłonie, lecz jej nie dotykając. – Rebo, nic się nie wydarzyło. Całkiem odleciałaś, zanim... – powiedział z uśmiechem.

Uniosła brodę.

– Jesteś niebywałym palantem.

Przejechał dłonią po włosach.

– Skarbie, jeśli chcesz wyzywać ludzi, lepiej zacznij od nawalonej seniority.

To miał być żart, ale nie rozbawił Reby. Rąbnęła go pięścią prosto w żołądek. Zgiął się do przodu.

– To ty – pokazała na fotografię po drugiej stronie pokoju – powinieneś się wstydzić!

Powiedz mi, czy to twoja żona? Twoje dzieci?

– To bardziej skomplikowane – powiedział, kaszląc, nadal zgięty wpół.

– Bardziej co? Skompliko... – Rzuciła swoje ubranie na podłogę i okładała go obiema pięściami po żebrach. – Skomplikowane, dupku! Tak czy nie?

– Rozwodzimy się – odparł, po czym złapał ją za nadgarstki i trzymał z daleka od siebie.

– Dlatego tu się przeprowadziłem.

– Może jestem ohydną pijaczką, wredną dziewczyną, niedbającą siostrą i byle jaką córką... – Z furią wyszarpnęła rękę. – Do diabła, może nawet jestem paskudną sąsiadką, ale przynajmniej wiem, kim jestem, a kim nie! Do cholery, jestem Reba Adams! – Wyrzucane słowa paliły jej usta, oczy wychodziły jej na wierzch. – I nie powinno mnie tu być! Ty... ty jesteś...

– Jeszcze raz pokazała na zdjęcie. – Jesteś nie takim mężczyzną, na jakiego zasługuję.

Jase zmarszczył czoło.

– Miałam lepiej! – Przykucnęła, żeby podnieść z ziemi spodnie i buty, powstrzymując emocje, których nie zamierzała wylewać. Jerry G. stał, opierając się łapkami o szybę i strosząc uszy. – Kąsek też zasługuje na coś lepszego! Nie można go trzymać na zewnątrz, dlatego że to ułatwia życie. To okrutne!

Podbiegła do rozsuwanych drzwi i otworzyła je. Jerry G. wpadł do środka jak wystrzelony z procy, skakał po dywanie w salonie i ślizgał się po drewnianym przedpokoju.

– Hej, to mój pies!

– To zachowuj się jak jego właściciel!

Zostawiła Jase'a goniącego Kąska i po chwili zamknęła za sobą drzwi własnego mieszkania. Przez ścianę dochodziły odgłosy gromkich przekleństw i obijania się o meble. Reba włączyła CD Jamesa Taylora, weszła pod prysznic i gdy zabrzmiała *Fire and Rain*, śpiewała do wotóru na cały głos.

Po tym poczuła się bardziej sobą. Zawiesiła z powrotem na szyi pierścioneł od Rikiego i nałożyła sprane dzinsy oraz znoszoną bluzę drużyny bejsbolowej z Richmond. Wytarła mopem podłogę w kuchni, ogarnęła całe mieszkanie i zadzwoniła do dozorczy budynku, żeby przysłał fachowca. Czula się już lepiej. W środku miała wszystko starannie poukładane. Tylko na balkonie pozostała puszka skwaśniałego tuńczyka i czerstwa bułka. Zostawiła je tam.

– Muchy sobie zjedzą – szepnęła, łykając dwie tabletki aleve, i umościła się na kanapie ze szklanką wody z ogórkiem. W telewizji wyświetlali *Przeminęło z wiatrem*.

Scarlett właśnie rzucała w Rhetta wazonem, gdy w torebce Reby zadzwoniła komórka. Nurkowała pośród drobnych pieniędzy i miętowych cukierków, szminek i długopisów, starych wizytówek i zgniecionych rolek z pastylkami zobojętniającymi kwasy żołądkowe, zanim wyczuła znajomy prostokąt. Jedno nieodebrane połączenie od Jane Meriwether. Ściszyła telewizor i oddzwoniła.

Po trzecim sygnale odezwała się Jane.

– Reba?

Reba do tej pory nie była w stanie nic przełknąć i słysząc głos Jane, poczuła, że odpływa. Położyła się z powrotem na kanapie.

– Ach, Jane, jak się cieszę, że zadzwoniłaś. – Potarła czoło, usiłując sobie dokładnie przypomnieć, ile dni czy tygodni ze sobą nie rozmawiały. Jednak liczby jej się mieszały, więc dała sobie spokój. – Tęskniłam za tobą bardzo... za wami wszystkimi.

– Mama jest w sypialni.

Wszystko stanęło w miejscu, jakby te słowa razły prądem.

– Jest w szpitalu – ciągnęła Jane. – Chciałam ją tam zawieźć w ubiegły piątek, gdy zaczęły jej się trząść ręce, ale powiedziała, że pojedzie dopiero po święcie Cinco de Mayo. Musiała upiec Sergiowi niespodziankę w postaci *conchas*. Uparta kobieta.

Reba słyszała oddech Jane po drugiej stronie linii i uświadomiła sobie, że sama go wstrzymuje.

– No a dziś rano ugniatała ciasto i upadła. Po prostu. Gdy podbiegłam pomóc jej wstać, była jak szmaciana lalka i bełkotała coś po niemiecku. Tak się przestraszyłam, że natychmiast zamknęłam piekarnię i zawiozłam ją na ostry dyżur do szpitala Thomason. Lekarz mówi, że miała udar.

Reba odwróciła się na bok i schowała twarz w poduszkach.

– Powinam była ją tam zawieźć, gdy zobaczyłam te ręce. Powinam była ją zmusić. Powinam była więcej zrobić – lamentowała Jane.

– To nie twoja wina – bąknęła Reba, po czym wyprostowała się na kanapie. – Nie możesz nikogo zmusić, by robił to, co ty chcesz, nawet jeśli uważasz, że to dla jego dobra. – Zasapała się. – Jesteś dobrą córką. Kochasz ją. I to się liczy.

Reba mówiła i do Jane, i do siebie.

– Są ze mną Sergio i Riki – powiedziała Jane. – Lekarz nie sądzi, żeby mama...

Reba przyciągnęła kolana do brody. Chciałaby teraz być tam, a nie tu, wolałaby nigdy stamtąd nie wyjeżdżać. Gdy Jane się rozłączyła, nie była w stanie odłożyć telefonu. Odnalazła numer swojej mamy i wybrała go.

– Halo? – Usłyszała jej południowy, śpiewny akcent.

Jak bardzo, mimo wszystko, Reba za nią tęskniła. Głęboko westchnęła do telefonu. Miała tyle do powiedzenia, ale nie umiała znaleźć słów.

– Rebo, kochanie, czy to ty?

Reba kiwnęła głową i przytuliła telefon do ucha. Miłość i nadzieja poszybowały przez dzielące je mile.

– Oryginalna wiadomość –

Od: reba.adams@hotmail.com

Wysłano: 6 maja 2008, 23:50

Do: didi.adams@gmail.com

Temat: Jadę do El Paso

Didi!

Elsie miała udar. Jest w sypialni i lekarze nie sądzą, by z tego wyszła. Chciałabym nie być tak daleko od domu. Riki jest teraz przy Jane, a ja nic na to nie poradzę, że jeszcze bardziej go kocham za to, że nigdy ich nie opuszcza, mimo że go o to nie prosiłam ani tego od niego nie oczekiwałam. Nawet gdy myślę, że go nie ma, on jest. Miałaś rację, mówiąc, że nie można nikogo zmusić do zobaczenia naszej prawdy. Przypuszczałam, że mówiłaś o tacie, ale to ja powinnam otworzyć oczy. Popełniłam tyle błędów. W ogóle nie powinnam wyjeżdżać. Dzwoniłam do mamy. Powiedziała, żebym zarezerwowała sobie lot pierwszym rejssem

z powrotem do El Paso.

Wylatuję za sześć godzin, ale nie mogę spać. Walizki mam już spakowane i, rozglądając się po mieszkaniu, nie widzę nic, za czym bym tęskniła, nawet jeśli już tu nie wrócę. Myślałam, że w San Francisco wreszcie spełnię swoje marzenia, ale mój rozum oszukiwał serce. Wiem, gdzie powinnam być... i z kim. Mama mówi, że miłość wybacza wszystko. Chyba jej wierzę, a przynajmniej chcę wierzyć, a to już dobry początek.

Wiem, że Ty umiesz się modlić, Di, więc pomódl się, proszę, za Elsie. I za mnie też.

Kochająca Reba

Rozdział 43

Centrum Wypoczynku i Rekreacji
Amerykańskich Sił Zbrojnych
Gernackerstrasse 19
Garmisch, Niemcy
13 sierpnia 1945 r.

Pierwszy raz po powrocie Elsie poszła do pracy na popołudniową zmianę. Choć fizycznie czuła się już zdrowa, odmówiła Robby'emu pomocy w pieczeniu morawskich bułek na „posiłek miłości”. Nie miała nastroju. Poza tym nigdy do końca nie przekonała się do jego przepisów: były zbyt bogate, żeby z nich korzystać na co dzień. Powiedziała mu więc, że lekarz kazał jej jeszcze odpoczywać, co częściowo było prawdą.

W ten letni wieczór powietrze było tak przejrzyste, że żadne migotanie Drogi Mlecznej nie mogło umknąć niepostrzeżenie, a już na pewno nie rozbłysk gwiazdy. Wyglądała jak pękający prażony popcorn. Szybowała potem, ciągnąc za sobą po niebie srebrzysty ogon, a Elsie była ciekawa, czy ktoś jeszcze widział ten niebiański lot. Szła wpatrzona w niebo, szukając rozjarzonych konstelacji; po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się lekka i wolna od bólu. Wrażenie to było tak nowe i tak namacalne, że wydawało jej się, jakby za chwilę miała rozpostrzeć ukryte skrzydła, wzlecieć i przyłączyć się do aniołów. Jak to by było cudnie, myślała sobie i wzdychała, wiedząc, że takich wieczorów jak ten zostało już zbyt mało do ponownego nadejścia zimy. Zwolniła krok, jej skóra rozkoszowała się panującym wokół ciepłem.

Rower zostawiła na parkingu dla personelu kuchni, za stertą wypaczonych od deszczu skrzynek na mleko. Chciała go wyciągnąć, ale koło zaczepiło się o coś, a raczej o kogoś. Był to doktor Meriwether.

– Och, przepraszam! – Policzki spłonęły jej rumieńcem.

– Nie, to moja wina. Nie powinienem cię tak szpiegować. – Miał na sobie cywilne ubranie: białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i szerokie spodnie z zakładkami, i Elsie pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała przystojniejszego mężczyzny. – Wyszedłem na spacer. Piękna noc. Z księżycem. – Pokazał do góry.

Księżyc wisiał nad nimi pełny i lśniący, jak przytwierdzona do nieba srebrna moneta.

– Skoro już się tu znalazłem... – mówił, drapiąc się w głowę – ...pomyślałem, że sprawdzę, jak się czujesz. Sierżant Lee powiedział mi, że już wróciłaś do pracy.

Elsie pokiwała głową. Tak dalece, jak sięgała pamięcią, pierwszy raz zdarzyło się, że była onieśmielona, ale bynajmniej nie z powodu lęku.

– A więc jak się czujesz?

– Lepiej.

– Nie było żadnych komplikacji? Krwotok ustał?

Elsie przytaknęła i odwróciła wzrok; jego słowa przypominały jej o poronieniu, rozdrapując jeszcze świeże rany na ciele i duszy.

– Cieszę się. – Podszedł bliżej i serce Elsie przyspieszyło. – Noo, wyglądasz znacznie lepiej. Co nie znaczy, że i przedtem nie wyglądałaś pięknie. – Grdyka mu podskakiwała. – Jedziesz do domu? – Pokazał na rower.

– *Ja.*

– Jako twój lekarz myślę, że nie mogę jeszcze pozwolić ci na taki wysiłek.

– To niedaleko – wyjaśniła.

– Możliwe, ale jednak... Może ja cię zawiozę? Moja karetka sanitarna stoi tam i mam przy sobie kluczyki. – Zadzwoił nimi w kieszeni. – Twój rower mogę wstawić na tył, nie ma problemu.

Dżip stał na parkingu dla gości przed frontem budynku Centrum. W czasie, którego potrzebowali na dojście tam i załadowanie roweru, dojechałaby do domu, ale to i tak nie miało znaczenia. Przejazdźka oszczędzi jej nogi, no i lubiła przebywać z przystojnym doktorem Meriwetherem. Pachniał czystością, miętą i krochmalem, a te zapachy przypominały jej lepsze dni.

Gdy sięgał do rączki kierownicy, ich palce się spotkały. Elsie uśmiechnęła się.

– No więc – zaczął doktor Meriwether, unosząc rower do bagażnika. – Jak się poznaliście z sierżantem Lee?

Elsie odgarnęła niesforny kosmyk włosów.

– Gdy przyjechali Amerykanie. Stał przed naszą rodzinną piekarnią. Mieliliśmy pieczywo, które i tak by szcerstwiało. – Wzruszyła ramionami. – Rozdałam im.

– Bardzo piękny gest. – Otworzył jej drzwiczki i wdrapała się na miejsce dla pasażera. – Większość tutejszych ludzi prędzej oddałaby chleb świniom niż Amerykanom.

– My nie mamy świń – odcięła się Elsie.

Doktor Meriwether przeszedł na drugą stronę, na miejsce dla kierowcy.

– Co za szczerłość. – Mrugnął okiem i zapuścił silnik. – Więc jesteś córką piekarza?

– *Ja*, i sama też jestem piekarką – dodała.

Ruszyli ulicą do miasta.

– Muszę spróbować waszych wypieków. Tam, skąd pochodzę, są tylko placki kukurydziane.

Elsie nigdy nie słyszała o czymś takim, ale pomyślała, że może coś źle rozumie.

– A skąd pan pochodzi?

– Ze stanu o nazwie Teksas.

Błyskawica przeszła ją na wskroś.

– Fasolka po teksańsku?

– Tak, znasz to?

Sprzątając wnękę Tobiasa, znalazła swoje tajemne skarby ułożone równo wzdłuż ściany. Te zwyczajne symbole dzieciństwa nabrały teraz ponadmaterialnego znaczenia, ponieważ pilnował ich Tobias, spał obok nich, dotykał ich. Przełożyła wszystkie przedmioty, łącznie z amerykańską reklamą, do utrzymanego pod łóżkiem zardzewiałego pudełka po kakao. Brakowało jedynie książki Roberta Frosta. Obmacała dokładnie wszystkie zakamarki wnęki, ale nigdzie jej nie znalazła. Bóg jest poetą, powiedział jej kiedyś Tobias, a ona uwierzyła.

– *Made in the USA* – wyrecytowała. – To pan musi być teksańskim kowbojem.

– Tak myślę – powiedział i zaśmiał się tak szczerze i niepohamowanie, że nie mogła się do niego nie przyłączyć.

Jadąc główną ulicą, przyspieszyli. Wiatr smagał im twarze, przynosząc zapach kapryfolium i wody spływającej z lodowców. Skreślił w złą ulicę, lecz Elsie milczała. Kiedyś dojadą do domu. Lubiała być przy nim. Sprawiał, że czuła się kimś więcej, niż była, kimś ponad Niemcy czy Amerykę i całą tę wojnę między nimi.

Gdy wreszcie znaleźli się na jej ulicy, Elsie pokazała mu, by się zatrzymał przed drzwiami piekarni.

– Doktorze Meriwether – zaczęła.

– Albert. Al – odpowiedział.

– Al. – Nawet jego imię było przyjemne jak nuty muzyki. – Bardzo doceniam, że...

– To dla mnie przyjemność – odrzekł, wyładowując rower.
– Nie tylko za przejażdżkę. – Elsie patrzyła na swoje buty. – Dziękuję za wszystko.
– Elsie. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Mówił powoli, z lekkim
onieśmieleniem. – Ty i sierżant Lee... Czy on jest twoim... To znaczy, chcę powiedzieć, czy wy
oboje... – Przerwał i delikatnie stuknął palcem stopy w koło roweru. – O, nieważne.

Elsie spojrzała mu w twarz. Jego oczy błyszczały w świetle księżyca.

– Nie – powiedziała, a słowo w obcym języku brzmiało na końcu dziwnie otwarcie. –
Byliśmy, ale... – Potrząsnęła głową. – Trudno to wytłumaczyć.

Robby był uosobieniem niezależności: obcy, młody i radosny. Ale w trakcie kilku
miesięcy ich znajomości nigdy nie czuła się tak, jak w ciągu pięciu minut z doktorem
Meriwetherem. Przy Alu poczuła wolność, a to było coś diametralnie różnego od wszystkiego,
czego do tej pory zaznała.

Leniwy wiatr poruszył szyldem wiszącym nad piekarnią – zaskrzypiał, aż oboje spojrzeli
w górę.

– Czy będzie w porządku, jeśli przyjdę jutro, chwycić coś na ząb i złożyć ci wizytę?

Wiedziała, że Papa nigdy nie zaakceptuje tego ciemnookiego Amerykanina, ale zupełnie
się tym nie przejmowała. Była szczerą wobec siebie. Czas ukrywania się skończył.

Twarz Ala na tle gwieździstego nieba zastygła w spokojnym oczekiwaniu.

– Bardzo się ucieszę – powiedziała i postanowiła, że upiecze mu jutro bułki z ziarnem
słonecznika; właśnie przyszła pierwsza dostawa z tegorocznego zbioru.

Rozdział 44

Fort Bliss
El Paso, stan Teksas
10 lutego 1947 r.

Droga Mutti!

Teksas to dziwne miejsce. Inne niż Garmisch. Nagie szczyty gór wznoszą się na tle błękitu, a gdy słońce zachodzi, maluje niebo na każdy kolor, jaki sobie możesz wyobrazić, i wiele innych, niewyobrażalnych. Nigdy nie jest zimno ani ciemno. Nawet w nocy księżyc jest tak jasny i pełny, że można go wziąć za twarz Boga. Podoba mi się tu, choć straszliwie tęsknię za Tobą i Papą.

Wprowadziliśmy się do naszego domu na terenie wojskowym. Nazywają to Fortem Bliss. Mam nadzieję, że okaże się wart swej nazwy. Ludzie są życzliwi i pomagają mi najlepiej, jak potrafią. W mieście nie ma piekarni ani rzeźnika. Przez pierwsze dwa tygodnie odgrzewałam co wieczór fasolkę z puszki, ale przecież nie da się żyć na samej fasoli! Mam sąsiadkę z miejsca zwanego Meri-land; mówi, że kobiety kupują mięso i inne produkty w składzie żywnościowym. Jutro mnie tam zabierze, żebym kupiła mąkę, masło i drożdże. Planuję jak najszybciej upiec bułki. Na samą myśl o nich burczy mi w brzuchu.

Wczoraj poszłam do sklepu na terenie jednostki, by kupić drewniane miski, łyżki do mieszania i stolnicę. Przygotowuję się. Nasze nazwisko tu znają. Gdy płaciłam za kupione przedmioty, mężczyzna przy kasie powiedział: „Dziękuję, pani Meriwether”, a ja przez moment zapomniałam, że to ja. Pani Meriwether. To tak miło brzmi, jak pozdrowienie. Nie uważacie? Dźwięczy nowością i nie mogę się doczekać, kiedy po raz pierwszy sama się tak przedstawię.

Jak tam w domu? Domyślałam się, że wciąż nie ma ani słowa od Hazel. Tydzień temu byliśmy z Alem w sklepie z tkaninami, żeby wybrać materiał na zasłony, i mogłabym przysiąc, że zza bel płótna dosłyszałam głos Hazel. Pospieszyłam tam, żeby ją znaleźć, ale oczywiście to nie była ona. Moje rozczarowanie było tak wielkie, że zaczęłam się trząść. Przeprosiłam grzecznie tę kobietę i pociągnęłam Ala na zewnątrz tak szybko, jak mi nogi pozwoliły. Nie tracę wiary, że któregoś dnia znów będziemy razem.

Jak tam Papa? Ogromnie żałuję, że rozstaliśmy się tak chłodno. Modłę się, by mi wybaczył i nas zaakceptował. Tęsknię za nim i chciałabym, by zrozumiał, że świat się zmienił, a wraz z nim i Niemcy. Nikt nie jest dobry ani zły z racji urodzenia, narodowości czy religii. Wewnątrz wszyscy jesteśmy panami i niewolnikami, bogatymi i biednymi, idealnymi i pełnymi wad. Wiem, że ja taka jestem, i on też. Kochamy wbrew sobie. Nasze serca zdradzają rozum. Al jest dobrym człowiekiem i kocham go, Mutti. To jest dar, jakiego nie oczekiwałam.

Będę do Ciebie pisała jak najczęściej. Mam nadzieję, że Ty mi odpiszesz, choć nie będę miała do Ciebie pretensji, jeśli tego nie zrobisz. Potrafię to zrozumieć. Jednak jesteś moją Mutti. Kocham Cię i będę nadal wszystko przelewała na papier.

Na zawsze Twoja
Elsie

*

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
27 lutego 1947 r.

Kochana Elsie!

Przesyłam Ci naszą fotografię. Papa dał do wywołania stary film. Tę kazał mi wyrzucić do śmieci, wciąż rozgoryczony tym wszystkim, ale nie mogłam. Jesteś moim dzieckiem, a ja nie chcę stracić obu córek. To za wiele jak na jedno życie. Więc Ci wysyłam.

Ucieszył mnie Twój list z Teksasu w Ameryce. Tego samego dnia otrzymaliśmy wiadomość od przyjaciółki Hazel, Ovidii. Twierdzi, że córka Hazel została zabrana do sierocińca w Monachium. Mówią na nią Lillian. Jedziemy tam z Papą w przyszłą sobotę, choć nie jestem pewna, co z tego wyniknie. Na temat chłopca bliźniaka i samej Hazel dalej nic nie wiadomo.

Moja droga, ja rozumiem, że miłość każe nam robić rzeczy, których nie potrafimy wytłumaczyć ani usprawiedliwić. Dlatego piszę i mam nadzieję, że kiedyś do nas wrócisz. Często wspominam Ciebie i Hazel, jak szepczecie sobie Wasze sekrety i przebieracie się w swoim pokoju. Tamte dni minęły zbyt szybko. Dopiero w niebie będziemy wszystkie razem. To pewne.

Z wielką miłością
Mutti

*

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
9 marca 1947 r.

Droga Elsie!

Zabraliśmy córkę Hazel, Lillian, z sierocińca. Jest bardzo podobna do Ciebie i Hazel, jak byście małe. Jakie to dziwne, co nam się znów przytrafiło: dwoje dzieci na naszym wychowaniu. Ogromnie się cieszę, że mamy ją u siebie. Od czasu jak się pojawiła, nawet tacie humor się poprawił. To przemiłe dziecko, silne i radosnego usposobienia.

Postanowiliśmy nie mówić Lillian nic na temat jej ojca, ponieważ nie mamy dokumentów stwierdzających tożsamość tego mężczyzny. Choć prawdziwym ojcem Juliusa jest Peter Abend, w Ośrodku Lebensborn wpisano go pod nazwiskiem Hazel. Toteż jedno i drugie dziecko będzie się nazywać Schmidt. Tak jest łatwiej. Prawda jest nazbyt skomplikowana. O ile Julius jest w tym wieku, że pamięta, modłę się, żeby Lillian nigdy nie poznała prawdy. Tego nie da się naprawić i z tej wiedzy nie przyjdzie nic dobrego. Tysiącletnia Rzesza była fantazją, której Twój tata wciąż hołduje. Ja teraz widzę to jaśniej i wstydę się swej dawnej głupoty. Jedno, w czym się z tatą zgadzamy, to to, że Julius i Lillian nie są dziećmi Ojczyzny, tylko naszymi.

Z wielką miłością
Mutti

Rozdział 45

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
23 grudnia 1955 r.

Lillian siedziała i czytała po angielsku *Drużynę pierścienia* J.R.R. Tolkiena. Dostała ją od brytyjskiego pilota na feriach zimowych. Czytał ją dwa razy i chciał sobie zwolnić miejsce w plecaku przed powrotem do domu, do Londynu. Lillian była niestrudzonym mołem książkowym i bardzo chciała dostać tę książkę jako wcześniejszy prezent na Boże Narodzenie. Babcia zgodziła się na to wyłącznie ze względów edukacyjnych, żeby Lillian mogła wprawiać się w angielskim. Jako jedyna w rodzinie była w stanie płynnie porozumiewać się z amerykańskimi i angielskimi klientami przychodzącymi regularnie do piekarni.

– Lillian, odłóż książkę i pomóż dziadkowi dokończyć – poleciła jej babcia. – Silne, młode ręce jak twoje to pewnie coś, czego właśnie mu trzeba.

Lillian westchnęła i zamknęła książkę. Frodo i jego przyjaciele właśnie wyruszyli do Rivendell. Z ciężkim sercem oderwała się od wielkiej przygody i wróciła do przyziemnego świata rosnącego ciasta drożdżowego i świeżego chleba.

Oma przykrywała kawałkami cienkiego pergaminu marcepanowe śliwki w cukrze, żeby do rana nie oblepiły ich muszki owocówki. W kuchni Opa wciąż pracował przy niewielkiej świecy; część wosku spłynęła na szklany świecznik, jeszcze bardziej ograniczając światło. Namacała palcami włącznik elektrycznej lampy na suficie, ale rozmyśliła się i zostawiła tak, jak było.

Obserwowała go z ciemności, jak wałkuje na stolnicy ciasto z melasą na cienki, gładki placek. Wziął wielką foremkę do wycinania w kształcie serca, przyłożył precyzyjnie do ciasta i nacisnął.

Dla spóźnionych klientów przedświątecznych mieli już ponad tuzin pierników, ozdobionych wycięciami na brzegach i z wypisanymi życzeniami. Ale te, które robił teraz, nie były dla tych, co płacili niemieckimi markami. Wycinając ciastka i układając je na blasze do pieczenia, Opa nucił *Cichą noc*. To były serca specjalne, pierniki robione przez dziadka co roku na Boże Narodzenie, z wypisanymi lukrem ich imionami: Max, Luana, Julius, Lillian, Hazel, Peter, Elsie i Albert. Zawsze robił osiem, chociaż ostatnie cztery zostawały niezjedzone na najwyższych gałązkach choinki, aż stwardniały na kamień. Jej rodzice, Hazel i Peter, zmarli w czasie wojny, tak powiedziała jej Oma. Ale między dziećmi krążą różne historie, zwłaszcza w tak małym mieście jak Garmisch. Gdy jeszcze biegała w pantalonach, na placu zabaw mówiono szeptem o jej prawdziwym pochodzeniu. To jej szkolna koleżanka Richelle Spreckels, córka Trudi Abend Spreckels, ostatecznie wykrzyczała jej tę wiadomość podczas kłótni po tym, jak została złapana w ulubionej zabawie zwanej *Fangen*.

– To nie w porządku! – krzyczała Richelle. – Ciebie tu nie powinno być! Nawet nie wiadomo, kim jest twój tata!

Grupka dzieci otaczająca Lillian umilkła. Zabawa w berka została nagle przerwana.

– Mój tata miał na imię Peter, a mama Hazel! – broniła się Lillian.

– Twoja mama to może Hazel Schmidt, ale moja mama mówi, że Peter Abend nie był twoim tatą! Ona wie. Jest jego siostrą! – Mówiąc to, Richelle nabrała garść ziemi i rzuciła, brudząc marszczoną, różową sukienkę Lillian. Dzieci zaczęły chichotać.

Poszła do domu ubłocona i zawstydzona, i chociaż Oma wyczyściła sukienkę najlepiej jak umiała, plamy pozostały.

– Kto ci to zrobił i dlaczego? – pytała Oma, ale Lillian nie chciała jej powiedzieć, żeby babcia nie wyszła na oszustkę, no i bała się usłyszeć prawdę z jej ust. Poruszyło ją to do głębi, jak to zawsze z bolesną prawdą bywa, ale postanowiła w to nie wierzyć, dopóki nie pozna faktów na jej potwierdzenie.

Jednak od tamtego dnia w jej świadomości tkwiło oskarżenie Richelle: „Ciebie tu nie powinno być!”. Miała teraz nowy cel: dowiedzieć się dokładnie, kim jest i gdzie powinna być. W szkole Lillian nie miała wielu koleżanek; wolała towarzystwo babci i dziadka, przyjaznych klientów piekarni i odległych postaci z książek, a także czytanie listów cioci Elsie.

Elsie i Albert mieszkali w Stanach Zjednoczonych, w miejscu zwanym Teksas, gdzie kowboje jeździli na białych rumakach, a Indianie tkali kolorowe chusty farbowane sokami z jagód. Takie były opowieści z listów Elsie. Było w nich pełno przygód i obrazowych opisów: pustynne słońce sączące światło na horyzoncie jak gigantyczne jajko sadzone; jaszczurki z fosforyzującymi zielonymi łuskami znieruchomiałe w cieniu kaktusów; rzeka Rio Grande wijąca się pośród piaszczystych wydm, pełna gadów i ptaków wodnych, zaspokajających pragnienie w tym jedynym w promieniu wielu kilometrów zbiorniku wodnym. Gdy była jeszcze malutka, błagała babcię, żeby jej czytała te listy na dobranoc. Oczarowana zawartymi w nich wizjami śniła potem o Elsie i dziwiła się, jak ten mały niczym *Vanillekipferl* księżyc wiszący nad ich Zugspitze może być tym samym wielkim reflektorem na niebie Teksasu.

Wszystko, o czym pisała Elsie, zdawało się większe i cudowniejsze niż to, co kiedykolwiek widziała w Niemczech. Czasami Lillian trudno było opanować podniecenie, gdy Elsie opisywała, jak galopowała na koniu przez prerię, goniona przez burzę piaskową z piorunami. Piszcziała w głos pod swoją puchową kołdrą, aż Oma ją uciszała, żeby nie obudzić dziadka. Oma od początku prosiła Lillian, żeby nikomu nie mówiła o tych listach.

– Niektóre rzeczy są tajemnicą – wytłumaczyła jej, a Lillian się z tym zgodziła.

Bardzo sobie ceniła te ich wspólne tajemnice.

Opa nigdy nie mówił nic o Elsie, a jej brat Julius, zanim wyjechał do szkoły z internatem, powiedział Lillian, że wątpi, by Elsie kiedyś jeszcze pojawiła się w Niemczech. Temu nieustępliwemu młodzieńcowi zawsze bała się przeciwstawiać. Z Monachium rzadko już przyjeżdżał do domu, i choć Lillian nigdy tego nie powiedziała na głos, nie tęskniła za nim. Natomiast tęskniła za Elsie. Za ciocią, której nawet nigdy nie widziała na oczy. Wyznała babci, że jedna z jej wieczornych modlitw była o to, by do piekarni weszła Elsie. Oma powiedziała, że modli się o to samo.

Gdy tylko do sklepu wchodziła jakaś nieznajoma kobieta, serce Lillian zaczynało tak mocno walić, aż trudno jej było normalnie tę klientkę obsłużyć. A ona, uśmiechnięta wyrozumiale, nieuchronnie płaciła i wychodziła. Lillian żałowała, że nie wie, jak wygląda dorosła Elsie, bo wtedy uniknęłaby takich przyływów nadziei. W domu Oma trzymała tylko jedną fotografię jej matki i ciotki: dwie dziewczynki siedzące pod konarami wiśni. Lillian przestudiowała to zdjęcie tak dokładnie, że wiedziała, ile jest piegów na policzku mamy oraz ile zębów ukazuje Elsie w uśmiechu. Co do reszty, opierała się na listach.

Elsie jawiła się w nich jako osoba dobra, kochająca i nieustraszona. Znała też więcej historii o jej matce niż ktokolwiek na świecie. Napisała jej o drzewku wiśniowym, o tajemnych życzeniach Hazel i o tym, jak się ziściły; o miłości Hazel do muzyki i pięknych sukni; o tym, że była najbardziej powabną kobietą w Garmisch i najwierniejszą siostrą. Sprawilo to, że Lillian marzyła, by mieć własną siostrę, i często udawała, że lalka Toni, przysłana przez Elsie z Ameryki, jest jej młodszą siostrzyczką. Oma powiedziała, że powinna się cieszyć z brata

Juliusa, ale łatwiej byłoby jej tak czuć, gdyby on okazał choć odrobinę braterskiej miłości. Trzymała się tego, co wiedziała na pewno: w połowie bez wątpienia pochodziła z rodziny Schmidtów.

Opa przykrył wycięte serca ściereczką i odstawił blachę. Choć sam nigdy nie wymieniał imion Elsie i Alberta, co roku pojawiały się one na gałązkach drzewka i przypominały Lillian i pozostałym, że mimo wszystko należą do rodziny.

Opa odwrócił się.

– Ach, Lillian! Zaskoczyłaś mnie.

– Przepraszam, dziadku. Babcia kazała, bym ci pomogła.

– *Doch!* – Klasnął w dłonie. – Jak widzisz, właśnie skończyłem. Jeszcze tylko trzeba coś zrobić ze skrawkami. – Pozbierał resztki ciasta i zgniółł je w kulę. – Chodź, pomożesz mi.

Lillian podeszła do dziadka. Pachniało od niego cynamonem, imbirem i kardamonem, więc przysunęła się blisko. To były zapachy Bożego Narodzenia.

– Masz, spróbuj. – Urwał kawałek ciasta i włożył jej do ust.

Poczuła słodycz melasy i ostre przyprawy. Poczekala, aż rozpułynie się na języku, i przełknęła.

– Dobre.

Dziadek pocałował ją w czoło.

– Nic nie mów babci. Gniewałaby się na mnie, że daję ci przysmaki przed snem.

Uśmiechnęła się. Umiała dotrzymywać tajemnic.

Tego wieczoru Oma siedziała w pokoju Lillian, cerując jej wełniane pończochy do szkoły. Lillian nie mogła rozgrzać stóp pod kołdrą i chciała usłyszeć jakąś historię.

– Oma, możesz się na trochę koło mnie położyć? Nie mogę zasnąć – poprosiła.

Wiedziała, że jest już za duża na bajki na dobranoc, ale miała nadzieję, że babcia ulegnie.

Oma westchnęła, odłożyła igłę z nitką i wsunęła się pod kołdrę.

– Dziecko, ty jesteś cała lodowata! – Otuliła je obie szczelnie kocami.

– Cieszysz się na Boże Narodzenie? – zapytała Lillian.

– *Ja.* – powiedziała Oma. – A ty?

Lillian wsunęła brodę pod kołdrę i pokiwała głową.

– Jak myślisz, czy dostaniemy list od cioci Elsie?

Oma przyciągnęła Lillian w zagłębienie swego ramienia.

– Zawsze pisze na Boże Narodzenie.

Lillian wiedziała, że tak jest, ale chciała usłyszeć od babci potwierdzenie.

– Kupiłam dziś karpia. Tłustego jak wielka sycha sosnowa. Widziałaś?

Lillian pokręciła głową.

– Ale widziałam, jak Opa robił nasze serca z piernika. – Zachichotała i przytuliła twarz do babci.

– Ach tak? – Oma wzięła głęboki wdech, a jej ciało ciężko wzniosło się i opadło.

– Jak myślisz, czy Julius pozwoli mi zjeść jego piernik, skoro w tym roku zostaje w szkole?

– Musisz zapytać dziadka – odparła Oma. – No, już się rozgrzałaś, czas spać. – Uniosła się, żeby wstać, ale Lillian ją zatrzymała.

– Nie idź jeszcze, proszę. Poczytaj mi... ten list o dniu, gdy ciocia Elsie pomagała wujkowi Albertowi w szpitalu. Kiedy dała lizaka w kolorowe paski chłopcu ze złamaną ręką.

– Tak, w Ameryce pielęgniarki-ochotniczki podtrzymują chorych na duchu – stwierdziła Oma i sięgnęła pod materac, gdzie trzymała plik listów. – Jaka to była data?

– To było lato – odpowiedziała Lillian. – Bo pisała, że mieli pierwszą letnią burzę

i niebo przecinały płonące błyskawice. – Serce biło jej mocniej, gdy powtarzała słowa Elsie. – Ten chłopiec tak się przestraszył, że spadł z krzesła i złamał rękę.

– *Ach ja* – potwierdziła Oma. – To był chyba sierpień. – Przejrzała koperty i znalazła. – Trzeci sierpnia. – Kartka szeleściła w jej palcach. – „Droga Mutti i Lillian” – zaczęła.

Lillian zamknęła oczy, wtuliła się w babcie i pozwoliła swej wyobraźni poszybować za ocean.

Rozdział 46

Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
5 października 1967 r.

Droga Tante Elsie!

Jeszcze raz dziękuję za przysłany wykrój sukienki od McCalla i album Beatlesów. Mamy tu nową radiostację, nazywa się BBC. Słyszeliście o niej w Ameryce? Nadaje całą dobrą muzykę, nawet Jima Morrisona. A dziś Tony Blackburn (spiker Radia 1) mówił o wszystkim, co się tam u Was dzieje. Czy to prawda, że tłumy Amerykanów protestują na ulicach? Trudno to sobie wyobrazić, ale Oma mówi, że tak wygląda wojna. Martwi się o Ciebie. Wy tłumaczyłam jej, że walki toczą się w Wietnamie, a to bardzo daleko od Teksasu. Jednak prosiła, żebym napisała do Ciebie, byś trzymała przy sobie małą Jane i wujka Alberta, a drzwi zamykała dokładnie.

Sama napisałaby do Ciebie, ale poszła już do łóżka. Od kilku miesięcy śpi dużo więcej niż zwykle. Nie chciała, żebym Ci o tym wspominała wcześniej, bo uważała, że to uczulenie na zmiany pogody, i piła na to swoje ziółka. Ale mamy już jesień w pełni, a ona jest coraz bardziej zmęczona. Broni się przed pójściem do lekarza. Mówię jej, że teraz mają pigułki prawie na wszystko, ale ona nie chce iść. Może Ciocia mogłaby z nią porozmawiać. Zapytaj wujka Alberta, co o tym myśli.

Poza tym wszystko u nas w porządku. Opa trzyma się dobrze. Wciąż nalega, by samemu piec pierwszą partię bułek, mimo że zatrudniliśmy dwóch wyszkolonych piekarzy i jednego cukiernika. Hugo jest najlepszy z całej trójki. Został zatrudniony bardzo niedawno. Terminował u szefa cukierni w Biskupstwie Liège w Belgii i dodał do naszego menu gofry. Od jego przybycia utylam dwa i pół kilo, uwielbiam je po prostu! Gdyby świat był doskonały, mogłabym wysłać w liście jednego takiego gofra. Jestem pewna, że smakowałby Wam tak samo jak nam. Zyski piekarni wzrosły o 20% i Opa świata nie widzi poza tym młodzieńcem. Kocha go jak syna, którego sam nigdy nie miał.

Obok nas otworzył się sklep z lodami. Szaleją za nimi amerykańscy turyści i wojskowi. Toteż Hugo z dziadkiem planują dostarczanie wafli do lodziarni. Interes kwitnie i wszyscy się cieszymy.

Wczoraj wieczorem zapytałam dziadka, czy jeśli do końca roku osiągniemy duży obrót, mogłabym na wiosnę pójść na uniwersytet. Myślę, że chciałabym studiować historię lub literaturę. Jeszcze nie jestem pewna. Tak czy inaczej, już zbyt długo to odkładałam. Marzę o tym, by przyjechać do Stanów Zjednoczonych. Jest tam tyle wspaniałych szkół, ale nie mogę zostawić babci i dziadka. Pewnie złożę papiery na Uniwersytet Ludwiga Maximiliana w Monachium. Opa powiedział, że to dobry plan. Tylko muszę się tam dostać. Módlcie się za mnie. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek.

Muszę już kończyć. Trzeba zamieść kuchnię, zanim pójde spać. Teraz, kiedy mogę jednocześnie słuchać radia, to wcale nie takie złe!

Przesyłam uściski dla Ciebie, Ciociu, Jane i wujka Alberta.

Lillian

P.S. Omal nie zapomniałam! Julius w końcu wziął ślub! Zawiadomił nas w zeszłym miesiącu. Ona ma na imię Klara i pochodzi z Lubeki. Jej ojciec jest bankierem i przenieśli się do Hamburga, gdzie Julius ma kierować Bankiem Hamburgskim. Więcej szczegółów nie znamy. Zna Ciocia Juliusa.

*

Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
19 października 1967 r.

Droga Tante Elsie!

Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, że nie wiem, od czego zacząć. Opa nie pozwala mi wysłać telegramu ani zamówić międzynarodowej rozmowy, więc wysyłam list i modłę się, żeby dotarł tak szybko, jak to tylko możliwe. Właśnie wróciliśmy ze szpitala. Z babcią jest coraz gorzej. Przez trzy dni leżała w łóżku i nie zjadła nawet okruszka ani nie wypła łyka herbaty. Tak się przestraszyłam, że wezwałam pogotowie. Zawieźli ją do szpitala.

Mówią, że to rak. Och, Ciociu Elsie, gdybym tylko zrobiła coś wiele miesięcy temu! Gdybyśmy to wykryli wcześniej, to może... ale teraz jest za późno. Odesłali ją do domu. Opa i ja czuwamy przy jej łóżku na zmianę.

Jestem niepocieszona i nigdy bym o to nie poprosiła, gdyby to nie było takie straszne. Proszę, przyjeźdź do domu. Lekarz mówi, że ona może być z nami jeszcze parę tygodni albo kilka dni. Opa nie chce przyjąć do wiadomości tak ponurej prognozy. Nie wiem, czy on jest w stanie wyobrazić sobie życie bez niej. Może się załamać. To mu złamie serce, i mnie też. Nie udźwignę tego sama. Ciociu, przyjeźdź do nas.

Twoja wierna
Lillian

Rozdział 47

Piekarnia Schmidtów
Ludwigstrasse 56
Garmisch, Niemcy
2 listopada 1967 r.

Elsie przyjechała dwie godziny przed czasem, więc wzięła taksówkę z dworca i wysiadła na Ludwigstrasse. Nie była na tej ulicy ponad dwadzieścia lat. Instynktownie dostosowała się do rytmu, jaki wybijał stukot jej obcasów o bruk. Jesienne powietrze było rześkie i czyste, pachnące sosną; wciągała je najgłębiej jak mogła. Niebo usiane było licznymi ołowianymi chmurami, które spowijały także szczyt Zugspitze. Lecz na razie kapnęła jej na policzek tylko pojedyncza kropla deszczu. Niebawem niebiosa otworzą się i luną deszczem, toteż była zadowolona, że przyjechała z Monachium wcześniejszym pociągiem.

Z piekarni wyszła para młodych ludzi, trzymając gruby bochenek chleba żytniego owinięty w szary papier. Alpejski wiatr kołysał delikatnie znajomy szyld nad drzwiami: *Schmidt Bäckerei*.

– *Guten Abend*. – Taksówkarz podał jej bagaż.

– *Guten Abend* – odpowiedziała Elsie, a słowa te zabrzmiały w jej uszach twardo i niezgrabnie.

Od dość dawna nie rozmawiała po niemiecku, poza śpiewaniem kołysanek malutkiej Jane.

Nad otwieranymi drzwiami piekarni zadźwięczał dzwonek, ale zapach poczuła już z daleka, dochodząc do progu. Intensywna woń pysznych drożdżowych wypieków. Według przepisu Papy. Tylko jego chleb wypełniał powietrze takim zmysłowym zapachem. Przez wiele lat usiłowała go odtworzyć we własnej piekarni, lecz nigdy jej się to do końca nie udało. Zawsze było w nim za dużo wanilii i cynamonu.

Mimo upływu lat i kilku unowocześnień piekarnia Schmidtów wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją zapamiętała. Koper przesadzono do większej doniczki, ale wciąż stał we frontowym oknie. Kosze na pieczywo stały na półkach tak samo, jak je kiedyś ustawiła. Drewniane stoły zastąpiono blatami z laminatu, ale cieśniły się w tych samych miejscach. Tak jakby wróciła do dawnego marzenia, a jednak niezupełnie.

– Słucham panią? – zapytał młody człowiek zza kasy.

Nagle poczuła się dziwnie i obco. Jej bluzka indygo w stokrotki i rozpuszczone włosy nie pasowały tutaj. Częstka niej samej, częstka Elsie Schmidt, pamiętała to miejsce z czułością i smutkiem, lecz ta dziewczyna była już jak postać z bajek braci Grimm. Teraz stała się Elsie Meriwether, miała kochającego męża, śliczną małą córeczkę i własną piekarnię na słonecznej pustyni zachodniego Teksasu. Jej dom nie był już tutaj i ku swemu zaskoczeniu poczuła, że ta świadomość daje jej komfort i moc.

– Czy pan jest Hugo?

– *Nein*. Jestem Moritz. Hugo jest na zapleczu.

Układał na tacy słodycze: *Mandelkekse*, ciastka migdałowe, poznała Elsie.

– Czy jest Lillian?

Moritz skończył i wstawił tacę do szklanej gabloty.

– Pani jest przyjaciółką rodziny?

Poczuła ukłucie.

– Jestem Elsie. Córką Maxa i Luany.
Moritz zrobił oczy tak wielkie jak spodki.
– *Ach ja!* Jest pani wcześniej! Proszę, proszę. – Wyszedł zza lady. – Nazywam się Moritz Schneider. – Wyciągnął rękę.
– Schneider? – Elsie z uśmiechem potrząsnęła jego dłoń. – Czy krewny Bitsy Schneider?
– To moja matka! – Wskazał kciukiem na siebie. – Jestem najmłodszym synem.
– Dobrze ją znam – powiedziała Elsie. – O ile pamiętam, bardzo ją kopałeś. – Poklepała się po brzuchu, a Moritz się roześmiał.
– To samo mi mówi Frau Schmidt. – Na wzmiankę o Mutti posmutniał. – Dobrze, że pani przyjechała.
Serce Elsie tłukło się pod żebrami.
– Tędy – powiedział, biorąc jej walizkę. – Są przy niej.
Zaprowadził ją do drzwi, których nie знаła. Postawiono nową ścianę, całkowicie odgradzającą sklep z przodu budynku od kuchni i klatki schodowej prowadzącej do ich mieszkania. Drugie piętro było przebudowane. Ściana w sypialni, gdzie ukrywała Tobiasa, została wyburzona i powstała przestrzeń wspólna z dużym telewizorem. Sypialnia rodziców pozostała tam, gdzie zawsze, ale na końcu miała dobudowaną powierzchnię. Po drewnianym schodku wchodziło się do dwóch przeciwległych pokoi. Lillian i Juliusa, domyśliła się Elsie.
Stała przed migającym czarno-białym ekranem telewizora i myślała: Tutaj spałam i przebierałam się z Hazel. I dalej: Tu świętowałam z Tobiasem moje siedemnaste urodziny. I jeszcze: Tu stał major Kremer. A także: Tutaj Mutti powierzała mi swoje tajemnice. W tym miejscu skupiło się tyle chwil, których nigdy nie zapomni. A jednak nic nie było już takie samo.
Moritz postawił jej bagaż obok sofy, w miejscu, gdzie kiedyś było łukowe wejście do jej pokoju. Podeszedł do drzwi Mutti i Papy. Zapukał.
– Lillian?
Drzwi otworzyły się i pojawiła się twarz Lillian.
– Przyjechała – oznajmił Moritz.
– Tante Elsie? – szepnęła Lillian i wyszła przed drzwi. – Ciociu! – Uściskała Elsie tak, jakby całe życie spędziły obok siebie. Była roztrzęsiona. – Bardzo ci dziękuję, że jesteś z nami.
– Już dobrze, dobrze – pocieszała ją Elsie. – Jak się czuje?
– Nic lepiej, ale zdążyłaś. – Lillian otarła łzy grzbietem dłoni.
Lillian przez te wszystkie lata przysłała Elsie kilka zdjęć, ale po raz pierwszy widziała swoją siostrzenicę na żywo. Była tak niesamowicie podobna do Hazel, że pocerowane serce Elsie zaczęło puszczać na starych szwach. Oczy jej płonęły na widok swojej siostry odrodzonej.
– Tak bardzo przypominasz swoją matkę.
Przycisnęła Lillian do siebie, chcąc się upewnić, że jest materialna, że to nie duch.
Lillian opuściła brodę.
– Jestem tylko jej cieniem.
– *Nein* – stwierdziła Elsie. – Jesteś jej najjaśniejszą częścią. – Jeszcze raz otoczyła Lillian ramionami, tym razem ukrywając napływające do oczu łzy. Lillian ujęła jej dłonie.
– Chodź. Oni czekają.
Zasłony w pokoju Mutti były szczelnie zaciągnięte. Z nocnej szafki mała lampka rzucała różowe światło na łóżko.
– Przyjechała Elsie – oznajmiła Lillian.
Delikatne palce Mutti poruszyły się na narzucie wyszywanej w szarotki.
– Elsie?
Podchodząc, Elsie miała nogi jak z waty, a nie mogąc już się na nich utrzymać, klękła

przy łóżku.

– Kochana, niech na ciebie spojrzę. – Mutti wzięła ją pod brodę i odchyliła jej twarz do światła. Sama miała wargi ziemiste, twarz wychudzoną, a oczy tak ciemne i zmęczone, że patrzenie w nie sprawiało Elsie ból. Ale dotyk Mutti był delikatny, a jej skóra jak zawsze pachniała masłem.

– Moja piękna córka – powiedziała, a Elsie dotknęła ustami jej dłoni i pocałowała. – Prawda, Max?

Papa siedział po drugiej stronie łóżka z pochyloną głową.

– *Ja*, Luana. Moje dziewczynki... najpiękniejsze w Niemczech. – W gardle go dławilo i zaciskał splecione palce.

– Jak tam moja wnuczka Jane? – zapytała Mutti.

– Dobrze. – Głos Elsie załamywał się.

– Silna i zdrowa?

Elsie pokiwała głową.

– Wyjada mi wszystkie *Lebkuchen*.

Mutti mruknęła z zadowoleniem i powiedziała:

– Przykro mi, że przeze mnie musiałaś zostawić ją i Alberta.

– Dadzą sobie radę. Chciałam przyjechać. Al też chciał, lecz obawialiśmy się, że...

– Przygryzła wargę i spojrzała na Papę.

Ten odchrząknął i wstał; był dużo drobniejszy, niż Elsie go zapamiętała.

– Przyniosę nam zupy. Lillian, pomóż mi, proszę.

Lillian posłuchała i wyszła za nim.

Gdy zostały same, Mutti pogłaskała włosy córki.

– Lubię, gdy są takie rozpuszczone. To mi przypomina czasy, gdy ty i Hazel byłyście małe, a ja cesałam wam włosy przed snem. Pamiętasz?

– Muszę je rozprostowywać, żeby takie były. – Elsie pociągnęła nosem. – Inaczej się falują i skręcają. Hazel miała włosy jak jedwab, piękne i proste.

– Ty masz włosy po tacie. Jeśli postanowię od rana sterczeć, przez cały dzień nie da rady ich z powrotem wygładzić. Żywotność. – Uśmiechnęła się. – Hazel miała moje włosy, no i co teraz? – Dotknęła lekko skroni. – Słabe, bez życia. Mogę je tylko spleść z tyłu i przykryć łyse placki.

Choć Elsie starała się nie poddać, oddychała z coraz większym trudem.

– To nie było śmieszne, wiem, wiem – sumitowała się Mutti. Odsunęła nieco prześcieradło. – Choć, połóż się koło mnie.

Elsie zdjęła pasujące do bluzki pumpy i otuliła sobą Mutti. Jej ciało było chude i kościste, zimniejsze, niż powinno być pod ciepłym, wełnianym przykryciem. Elsie przytuliła się do matki i swoimi stopami w pończochach masowała gołe stopy Mutti.

– Tęskniłam za moimi dziewczynkami – szepnęła Mutti i pocałowała Elsie w głowę.

Elsie czuła swoim ciałem bicie serca matki; liczyła każde uderzenie i modliła się o następne. Nie była już w stanie powstrzymać rozpacz.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – powiedziała.

– Cicho, kochana. Nigdy cię nie winiłam za robienie tego, co uważałaś za słuszne i najlepsze. Zawsze to w tobie podziwiałam. Chciałabym mieć chociaż odrobinę twojej odwagi. Może inaczej potoczyłoby się wszystko w naszej rodzinie.

– Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką w życiu znałam.

– *Doch*, spójrz w lustro, a zobaczysz najsilniejszą ze Schmidtów. – Przysunęła się bliżej ucha Elsie. – A są to słowa twojego taty.

Elsie uściśnięła ją mocno i marzyła, by zatrzymać tę chwilę na wieczność.

– Zanim odejdę – powiedziała Mutti – są pewne rzeczy, które musisz wiedzieć. – Uniosła brodę Elsie tak, że ich oczy się spotkały. – Twój tata bardzo cię kocha. Pogódź się z nim. On rozumie, że mylił się co do Alberta i wojny. Duma nie pozwalała mu się do tego przyznać, ale wie.

Smutek przepęłnił płuca Elsie i wylał się skruchą.

– Mutti, ja też się myliłam. Kłamałam, bo myślałam, że chronię cię. Tak dużo było rzeczy, które powinnam była ci powiedzieć... tak dużo.

– Przeszłość jest mroczna i ciężka. Jeśli na to pozwolimy, może podstępnie zdławić naszego ducha. Musimy się z nią pogodzić i iść naprzód. Obiecasz mi?

Elsie kiwnęła głową.

– Druga rzecz... – Elsie poczuła, jak Mutti zaczerpnęła oddechu, uwypuklając żebra. – Musisz wiedzieć, że twoja siostra Hazel nie żyje, tak jak i jej syn Friedhelm.

– Na pewno?

– W głębi duszy wiedziałyśmy to od wielu lat, *ja?* – Próbowwała ją pocieszyć smutnym uśmiechem. – Kontaktowałam się z Ovidią. Szukając swego zaginionego syna, dotarła do rejestru urodzin i śmierci Ośrodka Lebensborn w Steinhöring. – Mutti rozpaczliwie wciągnęła powietrze, dotykiem dłoni powstrzymując jakiś niewidoczny ból w środku, i mówiła dalej: – Chłopiec-bliźniak był na liście niepełnosprawnych i zakwalifikowanych do tak zwanej Operacji T4. – Mrugała powiekami. – Nazistowski program eutanazji. Najwyraźniej powszechnie stosowany.

Przez pokój przeszedł mrozący powiew. Elsie potarła stopami stopy Mutti.

– W dokumencie była też lista zmarłych matek z Ośrodka.

Lampka przygasła. Po dachu zabębniła fala deszczu. Z dołu dochodziły głosy mężczyzn.

– Jak? – zapytała Elsie.

– Samobójstwo – wyszeptała Mutti.

– Och, Hazel. – Elsie mocno zacisnęła powieki.

– Nigdy nie powiedziałam tego tacie. Każde z nas ma swoją własną walizkę tajemnic.

Niektóre najlepiej zabrać ze sobą do grobu. Nie są dobre dla żyjących. – Chwyciła Elsie za rękę.

– W naszym rodzinnym grobie na cmentarzu św. Sebastiana jest nieoznaczony kamień nagrobny. Dopilnuj, żeby na nim oficjalnie wygrawerowano nazwisko Hazel.

Elsie kiwnęła głową.

– Niedługo się z nią zobaczę. To moje pocieszenie. Bóg jest sprawiedliwy i miłosierny we wszystkim.

Elsie modliła się, żeby Mutti miała rację. Na świecie potrzeba było tak wiele sprawiedliwości i tak wiele miłosierdzia.

– I ostatnia tajemnica – powiedziała Mutti. – Wstydzę się wyznać, że ją trzymałam dla siebie, choć do mnie nie należała.

Obie miały swoje sekrety, niektóre ze sobą dzieliły, innych nie, lecz Elsie nie umiała się domyślić, czyj sekret chciała jej teraz wyjawić.

– Sięgnij pod łóżko z boku – poleciła Mutti.

Elsie zrobiła, jak matka kazała, i wymacała palcami plik złożonych, wysuszonych ze starości papierów. Podsunęła je do światła i poznała własny charakter pisma.

– Moje listy do ciebie?

– Oprócz dwóch ostatnich – powiedziała Mutti.

Elsie przejrzała kartki i wyciągnęła te z samego dna. Papier był cieńszy i jeszcze bardziej kruchy niż reszta. Ostrożnie rozwinęła kartkę i przeczytała. Był to list od Frau Rattelmüller.

*

Elsie,

słyszałam, że gestapo było w Waszym domu, więc poszłam sama zobaczyć. To było zrządzenie Boże, bo gdy żołnierze wyszli za Tobiasem, byłam właśnie przed piekarnią. Na mój widok chłopiec wydał z siebie krzyk tak potężny jak Archanioł Gabriel. W zamieszaniu spowodowanym burzą i paniką na ulicach zdołałam go niezauważenie doprowadzić do swojego domu. Teraz jest tutaj. Jestem spakowana i zamierzam razem z nim wyjechać dziś wieczorem, razem ze wszystkimi uciekającymi z miasta. Wierzę, że po drodze do granicy szwajcarskiej będzie uchodził za syna Niemiec. Choć jestem już taka stara, mam nadzieję, że moje kości to wytrzymają. Obiecałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Ci pomóc. Teraz realizuję tę obietnicę. Zanim wyjedziemy, chcę, żebyś wiedziała, że chłopiec jest bezpieczny. Nic się nie martw. Będę go chronić za wszelką cenę. Mam nadzieję, że ten liścik dotrze do Ciebie bezpiecznie. Zostawiam go pod drzwiami kuchennymi i modłę się, żebyś była pierwszą osobą przekraczającą próg. Niech Bóg błogosławi i ochrania Ciebie i Twoją rodzinę, droga Elsie. Spróbuję skontaktować się z Tobą znów, gdy już będziemy bezpieczni.

Frau R.

*

OD: 30 Plattenstrasse
Zurych, Szwajcaria
DATA STEMLA: 25 czerwca 1945 r.

Elsie,

mam nadzieję, że ten list dotrze do Twoich rąk. Jesteśmy z Tobiasem wśród przyjaciół w Zurychu. Z goryczą w sercu słyszę o inwazji aliantów na Garmisch. Choć jesteśmy Niemcami, nasza Ojczyzna już nie jest gościnnym miejscem. Rodziny żydowskie, które ukrywałam ponad rok, Mailerowie i Zuckermannowie, w czasie tych potwornych lat stracili prawie wszystkich swoich krewnych. Dzięki Twojemu pierścionkowi zaręczynowemu mogliśmy jeszcze przed marszem przekupić straż SS i wydostać z obozu w Dachau Nanette Mailer, jej koleżankę i siostrzenicę Zuckermannów, Tabitę. Niestety, siostra Tobiasa, Cecile, nie wytrzymała surowych warunków w obozie i poddała się w połowie stycznia. Powiedziałam mu o tym i jest mi niezmiernie przykro, że nie byliśmy w stanie jej pomóc, tak samo jak wielu innym.

Mailerowie i Zuckermannowie postanowili wyjechać z Europy. Mailerowie udali się do Izraela, Zuckermannowie – do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ja jestem za stara, żeby podejmować tak odległe podróże. W Lucernie mieszka moja szwagierka. Pojadę więc do niej. Zaproponowałam Tobiasowi, by ze mną zamieszkał, jeśli chce. Jednak on bardzo mocno się zżył z Zuckermannami. Oni stracili w Dachau swego dziewięcioletniego syna, toteż Tobias jest jak balsam na ich serca. Zaprośili go, by z nimi pojechał do rodziny w Ameryce. Ta propozycja wywołała u niego uśmiech – pierwszy od czasu, gdy dowiedział się o śmierci Cecile. Modłę się więc, aby to był znak, że się zgodzi. Myślę, że z Zuckermannami byłby szczęśliwy. To jedni z najwspanialszych ludzi, jakich miałam zaszczyt znać. Tobias miałby tam opiekę i miłość do końca życia. Jest taki młody i tyle ma jeszcze przed sobą. Mam nadzieję, że te wieści Cię uspokoją.

Będziemy z Tobiasem pod tym adresem do drugiego tygodnia lipca, gdy wszyscy wyjedziemy z Zurychu. On bardzo chciałby dostać jakąś wiadomość od Ciebie i pisać do Ciebie, ale dopóki nie wiemy na pewno, że otrzymujesz te listy, bezpieczniej będzie nie pisać.

Codziennie modłę się o bezpieczeństwo Twoje i Twojej rodziny.

Frau R.

*

Oczy Elsie napełniły się niepohamowanymi łzami. Tobias żyje! Uratowała go. Chłonęła tę wiadomość jak wygłodzony więzień, zbliżając cienki papier do twarzy, aż zostawiła na nim różowe ślady szminki. Tobias jest w Ameryce, jak ona. Mogła go minąć w sklepie spożywczym i nic o tym nie wiedzieć. Zuckermannowie? Czy słyszała takie nazwisko w ciągu tych lat? Chociaż nie słyszała, ogarnęła ją taka radość, że poczuła się lekka jak piórko.

Lecz na smutnej twarzy Mutti pozostał cień.

– Przepraszam, że ukryłam to przed tobą. – Złożyła dłonie. Obrączka zsunęła jej się po palcu. – Bałam się. Pierwszy list znalazłam pod kuchennymi drzwiami po tym, jak gestapo...
– Nie dokończyła. – Nie chciałam, żeby wrócili i znów cię skrzywdzili. Nie chciałam też, żeby zrobili krzywdę Frau Rattelmüller. Gdy przyszedł drugi list, byli tu już Amerykanie i ciągle się o nas bałam. Nie mogłam ryzykować bezpieczeństwa jedynej córki, jaka mi została. – Położyła wątlą dłoń na policzku Elsie. – Schowałam te listy i modliłam się, żeby Frau Rattelmüller przestała pisać. Pomyślałam, że najlepiej jak wszyscy zapomnimy o tamtych trudnych latach. O tym, co robiłaś, w co byłaś zamieszana, nie chciałam wiedzieć. – Dotykała skóry Elsie zimnymi palcami. – Chciałam po prostu żyć dalej. I ty też, choć nie w taki sposób, jak oczekiwaliśmy Papa czy ja. – Czoło Mutti zrosił gorączkowy pot. – Był taki zły na ciebie, że zgodziłaś się wyjść za Amerykanina. Nie chciałam powiększać jeszcze konfliktu w naszym domu, pokazując mu te listy. Więc trzymałam je w ukryciu, a ty wyjechałaś do Ameryki. Rok za rokiem wydawały się coraz mniej ważne, mniej związane z naszym życiem. – Jej ręka opadła na łóżko. – Ale nie miałam racji, chowając je przed tobą i bojąc się ujawnić ich zawartość. Powinnam być z tego dumna. – Odwróciła się, a na jej twarzy po raz pierwszy od przybycia Elsie wypisana była pewność i odwaga. – I jestem dumna ze wszystkiego, co zrobiłaś, by pomóc temu żydowskiemu dziecku. Jestem dumna ze wszystkiego, co zrobiłaś w swoim życiu – powiedziała, a jej ciało aż zapadło się w głąb od wagi tych słów.

Na schodach dały się słyszeć kroki. Drzwi otworzyły się, rzucając snop światła na podłogę sypialni, a za nim wtargnął ostry zapach cebuli i kminku.

– *Schwarzbrotsuppe* – oznajmił Papa.

On i Lillian nieśli po dwie miseczki.

Mutti trzymała rękę Elsie, wciąż zaciśniętą na pliku listów.

– Są twoje i zawsze były – szepnęła.

– Zupa chlebowa rozgrzewa duszę – powiedziała Lillian. – Czy nie tak zawsze mówisz,

Opa?

Mutti pogładziła go po ręku.

– Mój Max. Lepszego męża kobieta nie mogłaby sobie wymodlić. Dziękuję ci.

Papa chrząknął dwa razy, ale nie znalazł siły, by się odezwać.

– Jedz, Elsie – zachęcała Mutti. – Za tobą długa podróż, a ja chcę usłyszeć o Jane i Albercie, i twojej piekarni. Czy możesz w to uwierzyć, Max? Nasza córka jest bizneswoman i ma piekarnię. Te dzisiejsze dziewczyny... – Uśmiechnęła się do Elsie i mrugnęła do Lillian. – Świat ma im tak dużo do zaproponowania.

Papa patrzył z aprobatą na trzy kobiety i serce mu urosło.

Siedzieli razem wokół łóżka, a łyżki dzwoniły o miski. Potem śmiali się i słuchali opowieści Elsie o jej domu. Lecz gdy oni napełniali żołądki ciepłą strawą, Mutti nic nie jadła. Jej zupa stygła na nocnej szafce.

Rozdział 48

Dom Pogrzebowy
North Loop 9400
El Paso, stan Teksas
11 maja 2008 r.

Dom pogrzebowy był pełen ludzi i lepki od gorąca zbyt wielu stłoczonych obok siebie osób. Pośrodku stała kamienna urna z prochami Elsie, a obok na ozdobnej tabliczce złotego koloru widniał napis: PAMIĘCI NASZEJ ELSIE SCHMIDT-MERIWETHER, UKOCHANEJ ŻONY I MATKI, PRAWDZIWEJ PRZYJACIÓŁKI I PIEKARKI, 30 STYCZNIA 1928 – 7 MAJA 2008. Bogactwo tabliczki kontrastowało z prostotą urny. Reba domyśliła się, że tę pierwszą dostarczał dom pogrzebowy. Pasowała do zasłon ze złotą nitką i brokatowego dywanika.

Reba wykupiła pierwszy możliwy lot z San Francisco do El Paso, niestety, zanim z okna samolotu ujrzała Góry Franklina, Elsie już odeszła.

Podczas gdy Jane organizowała kremację i pogrzeb, Reba napisała nekrolog i rozesłała do wszystkich gazet w Teksasie, choć i tak ich zasięg był tylko lokalny. Miała przynajmniej jakieś zajęcie, inaczej niż teraz, gdy krążyła między ścianą pamięci a urną, trącając się z ludźmi łokciami i biodrami, usiłując rozmawiać z obcymi.

Zauważyła Rikiego, który siedział na burgundowego koloru kanapie domu pogrzebowego, i poszła prosto do niego.

– Jak się trzymasz? – zapytał.

Usiadła na miękkim siedzeniu.

– Tak dużo ludzi. Nikogo nie znam.

Na stoliku obok stała miska z cukierkami toffi. Sięgnęła przez Rikiego po jednego i jej nozdrza połaskotał mocny zapach jego wody po goleniu. Serce aż jej podskoczyło. Tęskniła za wszystkim, co się z nim wiązało.

Riki lustrował tłum.

– Czy to wszystko są klienci jej piekarni?

– Możliwe. – Odwinęła bursztynowy krążek i włożyła go do ust. – Czy to nie wspaniałe, że coś tak zwyczajnego jak chleb może dla ludzi tak wiele znaczyć?

Podeszła do nich jasnoblond kobieta i wskazując na miejsce obok, odezwała się:

– Dzień dobry, czy mogę tu usiąść?

– Oczywiście – odparła Reba z buzią pełną toffi.

Kobieta wyciągnęła z torebki program pogrzebu, przez grzeczność wydrukowany w kilkunastu egzemplarzach po niemiecku. Ona miała właśnie taki egzemplarz.

– Skąd pani znała Elsie? – zapytał Riki, chcąc nawiązać towarzyską rozmowę.

– Jestem jej siostrzenicą, Lillian.

– Siostrzenicą? – Reba szybko pogryzła i przełknęła cukierka. – Zawsze myślałam, że Elsie była jedynaczką.

– Nie – odparła Lillian. – Mutter, siostra Elsie, Hazel, zmarła w Niemczech w czasie wojny. Tante Elsie na swój sposób była dla mnie matką, której nigdy nie miałam.

– Przyjechała pani tu aż z Niemiec? – spytał Riki.

– Nie, z Vich-ita.

– Wichita w Kansas? – podchwyciła Reba.

Lillian roześmiała się.

– *Ja*, niemiecka Fräulein w sercu Ameryki. Przyjechałam do Stanów Zjednoczonych na studia i pisząc pracę na temat Programu Lebensborn, spotkałam swego męża. Jest profesorem historii Niemiec. To wszystko dzięki cioci Elsie. Mój dziadek zmarł dziewięć miesięcy po babci. Piekarnia rodzinna przypadła w spadku Elsie, ale ona poprosiła, żebym ją sprzedała naszemu szefowi piekarni, a pieniądze przeznaczyła na studia. Bez jej hojności to nie byłoby możliwe. Nie spotkałabym swojego męża i nie miałabym moich dzieci. To dzięki niej jestem tym, kim jestem.

– Rozumiem – rzekła Reba.

Wszedł starszy pan z żoną. Rozejrzeli się po sali i zobaczyli Lillian.

– Przepraszam, szukam panny Meriwether, córki Elsie. Czy to może pani? – zapytał mężczyzna.

– Nie, niestety – odparła Lillian.

– To jej siostrzenica – wyjaśniła Reba.

– Podobieństwo rodzinne jest ogromne.

W środku tłumu mignęła głowa Jane.

– Tam jest córka Elsie. – Reba pokazała, a nieznajomi poszli złożyć kondolencje.

Lillian uśmiechnęła się.

– Więszego komplementu nie mogłam usłyszeć. – Wstała. – Przepraszam bardzo, muszę oddać cześć pamięci zmarłej.

– Oczywiście – powiedziała Reba. – Miło było panią poznać. Elsie i Jane traktuję jak swoją rodzinę, a więc i pani do niej należy. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Lillian skinęła głową i odeszła. Gdy zostali sami, Reba pochyliła się w stronę ramienia Rikiego i rozglądała się po sali. Zebrani ludzie rozmawiali wesoło, z uśmiechem, opowiadali historyjki o Elsie i wspominali ją jako więcej niż przyjaciółkę, jako rodzinę.

– Jedyne pogrzeb, na jakim byłam, oprócz tego, to pogrzeb mojego taty. Wszystko tam było inaczej. Czułam się jak zamknięta w szafie w płonącym domu. Nie tak jak tu. – Wzruszyła ramionami. – Tu jest... miło.

Riki wziął ją za rękę.

– Jej by się podobało. Ona czyniła życie ludzi lepszym.

Reba przytaknęła, po czym sięgnęła rękami na tył szyi i rozpięła łańcuszek.

– Jakiś czas temu Elsie powiedziała mi, żebym albo nosiła twój pierścionek, albo go oddała.

Wzięła w palce złote kółko.

Riki zasepił się i już wyciągał rękę, ale Reba mocno trzymała pierścionek.

– Rozpracowała mnie na samym początku. Przejrzała mnie na wylot. – Czuła, że gardło jej się zaciska. Opuściła nisko brodę. – Riki, popełniłam tyle błędów. Nie wiem, jak mi je wszystkie wybaczysz, ale mam nadzieję, że to zrobisz. – Musiała to z siebie wyrzucić, dopóki miała odwagę. – W San Francisco było tragicznie. Byłam tak samotna i jeszcze ten facet, ten głupi facet. – Potrząsnęła głową. – Ale nie wrócę tam. Już wiem na pewno, czego chcę. Teraz widzę jaśniej niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Przerwała im Jane, gwizdząc.

– Słuchajcie ludziska! Mama nie zniósłaby, gdybyśmy tylko płakali i zawodzili nad jej grobem. Dlatego zapraszam wszystkich do piekarni. Uczymy życie mamy jak należy, jedząc do syta! – Zaśmiała się, otarła łzy i wzięła urnę z prochami Elsie.

Bardzo szybko sala opustoszała. Pozostali tylko Reba i Riki.

– Wiem, że proszę o wiele, ale chciałabym, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. – Reba przygryzła wargę i obracała w palcach pierścionek. – Do trzech razy sztuka?

Riki delikatnie wziął od niej pierścionek.

– Zrezygnowałem z pracy. – Trzymał jej dłoń w swojej. – Wszystko było złe.

Reba próbowała oddychać, ale w piersiach ją ścisnęło. Dopuszczała przecież możliwość, że jej nie wybaczy, że wszystko się zmieniło.

– Źle – powtórzyła po nim, napinając barki. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli on ją odrzuci.

– Ja też widzę swoje życie wyraźniej i chcę czegoś innego. Czegoś dobrego. – Ścisnął jej rękę.

– Okej. – Fala gorąca przeszła ją od stóp do głów. – No więc co jest dobre? Domyślam się, że to, co powiedziałam o San Francisco, to dla ciebie szok. Ale ja cię kocham i chcę być z tobą przez resztę życia... jeśli ty też tego chcesz. Ale jeśli nie uważasz, że to jest dobre... dla ciebie, to... – mówiła zdławionym głosem i musiała przerwać, żeby się nie rozplakać.

Niezadowolenie na jego twarzy złagodniało.

– Nie mówiłem, że ty nie jesteś dla mnie dobra. Mówiłem o pracy.

– Ach – powiedziała i uświadomiła sobie, że zabrała mu swoją rękę i teraz zaciska dłonie. Położyła je na kolanach. – Przepraszam. Pogubiłam się.

– Rebo, oboje mamy na koncie rzeczy, z których nie jesteśmy dumni. Mówisz, że popełniałaś wielkie błędy? No cóż, ja też je popełniałem. Raniłem ludzi. Ciężko mi żyć z tą świadomością.

Rozumiała. Jej tata miał podobne obciążenia. Jednak tym razem ona nie będzie stała i udawała, że problem nie istnieje. Razem mogą znaleźć wybaczenie i na myśl o tej możliwości serce zaczynało powoli tajać.

– Czy jeszcze chcesz się ze mną ożenić? Bo ja chcę za ciebie wyjść – powiedziała zdecydowanie.

Popatrzył jej w twarz, założył niesforny lok za ucho i wsunął pierścionek na palec.

– Jeśli zechcesz bezrobotnego Meksykanina.

Kamień spadł jej z serca. Opadła mu w ramiona i wtuliła twarz w jego szyję, czując ukochany zapach.

– Tak – szepnęła i przytuliła się mocniej. – Na sto procent tak.

Riki z czułością odsunął ją kawałek, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Przeszliśmy długą drogę. Oboje.

Reba kiwnęła głową.

– Opowiedz mi – rzekła.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zniszczoną jedno-centówkę.

– Dał mi to chłopiec o imieniu Victor. Należał do rodziny, którą zatrzymaliśmy, a potem deportowaliśmy do Juárez. – Potarł brodę kciukiem. – Zabili go... my go zabiliśmy. Nie żyje, dlatego że był w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nie żyje, dlatego że nikt nie zrobił nic, by go ocalić od pogrążania się w przemoc. Ja też nie zrobiłem nic, prócz buntowania się w środku.

Potem Riki opowiedział jej całą historię tak, jak on to widział. Historię, której reszta świata nie znała lub nie chciała znać, a może trochę jedno i drugie. Gdy mówił, Reba splótła swoje palce z jego palcami. Biały diament na jej palcu rozszczepiał światło, rzucając na ścianę piękną tęczę.

Rozdział 49

Cmentarz kaplicy św. Sebastiana
Garmisch, Niemcy
6 listopada 1967 r.

Opadłe liście wyścielały cmentarz dywanem w kolorze umbry. Wybudzani na chwilę z wiecznego snu stukaniem łopat i płaczem żałobników jego stali mieszkańcy znów wracali do swego odpoczynku; cmentarz ponownie brała we władanie cisza i pustka, tylko nowo usypany grób osadzał się z godziny na godzinę, cał po cał, podczas gdy żywi biegli żyć dalej.

W czasie pogrzebu Elsie trzymała tatę za rękę. Dłonie mieli zupełnie identyczne.

– Kocham cię – szepnęła mu.

Przyciągnął ją do siebie drżącymi ramionami i pocałował w czoło.

– Moja Elsie. Wybacz mi.

Wystarczyło jej siły tylko na kiwnięcie głową i płacząc w jego mocnych objęciach, pozwoliła, by odpłynęły wszystkie minione lata i zastarzałe żale.

– Zabiorę dziadka do domu – zaproponowała Lillian po zakończeniu pogrzebu. – Ty, ciociu, zostań tu tak długo, jak zechcesz.

Elsie została jeszcze wiele godzin po odejściu wszystkich. Ksiądz dawno wrócił do kaplicy, mając już ręce zmarznięte i czerwone od zimnego wiatru.

Dzwon w kaplicy zadzwonił pięć razy. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, znikając za grzbietami Szwarzwaldu. Za niecałą godzinę będzie całkiem ciemno i będzie musiała stąd odejść, noc przyjdzie i minie, a jutro rano wsiądzie w samolot i wróci przez pół świata do swojej uśmiechniętej córeczki i objęć męża. Potem będzie kolejne jutro i następne, a obecna chwila stanie się przeszłością.

Więc ociągała się z odejściem, czytała wciąż na nowo napis na granitowej płycie, próbując poczuć to w sobie tak, jak uważała, że powinna poczuć, wpisać głęboko w pamięć. LUANA SCHMIDT, UKOCHANA ŻONA I MATKA, 1897–1967. LUANA SCHMIDT, UKOCHANA ŻONA I MATKA. LUANA SCHMIDT, UKOCHANA. LUANA SCHMIDT. LUANA. Mutti.

Było to skromne epitafium. Tak jak Mutti by chciała. Ale takie mizerne w porównaniu z życiem, które miało wysławiać. Wiosną wyrosnie tu trawa i na nowo zakwitną polne kwiaty, nawet nie wiedząc nic o tym życiu, którym się karmią. Ci, którzy będą tędy przechodzili przez nadchodzące lata, nie będą wiedzieli, jaka głęboka miłość spoczywa pod ich stopami.

Na końcu po prawej stronie był grób Petera Abenda – wokół nagrobka zwieszały się kiście ostrokrzewu. O, Peterze, pomyślała Elsie, jak wiele straciłeś.

Obok napisu Mutti dodano Hazel. Ku wielkiej uldze Elsie Papa zgodził się na to bez pytań i próśb o wyjaśnienie. Napis brzmiał: HAZEL SCHMIDT, UKOCHANA CÓRKA I SIOSTRA. Elsie nie podała daty, niepewna, jaka ma ona być, a także nie chcąc dokładać bólu Papie.

Dłoń w rękawiczce zacisnęła w pięść. Śmierć nie powinna przechodzić tak niepostrzeżenie, myślała. Mutti, Hazel, Friedhelm, Peter – darowani życiu i zaraz odebrani. Byli kochani i zasługiwali na więcej. Nie w postaci marmurowych kamieni czy ozdób, lecz w celebrowaniu ich pamięci. Zasługiwali, by niebo otworzyło się na chwilę dla nich wszystkich, wszystkich, którzy byli i odeszli.

Na pobliskim drzewie zięba zaśpiewała „sjip, sjip, sjip” i odleciała. Mutti powiedziała

o Bogu „sprawiedliwy i miłosierny”. Ptak wzleciał wysoko, a jego pieśń stopiła się z wiatrem.

Zmierzch kładł się na wszystko bursztynowym poblaskiem. Cienie nagrobków wydłużyły się. Czas iść. Elsie odwróciła się i szła do wyjścia, ale jej uwagę zwrócił mały, samotny nagrobek, oddalony od schludnych rzędów grobów rodzinnych na cmentarzu. Poszukała wzrokiem nazwiska i zatrzymała się.

JOSEF HUB. Żadnych innych napisów ani dat.

Elsie podeszła, zdjęła rękawiczki i przejechała palcami po wyrytym imieniu Josef. Westchnęła. On też zasługiwał na pamięć. Jego życie było tak samo częścią jej historii jak życie tamtych. Nie miała dla niego żadnego kwiatka, więc zdjęła z włosów niebieską wstążkę i zawiązała ją wokół płyty nagrobka.

Próbowała sobie przypomnieć Josefa bez munduru nazistowskiego, ale właściwie nigdy nie poznała, jakim był człowiekiem i jakie dźwigał ukryte w sobie ciężary. Zmówiła więc pacierz za jego duszę, żeby mógł odnaleźć wybaczenie i miłość. Musiała wierzyć, że to możliwe, nawet dla zmarłych.

Rozdział 50

Cmentarz Panteón San Rafael
Ciudad Juárez, Meksyk
2 listopada 2008 r.

Reba przytrzymała swój kapelusz stetson, gdy wraz z Rikim jechali po kocich łbach szarych uliczek na cmentarz Panteón San Rafael. Ozdobiła kapelusz najczerwieńszymi pelargoniami, jakie znalazła w kwiaciarni. Było święto Día de Muertos.

Poranna mgła spowijająca tutejsze rudery budynków pachniała siarką i miedzią z huty ASARCO po stronie amerykańskiej. Na frontowym podwórku zniszczonego przez warunki klimatyczne meksykańskiego domu paliła się sterta śmieci; wokół ogniska biegały małe pieski chihuahua, a dzieci jeszcze w piżamach wołały je do siebie. Wzdłuż horyzontu, z małych domków przylepionych do piaszczystych zboczy gór, snuły się do nieba pióropusze szarego dymu.

– Czy to są ogniska na Día de Muertos? – spytała Reba.

Riki pochylił się i popatrzył na upstrzone niebo.

– Nie. To ludzie z Juárez palą śmiecie, żeby się ogrzać.

Reba słyszała pogłoski o czymś takim, ale nigdy nie widziała na własne oczy. Sprawiało to, że poranek wydawał się równie apokaliptyczny jak samo święto.

Mijali osiedle za osiedlem, kierując się w stronę południowych przedmieść, gdzie rozciągał się cmentarz, z rzędami grobów od dawna przesuwanymi coraz dalej i dalej, niczym ziemia orana pod kolejny zasiew. Przejścia między kolumnami nagrobków z lasem białych krzyży wypełniły się już rodzinami zmarłych, ustawiających tam świece, jedzenie i kwiaty. Pole cmentarne ciągnęło się daleko w surowy bezmiar pustyni.

– Jak ich dużo – szepnęła Reba.

– Przyjeżdżają oddać cześć swoim zmarłym, przypomnieć sobie o przeszłości – powiedział Riki.

Ale Reba nie miała na myśli żyjących, tylko zmarłych. Panteón San Rafael otwarto w 1995 roku. Był zupełnie nowy w porównaniu z większością cmentarzy, a w tej uświęconej ziemi leżały już dziesiątki tysięcy pochowanych ludzi.

Riki poprowadził ją przez labirynt grobowców z przybyłymi żałobnikami. Oglądała stare kobiety modlące się do figury Maryi Dziewicy, młodsze kobiety śpiewające kołysanki, mężczyzn wypisujących imiona na czaszkach z cukru i dzieci układające nagietki wzdłuż brzegów zakopanych trumien. Szli dalej w głąb, mijając świeże groby, do rejonów, gdzie kopce były wyraźnie zapadnięte – ich lokatorzy stopili się już z ziemią.

Riki podszedł do niczym nieozdobionej płyty z napisem BETO CHAVEZ, 1933–1998. NATALIA CHAVEZ, 1936–1998. ZAWSZE WIERNI I ODDANI. Jego rodzice. Reba objęła go ramieniem w pasie, nie dla siebie, lecz żeby mu dodać otuchy.

Zgodziła się tu przyjechać, chociaż nie była pewna, czego może się spodziewać. Gdy stała tu teraz, uczucie, jakie ją ogarniało wobec tych ludzi, których nigdy nie знаła, zaskoczyło ją samą. Pomyślała o wielkim, przytłaczającym grobowcu jej taty z błyszczącego czarnego marmuru, który stał w środku wypielęgowanego cmentarza baptystów w Richmond. Nienawidziła go, bała się go, jak również i tego morza ponurych krewnych i znajomych, którzy zgromadzili się, by oglądać, jak jest spuszczaony w ciemność. To miejsce było zupełnie inne. Nagrobki z piaskowca pomalowane były na lśniąca biel; słońce okalało wszystko złotą aureolą;

kwiaty i inne dekoracje zamieniały cmentarzysko w niezwykłą feerię barw.

Riki rozwinął wełniane *rebozo* w tęczy kolorach i położył je na grobie. Potem wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i wytarł nią piasek z napisu wrytego w kamieniu.

– Mamo, tato – szepnął – poznajcie Rebę.

Spojrzał na nią.

Reba przyklękła na szalu i wyjęła z torby lampkę z witrażem przedstawiającym Madonnę oraz pudełko zrobionych w domu *churros*, według zmodyfikowanego przez Jane przepisu Elsie na pączki.

– Miło mi was spotkać – powiedziała Reba. – Nie jestem zbyt dobra w pieczeniu, ale przyniosłam to, co udaje mi się najlepiej. – Postawiła pudełko na grobie i zdjęła przykrywkę; wokół rozszedł się aromat cynamonu i smażonych pączków. – Riki mówi, że to były wasze ulubione.

Riki przygarnął ją do siebie z uśmiechem. Siedzieli tam jak na pikniku przez ponad godzinę. Riki opowiadał jej o rodzicach, o swoim dzieciństwie, całą swoją historię. Gdy słońce podniosło się wyżej, przyszło jeszcze więcej roześmianych ludzi z girlandami kwiatów, gitarami i koszami z jedzeniem na lunch. Cmentarz zaroił się kolorami, rozbrzmiewały pieśni i rozchodziły się smakowite zapachy. Reba uznała to za jedno z najpiękniejszych wydarzeń, jakich była świadkiem: świętowanie śmierci i życia jednocześnie. Wyobrażała sobie, że aniołowie rozpostarli skrzydła nad nimi wszystkimi. Wierzyła w to.

O wpół do dwunastej spakowali rzeczy, zostawiając swą ofiarę i dwa kwiaty pelargonii z kapelusza Reby. Po drodze na parking Riki zatrzymał się nagle przed grobem obsadzonym pomarańczowymi nagietkami, na którym leżały dziecięce zabawki: zniszczona piłka futbolowa, plastikowy samolocik i wypchany tygrys w paski. Dzień wcześniej był Día de los Santos Inocentes, dzień ku pamięci utraconych dzieci. Riki puścił dłoń Reby. Na białym drewnianym krzyżu wypisane było: VICTOR GARCIA.

Victor Rikiego, domyśliła się i chwyciła go mocno za rękę. Chciała, by wiedział, że jest z nim, na dobre i na złe, w radości i w smutku.

*

Choć była niedziela, Jane otworzyła piekarnię między czternastą a siedemnastą, żeby klienci mogli odwiedzić ołtarzyk poświęcony Elsie. Riki z Rebą dotarli tam za kwadrans czternasta i zastukali w szklane drzwi.

Jane otworzyła i powitała ich radośnie, a nad drzwiami zadźwięczał dzwonek.

– Mama bardzo by się ucieszyła! – Pokazała na kapelusz Reby z czerwonymi kwiatami i zaprosiła ich do środka. – Nie powiem, żebyśmy my z Sergiem ubrali się tak sztywnie, ale zrobiliśmy, co do nas należało.

Obok kasy, na dużej tacy chłodziły się lukrowane bułeczki z krzyżykiem.

– Piekliśmy przez całą noc. – Chwyciła jedną i podała Rikiemu. – Ty jesteś ekspertem. Tylko nie kręć. Powiedz mi, jeśli są do niczego.

Riki wziął *pan de muertos* i obrócił w palcach.

– Na pewno wyglądają tak jak mamine. – Ugryzł. – I smakują tak samo – zamruczał.

Reba zerknęła na niego i pogłaskała go po plecach. Przystanek nad grobem Victora na Panteón San Rafael był dla niej zaskoczeniem. Riki wyznał, że chciałby kiedyś wynagrodzić to w jakiś sposób rodzinie Garcia. Nie mógł już nic zmienić, ale może uszanowanie ich straty i cierpienia dałoby im jakieś ukojenie. Reba przytaknęła. Nauczyła się już, że przeszłość jest niewyraźną mozaiką dobra i zła. Należy określić swój udział w każdym z nich i pamiętać o tym. Jeśli chce się zapomnieć, uciec od lęków, żalów i uchybień, one w końcu i tak cię dopadną i pochłoną twoje życie, tak jak zrobiły to wilki taty. Reba nie była taka jak ojciec. Była silniejsza

i spotykała ludzi, którzy pokazywali jej, jak wybaczać i otrzymywać wybaczenie. Cieszyła się, że była z Rikim przy grobie Victora. On dla niej zrobiłby to samo.

– Dobrze! – Jane klasnęła w dłonie. – O to mi właśnie chodziło.

Przed gablotą z ciastami stał stolik kawiarniany z zaaranżowanym ołtarzykiem. W środku stało zdjęcie Elsie z Jane jako nastolatką. Ich twarze bardzo przypominały te z czarno-białej fotografii na ścianie. Obok stało zdjęcie doktora Alberta Meriwethera w mundurze wojskowym. Zdjęcia otaczały cukrowe czaszki, świece, biała róża, listy związane sznurkiem piekarniczym, zapinka z szarotką, rysunek kowboja, zniszczona książka i dwa serca z piernika.

– Masz tu całą wystawę – stwierdziła Reba.

– Wyłożyłam wszystko, co najbardziej lubiła. – Jane dotknęła palcem drewnianej ramki zdjęcia Ala. – Podobnie z tatą, oczywiście, no i kilka rzeczy znalezionych w starej puszcze w komodzie mamy. Ta zapinka, reklama fasolki i listy, głównie od babci i Lillian, ale są też inne.

Reba skinęła głową.

– Co do pierników objaśnień nie potrzeba. Specjalność domu.

– Mama by zmartwychwstała i oskalpowała mnie, gdybym nie położyła piernika – rzekła Jane z uśmiechem.

– No a to? – Reba podniosła książkę, z trudem odczytując wytarty tytuł na pierwszej stronie pozbawionej okładki. – *A Boy's Will*. Frost? Czytałam to w szkole średniej.

– To dała mi Lillian na pogrzebie. Powiedziała, że jakiś rok wcześniej niejaki Tobias Zuckermann przysłał to do Elsie do piekarni Schmidtów w Garmisch. Oczywiście mamy tam nie było. Nowy właściciel przesłał książkę na jedyny adres, jaki miał, do Lillian w Wichita. Miała zamiar odesłać ją tutaj, ale mama odeszła, zanim zdążyła to zrobić. Więc wzięła ze sobą, jadąc na pogrzeb – wyjaśniła Jane. – Ale tu jest dobra strona całej historii. W książce był list do mamy. To był Żyd uwięziony w Dachau podczas drugiej wojny światowej. Mama i jedna z sąsiadek ocaliły go z rąk gestapo. Mama ukrywała go w ścianie swojej sypialni i jakoś udało się go wydostać z Niemiec. Wyobrażacie sobie? Nigdy mi o tym nawet słowem nie wspomniała. – Jane kręciła głową. – Pewnie czytała mu wiersze z tej książki. A on zaznaczył swoje ulubione.

Reba otworzyła książkę na zaznaczonej zagiętym rogiem stronie. *Próba przez istnienie. I najmężniejsi gdy polegną,*

Zdziwienia ukryć nie zdołają,

Bo ockną się, a męstwo w cenie

Jako na ziemi, tak i w raju^[Z].

Trzymała w dłoniach lichego egzemplarz i wyczuwała bijący z jego cienkich kartek majestat czasu oraz ciężar lęków i nadziei.

– Tobias pisze, że wyemigrował do Kalifornii, ożenił się i ma gromadkę dzieci. Nawet jednej ze swoich córek dał imię po mojej mamie. To wszystko jest w tym liście. – Wskazała na plik związany sznurkiem. – Pomyślałam, że dziś może będzie chciała przeczytać swoją pocztę. – Mrugnęła okiem.

– To niezwykle. – Reba spojrzała na stos listów i ciekawość ją wprost zżerała.

– Możesz później przeczytać, jeśli chcesz – powiedziała Jane. – Mama nie miałaby nic przeciwko temu. Myślę, że list dużo mówi o tym, jaką była kobietą, wtedy i później. Zrywała z szablonami.

– Absolutnie – potwierdziła Reba.

– Jane, Rebo – zawołał Sergio – chcecie się czegoś napić?

– Tak, chcemy wypić toast! Wy przynosicie ofiary z płynów, a my zajmujemy się jedzeniem. – Jane z trzaskiem zamknęła szczypcę.

Riki posłał im radosny uśmiech i poszedł za Sergiem do kuchni.

– Riki jest w świetnym nastroju – zauważyła Jane. – Domyślam się, że Biuro do spraw Obywatelstwa i Imigracji to dla niego korzystna zmiana tempa, co?

Reba kiwnęła głową. Z pewnością odgrywało to jakąś rolę.

– To dobra praca. Szwagier Berta Mosleya pełni tam obowiązki zastępcy dyrektora. Przy całym doświadczeniu Rikiego w straży granicznej bardzo chętnie go przyjęli, a on był zadowolony, że znalazł się po drugiej stronie, tej, która ludzi przyjmuje, a nie wyrzuca. – Wodziła dłonią po miękkich brzegach książki. – Tak dużo się zmieniło przez ostatni rok. Czasem patrzę w lustro i nie mogę uwierzyć, jak dobrze mi się ułożyło. W Dniu Dziękczynienia Riki ma poznać moją rodzinę. Nareszcie!

– Tak jest, musicie na chwilę oboje pojechać na wschód. – Jane ostrożnie zdjęła z tacy lepiącą się bułeczkę. – Czy „Sun City” nie protestuje? Pracujesz tam znów od ilu... pięciu miesięcy? – Położyła bułeczkę z krzyżykiem na cynowym półmisku.

– Mam pewne korzyści z bycia kierowniczką redakcji. Nie jestem tam nowa. Jestem jak nowy kapelusz na starej głowie. Poza tym nie będzie mnie tylko tydzień. – Reba zgarnęła palcem grudkę cukru z tacy i starannie go oblizała, po czym mówiła dalej: – Nie chcę wyjeżdżać na dłużej. Riki układa różne plany podróży, ale ja chcę, żebyśmy szybko wrócili do domu, umościли się w nim i zaczęli normalnie żyć, żyć naprawdę.

– Dla mnie to wygląda, jakbyś była nową głową w starym kapeluszu. – Jane z aprobatą klapnęła szczypcami. – Ja ciebie rozumiem, droga pani. Ostatnio wiatr dziejów zmienił kierunek. Sama już nie zwracam uwagi na pociągi i samoloty. Myślę, że gdy jesteśmy szczęśliwi tam, gdzie jesteśmy, trawa po drugiej stronie płotu nie wydaje nam się bardziej zielona. I pewnie nigdy nie była. – Z uśmiechem wruszyła ramionami. – Polecicie na wschód czy pojedziecie samochodem?

– Pojedziemy szosą. – Reba narysowała na lukrze niezdarny kontur Stanów Zjednoczonych. – Do góry przez Teksas, potem do Nashville i do Wirginii. – Zlizwała z palca lukier. – Bardzo dawno tam nie byłam i są sprawy, które muszę omówić z rodziną. Chcę, żeby Riki był ze mną, gdy będę to robiła. To ważne, żeby znał o mnie całą prawdę. – Odsunęła tacę od Jane. – Ostatni przystanek to Virginia Beach. Riki jeszcze nigdy nie widział oceanu.

– Zakocha się w nim. – Jane mrugnęła porozumiewawczo. – Całym sobą.

Wyłożyła ostatnią bułeczkę na półmisek i postawiła go na kawiarnianym stoliku przykrytym materiałem w nakrapiany wzór z czaszkami.

Sergio wrócił z butelkami bitburgera. Zaraz za nim szedł Riki. Zatrzymał się przed ołtarzykiem Elsie i szukał czegoś w kieszeni, aż znalazł jednocentówkę od Victora. Położył ją obok czerwono-biało-niebieskiej cukrowej czaszki. Reba podeszła do niego.

– Wygląda na to, że jesteśmy gotowi – powiedziała Jane i uniosła swoją butelkę. – Za ciebie, mamo. I za wszystkich, którzy patrzą na nas stamtąd, z góry.

Płomienie świec na ołtarzyku tańczyły i falowały.

Reba upiła pilznera. Smakował świeżym ciastem rosnącym i pachnącym w gorącym piekarniku.

Rozdział 51

Eden Valley Lane
Escondido, stan Kalifornia
8 maja 2007 r.

Droga Elsie!

Od wielu lat pragnąłem napisać ten list. Najpierw powstrzymywały mnie obawy przed konsekwencjami dla Ciebie i Twojej rodziny. Z upływem czasu, przyznaję, nie pisałem z pobudek egoistycznych. Wspomnienia tych ostatnich dni w Niemczech są wciąż tak żywe. Czasem budzę się w ciemności i wydaje mi się, że nadal jestem małym chłopcem ukrywającym się w ścianie Twojego pokoju. Prześladowają mnie strzały gestapo. Nawet teraz jeszcze podskakuję ze strachu na dźwięk pękniętego balonika, uderzenia w piłkę bejsbolową czy odpalonej petardy. Te niewinne, służące rozrywce zabawy sprawiają, że serce zamiera mi w piersi i znów jestem w Garmisch, modląc się o cud. A potem widzę moje dzieci bawiące się ze swoimi dziećmi, moją żonę uśmiechającą się na ich widok i wiem, że Bóg właśnie ten cud sprawił. I nie mam na myśli tylko tego wiosennego dnia w 1945 roku. Nie, On pilnował nas oboje przez całe życie. Oprócz trudnych wspomnień z tamtych lat są jeszcze wspomnienia o Tobie, Elsie. Zawsze, gdy idąc ulicą mego miasta, mijam sklep z pieczywem i ciastkami, w kawiarni na lotnisku, a nawet w mojej własnej kuchni, gdy córka upiecze świeże, jeszcze ciepłe ciastka, stoję i z trudem powstrzymuję łzy. Nie smutku, lecz radości i wdzięczności. Odmawiam za Ciebie *Birkat Ha-Gomel*, mój Aniele Stróżu. Pierwszy prawdziwy i godny zaufania przyjacielu na mej drodze do zbawienia. Ty byłaś pierwsza, potem Frau Rattelmüller, a potem Zuckermannowie.

Frau odeszła niedługo po przyjeździe do Lucerny i nie wiem, czy jej listy do Ciebie docierały. W tych ostatnich dniach wojny tyle zostało zaprzepaszczone – i pośród żywych, i pośród umarłych. Po tym jak uciekłem gestapo przed Waszą piekarnią, Frau Rattelmüller ukryła mnie pod swoim płaszczem i uciekliśmy bocznymi uliczkami do jej domu. Tam szybko się spakowała, nakarmiła mnie bułkami, ubrała w bawarskie *Bundhosen* i wełniane palto podróżne, i powiedziała, że mam uchodzić za aryjskie dziecko. Wyjechaliśmy jeszcze tej samej godziny, siedząc z tyłu na chłopskim wozie, a i duże odległości pokonywaliśmy pieszo. Nie spaliśmy w ogóle, póki nie dotarliśmy do granicy szwajcarskiej, gdzie oczekiwali na nas znajomi Frau z transportem do Zurychu i radosną wiadomością o ostatecznej kapitulacji Niemiec. Wojna się skończyła, ale nikt z nas nie miał odwagi wracać. Dwa miesiące spędziliśmy w Szwajcarii.

W lipcu 1945 roku, gdy Zuckermannowie postanowili wyjechać do Stanów Zjednoczonych, dołączyłem do nich. Ta żydowska rodzina, przez wiele okrutnych lat ukrywająca się na strychu u Frau Rattelmüller, straciła syna, Johana, w obozie w Dachau, tam, gdzie zginęli moi rodzice i siostra Cecile. W wieku siedmiu lat myślałem, że moje życie się skończyło, ale teraz wiem, że tak naprawdę wtedy dopiero się zaczęło. W Ameryce Zuckermannowie byli dla mnie nową rodziną. I oni, i ja opłakiwaliśmy naszych utraconych bliskich i cieszyliśmy się z każdego darowanego nam oddechu. Poszedłem do szkoły, a potem na uniwersytet w San Diego, gdzie zrobiłem doktorat z kompozycji muzycznej i wykładałem ten przedmiot. Dotrzymałem danej Ci obietnicy. Śpiewałem. A później pisałem własne instrumentacje i teksty. Poezję w nutach.

Dzisiaj moja wnuczka Jacquelyn poprosiła, żebym napisał piosenkę dla Jonas Brothers. Gra z nimi do wtóru na swoim keyboardzie. Powiedziałem jej, że przypominają mi The Monkees. Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i powiedziała: „Nie wiedziałam, że dawno temu były

śpiewające małpy”. Roześmiałem się, ale to mi uprzytomniło, jaki dla tej młodzieży jestem stary. Jak świeże są ich umysły i jak nieświadome historii świata. Sam nie wiem, czy lepiej dla nich, by pozostali tacy niewinni i naiwni. Czy powinniśmy schować głęboko nasze zadry z przeszłości, by nie poraniły kielkujących serc? Niewątpliwie w odpowiednim czasie napotkają własne tragedie. Czy może powinniśmy ostrzegać nasze dzieci, że świat jest zły, a ludzie potrafią być nikczemni? Ostrzegać ich, by mogli się nawzajem chronić i współczuć bliźnim? Te pytania mnie dzisiaj nurtują. Zastanawiam się nad nimi, gdy Jacquelyn trzyma swego iPoda jak mikrofon i śpiewa mi muzykę pop. A na moją twarz wraca uśmiech. Młodzi mają zdolność przeobrażania nawet takich starych ludzi jak ja. Powiedziałem Jacquelyn, że napiszę piosenkę dla niej zamiast dla braci Jonas. Od pięciu lat nie komponowałem ani nie uczyłem; przeszedłem na emeryturę, żeby się nacieszyć towarzystwem swojej żony, dzieci i wnuków.

Ożeniłem się z Kelly, pianistką z San Diego, w roku 1970, a w 1971 mieliśmy pierwsze z naszej czwórki dzieci. Moja córka Elsie, nazwana tak na Twoją cześć, w zeszłym miesiącu urodziła mi ósmego wnuka. Już wykazuje wielką wrażliwość na rytm; słysząc dziecinne rymowanki, przewraca oczami i macha stópkami. Dostał imię Robert, po naszym ulubionym poecie. Ten egzemplarz *A Boy's Will*, który Ci odsyłam, towarzyszył mi przez sześćdziesiąt lat. Właśnie go czytałem, gdy mnie wywołałaś z kryjówki w naszej ostatniej wspólnej godzinie. Wsunąłem go za tasiemkę spodni, nie przewidując, co się zaraz wydarzy. Nie rozstawałem się z nim przez te wszystkie lata; był jedynym namacalnym dowodem, że Ty naprawdę istniałaś, a nie byłaś tylko zjawą z mojej wyobraźni. Ta książka przyniosła mi wiele pocieszenia i inspiracji.

Z okazji rocznicy zakończenia wojny uznałem, że nadszedł czas, by wróciła do swej prawowitej właścicielki. Dziękuję Ci, Elsie. Nigdy nie miej wątpliwości, że mnie ocaliłaś. Bądź pewna, że zrobiłaś więcej, niż mogłaś. Nie wiem, czy nadal mieszkasz w Garmisch w Niemczech i czy jesteś na tym świecie, ale staram się wierzyć, że gdziekolwiek jesteś, mój głos do Ciebie dotrze.

Z wielką miłością i najszczerzą wdzięcznością
Tobias

Epilog

El Paso, stan Teksas
grudzień 2008

Rebo,

aby uczcić to, że Ty i Riki ustaliliście w końcu datę ślubu, przesyłam Wam tuzin przepisów Mamy. Były to od pokoleń sekrety piekarzy z rodziny Schmidtów, ale wiem, że Mama nie miałaby nic przeciwko temu, żebym się nimi podzieliła z Tobą i Rikim. Jesteście dla mnie jak rodzina. Ona byłaby bardzo zadowolona, gdybyście Ty i Twoi najbliżsi kontynuowali jej spuściznę w kuchni.

Jestem pewna, że uśmiecha się tam w niebie, widząc, że nareszcie startujecie razem, a ja nie mogę się doczekać, by upiec największy i najśłodszy tort weselny, jaki zdołam.

Guten Appetit!

Jane

Przepisy Elsie Schmidt-Meriwether

Chleb Reby (bez nabiału)

Na cześć panny Reby Adams (niebawem pani Chavez!)

Składniki:

1 filiżanka ciepłej wody

1 paczka suchych drożdży

3 łyżki białego cukru

1/2 łyżeczki soli

1 łyżeczka cynamonu

2 łyżki oleju

3 filiżanki mąki pszennej

3/4 filiżanki rodzynek

Połączyć drożdże z ciepłą wodą. Dobrze rozrobić. W drugiej misce połączyć cukier, sól, cynamon i olej, następnie wymieszać z połową mąki. Dodać rodzynek. Dodać pozostałą mąkę. Wyrabiać na posypanej mąką stolnicy, aż ciasto przestanie przywierać – ok. 10 minut.

Uformować ciasto w kulę, włożyć do posmarowanej tłuszczem miski i obracać, żeby pokryło się tłuszczem. Przykryć ściereczką, postawić w ciepłym miejscu i poczekać, aż dwukrotnie zwiększy objętość. Po tym czasie wyjąć ciasto, nadać mu kształt bochenka i włożyć do posmarowanej tłuszczem blachy chlebowej. Przykryć i odstawić na 30 minut, by jeszcze urosło. Piec przez 30 minut w temperaturze ok. 200°C, aż skórka zrobi się złocistobrązowa. Kroić ostudzone.

Uwaga: teraz, gdy jesz już nabiał, jeszcze gorący chleb możesz posmarować masłem. Wtedy jest najsmaczniejszy.

Buleczki *Thomasplitzchen*

Mama zawsze mówiła, że one z Twoich wrogów zrobią przyjaciół, a z przyjaciół wrogów. Ja przez nie w każdy Dzień Świętego Tomasza przybieram na wadze ponad 2 kilo, więc nazwałabym je swymi przyjaznymi wrogami. Za dobre, żeby zjeść tylko jedną.

Składniki:

Ciasto

2 filiżanki mąki pszennej

1/2 łyżeczki soli

1/2 filiżanki masła

1/2 filiżanki cukru białego lub brązowego

2 łyżeczki proszku do pieczenia

1/2 filiżanki mleka

Nadzienie

3 łyżeczki roztopionego masła

1 filiżanka suszonych porzeczek, rodzynek, żurawin lub innych drobnych suszonych owoców

1/4 filiżanki cukru

Polewa

3 łyżeczki roztopionego masła

kilka kropli esencji waniliowej

2 filiżanki cukru pudru

Wymieszać wszystkie składniki ciasta. Na posypanej mąką stolnicy rozwałkować ciasto na grubość ok. 3 mm. Składniki nadzienia wymieszać i posmarować nim ciasto, a następnie całość zrolować i pokroić na plastry szerokości ok. 2,5 cm. Ułożyć je płasko na wysmarowanej tłuszczem blasze do pieczenia ciastek, rozgrzać piekarnik do temperatury ok. 180°C i piec dotąd, aż się odrobinę zarumienią na wierzchu, u mnie zwykle 12 minut w dni gorące, a 15 minut w zimne. Zmieszać składniki polewy i po wyjęciu bułeczek z piekarnika posmarować je grubo i pozostawić do ostygnięcia.

Serca z piernika – *Lebkuchen*

Te pychoty mogą leżeć miesiącami w zamrażalniku i nadal smakują bosko! Ale szał, nie mów tego klientom.

Składniki:

1/2 filiżanki miodu

1/2 filiżanki ciemnej melasy

3/4 filiżanki brązowego cukru

3 łyżki oleju migdałowego

1 duże jajko

2 3/4 filiżanki mąki pszennej

2 łyżeczki mielonego cynamonu

1 łyżeczka proszku do pieczenia

1/2 łyżeczki sody oczyszczonej

1/2 łyżeczki soli

1/2 łyżeczki mielonego kardamonu

1/2 łyżeczki mielonego imbiru

Zagotować w rondelku miód z melasą. Pozostawić do ostygnięcia. Dodać brązowy cukier, olej migdałowy i jajko. W misce zmieszać mąkę, cynamon, proszek do pieczenia, sodę, sól, kardamon i imbir. Wlać składniki mokre do suchych. Bardzo dokładnie wymieszać. (Czasem dodajemy posiekane orzechy laskowe lub migdały, ale mama lubi zwykły, tradycyjny sposób). Przykryć ciasto i chłodzić przez noc w lodówce.

Rano rozwałkować ciasto i wyciąć w kształt serc lub włożyć do brytfanki, jeśli mają być kwadraty. Piec, aż przy dotknięciu będą elastyczne. Ostrożnie, żeby się nie oparzyć. Zwykle trwa to około 15 minut w piekarniku o temperaturze 180°C.

Po wyjęciu posmarować z wierzchu polewą (przepis poniżej). Poczekać, aż zastygnie. Jeśli ciasto było pieczone w formie, pokroić je na kwadraty i udekorować płatkami migdałowymi, kolorowym lukrem lub czym chcemy.

Polewa do pierników

1 filiżanka białego cukru

1/2 filiżanki wody

1/2 filiżanki cukru pudru

Gotować wodę z białym cukrem przez dobre 5 minut, aby cukier się rozpuścił. Zdjąć z ognia i wymieszać z cukrem pudrem. Posmarować ciepłe pierniki.

Bułki – Brötchen

Nie ma nic bardziej niemieckiego niż ten przepis. Podstawa dla wszystkich prawdziwych piekarzy Schmidów. Najlepsze są gorące prosto z piekarnika z masłem lub dżemem wiśniowym. Tak je robiła mama. Podam Ci również przepis babci na dżem wiśniowy.

Składniki:

2 1/2 do 3 filiżanek mąki pszennej

1 paczka suchych drożdży

1 łyżeczka cukru

1 filiżanka ciepłej wody

1 łyżka oleju

1 łyżeczka soli

1 białko

Wsypać 2 1/2 filiżanki mąki do dużej miski i zrobić w środku wgłębienie. Wsypać do niego drożdże, cukier i wlać dwie łyżki ciepłej wody (z tej filiżanki). Wymieszać we wgłębieniu drożdże, cukier i wodę, ale nie mieszać jeszcze z mąką. Przykryć miskę ściereczką i postawić w ciepłym miejscu na 15 minut, aż drożdże zaczną pracować. Dodać resztę wody, olej i sól, całość wymieszać. Wyjąć ciasto na posypaną mąką stolnicę i wyrobić. W razie potrzeby, jeśli ciasto jest za rzadkie, dodać pozostałe 1/2 filiżanki mąki. Włożyć ciasto do nasmarowanej tłuszczem miski, przykryć i pozostawić w ciepłym miejscu, aby mniej więcej podwoiło objętość (ok. 1 godz.).

Rozpląszczyć ciasto i podzielić na 12 kawałków. Uformować bułki i ułożyć na posmarowanej tłuszczem i posypanej mąką blasze, w odległości 7–8 cm. Przykryć i ponownie zostawić do wyrośnięcia.

Wierzch każdej bułki naciąć na krzyż. Ubić białko jajka z łyżeczką wody na pianę i posmarować bułki. (Och, zapomniałam – piekarnik trzeba w międzyczasie nagrzać do temp. 230°C). Potem piec przez 15–20 minut, aż wierzch się zarumieni.

Dżem wiśniowy babci

Mama zawsze nalegała, żeby jeść go na bułce, by złagodzić słodki i kwaśny smak. Uważała, że inaczej psują się od niego zęby. Ale ja jako dziecko wyjadałam go cichcem łyżeczką ze słoika i nadal mam pełen garnitur zębów.

Składniki:

ok. 1 kg (6 filiżanek) drylowanych wiśni, pokrojonych lub w całości, według gustu

5 filiżanek białego cukru

1/2 łyżeczki masła

kilka kropel wiśniówki Kirschwasser (bardzo dobra!)

Uwaga: w niektórych przepisach stosuje się sok cytrynowy, lecz babcia na ogół nie miała pod ręką cytryny. Można też robić bez masła i wiśniówki. Dżem jest równie smaczny.

Włożyć wiśnie do ciężkiego garnka. Dodać cukier, wymieszać. Odstawić na 2–4 godziny. Następnie dodać masło (jeśli stosujemy). Wszystko razem zagotować, dokładnie mieszając, aż na łyżce zacznie tężeć. Wtedy zdjąć z ognia i zebrać z wierzchu pianę. Dodać do smaku wiśniówki. Przełożyć do wyparzonych słoiczków, następnie mocno je zakręcić. Postawić na 5 minut do góry dnem, po czym odwrócić. Dżem można przechowywać dowolnie długo.

Schnecken (ślimaczki) – niemieckie bułeczki cynamonowe

Podobne do bułeczek *Thomasplitzchen*, tylko z droższych składników, skutkiem czego ich dekadencja graniczy z grzechem. Grożą zanikiem umiaru w jedzeniu, a i mama nigdy ludzi od tego nie odwozila.

Składniki:

Ciasto

3 1/3 filiżanki mąki chlebowej

3 łyżki cukru

1/2 łyżeczki soli

ok. 7 g suchych drożdży lub 1 łyżka świeżych

1/3 filiżanki masła

1/2 filiżanki + 2 łyżki mleka

2 jajka

Syrop

1/2 filiżanki + 1 łyżka masła

2 łyżki białego cukru

1/2 filiżanki syropu klonowego

1 filiżanka orzechów (włoskich, pekanów lub innych, jakie masz w spizarce)

Polewa

1 jajko

2 łyżki mleka

Nadzienie

3 łyżki białego cukru

1/2 filiżanki brązowego cukru

1 łyżka cynamonu

Nasmarować tłuszczem brytfankę wielkości ok. 30 × 20 cm. W dużej misce wymieszać mąkę, cukier, sól i drożdże. Rozpuścić masło w 1/2 filiżanki mleka na małym ogniu i ubić z jajkami. Całość wlać do suchych składników i wymieszać. Wyrabiać ciasto przez 10 minut. Gdy jest już miękkie i elastyczne, uformować z niego kulę i przełożyć do natłuszczonej miski. Obtoczyć ciasto w tłuszczu i przykryć miskę. Pozostawić w ciepłym miejscu na godzinę, aż podwoi swoją objętość.

W tym czasie przygotować syrop. Utrzeć masło na gładki krem, dodać cukier, następnie syrop klonowy, nadal ucierać, a potem całą tę lepka i słodką masę wlać do przygotowanej brytfanki. Posypać orzechami.

Wyrośnięte ciasto spłaszczyć ręką i rozwałkować na duży prostokąt, dłuższym bokiem do siebie.

Teraz polewa i nadzienie. Ubić jajko, dodać mleko. Pędzelkiem do ciast lub palcami rozsmarować polewę na rozwałkowanym cieście. Zmieszać oba cukry i cynamon w małej miseczce i posypać posmarowane polewą ciasto.

Zrolować ciasto od dłuższej strony, czyli odpychając od siebie. Pokroić na 12 równych

kawałków i położyć każdy płaską stroną na orzechach w brytfance.

Gdy bułeczki będą rosły (ok. 20 minut), nagrzać piekarnik do temperatury 180°C, następnie włożyć je do piekarnika. Piec 20–25 minut, aż zarumienią się na wierzchu, ale wewnątrz pozostaną lepkie. (Ach, zapomniałam o dobrej radzie: mama zawsze wkładała pod brytfankę folię do pieczenia, żeby uchronić piekarnik przed wyciekającym syropem. Przypalony cukier bardzo trudno się czyści). Wyjąć bułeczki i zostawić do ostygnięcia (5–10 minut powinno wystarczyć). Folią lub dużym talerzem przykryć brytfankę i odwrócić. Ostrożnie wyjąć bułeczki cynamonowe i łydką wygarnąć na nie cały syrop z orzechami.

Można jeść, gdy tylko wystygną na tyle, że nie parzą palców. Rzucam ci wyzwanie: poczekaj trochę dłużej.

Bułka z błotkiem – *Matschbrötchen*

Dobra i sprawdzona.

Składniki:

1 Schaumkuss (ciepły lód, pianka w czekoladzie, całusek) kupiony w sklepie

1 kajzerka

Rozerwać lub przekroić bułkę na pół. Umieścić czekoladowy przysmak między połówkami. Ścisnąć je mocno i jeść od razu. Najlepiej z przyjaciółką.

Tort szwarcwaldzki z wiśniami – *Schwarzwälder Kirschtorte*

Mama zawsze jadła kawałek do filiżanki mocnej kawy. Mówiła, że kawa podkreśla jego bogaty czekoladowy smak. Uważam, że jest pyszny i z kawą, i bez!

Składniki:

Ciasto

12/3 filiżanki mąki pszennej

2/3 filiżanki kakao

11/2 łyżeczki sody oczyszczonej

1 łyżeczka soli

1/2 filiżanki tłuszczu do pieczenia

11/2 filiżanki białego cukru

2 jajka

1 łyżeczka wanilii

11/2 filiżanki maślanki lub zwykłego mleka (co jest pod ręką)

1/2 filiżanki wiśniówki

Krem

1 filiżanka kremówki

1/2 łyżeczki wanilii

1 łyżka wiśniówki (w tym przepisie nie jest opcjonalna. Musisz dodać!)

1 filiżanka cukru pudru

szczypta soli

1 filiżanka drobno pokrojonych drylowanych wiśni

Dekoracja wierzchu

1 półsłodka czekolada lub wiórki czekoladowe

drylowane wiśnie

Rozgrzać piekarnik (pamiętałam!) do 180°C. Nasmarować tłuszczem i posypać mąką dwie dwudziestocentymetrowe tortownice. Przesiać do jednego naczynia mąkę, kakao, sodę i sól. Odstawić.

Tłuszcz do pieczenia utrzeć z cukrem na krem. Dodać jajka i dalej ucierać. Dodać wanilię, potem po trochu mąkę z mlekiem. Mieszać, aż się wszystko połączy.

Do każdej tortownicy wlać po połowie ciasta. Piec 35–40 minut albo do tak zwanego suchego patyczka. Wystudzić całkiem (bardzo ważne!). Każdy placek przekroić na dwa blaty, dzięki czemu otrzymamy cztery warstwy. Wszystkie warstwy skropić wiśniówką.

W oddzielnej misce ubić śmietanę na sztywno. Dodać 1/2 łyżeczki wanilii i 1 łyżkę wiśniówki. Dodać cukier puder i szczyptę soli, ciągle ubijając. (Uwaga: ten przepis to gimnastyka). Krem podzielić na cztery części. Pierwszy blat ciasta posmarować 1/4 kremu. Posypać 1/3 wiśni. Przykryć kolejną warstwą ciasta. To samo zrobić z dwiema pozostałymi warstwami.

Ostatni blat i boki tortu posmarować resztą kremu i posypać grubo wiórkami czekoladowymi. Ja strugam je obieraczką do ziemniaków i używam wszelkie okruszki czekolady. Na górze ułożyć drylowane wiśnie, wyznaczając grubość krojonych kawałków.

Bułki ze słonecznikiem – *Sonnenblumenkernbrot*

Mój tata miał do nich słabość, więc i ja je wyjątkowo lubię. Mama nigdy nie miała problemu z dostaniem ziarna słonecznika, więc i Ty nie powinnaś.

Składniki:

2 1/2 filiżanki mąki pszennej

1 1/2 filiżanki mąki żytniej

1 1/2 łyżeczki soli

suche drożdże

1 paczka ekstraktu zakwasu (opcjonalnie)

12/3 filiżanki letniej wody

1/2 filiżanki uprażonych nasion słonecznika (plus do dekoracji)

Najpierw zmieszać mąkę pszenną, żytnią oraz sól. Rozpuścić drożdże w 1/4 filiżanki wody. Do mąki dodać rozrobione w wodzie drożdże i zakwas (jeśli używamy) oraz resztę wody. Mieszać, aż utworzy się zwarta masa. Następnie wyrabiać na stolnicy posypanej mąką przez 5 minut. Ciasto powinno być dość twarde, lekko ciągnące.

Wgnieść nasiona słonecznika w ciasto, uformować kulę, włożyć do nasmarowanej tłuszczem miski, przykryć i postawić w ciepłym miejscu, żeby rosło ok. 1 godziny.

Gdy ciasto podwoi objętość, rozplaszczyc je, wyrabiać przez minutę i uformować 12 bułek. Ich wierzchy posmarować wodą (jeśli nadal nie jesz nabiału) lub mlekiem (jeśli już jesz) i posypać ziarnami słonecznika. Ułożyć bułki na posmarowanej tłuszczem blasze i pozostawić do wyrośnięcia (do ponownego podwojenia objętości).

Nagrzać piekarnik do 260°C. (Tak, wiem, że to straszliwie gorąco na początek, ale miej zaufanie do mamy, tak są najbardziej chrupiące). Na dolnej półce piekarnika postawić starą brytfankę i też ją rozgrzać. Gdy temperatura w piekarniku dojdzie do 260°C, zrobić nożem nacięcia na wierzchu bułek, wlać filiżankę wody do starej brytfanki, a bułki wstawić na półkę wyżej. Potem bardzo szybko zamknąć piekarnik i ustawić temperaturę na 200°C. Piec przez 15–20 minut, aż zrobią się złociste jak teksańskie słoneczniki jesienią.

Kołocz śląski

Ulubiony mamy i z pewnością zadowoli klientów! Piecze się etapami.

Składniki:

1 etap

1 filiżanka cukru białego

1 filiżanka cukru brązowego

3 filiżanki mąki pszennej

1 filiżanka miękkiego masła

1 łyżeczka cynamonu

1/4 do 1/2 łyżeczki soli

Zmieszać wszystkie składniki na kruszonkę. Odłożyć 1 filiżankę kruszonki.

2 etap

1 łyżeczka esencji waniliowej

2 dobrze ubite jajka

1 filiżanka maślanki z dodatkiem 1 łyżeczki sody oczyszczonej

Składniki 2 etapu dodać do tych z etapu 1 (po odjęciu 1 filiżanki). Dobrze wymieszać i przełożyć do nasmarowanej tłuszczem formy do pieczenia. Ja używam brytfanki 22 × 27 cm.

3 etap

Wierzch ciasta posypać pozostałą kruszonką oraz 1/2 filiżanki posiekanych orzechów laskowych.

Piec około 40 minut w temperaturze 160°C. Dziecinnie łatwe!

Chleb umarłych – *Pan de muertos* (przepis mamy Rikiego Chaveza)

Wciąż go doskonałą. Jak mówiła mama, musimy się uczyć przepisów naszych ludów i przekazywać je następnym pokoleniom piekarzy, ich synom i córkom.

Składniki:

1/2 filiżanki dobrego masła

1/2 filiżanki mleka

1/2 filiżanki wody

1 1/2 filiżanki mąki pszennej

1/2 filiżanki cukru

1 łyżeczka soli

2 paczki suchych drożdży

1 łyżeczka nasion anyżu

4 jajka

4 1/2 filiżanki mąki pszennej (dodatkowo)

W rondelku na małym ogniu podgrzać masło, mleko i wodę, aż będą gorące (nie doprowadzać do wrzenia). W tym czasie zmieszać 1 1/2 filiżanki mąki, cukier, sól, drożdże i anyżek. Zdjąć rondel z ognia i wlać zawartość do sypkich składników, dokładnie ucierając. Dodać jajka i dodatkową filiżankę mąki. Wymieszać. Dalej dodawać mąkę, aż uzyskamy odpowiednią konsystencję ciasta – ma być miękkie, lecz nie powinno przywierać. Wyrabiać na obficie posypanej mąką stolnicy przez 10 minut.

Dużą miskę wysmarować tłuszczem i włożyć do niej ciasto, przykryć i postawić w ciepłym miejscu do wyrośnięcia. Mniej więcej po 1 1/2 godziny powinno być pulchne. Ugnieść ciasto, a następnie ulepić z niego okrągłe bułeczki. Mniejsze kawałki zrolować i uformować w kształt kości, a następnie przykleić na krzyż na wierzchu bułek. Pozostawić na godzinę do dalszego wyrośnięcia.

Nagrzać piekarnik do temperatury 180°C i piec przez 40 minut. Po wyjęciu od razu polukrować (przepis poniżej).

Lukier

1/2 filiżanki cukru

1/3 filiżanki świeżego soku z pomarańczy

2 łyżki startej skórki pomarańczowej

Wszystko razem zagotować, a następnie gotować jeszcze przez 2 minuty. Posmarować bułki.

Churros/Kreppels

Takie same jak mamy pączki z cynamonem, tylko trochę inne w kształcie. Bez względu na to, skąd się wywodzą, składniki są takie same.

Składniki:

olej roślinny do smażenia

1/2 filiżanki masła

1 filiżanka wody

1/4 łyżeczki soli

1/2 filiżanki cukru

1 filiżanka przesianej mąki pszennej

3 jajka

1/4 łyżeczki cynamonu

Uwaga: potrzebny będzie termometr do mierzenia temperatury płynu.

Masło i wodę zagzać w rondlu. Dodać sól i 1 łyżkę cukru. Mieszać, aż się wszystko rozpuści. Zagotować. Dodać mąkę i dobrze wymieszać, aż utworzy się zwarta masa, ok. 1 minuty, ale zdjąć z ognia po 30 sekundach, bo nie będą dostatecznie pulchne. (Zmarnowałam dwie porcje, zanim to odkryłam).

Dodawać po jednym jajku, mieszając dokładnie, aż ciasto będzie błyszczące. Schłodzić ok. 5 minut. Resztę cukru i cynamon mieszać w papierowej torebce i odłożyć.

Teraz będzie próba cierpliwości. Przełożyć ciasto do mocnej plastikowej torebki, upchnąć w jej rogu i odciąć róg. Smażyć na głębokim oleju (ok. 5 cm) podgrzanym do temperatury 190°C (zmierzyć termometrem), wyciskając na niego paski długości 10 cm po 3–4 na jeden raz w garnku, by się nie posklejały. Smażyć 2 minuty i obrócić widelcem, po czym smażyć przez kolejne 2 minuty, aż będą rumiane i chrupkie. Widelcem wyjmować na papierowy ręcznik, żeby obeschły przez kilka minut, ale jak najszybciej zanurzać je w przygotowanej papierowej torebce, by mieszanka cukru z cynamonem się do nich przylepiła. Podobno najlepsze są ciepłe, ale następnego dnia smakują jeszcze wyśmieniej.

Ebook zakupiony w koobe.pl, nr transakcji #42967

Przypisy

[1] *Julfest* (niem.) – święta Bożego Narodzenia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] *Quinceañera* – tradycyjna huczna uroczystość odbywająca się z okazji piętnastych urodzin młodej dziewczyny, obchodzona w części krajów latynoamerykańskich oraz wśród Latynosów w Stanach Zjednoczonych.

[3] *Fastnacht* (niem.) – ostatki.

[4] Przepraszam. Musieliśmy to zrobić dla naszej rodziny. Mój brat. Proszę. Proszę pana.

[5] *United Service Organizations* – amerykańska organizacja pozarządowa, do której zadań należy między innymi zapewnienie rozrywki żołnierzom uczestniczącym w operacjach militarnych Stanów Zjednoczonych za granicą.

[6] *Volksempfänger* (niem.) – radioodbiornik specjalnie zaprojektowany w Niemczech do celów propagandy nazistowskiej.

[7] W przekładzie Elżbiety Kowalewskiej.

